



# INFEKCIJA

GRAHAM MASTERTON



GRAHAM MASTERTON

INFEKCJA

Z angielskiego przełożył  
PIOTR KUŚ



Wydanie elektroniczne

## **MANITOU** – najsłynniejszy cykl horrorów Grahama Mastertona

Jasnowidz Harry Erskine kontra Misquamacus, najokrutniejszy z indiańskich demonów, który pojawia się we współczesnym świecie w przeróżnych wcieleniach i znajduje sobie zaskakujących sprzymierzeńców.

Do cyklu należą powieści: Manitou, Zemsta Manitou, Duch zagłady, Krew Manitou, Armagedon oraz Infekcja.

### **INFEKCJA**

Lekarze szpitala w Saint Louis nie są w stanie pomóc człowiekowi z nieznaną dziwną chorobą. Jeszcze dziwniejsze – i bardziej makabryczne – niż jej objawy jest to, co dzieje się z pacjentem po śmierci. Wezwana do oględzin profesor Anna Grey jest mocno zaniepokojona. Zwłaszcza kiedy jej ukochany umiera w ten sam sposób i choroba zaczyna przybierać rozmiary epidemii.

Wróżbita Harry Erskine, niesłusznie posądzony o kradzież, musi opuścić Miami. Nie martwi się tym, bo po nocnej wizycie trzech zakonnic, które potrafią rozpływać się w powietrzu i mają coś wspólnego z Misquamacusem, nie uśmiecha mu się kolejne takie spotkanie. Lecąc do Los Angeles, czuje jednak, że tak łatwo nie ucieknie od swojego odwiecznego wroga.

Po przypadkowym spotkaniu z Anną Grey łączy z nią siły i wspólnie próbują pokonać żądnych zemsty synów Misquamacusa i ich zastępy roznoszących zarazę siostr w habitach.

Tytuł oryginału:

PLAGUE OF THE MANITOU

Copyright © Graham Masterton 2015

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019

Polish translation copyright © Piotr Kuś 2019

Redakcja: Marta Grał

Zdjęcia na okładce: reidy68/Pixabay (zakonnica), Oleksandr Pidvalnyi (las)

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8125-408-3

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

# Spis treści

Strona tytułowa  
O książce  
Strona redakcyjna  
Motto

ROZDZIAŁ 1  
ROZDZIAŁ 2  
ROZDZIAŁ 3  
ROZDZIAŁ 4  
ROZDZIAŁ 5  
ROZDZIAŁ 6  
ROZDZIAŁ 7  
ROZDZIAŁ 8  
ROZDZIAŁ 9  
ROZDZIAŁ 10  
ROZDZIAŁ 11  
ROZDZIAŁ 12  
ROZDZIAŁ 13  
ROZDZIAŁ 14  
ROZDZIAŁ 15  
ROZDZIAŁ 16  
ROZDZIAŁ 17  
ROZDZIAŁ 18  
ROZDZIAŁ 19  
ROZDZIAŁ 20  
ROZDZIAŁ 21  
ROZDZIAŁ 22  
ROZDZIAŁ 23  
ROZDZIAŁ 24  
ROZDZIAŁ 25  
ROZDZIAŁ 26  
ROZDZIAŁ 27  
ROZDZIAŁ 28

Moje przekonania w tej sprawie potwierdziły się. Otóż te plemiona nie mogą egzystować w pobliżu naszych osiedli i w bezustannym kontakcie z naszymi obywatelami; to jest pewne. Nie dysponują one inteligencją, przemysłem, nie mają standardów moralnych, w żadnej dziedzinie nie dążą do poprawy, a to byłoby przecież w ich sytuacji podstawą do jakiegokolwiek pożądanej przemiany. Zawieszony właściwie w próżni, nierozumiejący powodów swojej niższości ani przyczyn, dla których powinny być kontrolowane, nieuchronnie muszą ulec sile zdarzeń i w niedługim czasie zniknąć.

Prezydent Andrew Jackson

w przemówieniu do Kongresu, rok 1833

Nowe badania organizacji Bugs Without Borders, koordynowane przez National Pest Management Association (NPMA) oraz University of Kentucky, potwierdziły, że plaga pluskiew w Stanach Zjednoczonych rozprzestrzenia się w zastraszającym tempie. Badania przeprowadzone na zlecenie instytucji zajmujących się zwalczaniem szkodników potwierdziły, że 99,6% spośród ankietowanych osób zetknęło się w ubiegłym roku z plagą pluskiew i że ostatnio plaga ta na większości obszarów działania tych instytucji w znacznym stopniu przybrała na sile.

Pestworld.org, 2013

## ROZDZIAŁ 1

Anna słyszała już w życiu różne krzyki, ale takiego jak ten – nigdy. Był to zduszony wrzask przechodzący w skowyt, przepełniony ogromną boleścią, który trwał przez pełne dziesięć sekund i wreszcie skończył się gardłowym charkotem. Tak mógł wyc pies, który dostał się pod walec drogowy, ale nie człowiek.

Uniosła głowę znad okularu mikroskopu i przez chwilę nasłuchiwała. Z korytarza dotarło do niej jakieś nawoływanie i dudnienie, później tupot biegnących stóp i terkot noszy na kółkach, bardzo szybko pchanych po śliskiej winylowej podłodze.

Kiedy nosze mijały drzwi jej laboratorium, mężczyzna krzyknął jeszcze raz i tym razem Anna mogła rozróżnić słowa:

– Zabierzcie to ode mnie! Zabierzcie to ode mnie!

Po chwili ktoś inny krzyknął:

– Jezu!

Anna szybko podeszła do drzwi i otworzyła je. Zdążyła zobaczyć pielęgniarkę i dwóch szpitalnych ratowników medycznych pchających nosze w kierunku wind. Mężczyzna, który na nich leżał, wymachiwał rękami, a jego ciało podrygiwało jak rażone prądem elektrycznym. Z jego ust tryskały fontanny krwi, która przemoczyła już przód niebieskiej koszuli w kratę. Poplamione były też kitle pielęgniarki oraz ratowników, a nawet ściany.

Gdy cała grupa zniknęła za załomem korytarza, rozbrzmiał kolejny przeraźliwy krzyk. Przez chwilę słyhać było jeszcze pisk kół na wykładzinie, potem dzwonek zatrzymującej się windy i zapadła cisza.

Anna przez kilka sekund stała w progu, poruszona i zaintrygowana. Widziała już niejednego krwotok, ale tego, co zobaczyła przed chwilą, nie dało się z niczym porównać. I jeszcze to straszne wycie!

Już miała wrócić do laboratorium, kiedy zauważyła mężczyznę, który niespodziewanie wyłonił się zza narożnika korytarza. Zatrzymał się i patrzył na Annę, nie mając jednak zamiaru podejść bliżej.

Miał krótko obcięte siwe włosy i starannie utrzymaną siwą brodę. Jego twarz była szara jak popiół, a głęboko osadzone oczy miały ciemne obwódki. Ubrany był w długą szarą marynarkę, z wysokim kołnierzem. W sumie wyglądał tak, jakby właśnie wyszedł z czarno-białej fotografii. Wpatrywał się w Annę bardzo intensywnie, jakby chciał na zawsze zapamiętać jej twarz. Początkowo miał poważną minę, jednak po chwili na jego ustach zaczął się pojawiać uśmiech, aż w końcu mężczyzna obnażył zęby. Jego wargi poruszyły się, ale był zbyt daleko, by Anna mogła go usłyszeć.

Jego lubieżny wyraz twarzy zdawał się mówić: „Mógłbym ciebie mieć, damulko, gdybym tylko chciał”. Patrząc na Annę wyzywająco, mężczyzna oblizał wargi czubkiem języka, jakby dla podkreślenia prawdziwości tego wrażenia.

Anna nie rozpoznała w nim żadnego z pracowników szpitala i już miała zawołać: „Halo, proszę pana!”, gdy ten zrobił krok do tyłu i zniknął za załomem korytarza.

Nie poszła za nim. W końcu ochrona szpitala nie należała do jej obowiązków. Wciąż jednak stała w drzwiach i zastanawiała się, kim mógł być tajemniczy mężczyzna, kiedy nadeszła jej asystentka Epiphany z dwoma styropianowymi kubkami kawy. Epiphany z przerażeniem patrzyła na krwawe odciski stóp i plamy na podłodze.

– Jasna cholera, Anno. Co się tu dzieje, do diabła?

– Właśnie wywieźli stąd pacjenta, któremu leciały z ust fontanny krwi. Miał też straszne drgawki. Mój Boże, podskakiwał na tych noszach jak na trampolinie.

Epiphany podała jej kubek.

– Proszę. Przykro mi, ale nie było już kanapek z masłem orzechowym. Nie wiedziałam, co innego miałabyś ochotę zjeść.

– Nie ma problemu, Epiphany. Zdaje się, że i tak straciłam apetyt.

Wróciły do laboratorium, jednak Anna nie od razu podeszła do mikroskopu. Czuła się niewiarygodnie spięta, tak jakby scena, której przed chwilą była świadkiem, zapowiadała coś znacznie gorszego, co miało dopiero nadejść. Widok tego pacjenta uruchomił w niej jakieś głęboko ukryte wspomnienie – kiedyś czytała gdzieś opis podobnego ataku, a może słyszała o tym na wykładzie. Szczególnie uderzyły ją słowa, które wyrzaskiwał pacjent: „Zabierzcie to ode mnie!”. Była zła na siebie, że nie



pamięta, czego konkretnie dotyczy to wspomnienie.

Zaniepokoił ją też widok mężczyzny, który tak sugestywnie się do niej uśmiechał. Co on robił na tym korytarzu? I dlaczego był z siebie tak zadowolony?

– Dobrze się czujesz? – zapytała Epiphany, unosząc głowę znad laptopa. – Mamy jeszcze do zbadania dziewięć partii próbek, pamiętasz?

– Jasne. Tak. Właściwie sama nie wiem. Chyba nie najlepiej. To... to mnie rozstroiło.

– Och, daj spokój.

Epiphany podeszła do Anny i położyła jej dłoń na ramieniu. Obie kobiety były wysokie, jednak Epiphany miała kilka centymetrów wzrostu więcej. Włosy, splecione w cienkie warkoczyki, ozdobiła kolorowymi paciorkami. Anna zaś miała krótkie, jasne włosy ze srebrnymi pasemkami, wysokie kości policzkowe i była bardzo szczupła. Jej matka powtarzała, że powinna była zostać modelką, ale ojciec – Edward Grey – był szanowanym biochemikiem i Anna zawsze marzyła tylko o tym, by pójść w jego ślady i zająć się medycyną.

Jej partner, David, powiedział kiedyś: „Właśnie za to tak bardzo cię Kocham, Anno. Masz umysł Jonasa Salka i urodę Heidi Klum”.

– Zaraz mi przejdzie – stwierdziła. – Muszę tylko chwilę odetchnąć.

– Może poczujesz się lepiej, jeśli pójdziesz na chirurgię i sprawdzisz, co się dzieje z tym pacjentem? – zasugerowała Epiphany. – Pewnie od razu wzięli go na salę operacyjną, skoro tak rzygał krwią.

– Nie, nie. Musimy się zająć tymi próbkami, czas nas goni. Przecież nie chcemy, żeby kolejne dzieciaki cierpiały z powodu tego wstrętnego robala.

Dwa dni wcześniej Annie przysłano próbki krwi siedemdziesięciorga siedmiorga dzieci z Meramac Elementary School w Clayton. Nagle wystąpiła u nich szybko postępująca choroba. Pięciolatki i sześciolatki po prostu przewracały się w klasach i na boisku. Objawy przypominały grypę: osłabienie, dreszcze, gorączka, ale także wymioty i gwałtowna biegunka. Szkołę postanowiono zamknąć do czasu, aż Anna i jej zespół zdołają zidentyfikować wirus, który zaatakował dzieci, i ustalą metodę leczenia. W tej chwili wszystkie chore dzieci przebywały w izolatkach w Saint Louis

Children Hospital.

– Na pewno dobrze się czujesz? – powtórzyła Epiphany.

– Proszę cię, dziewczyno... Nic mi nie jest. Lepiej wróćmy do naszego wirusa. Im dłużej się nim zajmuję, tym bardziej wygląda mi on na jakąś mutację wirusa ptasiej grypy, jak H5N1, tyle że jest znacznie bardziej zjadliwy.

– Rzeczywiście przypomina wirusa ptasiej grypy – zgodziła się Epiphany. – Ujawnia się mniej więcej tak samo, ale rozprzestrzenia się dziesięć razy szybciej, a objawy choroby, którą wywołuje, są dziesięciokrotnie silniejsze.

Anna upiła mały łyk kawy z mlekiem – wciąż była bardzo gorąca – i pokiwała głową.

– Nie reaguje na żaden ze zwykłych środków przeciwwirusowych. Próbowалам oseltamiviru i zanamiviru, ale bezskutecznie. Namnaża się jak napalone króliki.

– Słucham? – Epiphany pokręciła głową z niedowierzaniem. – Napalone króliki?

– Chyba rozumiesz, co mam na myśli. Króliki na speedzie. Króliki na Viagrze. Króliki mnożące się jak króliki. Jestem zbyt zmęczona, żeby logicznie mówić.

Znowu zamilkła. Nie mogła wymazać z pamięci wizerunku szarego człowieka z brodą stojącego na szpitalnym korytarzu. Wciąż miała przed oczami jego wargi rozciągające się w lubieżnym uśmiechu – jakby ktoś rozcinał mu usta ostrym nożem. Nie miała wątpliwości, że ten człowiek coś do niej powiedział, i żałowała, że nie potrafi czytać z ruchu warg, ponieważ w wyobraźni wciąż widziała te poruszające się usta.

Upiła kolejny łyk kawy, po czym założyła na nos i usta maseczkę chirurgiczną i usiadła przed mikroskopem. Kiedy ustawiła ostrość, zobaczyła wiriony wirusa z Meramac School. Próbką została pobrana od pięcioletniego chłopca, który teraz w stanie krytycznym leżał w szpitalu. Ujrzała skupiska wybarwionych na zielono obiektów wyglądających jak kolczaste kulki.

Miała właśnie rozpocząć konstruowanie serii obrazów w trzech wymiarach, kiedy zadzwonił jej telefon komórkowy.

– Anna? – usłyszała nerwowy głos. Dzwonił Jim Waso, jej szef. – Jak idzie z próbkami z Meramac?

– Bardzo powoli – odparła. – Według mnie to jest prawie na pewno odmiana H5N1, tyle że bardzo złożona. Wykazuje wysoką odporność na wszystkie środki przeciwwirusowe, które zastosowałam. Mam jednak pewien plan. Za chwilę spróbuję tyraniviru. Mam nadzieję, że pomoże poznać prawdziwy charakter wirusa. Rozumiesz?

– Jasne – odparł Jim Waso. – Mam dla ciebie przykrą wiadomość. Przed pięcioma minutami odebrałem telefon z Children Hospital. Mniej więcej pół godziny temu zmarła sześciolatka dziewczynka, Deborah-Jane Crusoe. Niewydolność oddechowa. No i jeden z pięcioletnich chłopców jest w tak złym stanie, że lekarze wątpią, by miał szansę przetrwać najbliższą noc.

– Robię, co mogę, Jim, uwierz mi. Wkrótce dołączą do mnie doktor Ahmet i doktor Kelly, to będzie duże wsparcie. Z Centrum Kontroli Chorób właśnie otrzymałam najnowsze dane o mutacjach H5N1. Chcę się skupić zwłaszcza na tych, które pochodzą z serii zachorowań, do których doszło w zeszłym miesiącu w San Bernardino.

– Anno... Nie muszę ci mówić, że sytuacja jest krytyczna. Za dwadzieścia minut mam konferencję prasową i chciałbym koniecznie powiedzieć dziennikarzom coś pozytywnego. Po pierwsze, chodzi o naszą reputację, a po drugie, nie możemy dopuścić do tego, żeby w mieście wybuchła panika.

– Już ci powiedziałam, Jim, robię wszystko, co w mojej mocy. A przy okazji, zanim się rozłączysz, powinienes wiedzieć, że jakieś dziesięć minut temu widziałam na korytarzu pacjenta w strasznym stanie. Miał drgawki i masywny krwotok z ust. Wiesz coś na ten temat?

– Hmm... nie. Nikt mi nic o tym nie mówił. Ale poproszę Gerdę, żeby to sprawdziła, jeśli chcesz. Masz jakieś szczególne powody, żeby interesować się tym pacjentem?

– Właściwie nie. Tyle że występujące u niego objawy były bardzo dziwne. Znasz mnie. Interesują mnie objawy, które odbiegają od normy.

– Nie obraż się, ale to jest już jakiś objaw sam w sobie, moja czujna pani profesor. Przez chwilę milczeli, zanim się rozłączyli. Chociaż Jim Waso zawsze zwracał się

do niej dość ostro, Anna już kilka miesięcy temu zorientowała się, że uważa ją za atrakcyjną kobietę. Zapewne właśnie dlatego był wobec niej taki oschły, żeby nie zdradzić swojego zainteresowania nią. Ona też by się nim pewnie zainteresowała, gdyby w jej życiu nie było Davida.

Usłyszała odgłosy kroków na korytarzu i po chwili dotarł do niej śpiew kobiety, niemiłosiernie fałszującej melodię piosenki Rihanny:

– You're beautiful, like diamonds in the sky...

Wszystko wskazywało na to, że ekipa sprzątająca już rozpoczęła pracę. Anna ponownie naciągnęła maseczkę, gotowa powrócić do mikroskopu, ale w tej samej chwili kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Popatrzyła w stronę drzwi i ujrzała w okienku twarz mężczyzny z siwą brodą. Mężczyzna natychmiast znikł.

Podeszła do drzwi i otworzyła je. Na korytarzu pracowały dwie sprzątaczk. Jedna zmywała ze ścian ostatnie plamy krwi, a druga czyściła podłogę mopem. W powietrzu unosił się silny zapach środka chemicznego.

Anna rozejrzała się po korytarzu, jednak po mężczyźnie z siwą brodą nie było śladu. Być może to wyobraźnia splątała jej figła. Jeśli nie, facet musiał bardzo szybko uciec.

– Czy któraś z pań widziała przed chwilą jakiegoś mężczyznę? – zapytała sprzątaczk. – Siwy, w szarym płaszczu, z brodą...

– Przykro mi, ale nikogo tutaj nie było. Shirelle, widziałaś kogoś?

– Ani żywej duszy, słodziutka. Ale wciąż czekam na nowe okulary. W tych nie widzę już zbyt dobrze.

Anna powoli zamknęła drzwi do laboratorium. Kiedy wróciła na stanowisko pracy, znowu odezwał się telefon. Tym razem dzwonił Bernie Fishman, zastępca ordynatora oddziału chirurgii. Mówił głębokim barytonem; można było odnieść wrażenie, że za chwilę zacznie śpiewać jakąś arię.

– Anna? Tu Bernie Fishman. Wiem, że masz pełne ręce roboty z tą epidemią w Meramac, jednak chciałbym, żebyś na chwilę przyszła do sali operacyjnej. Dowiedziałem się od Jima, że interesuje cię jeden z naszych nowo przyjętych pacjentów.

– Masz na myśli tego faceta, który wymiotował krwią?

– Właśnie.

– Co z nim? Udało ci się opanować drgawki? A krwotok?

– Facet nie przetrzymał, Anno. Umarł dziesięć minut temu. Chciałbym jednak, żebyś na niego zerknęła. Prawdę mówiąc, bardzo mi zależy na twojej opinii.

– Jestem zarobiona po uszy, Bernie!

– Wiem. Ale wystarczy pięć minut. Powinnaś go zobaczyć. Ten człowiek nie żyje, kiedy się jednak na niego patrzy, można odnieść wrażenie, że diabeł wciąż w nim tańczy.

## ROZDZIAŁ 2

Bernie Fishman czekał na nią przed windą na drugim piętrze, na oddziale ratunkowym. Nie tylko mówił barytonem; także wyglądał jak poważny śpiewak operowy. Miał okrągłą twarz z podwójnym podbródkiem i łysinę otoczoną wiankiem czarnych włosów. Miał szeroką pierś, ale za to krótkie nogi. Chodził majestatycznie, jakby przemierzał scenę w La Scali.

– Anno – powitał ją. – Jak się masz, ślicznotko? Nie widziałem cię ze sto lat.

– Widziałeś mnie w ostatnią środę, Bernie. Przy okazji imprezy charytatywnej Stroke Network. Postawiłeś mi szampana.

– Ach, tak! Ale tam były takie tłumy. Nie mogliśmy porozmawiać tęte-ń-tęte.

– Bernie, twoja tęte znajduje się przynajmniej piętnaście centymetrów poniżej mojej tęte. Nigdy nie porozmawiamy.

– Boże, jaka ty jesteś dla mnie okrutna.

Przeszli korytarzem do sal operacyjnych oddziału ratunkowego. Bernie pchnął drzwi do sali pooperacyjnej numer 3 i powiedział:

– Oto i nasz delikwent.

Pośrodku pomieszczenia stał wózek przykryty bladozielonym prześcieradłem. Drzwi zamknęły się i natychmiast zapanowała absolutna cisza. W powietrzu unosił się słaby odór środków dezynfekujących i cynamonu, przypominający trochę zapach zwietrzałego kadzidła. Bernie podszedł do szafy po lewej stronie i podał Annie maskę.

– Pacjent nazywał się John Patrick Bridges. Sam dotarł na oddział ratunkowy o dziesiątej zero pięć. Narzekał na silny ból głowy i nudności. Gdy siedział w poczekalni, nagle zaczął jęczeć i krzyczeć. Rzucił się na podłogę, z ust poleciała mu piana, a potem dostał krwotoku.

– Widziałam go na korytarzu przed laboratorium – powiedziała Anna. – Jeszcze nigdy nie obserwowałam takich drgawek.

– Masz rację. Nawet wtedy, gdy już został uspijony, musieliśmy go przywiązać do

stołu operacyjnego. Potrzeba było do tego trzech silnych ludzi.

– Co z tym krwotokiem?

– Próbowaliśmy go opanować, ale krwi było tyle, jakby popękały wszystkie naczynia krwionośne w jego przełyku i żołądku. Nie nadążaliśmy z przetaczaniem. Stracił tak dużo krwi, że już nic nie mogliśmy dla niego zrobić. Przeprowadzimy oczywiście pełną sekcję zwłok, pomyślałem jednak, że ten przypadek cię zainteresuje. Miał bardzo wysoką gorączkę. Ostatni pomiar w odbycie wykazał czterdzieści trzy stopnie Celsjusza.

– Facet praktycznie piekł się żywcem.

Bernie przeszedł na drugą stronę wózka i chwycił skraj prześcieradła.

– Jesteś gotowa? – zapytał.

Anna wzruszyła ramionami.

– Nie dowiem się, dopóki nie zobaczę.

Bernie odsłonił twarz martwego mężczyzny. Od razu zrozumiała, dlaczego powiedział, że w tym mężczyźnie wciąż tańczy diabeł. Jego brązowe oczy były wytrzeszczone, a twarz wykrzywiona w straszliwym grymasie przywodziła na myśl średniowiecznego gargulca.

Anna podeszła bliżej i przyjrzała się uważnie zwłokom. Ciemnowłosa mężczyzna miał około trzydziestu pięciu lat. Na starannie utrzymanym, kilkudniowym zarostcie było widać resztki zakrzepłej krwi. Mężczyzna miał dobrze umięśnioną klatkę piersiową. Naturalna opalenizna już zaczynała blednąć, jakby pierwszą część lata spędził na urlopie i od tego czasu rzadko przebywał na świeżym powietrzu.

Anna odsłoniła brzuch. Był wypukły, co mogło być rezultatem nadużywania alkoholu, nie było to jednak wodobrzusze, czyli nagromadzenie płynu w jamie otrzewnej towarzyszące marskości wątroby.

– Z pobieżnych oględzin wynika, że nie ma żadnych obrażeń zewnętrznych, nawet zadrapań – powiedział Bernie.

– Rozumiem – odparła Anna.

Oglądając uważnie zwłoki, co chwilę zerkała ku twarzy zmarłego; nie mogła się powstrzymać.

– Jeszcze nigdy nie widziałam nikogo, kto wyglądałby tak tuż po śmierci – powiedziała w końcu. – Kiedy człowiek umrze, mięśnie wiotczeją, zanim wystąpi stężenie pośmiertne. Jak to możliwe, że jego twarz jest tak powykrzywiana? Co się stało?

– Nie mam pojęcia. – Bernie wzruszył ramionami. – To jest właśnie jeden z powodów, dla których chciałem, żebyś na niego zerknęła. Przychodzi ci na myśl jakaś choroba, która mogłaby spowodować takie napięcie mięśni twarzy po śmierci?

– Cóż, może choroba z Lyme? Wywołuje psychozę i napięcie mięśni. Psychoza wyjaśniałaby ten strach na jego twarzy.

– Tak, ale w wypadku choroby z Lyme zwykle sztywnieją stawy, prawda? Podobnie jak w reumatoidalnym zapaleniu stawów. A u tego pacjenta nie wystąpiły żadne problemy z ruchomością stawów.

Anna przez długą chwilę w milczeniu wpatrywała się w twarz mężczyzny. Jeszcze nigdy nie widziała tak ogromnego przerażenia na twarzy ani u trupa, ani u żywego człowieka.

– Nie – powiedziała. – Moim zdaniem to nie jest choroba z Lyme. Jeśli jednak nie masz nic przeciwko temu, pobiorę próbki krwi, moczu i kału. Co o nim wiemy?

– Według dokumentów, które znaleźliśmy w portfelu, facet pracuje w urzędzie miasta i nadzoruje rozdział subwencji. No... pracował, cholera jasna. Policja właśnie informuje o jego śmierci najbliższych.

– Był żonaty? Samotny? Żył w jakimś związku? Gdzie mieszkał?

– Na serdecznym palcu lewej ręki ma złotą obrączkę, ale czy w dzisiejszych czasach to cokolwiek znaczy? Mieszkał w Maplewood, to całkiem szacowna okolica, ale...

W tym momencie otworzyły się drzwi i na progu stanęła młoda rudowłosa sekretarka.

– Doktor Fishman? Telefon do pana. Dzwoni pańska żona w sprawie filtru do basenu.

– Ach tak. – Bernie jakby nagle sobie o czymś przypomniał. – Przepraszam, Anno, ale muszę się tym zająć.



Gdy Bernie wyszedł, Anna została sam na sam z martwym Johnem Patrickiem Bridgesem. Wyciągnęła z kieszeni telefon komórkowy i wykonała sześć albo siedem fotografii jego twarzy – ze wszystkich stron – po czym ściągnęła prześcieradło aż do kostek i dodatkowo zrobiła kilkanaście zdjęć nagiego ciała.

Popatrzyła na zegarek. Przypadek Bridgesa mocno ją zainteresował, jednak musiała wracać do laboratorium. Przykryła ciało, ale w chwili, gdy miała naciągnąć prześcieradło na twarz mężczyzny, usłyszała łagodny szept:

– Ocal mnie.

Anna zmartwiała. Dreszcz przebiegł jej po plecach, jakby ktoś przeciągnął po kręgosłupie lodowato zimnymi palcami. Popatrzyła uważnie na twarz zmarłego; gotowa była przysiąc, że spojrzenie wylupiastych brązowych oczu jest teraz wlepione w nią, a nie w sufit. Usta wciąż były wygięte, rysy ani trochę nie złagodniały, a jednak była pewna, że w wyrazie jego twarzy widzi coś więcej niż przerażenie. Sprawiał wrażenie, jakby błagał ją, żeby go ocaliła – przed tym, co tak straszliwie go przestraszyło.

– Jestem naprawdę przerażony. Ocal mnie.

Anna powoli się wyprostowała. Nie zakryła twarzy martwego mężczyzny.

– Ocal mnie – usłyszała ponownie. Nie zauważyła, żeby usta Johna Patricka Bridgesa się poruszyły, ale w głębi umysłu nie miała wątpliwości, że jego oczy patrzą wprost na nią. – Zabierz to ode mnie. Ocal mnie.

Nie wiedziała, czy reagować na te słowa czy nie. Bridges był martwy albo przynajmniej został uznany za martwego. Skoro stracił tyle krwi, po prostu musiał być martwy.

Anna, choć wytrącona z równowagi, pomyślała jednak: przecież jestem lekarką. Jeśli jakimś cudem ten mężczyzna jeszcze żyje, muszę podjąć akcję ratunkową, i to natychmiast.

Nie odrywając wzroku od jego twarzy, przycisnęła wskazujący i środkowy palec do tętnicy na jego szyi. Nic. Skóra była zimna, puls niewyczuwalny.

Spróbowała zmierzyć puls na przegubie. Znowu nic.

– Jesteś martwy – powiedziała głośno.

W sali pooperacyjnej było tak cicho, że Annę zaskoczył jej własny głos. Rozejrzała się szybko po pomieszczeniu, jakby się spodziewała, że ostatnie słowa wypowiedział jakiś bruchomówca stojący tuż obok niej.

W tym momencie w drzwiach pojawił się Bernie Fishman.

– Co za niedołęga! Spalił cholerną pompę, a nowa będzie mnie kosztowała sześćset dolarów! – Zatrzymał się, zobaczywszy zaniepokojenie na twarzy Anny, i zapytał zupełnie innym tonem: – Co jest? Co się stało? Wyglądasz, jakbyś właśnie zobaczyła ducha!

Anna się zawahała. Wiedziała, że ktoś, kto nie żyje, nie mógł się do niej odezwać. Musiała to sobie wyobrazić. Była bardzo zmęczona i zdenerwowana. Spała w nocy tylko dwie i pół godziny, a w szpitalu zjawiała się bardzo wcześnie, żeby kontynuować badania wirusa z Meramac.

– Nic, nic – odparła. Po chwili jednak powiedziała: – Popatrz na jego oczy, Bernie.

– Co?

– Popatrz na oczy tego trupa.

Lekarz podszedł do zwłok i spojrzał na nie z uwagą.

– Nie rozumiem – odezwał się po chwili. – Czego chcesz od jego oczu?

– Przedtem patrzył w sufit. A teraz spogląda w moim kierunku.

– On nie żyje, Anno. Prawdopodobnie tężeją więzadła mięśni. Spójrz!

Bernie pomachał dłonią przed twarzą Bridgesa, ten jednak nawet nie mrugnął.

– On jest martwy, Anno. Odszedł od nas i dołączył do el coro invisible.

Anna przez długą chwilę milczała, wreszcie się odezwała:

– Bernie, on do mnie mówił.

Cisza. Chirurg uniósł głowę i potoczył wzrokiem po suficie, jakby usłyszał brzęczącą muchę i chciał się przekonać, gdzie lata.

– Twierdzisz, że mówił do ciebie?

– Jestem pewna, że to nie było złudzenie. To był jedynie szept, ale na pewno powiedział: „Ocal mnie”, a potem jeszcze dodał: „Zabierz to ode mnie”. I jeszcze raz: „Ocal mnie”.

– On nie żyje, Anno. On jest kaput. Ostatnio zdecydowanie za ciężko pracujesz.

– Bernie...

– On naprawdę nie żyje, Anno. Martwi ludzie nie mówią.

– Cóż, pewnie masz rację. Muszę wracać do laboratorium. Jim naciska mnie, żebym jak najszybciej dostarczyła jakieś wyniki.

Bernie przykrył prześcieradłem twarz trupa i podszedł do drzwi.

– Chodź – powiedział do Anny. – Zanim wrócisz do siebie, wypijemy kawę. Chyba naprawdę potrzebujesz chwili oddechu.

Usiedli w szpitalnej kantine przy oknie. Rozpościerał się przez nie widok na wybrukowany dziedziniec z drzewkami w dużych kamiennych donicach, a gdyby wysoko unieść głowy, można by zobaczyć prostokąt błękitnego nieba, na którym unosiły się postrzępione białe chmury. Anna zdała sobie sprawę, że już prawie od tygodnia nie była w dzień na świeżym powietrzu. Wychodziła do pracy, kiedy na dworze jeszcze panował mrok, i wracała do domu, gdy już było ciemno. Przez ostatnie trzy dni David przebywał w Chicago na konferencji biznesowej, nie miała więc motywacji, żeby kończyć pracę przed wieczorem. W konsekwencji kiepsko się odżywiała; na lunch zamawiała sałatki na wynos, a późno w nocy zamawiała pizzę z dostawą do domu.

Właściwie nie miała ochoty na kolejną kawę, ale towarzystwo Berniego zawsze poprawiało jej nastrój. Poza tym wiedziała, że on ma rację – potrzebowała kilku minut na zebranie się w sobie i uporządkowanie myśli. Bezustannie powtarzała Epiphany, żeby ta nie poddawała się stresowi, a tymczasem sama nie tylko nie stosowała się do własnej rady, lecz pracowała też ponad siły, w ogromnym napięciu. Ani przez chwilę nie potrafiła zapomnieć, że kiedy ona odpoczywa, jakiś zmutowany wirus rozprzestrzenia się bezkarnie po mieście, wywołując choroby i zabijając wielu ludzi. W trakcie swojej kariery zawodowej Anna prawdopodobnie uratowała już przed śmiercią dziesiątki tysięcy istnień ludzkich. Jej największym sukcesem było wynalezienie sposobu zwalczania wysoce zjadliwego wirusa, który ostatniej wiosny spowodował śmierć ponad dwustu ludzi w Indianie i Illinois. Prasa nazwała go skalpującym wirusem, ponieważ między innymi powodował łysienie i sączące rany na skórze głowy. Po dwóch miesiącach drobiazgowych badań Anna wyizolowała wirusa i

opracowała bardzo skuteczną szczepionkę.

Mimo dotychczasowych osiągnięć nawet nie przychodziło jej do głowy, że mogłaby już trochę sobie odpuścić. Ale kiedyś przecież musiała odpoczywać, a podczas gdy ona spała, wirusy zmieniały się, przystosowywały do nowych warunków i uczyły się odporności na środki przeciwwirusowe. Stanowiły mroczną armię bez serc, niewidoczną gołym okiem i nigdy niezasypiającą.

– Pamiętasz Billy’ego Kobera? – zapytał Bernie. Wsypał do cappuccino cztery paczuski cukru i energicznie zamieszał. – Oczywiście, że go pamiętasz. Utalentowany, nawet natchniony, niemal geniusz, ale mocno szurnięty. Wiesz, co zrobił, kiedy od nas odszedł?

– Zdaje się, że pojechał do Indii, prawda?

– Tak. Prowadził tam badania nad neurotoksynami występującymi w uprawach nawożonych środkami chemicznymi. Chciał wiedzieć, jak wpływają na zdrowie miejscowej ludności. Napisał na ten temat artykuł do „Journal of Medical Toxicology”, cholera jasna.

– No i co z nim?

– Cóż, rząd Indii się wściekł, kiedy Bill ujawnił, że z powodu zanieczyszczeń przemysłowych umierają setki dzieci. Anulowano mu wizę i dano do zrozumienia, że ma czym prędzej spierdalać z Indii. Możesz mi wierzyć albo nie, ale wyjechał na Haiti, a tam z kolei odkrył, że zombi naprawdę istnieją.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że ten mężczyzna z sali pooperacyjnej to zombi?

– Nie, oczywiście, że nie. Wręcz przeciwnie. Kiedy Bill zajął się tak zwanymi dowodami na istnienie zombi, odkrył, że miejscowi mądrzy ludzie posiadają umiejętność wprawiania różnych osobników w trans podobny do śmierci, podając im kombinację tetrodotoksyn, TTX, oraz bielunia.

– Tak, słyszałam o tym.

– Bill jednak przetestował te środki i dowiódł, że jest to absolutnie niemożliwe. Jak wiesz, TTX oddziałuje selektywnie na kanały wapniowe w błonach komórek nerwowych, a połączenie tych dwóch środków może spowodować wrażenie, że

człowiek rzeczywiście umarł. Jednak ofiara albo w końcu umiera naprawdę, albo powraca do normalnego funkcjonowania, no, prawie normalnego, bo przez dłuższy czas jest mocno otumaniona. Ale powiedzmy sobie szczerze: ludzie nie łążą po centrach handlowych, by znaleźć tam Bogu ducha winną ofiarę, żeby ją zjeść, ani też nie udają umarłego, żeby potem żądać „ocal mnie”.

– Masz rację – zgodziła się Anna. – Pewnie mi teraz powiesz, że to wszystko moja wyobraźnia i że w gruncie rzeczy potrzebuję odpoczynku.

– Kiedy ostatnio byłaś na urlopie? Na prawdziwych wakacjach?

– Trzy lata temu... Tak, zgadza się, pojechaliśmy do Boise, do rodziców Davida.

– I ty to nazywasz wakacjami? Mieszkanie z cudzymi rodzicami to kara! Pokuta. Więcej radości dałoby ci biczowanie się drutem kolczastym.

Anna dotknęła dłoni Berniego.

– Bernie, gdybyś nie był ode mnie o dwadzieścia lat starszy i piętnaście centymetrów niższy, gdybyś nie był już żonaty, a ja zaręczona, natychmiast bym za ciebie wyszła.

Lekarz zrobił wielce rozżaloną minę, chociaż wiadomo było, że nie ma do nikogo żalu za swój los.

– Mój cholerny pech. Za wcześnie się urodziłem i niedostatecznie urosłem.

– Przyślę Epiphany, by pobrała próbki z ciała nieboszczyka. Dzięki za kawę, Bernie. Naprawdę, bardzo ci dziękuję.

## ROZDZIAŁ 3

Kiedy wreszcie dojechała do domu, było po dwudziestej pierwszej. Zaparkowała srebrną toyotę prius na wielopoziomowym parkingu i przeszła mostkiem dla pieszych do budynku Starej Poczty, gdzie razem z Davidem mieszkała w obszernym lofcie. Otwierając drzwi do mieszkania, usłyszała grzmot. Miała nadzieję, że w nocy popada deszcz i przyniesie trochę ulgi od uciążliwej sierpniowej gorączki.

Loft był duży i nowoczesny. Lśniący dębowy parkiet był gdzieś przykryty czerwono-czarnymi dywanami tkanymi przez Indian Nawaho. Na środku salonu stały naprzeciwko siebie dwie wielkie białe skórzane kanapy, a pomiędzy nimi ustawiony był niewielki stolik ze szklanym blatem. Na stoliku można było dostrzec ceramiczną rzeźbę wyobrażającą tańczącego arlekina, obok której spoczywały równo ułożone egzemplarze „Architectural Digest”. Ściany zdobiły trzy duże akty Lindy LeKinff oraz jasny, minimalistyczny krajobraz namalowany przez Erica Bodtkera.

Davida nie było w domu. Anna była tym zaskoczona i rozczarowana. Konferencja zakończyła się poprzedniego wieczoru finałową prezentacją i uroczystym bankietem i powinien był wrócić do domu najpóźniej dzisiaj przed zmrokiem. Anna trzy razy dzwoniła do niego ze szpitala, jednak za każdym razem telefon był wyłączony, zakładała więc, że David znajduje się w samolocie. Wybrała jego numer, ale telefon nadal był wyłączony.

– Gdzie jesteś? – spytała, gdy włączyła się poczta głosowa. – Jeżeli znalazłeś sobie jakieś inne damskie towarzystwo, to przynajmniej bądź przyzwoity i mnie o tym poinformuj.

Przeszła do sypialni, kopniakami posłała buty pod ścianę, po czym usiadła na łóżku. Zdjęła bluzkę i obcisłe džinsy. Następnie włożyła brzoskwiniowy jedwabny szlafrok i wróciła do kuchni. Z lodówki wyciągnęła butelkę wina. Potem otworzyła zamrażalnik i przez chwilę stała przed nim z zamkniętymi oczyma, napawając się płynącym z niego chłodem i rozmyślając, czy zjeść pizzę z mozzarellą czy nie. W końcu postanowiła poczekać z kolacją na powrót Davida. Była zbyt zmęczona, by

czuć głód.

Usiadła po turecku na jednej z kanap i włączyła telewizor. Patrząc nieuważnie na talk-show Ellen DeGeneres, rozmyślała o martwym Johnie Patricku Bridgesie. Nie potrafiła przestać o nim myśleć, choć bardzo tego chciała.

Czy to możliwe, by umysł martwego człowieka wysyłał jakieś telepatyczne przesłanie? Jeżeli człowiekowi przed śmiercią towarzyszyły bardzo silne emocje, to może w jego mózgu po śmierci pozostają ładunki elektryczne, które wrażliwa osoba byłaby w stanie odebrać? Założenie było bardzo interesujące. Gdyby takie zjawisko występowało naprawdę, ofiary morderstw mogłyby wyjawiać nazwiska swoich morderców.

W ostatnich chwilach życia John Patrick Bridges był przerażony, to nie uległo wątpliwości. W uszach Anny wciąż rozbrzmiewał jego krzyk: „Zabierzcie to ode mnie! Zabierzcie to ode mnie!”. Czego Bridges tak desperacko chciał się pozbyć? Według Berniego Fishmana badanie zwłok wykazało, że nie miał on żadnych obrażeń zewnętrznych, nie został postrzelony, nie miał ran kłutych ani tłuczonych. Może coś połknął – jakiś żrący płyn albo pokruszone szkło?

Rozmyślając o tym, zaczęła sobie przypominać urwane zdania dotyczące drgawek.

„Pacjent jest przekonany, że do jego ciała zamierza wniknąć inna postać i przejąć nad nim władanie – to dlatego jego drgawki są tak gwałtowne”.

Była zła na siebie, że nie może sobie przypomnieć, gdzie czytała lub słyszała te słowa.

„Nie jest to atak drgawek w powszechnym znaczeniu tego słowa. Pacjenci nagle stają się uczestnikami dramatycznej walki na śmierć i życie, której stawką jest zachowanie swojej tożsamości i pozostanie we własnym ciele”.

Anna włączyła laptop i wpisała w wyszukiwarkę Google te kilka zdań, dokładnie tak, jak je pamiętała. W odpowiedzi pojawiły się jedynie tytuły powieści fantasy oraz informacja o jakiejś indonezyjskiej filozofii zwanej Penyewa Yang Tidak Diinginkan (dosłownie: niechciani lokatorzy). Według tej teorii bezdomne duchy bezustannie krążą po ziemi i poszukują ciał, w których mogłyby zamieszkać, żeby znów doświadczać ziemskich przyjemności, takich jak jedzenie, picie i seks.

Znowu zadzwoniła na komórkę Davida. Wciąż była wyłączona. Minęła już dwudziesta trzecia, telefonowanie do jego biura nie miało więc sensu. Anna zaczęła się denerwować. Zwykle to David zameczał ją telefonami, tak że czasem była nawet zadowolona, kiedy mogła odpocząć od jego głosu.

Nalała sobie kieliszek wina, upiła duży łyk i poszła do łazienki, żeby wziąć prysznic. Telefon komórkowy położyła na półce nad umywalką, by móc po niego sięgnąć, gdyby David zadzwonił. Telefon jednak uparcie milczał. Kiedy wyszła spod prysznicza, rozczesała mokre włosy do tyłu, po męsku. Stała naga przed lustrem. Jestem trochę za chuda, pomyślała, patrząc na widoczne pod skórą żebra i drobne piersi. Wiedziała, że zbyt ciężko pracuje i nie ma czasu o siebie zadbać. Jaki sens ma pobyt na tym świecie, jeśli nie potrafi osiągnąć niczego istotnego? Jej ojciec tak mawiał.

Wróciła do salonu owinięta grubym białym ręcznikiem. Nagle drzwi się otworzyły i do mieszkania wszedł David, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach.

– David! Co się stało? Wydzwaniałam do ciebie przez cały dzień, ale miałeś wyłączoną komórkę!

David patrzył na Annę, jakby nie do końca rozumiał, kim ona jest i co robi w tym mieszkaniu.

– Sam nie wiem – odparł. – Rano nie czułem się najlepiej i odpuściłem sobie pierwszy samolot.

– Kochanie, wyglądasz strasznie! Co ci jest?

Podeszła do niego i przyłożyła dłoń do jego policzka. Był od niej kilka centymetrów wyższy, miał szerokie ramiona, kręcone brązowe włosy opadające na kołnierz i szeroką irlandzką twarz. Anna uważała, że jest to przystojna, trochę figlarna twarz. Teraz jednak David był nieuczczony, nieogolony, a jego niebieskie oczy były przekrwione.

Zazwyczaj bardzo dbał o swój ubiór, ale teraz spod wygniecionej lnianej marynarki wystawał rąbek koszuli, a sznurowadła jego butów były niezawiazane. Kołysał się, jakby był pijany, jednak nie zalatywało od niego alkoholem. Czuć było jednak słodki zapach, jakby niedawno palił haszysz.



– Wejdz i usiądź – powiedziała Anna. Podprowadziła Davida do kanapy, po czym wróciła i zamknęła drzwi wejściowe. – Jak się czujesz? Masz gorączkę? Nudności? Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?

– Chyba zapomniałem. Przepraszam.

– Zapomniałeś? Jak mogłeś zapomnieć o telefonie do mnie?

– Nie wiem, Anno, naprawdę. Kiedy obudziłem się dzisiaj rano, nawet nie pamiętałem, jak się nazywam. Przypomniałem sobie tylko dlatego, że Charlie Bowdre przyszedł do mojego pokoju zapytać, dlaczego nie wstałem na śniadanie. Powiedziałem mu, że jestem chory i zamierzam jak najszybciej lecieć do domu, ale potem znowu zasnąłem i obudziła mnie dopiero pokojówka, która przysłała przygotować pokój dla następnych gości. Chyba wszyscy pomyśleli, że poleciałem wcześniejszym samolotem.

– Powinieneś był do mnie zadzwonić. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Nie wiem, Anno. Mam trudności z najprostszym myśleniem. Nasz adres przypomniałem sobie dlatego, że jest zapisany na przywieszce do walizki.

Anna położyła dłoń na jego czole.

– Masz gorączkę. Rozbierz się, a ja przygotuję ci chłodną kąpiel.

– Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak źle. Nie wiem, co się, do diabła, ze mną dzieje. W jednej chwili jest mi tak gorąco, że się pocę jak świnia, a już w następnej robi mi się tak zimno, że nie mogę zapanować nad dreszczami.

– Po prostu złapałeś jakąś chorobę. Twój organizm walczy z zakażeniem. Przy podwyższonej temperaturze sprawniej działają mechanizmy obronne. Przyniosę termometr.

Anna poszła do łazienki i zaczęła napełniać do wanny zimną wodę. Następnie wzięła z apteczki termometr i wróciła do salonu, by umieścić go pod językiem Davida. Kiedy to zrobiła, usiadła obok niego i wzięła go za rękę.

– Choroba chorobą, ale jak minęła konferencja? – zapytała go. – Coś z niej wynikło czy znów tradycyjne wodolejstwo?

Z termometrem w ustach David mógł jedynie skinąć głową.

– A ja wciąż staram się przyskrzynić wirusa z Meramac Primary School –

kontynuowała Anna. – Chyba jestem już bliska zidentyfikowania go, wkrótce będę wiedziała, co sprawia, że się tak szybko namnaża. Próbowałam już chyba wszystkich środków antywirusowych. Nada.

– Mmmhhmmm... – mruknął David.

Anna wyciągnęła termometr.

– No i co, co tam widzisz? – zapytał David. – Aha, już groźnie zmarszczyłaś czoło. Ile życia mi pozostało?

– Masz trzydzieści siedem dziewięć. Temperatura jest lekko podwyższona, ale do śmierci jeszcze daleko.

– Co za ulga!

– Nie ciesz się za szybko. Wiele zależy od tego, jak długo taka temperatura się utrzyma. Jeśli przez półtora dnia nie spadnie, wezwę doktora DuFraya. Mimo wszystko chłodna kąpiel dobrze ci zrobi. Powinieneś też dużo pić i odpoczywać. Dam ci ibuprofen. Powinien ci pomóc. Chcesz coś zjeść?

– Jestem głodny jak wilk, ale wydaje mi się, że niczego nie przełknę.

– Dobrze, może później coś zjesz. Na razie zdejmij z siebie to śmierdzące ubranie, a ja przyniosę ci szklankę wody.

– Anno.

– Co?

– Kocham cię, Anno. Boże, czuję się okropnie.

– Rozbieraj się. Kąpiel jest niemal gotowa.

W nocy obudził ją szept Davida. Jego głos był tak cichy, że w pierwszej chwili Anna miała wrażenie, że słyszy szelest wiatru za oknem. Usiadła na łóżku i zaczęła nasłuchiwać. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że David mówi do siebie.

– David! – odezwała się. – Dobrze się czujesz?

David wciąż szeptał. Anna nie rozumiała ani jednego słowa, lecz wydawało jej się, że przez cały czas powtarza to samo zdanie.

– David?

Wciąż nie odpowiadał. Wyciągnęła rękę w jego kierunku. Leżał tyłem do niej, mocno owinięty prześcieradłem, tak że natrafiła dłonią tylko na jego kręcone włosy.

Były mokre od potu, prześcieradło też było wilgotne. Bez wątplenia miał wysoką temperaturę.

Potrząsnęła go za ramię.

– David, obudź się! David!

W ich sypialni nigdy nie było zupełnie ciemno, bo chociaż lekkie zasłony z naturalnej bawełny nie pozwalały zaglądać do niej mieszkańcom sąsiednich budynków, to tylko nieznacznie tłumiły blask ulicznych lamp. Jednak gdy David nie zareagował, Anna włączyła nocną lampkę.

Uklękła na łóżku i spróbowała położyć go na wznak, ale wszystkie mięśnie miał zbyt napięte, a ciało było bardzo ciężkie. Przyszło jej do głowy, że David specjalnie się opiera i po prostu udaje, że śpi.

– David! Kochanie, posłuchaj. Nadal masz gorączkę. Muszę cię ochłodzić, bo to bardzo niebezpieczne.

Nagle przestał szeptać, ale kiedy znowu spróbowała go przewrócić, nie dał się ruszyć.

– David, proszę cię, musisz mi pomóc, bo jestem za słaba! Będę musiała wezwać karetkę, jeśli mi nie pomożesz.

Po chwili David znowu coś powiedział, ale wycie syreny wozu strażackiego na skrzyżowaniu z Washington Avenue zagłuszyło jego słowa.

– Co mówisz? Nie słyszałam.

– Nie mogę z tym dłużej walczyć, Anno. Nie mam dość siły.

– Co? O co ci chodzi, kochanie? Z kim nie możesz walczyć?

– Już dłużej nie mogę z tym walczyć, nie mogę... – mówił David. Jego głos był teraz głośniejszy i chrapliwy. – Już nie mogę. Nie mogę.

Nastąpiła kolejna długa chwila ciszy. Anna czekała z dłonią na jego ramieniu, w nadziei, że powie coś jeszcze, ale on milczał. Nagle zaczął się trząść; drgawki narastały z każdą chwilą. Anna postanowiła nie zwlekać dłużej i zadzwonić po karetkę.

Wzięła telefon z nocnego stolika i już miała wystukać na klawiaturze 911, gdy David odwrócił się w jej kierunku. Tak ją to zaskoczyło, że upuściła aparat na łóżko i

zerwała się na równe nogi. Mężczyzna miał wytrzeszczone oczy, a jego twarz była zupełnie zniekształcona. Przypominał Johna Patricka Bridgesa, tyle że David żył i wciąż próbował zmagać się z tym, co zaatakowało jego ciało.

– Anno – wyszeptał. – Anno, nie mogę.

Chwyciła telefon i wybrała numer alarmowy.

Niespodziewanie David usiadł i krzyknął:

– Na miłość boską, Anno! To jest we mnie!

– Dziewięćset jedenaście – usłyszała. – Słucham.

Już miała odpowiedzieć, gdy David nagle zwymiotował. Łóżko zalała ciepła krew. Mężczyzna padł na wznak i znów zaczął się trząść. Charczał i rzęził, a z jego ust sączyła się strużka krwi.

– Potrzebuję karetki i to szybko! Jestem w łofcie przy OPOP, numer trzydzieści siedem – wyrecytowała Anna do telefonu.

Rzuciła telefon i spróbowała przytrzymać Davida, przydusić go do łóżka, żeby nie zrobił sobie krzywdy. David utkwiał w niej wzrok, a twarz miał czerwoną z wysiłku – przypominała przerażające oblicze demona ze średniowiecznego malowidła.

– Nie mogę – wystękał z wysiłkiem, plując krwią. – Nie mogę.

Ratownicy medyczni przybyli po mniej więcej dziesięciu minutach. Anna otworzyła im drzwi w bawełnianej koszulce i w figach, cała umazana krwią, nawet włosy miała nią pozlepiane.

– Cholera jasna – mruknął pierwszy z ratowników, kiedy wszedł do sypialni.

– Nic mi nie jest – głos Anny wciąż drżał. – Chodzi o mojego chłopaka, leży tam, na łóżku. Miał krwotok. Nie żyje.

## ROZDZIAŁ 4

Karetka zabrała ciało. Anna poszła do łazienki, żeby się umyć. Była zrozpaczona, bo wiedziała, że splukuje z siebie ostatnie ślady Davida. Myślała o tych porankach, kiedy po wspaniałym seksie wychodziła do pracy, nie biorąc prysznic, bo przez cały dzień chciała czuć na sobie jego zapach.

Kiedy zobaczyła swoje odbicie w lustrze, ogarnęło ją zdziwienie, że wygląda tak samo jak zawsze. Przecież właśnie ziemia się osunęła pod jej stopami, a jej brązowe oczy nie zdradzały żadnych śladów tragedii, której dopiero co była świadkiem.

– David nie żyje – powiedziała do swojego odbicia, jednak ono nie zareagowało. We własnych oczach widziała pustkę.

Zakrwawioną koszulkę i majtki wrzuciła do umywalki. Po krótkim prysznicu poszła do sypialni, by się ubrać. Szybko wybrała prostą białą bluzkę oraz długą wąską spódnicę, którą kupiła na pogrzeb babci w październiku ubiegłego roku. Zatelefonowała po taksówkę, ponieważ nie była pewna, czy zdoła sama prowadzić samochód. Nie chciała narażać na niebezpieczeństwo ani siebie, ani nikogo innego.

W drodze do szpitala taksówkarz co chwilę zerkał na Annę we wstecznym lusterku. W pewnej chwili zapytał:

– Przepraszam, że pytam, ale czy spotkało panią coś przykrego?

– Można tak powiedzieć.

– Hej, jeśli mam się zamknąć, proszę mi powiedzieć.

Był środek nocy. Padał deszcz. Światła reflektorów odbijały się od mokrego asfaltu na pustych ulicach.

– Nie, w porządku – powiedziała Anna. – Może pan mówić, jeśli pan chce. Słowa niczego nie zmieniają.

– Ja też tak uważam – stwierdził taksówkarz. – Cokolwiek się powie lub zrobi, to i tak nie zmieni tego, co już się stało.

Kiedy dotarli do szpitala, Anna poszła prosto do kostnicy. Na pustym korytarzu jej

kroki dźwięczały głośnym echem. Ciało Davida już tutaj przywieziono i leżało na wózku w kącie pomieszczenia, przykryte zielonym prześcieradłem. W kostnicy było chłodno i mrocznie. Na środku stał stół sekcyjny ze stali nierdzewnej. Przy zwłokach Davida kręcił się młody lekarz o azjatyckich rysach. Właśnie wypełniał formularze, w których notował dokładną godzinę dostarczenia zwłok i ich stan. Musiał też podpisać oświadczenie, że w chwili przyjęcia pacjent nie żył. Anatomopatolog, który rozpoczynał pracę trochę później, miał podjąć decyzję o wykonaniu sekcji zwłok.

– Profesor Grey, prawda? – odezwał się lekarz, który wyglądał najwyżej na dwudziestopięciolatka. – Mogę pani w czymś pomóc?

– Przyjechałam, ponieważ to jest mój partner. – Anna, starała się mówić mocnym głosem. – To był mój partner – poprawiła się.

– Chce pani powiedzieć, że... – mruknął doktor, wskazując na zwłoki czubkiem długopisu. – Och, tak mi przykro, pani profesor. Naprawdę. Proszę przyjąć moje kondolencje.

– Zmarł nagle. To się zdarzyło mniej więcej dwie godziny temu. Muszę pobrać kilka próbek z jego ciała.

Młody lekarz popatrzył na Annę z powątpiewaniem.

– Och... Nie jestem pewien, czy procedury na to zezwalają, pani profesor. Jeśli mielibyśmy się trzymać przepisów, jako pierwszy powinien go zbadać doktor Lim.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Ale doktora Lima jeszcze nie ma i nie wiadomo, kiedy przyjdzie, a ja muszę mieć te próbki jak najszybciej.

– Chodzi nie tylko o niego, pani profesor. Jeżeli łączą panią ze zmarłym jakieś związki osobiste, nie powinna pani uczestniczyć w badaniu jego szczątków. Mogłaby pani wpływać na ustalenia doktora Lima dotyczące możliwych przyczyn zgonu, no i musielibyśmy wołać kornera. Nie chcę pani niczego utrudniać, broń Boże. Zakładam jednak, że zna pani procedury.

– Oczywiście, że je znam. Jednak to jest drugi taki przypadek, z jakim mamy do czynienia w ciągu ostatnich dwunastu godzin. Te dwa przypadki są tak podobne, że mogą się łączyć. Boję się, że to może być początek czegoś naprawdę strasznego. Im szybciej to sprawdzę, tym lepiej dla nas wszystkich.

Lekarz pokręcił głową.

– Przepraszam, pani profesor, ale naprawdę nie mogę pozwolić pani na pobranie żadnych próbek. Jeśli zgodzi się na to doktor Lim, to oczywiście nie będzie żadnego problemu. Bez jego pozwolenia to nie jest możliwe.

– Chodzi mi tylko o krew i mocz. Przecież to nic takiego.

– Przykro mi.

– Dobrze, rozumiem. Mam nadzieję, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że na chwilę przy nim usiądę?

– Oczywiście, że nie. Proszę. – Lekarz przyniósł niebieskie plastikowe krzesło, które stało pod ścianą, i ustawił je przy zwłokach. – Ale nalegam, żeby pani nie dotykała zwłok ani w żaden inny sposób nie wpływała na ich stan.

– Mógłby pan? – zapytała Anna, gestem wskazując, że chce, aby lekarz ściągnął prześcieradło z twarzy Davida.

– Oczywiście.

Lekarz spełnił jej prośbę. Usta i policzki Davida były pokryte zaschniętą krwią, jednak inaczej niż u Bridgesa jego oczy były zamknięte, a na twarzy malował się spokój. Anna wpatrywała się w nią przez długą chwilę. Dałaby wiele, żeby móc zetrzeć krew z ust Davida i pocałować go, choć wiedziała, że jego wargi są już zimne.

– Mogę jedynie wyrazić współczucie z powodu pani straty – odezwał się lekarz niepewnym głosem.

Anna popatrzyła na niego i skinęła głową, nie potrafiła jednak odwdzińczyć się nawet najśłabszym uśmiechem. Ból, jaki odczuwała na widok martwego Davida, był tak ogromny, że niemal nie mogła oddychać.

Z oddali rozległo się stłumione wycie karetki i po kilku sekundach zabrzączał pager lekarza.

– Muszę iść. Może pani tutaj zostać tak długo, jak tylko zechce. Doktor Lim powinien przyjść o siódmej trzydzieści, a może nawet wcześniej. Lubi rozpoczynać pracę wcześniej.

Lekarz wyszedł i drzwi zamknęły się za nim z cichym sykiem. Anna jeszcze przez chwilę stała, aż wreszcie usiadła i ukryła twarz w dłoniach. Czuła kompletną pustkę.

Dotychczas widziała śmierć wielu ludzi, jednak teraz wszystko było inaczej. Wtedy to nie dotyczyło jej bezpośrednio i miała dość siły, żeby wyrażać współczucie i kondolencje rodzinom zmarłych. Teraz, gdy odeszła najbliższa jej osoba, nie potrafiła pocieszyć samej siebie. Nie potrafiła nawet się rozpląkać, chociaż wiedziała, że łzy w końcu popłyną z jej oczu i że przepłacze jeszcze wiele godzin.

– Anno – usłyszała szept.

Powoli odsunęła dłonie od twarzy i uniosła głowę. W kostnicy panowała absolutna cisza.

Tylko nie to, pomyślała. Tym razem to z całą pewnością wyłącznie moja wyobraźnia. Nie byłam przy śmierci Bridgesa, ale David umarł w moich ramionach. Przy mnie wydał ostatnie tchnienie. On nie żyje, a martwi ludzie nie mówią.

Czekała. Nagle ożyły urządzenia schładzające powietrze w kostnicy i zaczęły działać z cichym pomrukiem; najprawdopodobniej obecność Anny nieznacznie podniosła temperaturę w pomieszczeniu. Nie potrafiła podjąć decyzji, czy zostać jeszcze trochę, czy od razu wyjść. A jeśli David nie umarł? Albo umarł, a mimo to próbuje się z nią skontaktować? Wiedziała, że to bzdura, w tej chwili jednak była tak zdenerwowana, że uwierzyłaby we wszystko – nawet w to, że David przemawia do niej z miejsca, które zwykle nazywa się „zaświatami”.

– Anno – wyszeptał głos. – Anno, pomóż mi.

Wstała. Kiedy spojrzała na Davida, kolana ugięły się pod nią. Zobaczyła przed oczyma białe plamy, które zwiastowały, że zaraz zemdleje. Głowa ukochanego wciąż leżała w tej samej pozycji, oblepiona zaschniętą krwią, jednak jego oczy były otwarte i patrzyły na Annę.

Nadludzkim wysiłkiem opanowała się i podeszła bliżej. Oczy Davida śledziły każdy jej ruch.

– Anno, nie opuszczaj mnie. Proszę, pomóż mi. Wydostań mnie stąd.

Tym razem głos był wyraźniejszy, bardziej natarczywy. I bez wątpienia należał do Davida. Rozpoznałaby go nawet na końcu świata.

– Ty żyjesz? Davidzie, ty wciąż żyjesz?

Nie odpowiedział, tylko wpatrywał się w nią. Wyraz jego twarzy zaczął się



zmieniać. Usta się otworzyły, jakby miał zamiar krzyknąć, oczy wyszły z orbit.

– Wydostań to ze mnie!

Anna zaczęła się cała trząść. Wiedza medyczna podpowiadała jej, że powinna sprawdzić oznaki życia Davida; przede wszystkim zmierzyć puls. Z góry jednak wiedziała, jaki będzie rezultat tego badania. Nie oddychał, akcja serca już dawno ustała. Według wszelkich kryteriów medycznych David był martwy.

Wiedziała, że nie powinna się bać, bo przecież to był jej David. Nadal wyglądał jak jej ukochany, najlepszy przyjaciel i mężczyzna, z którym przeżyła ostatnie trzy lata. Być może jednak w martwym ciele Davida tkwiło coś, co powinna z niego wydobyć. A to napawało ją przerażeniem. Jeśli David tak bardzo się tego bał, to musiało być coś nieopisanie potwornego.

– Davidzie – powiedziała Anna głosem tak cichym, że sama z trudem go usłyszała. Odchrząknęła i powtórzyła głośniejszym głosem: – Davidzie, co się dzieje? Czy ty nic nie rozumiesz? Straciłam cię, Davidzie. Odszedłeś.

– Anno... to tak bardzo boli... proszę cię... nie mogę... nie mogę... Dłużej tego nie wytrzymam!

Po tych słowach ciało Davida skręciło się w konwulsjach. Po chwili jego ręce zaczęły z ogromną siłą uderzać w wózek. Metalowa konstrukcja drżała i Anna z przerażeniem pomyślała, że zwłoki za chwilę spadną na posadzkę.

Chwyciła Davida za nadgarstki i przycisnęła je mocno do plastikowego materaca. Niemal położyła się na zwłokach, by unieruchomić ciało własnym ciężarem, choć sama ważyła niewiele, zaledwie pięćdziesiąt cztery kilogramy.

Trwało to długą chwilę, aż wreszcie drgawki zaczęły ustępować. Ciało jeszcze kilkakrotnie podskoczyło, ale w końcu znieruchomiło. Anna uniosła głowę i popatrzyła na twarz zmarłego, niemal brązową od zakrzepłej krwi. Oczy miał wciąż otwarte, usta zastygły w niemym krzyku, jednak w jego ciele nie było już żadnej oznaki życia, nawet życia po śmierci.

Puściła nadgarstki Davida i wyprostowała się. Serce waliło jej w piersi tak mocno, że aż sprawiało jej ból. Nie była pewna, czy powinna teraz pójść po dyżurnego lekarza. Nie chciała, aby ją oskarżono, że wykonuje przy zwłokach jakieś

niedozwolone czynności, bo wtedy nie miałyby już żadnych szans na pobranie próbek. Poza tym, skoro ona sama nie wiedziała, co się dzieje, to na pewno nie wiedziałaby tego również lekarz dyżurny.

Oczywiście twarz Davida wyglądała teraz inaczej niż wtedy, kiedy go przywieziono do kostnicy. Anna miała nadzieję, że nikt tego nie zauważy. A anatomopatolog, który będzie przeprowadzał sekcję, nie widział jeszcze ciała, więc nie ma możliwości, aby się zorientował, jak bardzo się zmieniło.

Anna zakryła twarz zmarłego prześcieradłem i powiedziała cicho:

– Niech Bóg ma cię w opiece, Davidzie, mój kochany.

A przecież wcale nie była pewna, że mężczyzna, który przed nią leży, to David. Owszem, było to jego ciało, ale dusza? W kostnicy zrobiło się jeszcze zimniej i nagle poczuła przemożną chęć, żeby jak najszybciej opuścić to miejsce.

W połowie drogi do drzwi znowu usłyszała głos:

– Anno!

Nie był to głos Davida. Był skrzekliwy, starczy i zarazem władczy. Anna zamarła. Z jednej strony chciała się dowiedzieć, co głos ma jej do powiedzenia, z drugiej – była w tej chwili bliska paniki.

Czytała w Biblii o żywych ludziach, których ustami przemawiał szatan. Nie słyszała jednak, by zmarli potrafili mówić.

– Anno – głos wołał ją dalej, jakby chciał ją zmusić, by go słuchała.

Przypomniał jej trochę głos pana Burroughsa, starego nauczyciela fizyki ze szkoły urszulanek. Kiedy dorastała, to właśnie on rozumiał ją najlepiej ze wszystkich ludzi, lepiej niż jej ojciec. Jednak w ponagląjącym tonie brzmiała również groźba. Ten głos przerażał, tak jak przerażałby wąż pełznący w jej kierunku.

– Nie próbuj się wtrącać, Anno. Zbliża się koniec i nikt go już nie powstrzyma, a już na pewno nie ty.

– Kim jesteś? – zapytała, chociaż strach ścisnął ją za gardło.

Odpowiedziała jej cisza. Anna podeszła ponownie do wózka, na którym spoczywało ciało Davida, i zsunęła prześcieradło z jego głowy. Przez dłuższą chwilę stała bez ruchu, z trudem łapiąc powietrze.

Już miała odejść, gdy nagle z ust Davida wysunął się blady, niebieskoszary język. Zaczął się przesuwać po wargach, zlizując z nich zaschniętą krew. Potem schował się z powrotem w ustach.

Anna przeżegnała się. Już dawno temu przestała chodzić do kościoła, teraz jednak czuła, że to, co widziała, pochodzi prosto z piekła. Nie miała pojęcia, jak się przed tym bronić.

## ROZDZIAŁ 5

Nie ma znaczenia, jak cholernie uznanym jesteś jasnowidzem, i tak nigdy nie zobaczysz swojej tak zwanej przyszłości, jeżeli nie pojawi się ona na progu twojego domu z pudełkiem spleśniałych cukierków w dłoni i z głupim uśmiechem na twarzy. Gdyby jasnowidze z bożej łaski naprawdę mogli przewidywać przyszłość, żaden z nich nigdy nie wybiegłby na ulicę przed nadjeżdżający autobus, żaden nie zaraziłby się HIV od przygodnie poderwanego chłopaka, żaden też nie dałby się uwięzić za kulisami w płonącym teatrze, w połowie przedstawienia, które miało być jego wielkim powrotem do zawodu – tak jak pewien słynny francuski jasnowidz, którego nazwisko akurat wyleciało mi z pamięci (a zatem nie mógł być aż taki sławny).

Mimo wszystko powinienem był jednak przewidzieć, jakie będą konsekwencje mojego seansu spirytystycznego ze starą panią Ratzenberger, biorąc pod uwagę to, że miała ona początki choroby Alzheimera i była niezmiernie bogata. Pewnego dnia napiszę książkę o moich doświadczeniach spirytystycznych w Miami i zatytułuję ją Bogata i zramolała.

W każdym razie pewnego dnia siedzieliśmy na werandzie należącego do pani Ratzenberger domu ze szkła i stali nierdzewnej, stojącego przy East Star Island Drive. Krótka informacja dla tych, którzy nie znają zbyt dobrze Miami: Star Island jest to usypany przez ludzi ład w kształcie rombu, położony na zachód od Miami Beach, w Biscayne Bay, na który można wjechać wyłącznie wąską groblą. Jeśli ktoś chciałby kupić tutaj dom, powinien przeznaczyć na ten cel co najmniej siedem i pół miliona dolarów. Posiadłość pani Ratzenberger wyceniana była na dziewięć milionów, a do jej sąsiadów w różnych okresach należeli Gloria Estefan, Don Johnson i nadęty Sean Coombs, czy jak on się tam dzisiaj nazywa...

Można by pomyśleć, że życie było dla Rosy Ratzenberger niekończącym się rajem. Siedzieliśmy więc sobie spokojnie na tarasie jej domu, w cieniu purpurowej bugenwilli, a wokół nas skrzyły się wody zatoki. Piliśmy szampana z białymi truskawkami. Nikt by nie powiedział, że pani Ratzenberger liczy sobie już

osiemdziesiąt trzy lata, ponieważ jej popielatoblond włosy upięte były w absolutnie doskonały kok, a jej twarz była gładka i lśniąca jak wenecka maska karnawałowa. Gospodyni ubrana była w jedwabne brzoskwińowe spodnie i sandały, a szkarłatne paznokcie u rąk i nóg były perfekcyjnie wypolerowane. Diamentowe, szmaragdowe i rubinowe pierścionki, które lśniły na jej palcach, wystarczyłyby, aby otworzyć sklep jubilerski, a jeśli nie sklep, to przynajmniej koncesjonowany punkt sprzedaży najdroższych na świecie kastetów.

Jej wiek zdradzała tylko cienka jak papier skóra na dłoniach i dekolcie, który wyglądał jak papierowa torebka do pieczenia kurczaków po prawie trzech godzinach w piekarniku. No i jeszcze fakt, że była już naprawdę lekko zbzikowana.

Pani Ratzenberger znajdowała się aktualnie w stanie wielkiego poruszenia. Była bowiem przekonana, że jej mąż Frank ma romans z Celią Briscoe, kobietą, która zajmowała się cateringiem w Ocean Palms Golf Club, czyli w miejscu, gdzie Frank spędzał większość czasu po przejściu na emeryturę; wcześniej, przez całe życie zawodowe, wypiekał bajgle w Queens. Celia Briscoe miała podobno czterdzieści dwa lata, czyli była o połowę młodsza od Franka. Była też naturalną blondynką, miała śnieżnobiałe zęby i wspaniałą, jędrną pupę, którą kusząco kręciła, przechodząc pomiędzy stolikami w klubowej restauracji. Pani Ratzenberger mówiła o niej zazdrośnie „siksa” i chociażby z tego powodu miałem straszną ochotę poznać Celię Briscoe osobiście.

– Ma pani jakiś dowód, że Frank i ta Celia Briscoe ze sobą kręcą? – zapytałem panią Ratzenberger. – Sprawdzała pani ostatnio jego telefon? Może były w nim jakieś obciążające wiadomości?

Nie odpowiedziała mi natychmiast, za to uważnie obserwowwała, jak układam na dębowym stole okrąg z piętnastu kart, a potem dodaję jeszcze pięć kart w poprzek. Tego popołudnia korzystałem z talii kart wykonanej w XVIII wieku we Francji, którą kupiłem przed wielu laty w Parlor Sybil, sklepie z artykułami magicznymi w Greenwich Village. Jej nazwę można było przetłumaczyć jako „Przepowiednia Sybilli”.

– On się już mną w ogóle nie interesuje – powiedziała w końcu pani Ratzenberger

i machnęła ręką. – Wraca do domu z klubu golfowego o siódmej albo ósmej, po czym siada przed telewizorem i ogląda durne programy kulinarne, dopóki nie zmorzy go sen. Prawie się nie odzywa, nawet nie pyta, jak minął mi dzień. W poniedziałek w Muzeum Żydowskim wydano lunch na moją cześć, w podziękowaniu za te wszystkie pieniądze, które im przekazywałam przez wiele lat. Ale czy Franka w ogóle to obeszło?

– Nie wiem, pani Ratzenberger – przyznałam. – A obeszło?

Wyciągnęła rękę nad stolikiem i dźgnęła mnie w przedramię ostrym paznokciem.

– Kiedy mu opowiedziałam o tym lunchu i o dyplomie honorowym, który otrzymałam, Frank zawołał: „Och! Dali ci dyplom? A co dostałaś do jedzenia?”. Zanim zdołałam odpowiedzieć, ciągnął: „Niech zgadnę. Rosół z kurczaka i indyka! Rosół z kurczaka i indyka, który jest bez smaku! W Muzeum Żydowskim zawsze podają rosół z kurczaka i indyka, który nie ma żadnego smaku. Nie smakuje kurczakiem. Nie smakuje indykiem. Ten rosół nie ma nawet smaku wody!” – Wyrzuciła w górę ramiona. – No właśnie! Taki jest teraz Frank! Narzeka na rosół, a przecież nawet go tam nie było!

– Aha – mruknęłam. – Może jednak zacznę odwracać karty i zobaczę, co niesie pani przyszłość, pani R?

Byłem u niej już od godziny, a za kolejne dwie godziny byłem umówiony na seans wróżbiarski w James Hotel. Problem ze starymi kobietami polegał na tym, że niespecjalnie je interesowało to, co karty miały im do powiedzenia. Po prostu potrzebowały towarzystwa na popołudnie, a taki facet jak ja, lekko podniszczony, lecz jeszcze w miarę przystojny stary drań, całkiem im pasował. Bogaci ludzie mają pieniądze, ale wraz z bogactwem rośnie ich samotność. Są bardziej samotni niż inni ludzie. Czarna karta kredytowa American Express może posłużyć do kupienia prawie wszystkiego, ale nie można nią kupić miłości.

– W łóżku jest tak samo – kontynuowała pani Ratzenberger. – Frankowi już nie staje. Od trzech lat ani razu mu przy mnie nie stanął! Moim zdaniem całą energię traci na tę sikse! A powinienes zobaczyć Marty’ego! Wystarczy, że dotknę go jednym palcem, i co mam?

– Nie wiem. Co pani ma? I kto to jest Marty?

– Marty to mój masażysta. A właściwie osobisty trener. Przychodzi do mnie trzy razy w tygodniu i utrzymuje mnie w dobrej kondycji. Owszem, mam osiemdziesiąt trzy lata, ale to przecież nie znaczy, że nie mogę zachowywać zdrowej sylwetki! Popatrz tylko na Jane Fondę! Jest przecież o osiem lat młodsza ode mnie, a ja mam od niej znacznie mniej pomarszczoną szyję.

– Ale Marty?

– Och, Marty! Jemu to staje! O tak! – Pani Ratzenberger próbowała zademonstrować erekcję Marty’ego.

Jakoś nie potrafiłem sobie wmówić, że pani Ratzenberger jest szczególnie rozżłoszczona na Franka za jego domniemane cudzołóstwo z siksą, podczas gdy sama zabawiła się z Martym. Poza tym odnosiłem wrażenie, że biednemu staremu Frankowi nie staje już przy żadnej kobiecie, nieważne jakiego jest wieku, wyznania i jak bardzo jędrną ma pupę.

Chcąc wreszcie zmienić temat, odwróciłem pierwszą kartę. Była to dziewiątka kier – Surprise, Zaskoczenie. Przedstawiała kobietę z brązowymi włosami w długim czerwonym fartuchu stojącą z wyrazem niedowierzania na twarzy przed pustą klatką dla ptaków.

– No i proszę! – zawołałem. – Zaskoczenie. To jest jedna z najlepszych kart w talii.

(Uwierzcie mi, to prawda. Ta karta zawsze oznacza szczęście. Chyba nie myślicie poważnie, że Niesamowity Erskine mógłby mówić swoim naiwnym i zamożnym klientom coś innego niż prawdę?)

– Ta karta oznacza, że spotka panią coś bardzo, bardzo satysfakcjonującego i sympatycznego, pani Ratzenberger, i będzie to wielkim zaskoczeniem. A cóż dzisiaj może panią zaskoczyć bardziej niż pewien sztywny fragment...

– Chyba nie chce pan powiedzieć... – Pani Ratzenberger próbowała zmarszczyć czoło, lecz botoks jej to uniemożliwił, tak że zdziwienie było tylko słyszalne w jej głosie.

– Mówię tylko to, co czytam z kart. Proszę też pamiętać, że zanim je rozłożyłem,

sama je pani przekładała.

Popołudnie było bardzo ciepłe. Nawet łagodna bryza znad Biscayne Bay nie przynosiła ulgi i zaczynałem się już cholernie pocić w czarnej dżelabie, długiej do kostek, chociaż już dawno odrzuciłem na plecy spiczasty kaptur. Kupiłem ją za trzydzieści siedem dolarów w sklepie internetowym, ponieważ pochodziła z Maroka i rzekomo miała zapewniać chłód i wygodę w gorące letnie dni. Moja aktualna dziewczyna, Sandy, doszyła do niej srebrne gwiazdki, żebym naprawdę wyglądał na jasnowidza. W rzeczywistości czułem się bardziej jak Myszka Miki w Uczniu czarnoksiężnika.

– Ale nawet jeśli Frankowi stanie – powiedziała pani Ratzenberger z powątpiewaniem – co będzie potem?

– Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało niegrzecznie, ale wyobrażam sobie, że odbędziecie stosunek. A właśnie o to pani chodzi, prawda?

– Ale to przecież niczego nie zmieni. On nadal całe dni będzie spędzał w klubie golfowym, a po powrocie do domu i tak nie raczy się do mnie odzywać.

– To trudno przewidzieć. Może kiedy odzyska siłę, powróci jego zainteresowanie panią? Może zdarzy się tak, że będziecie się kochać każdego wieczoru? A poza tym – ciągnąłem – przecież to jest dopiero pierwsza karta. Przed nami jest ich jeszcze dziewiętnaście i kto wie, co przepowiedzą?

– Będę z tobą szczerą, Harry. Właściwie to miałam nadzieję na rozwód. Frank i ja nie spisywaliśmy intercyzy przedślubnej i mogłabym z łatwością zachować sobie ten dom oraz dwie trzecie jego pieniędzy. Frank wart jest co najmniej czterdzieści trzy miliony.

– A może jednak, zanim zacznie się pani zastanawiać nad rozwodem, zobaczmy, co mają do powiedzenia karty?

– Zgoda. – Pani Ratzenberger pokiwała głową. Ale po chwili, kiedy już miałem odkryć kolejną kartę, zapytała: – Jakie zaskoczenie?

– Słucham?

– Powiedziałeś, że będę zaskoczona. Ty to powiedziałeś czy może mój adwokat? Zdaje się, że rozmawiałam z nim o rozwodzie.



– Pani Ratzenberger, w tej chwili nie składa pani pozwu o rozwód, właśnie przepowiadam pani przyszłość.

Pani Ratzenberger zamruwała i popatrzyła na mnie tak, jakby widziała mnie po raz pierwszy w życiu. Po chwili uśmiechnęła się do mnie na tyle szeroko, na ile pozwoliły jej na to napompowane botoksem wargi.

– Mów dalej, Harry – powiedziała zalotnie. – Jaka jest następna karta?

– Ach... – jęknąłem.

Przez chwilę byłem niemal równie zdezorientowany jak ona. Muszę przyznać, że kiedy po raz pierwszy przyjechałem z Nowego Jorku na Florydę jako niedoświadczony jasnowidz i zacząłem przepowiadać przyszłość w Miami, objawy demencji starczej moich klientek wprawiały mnie w zakłopotanie. Pewnego razu odwiedziłem starszą kobietę w Surfside. Po dwóch godzinach przepowiadania jej przyszłości opuściłem wreszcie jej dom, lecz wkrótce się zorientowałem, że zostawiłem u niej telefon komórkowy. Kiedy wróciłem do jej domu, żeby go odzyskać, powitała mnie w progu słowami: „Zapraszam, niech pan wejdzie, panie Erskine! Już się nie mogę doczekać, kiedy przepowie mi pan przyszłość!”. Uczyniłem to więc po raz drugi, ale kobieta przynajmniej po raz drugi mi zapłaciła.

Odwróciłem drugą kartę. Przedstawiała mężczyznę w zniszczonym żółtym fraku; siedział na fotelu z uszakami i sprawiał wrażenie bardzo chorego. Stała przy nim młoda kobieta z talerzem zupy, on jednak wyglądał, jakby w ogóle nie miał na nią ochoty. Maladie, Choroba, ósemka pik. Ostatnio ta karta się pojawiła, kiedy stawiałem karty pani Złotoryńskiej, która dwa tygodnie później zmarła z powodu zakrzepicy żył.

– Cóż, to chyba nie wygląda zbyt ciekawie – powiedziała moja klientka. Założyła na nos okulary, których oprawka przypominała obudowę tylnych świateł starego cadillaca, i popatrzyła uważnie na kartę. – Chyba to nie oznacza, że zachoruję, co? Ostatnio miałam niejakie problemy z oddychaniem. Moi lekarze mówią, że to wynik stresu, bo za dużo myślę o sobie, cokolwiek to znaczy, ale kto by tam wierzył lekarzom.

– Nie, nie zachoruje pani. Proszę spojrzeć, ten chory na karcie to mężczyzna. Zachoruje zatem jakiś mężczyzna z pani otoczenia, może będzie to nawet coś

poważnego... Kiedy odwrócę więcej kart, będę mógł też powiedzieć coś więcej.

– Może to Frank złapie chorobę weneryczną? Albo dostanie zawału? Tak, to by było najprostsze! Zawał załatwiłby sprawę szybko, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. No i dzieciom łatwiej byłoby to przyjąć.

Odwróciłem kolejną kartę, obdarzając panią Ratzenberger najszerszym uśmiechem, jaki potrafiłem przywołać na usta. Chciałem sprawić wrażenie, że jestem absolutnym optymistą w kwestii jej przyszłości, ponieważ tego właśnie oczekują ode mnie wszyscy klienci. Nikt nie chce słuchać o tym, że najdalej za piętnaście lat krewni i znajomi zbiorą się na jego pogrzebie, a jego ostatnia wola wywoła zażarte kłótnie w rodzinie.

Była to dziewiątka pik, jednak w mojej przepowiedni zaczęło się dziać coś dziwnego. W tej talii dziewiątka pik oznacza Mort – Śmierć – i prezentuje szkielet z krzywą miną, w brązowym łachmanie, trzymający w jednej ręce klepsydrę, w której piasek przesypał się już do połowy, a w drugiej ręce dzierżący kosę. Tymczasem ta dziewiątka pik była inna. Przedstawiała przerażonego mężczyznę z potarganymi włosami, siedzącego na łóżku. Kołdra była odrzucona, a nogi mężczyzny, pokryte czarnymi łuskami, przypominały stopy wielkiego ptaka. Obok łóżka stał uśmiechnięty mężczyzna z siwą brodą, w długim szarym płaszczu z guzikami zapiętymi od góry do dołu. Podobnie jak śmierć na oryginalnej karcie on także trzymał w jednej ręce klepsydrę, z tym że górna część jego klepsydry była niemal zupełnie pusta. W drugiej ręce nie miał kosy, lecz mocno nadpalony drewniany krzyż, z którego unosił się dym.

Karta była zatytułowana Peste – Plaga.

Wpatrując się w nią, zdałem sobie sprawę, że moja dłoń drży, chociaż bardziej z zaskoczenia niż ze strachu. Policzyłem piki w lewym górnym rogu karty; było ich na pewno dziewięć, a przecież dziewiątka pik powinna być kartą Śmierci, tymczasem ta, w którą się wpatrywałem, nią nie była. Ta karta nosiła nazwę Plaga, a ja, choć posługiwałem się tą talią od dwóch lat, nie widziałem jej. Nigdy.

– No, słucham? – odezwała się pani Ratzenberger. Widać było, że się niecierpliwi. Obróciła się na krześle i skinęła na chińskiego lokaja, żeby przyniósł jeszcze szampana. – I truskawki! – wrzasnęła za nim. Następnie znowu popatrzyła na mnie. –

Co to znaczy? Czy Frank umrze na zakażenie nogi? Co niby symbolizuje ten facet? Może ptasią grypę?

– Nie, nie, nic z tych rzeczy – odparłem i zacząłem szybko improwizować: – Plaga jest symbolem. Oznacza, że ktoś bardzo panią zawiedzie. Będzie to osoba, na której zawsze pani polegała. Nogi oznaczają wsparcie. Wsparcie oznacza wiarę, zaufanie. Przekona się pani, że zaufanie do tej konkretnej osoby było źle skierowane, że ta osoba panią oszukiwała lub w najlepszym wypadku wykorzystywała.

– To ten Morris Dressel – stwierdziła bez wahania pani Ratzenberger. – Zawsze uważałam go za oszusta! Namawiał Franka, żeby zainwestował dwa i pół miliona w Rafę Pogrzebową. Założę się, że ta rafa nigdy nie powstanie! Nigdy nie spocznie pod wodą!

– Rafa Pogrzebowa? Co to takiego? Może ma pani na myśli coś innego?

– Wiem, co mówię. Rafa ma być przeznaczona dla ludzi, którzy odchodzą z tego świata. Wsypuje się prochy zmarłego do betonowej kuli, a kulę wrzuca się w wyznaczonym miejscu do oceanu. Po jakimś czasie z tych kul powstanie rafa dla ryb. Ma to być prezent zmarłego dla świata żywych, funkcjonujący nawet po jego śmierci.

– Ale na rafach żyją kraby i pąkle, a skorupiaki nie są przecież koszerne.

– To samo powiedziałam Frankowi. Ale czy mnie słuchał?

– Cóż, mniejsza z tym. – Chciałem zmienić temat. – W każdym razie ta karta stanowczo radzi pani zachowywać ostrożność w przedsięwzięciach biznesowych, bo jeśli nie będzie pani ostrożna, sparzy się pani.

Jasne... Przyznaję, że opowiadałem jej wierutne kłamstwa z szerokim uśmiechem na ustach, jednak nie miałem zielonego pojęcia, podobnie jak ona, co oznacza Plaga. W tej sytuacji mówiłem pani Ratzenberger po prostu to, co chciała słyszeć.

Przed odwróceniem kolejnej karty zawahałem się. Kiedy w końcu na nią spojrzałem, okazała się dziewiątką kier, zwykle nazywaną Pičges, czyli Pułapki. Przedstawiała kłusownika rozstawiającego sieci do chwytania dzikiego ptactwa. Odetchnąłem z ulgą. Tę kartę przynajmniej dobrze znałem.

– Dojdzie do nieporozumienia pomiędzy panią a Frankiem – oznajmiłem. – Ta karta zawsze oznacza domowe awantury. Posprzeczacie się z powodu czyjejs

niekompetencji.

– Morris Dressel! A nie mówiłam? Straci wszystkie pieniądze Franka! Pokłócimy się, potem Frank będzie miał zawał serca i nigdy już nie odzyskam moich dwóch i pół miliona!

Jest to jedna z tych rzeczy, które lubię w mojej pracy. Przewracam kilka kart i po chwili to klient opowiada mi swoją przyszłość. W końcu to klienci znacznie lepiej ode mnie wiedzą, na co czekają i czego chcą. Cóż, dodam, że przeważnie to lubię, bo tego popołudnia karty narobiły takiego zamieszania, że poczułem się ogłupiały i zagubiony, a także przestraszony.

Następną kartę również widziałem po raz pierwszy. Była to karta zwana Cauchemar, co oznacza Nocny Koszmar. Przedstawiała chudą kobietę w długiej białej koszuli nocnej zmagającą się na łóżku z jakąś bezkształtną istotą przypominającą ośmiornicę, tyle że ta ośmiornica miała – niczym demon – dwoje czerwonych oczu. Obok łóżka stał ten sam mężczyzna z siwą brodą. Jednak na tej karcie w prawej ręce trzymał długi naszyjnik z paciorków, a w lewej kij ozdobiony czerwonymi i czarnymi piórami. Na żółtej tapecie za łóżkiem widniała wielka ciemna plama – być może był to cień kobiety walczącej z demonem. W kształcie tej plamy było jednak coś, co mnie naprawdę zaniepokoiło. Nie wiedziałem dlaczego, ale kształt ten przywodził na myśl coś straszliwego. Coś, co budzi prawdziwe przerażenie. Czułem, że ten Koszmar mi się nie podoba – tym bardziej że nie miałem zielonego pojęcia, co karta próbuje mi powiedzieć.

– No i co? – zapytała pani Ratzenberger.

– Och, tutaj jest wszystko jasne. Zmaga się pani ze swoim sumieniem.

– Sumieniem? Jakim sumieniem?

– Jest pani rozdarta, w tym cały kłopot. Widzi pani rozdarcie tej kobiety w koszuli nocnej? Jej dobra strona zмага się ze złą. Chciałaby pani dać wycisk Frankowi za to, co robi, lecz z drugiej strony jest pani bardzo dobrą, tolerancyjną kobietą.

– Taka jestem? No, tak, ma pan rację.

– Oczywiście, bo przecież rozumie pani, że mężowie owszem, błędzą, ale tylko po to, żeby za chwilę znów docenić piękno i błyskotliwą osobowość kobiety, którą

poślubili. Po czterdziestu latach wierności, sama pani rozumie, nie mają innego sposobu, żeby porównać tę kobietę z jakąś inną i znów w pełni zrozumieć, jakimi są szczęściarzami.

Pani Ratzenberger wydała się dostatecznie zadowolona z takiej interpretacji. Tymczasem ja odwracałem kolejne karty, a każda następna wydawała się dziwniejsza, bardziej ponura i mniej zrozumiała od poprzedniej. Z coraz większym trudem udawało mi się wmawiać pani Ratzenberger, że karty takie jak Katastrofa, Rzeźnia, Zamieszki i Samobójstwo wskazują, że jej przyszłość rysuje się w różowych barwach. Trudno mi było szczególnie z powodu rysunków na kartach, coraz bardziej okrutnych i dziwacznych.

Tuérie – Rzeźnia – przedstawiała ojca siedzącego przy stole w jadalni. W rękach zaciskał nóż do krojenia mięsa i widelec. Uśmiechał się. Oprócz niego przy stole siedziało pięcioro członków rodziny – żona, synowie i córki – a przed nimi stały talerze. Wszyscy byli ubrani jak do świątecznego obiadu, a jednak pozbawieni byli głów. Ich szyje wyglądały jak zakrwawione pieńki, a głowy leżały na talerzach. Na martwych twarzach malowało się niedowierzanie. Głowy były też pozamieniane – na przykład głowa matki leżała na talerzu córki. Drzwi do jadalni stały otworem i można było w nich dostrzec mężczyznę z siwą brodą. Obserwował rodzinę i wyglądał na bardzo zadowolonego.

Z kolei odkryłem kartę Émeute, co oznacza Zamieszki (jeśli czytelnikowi imponuje moja znajomość języka francuskiego, to niepotrzebnie – tłumaczenia znalazłem w Google Translate). Émeute prezentowała wielką zgraję ludzi walczących na ulicy i posługujących się przy tym nożami, mieczami, kijami i rozbitymi butelkami. Ich rany były okropne – jednej z kobiet wypływały wnętrzności, a ona mimo wszystko, dzierżąc w ręce kord, nadal walczyła z jakimś mężczyzną. Pewien chłopiec miał obie nogi ucięte poniżej kolan. Starszy mężczyzna przebity był na wylot żelaznym prętem, młodej kobiecie ktoś przyciskał twarz do rozgrzanego paleniska, a jej włosy płonęły.

Szczęśliwie dla mnie właśnie zjawił się lokaj i pani Ratzenberger, zajęta szampanem, nie zwróciła uwagi na tę straszną rzeź.

Pośpiesznie zakończyłem seans i powiedziałem jej, że w ciągu następnych tygodni przeżyje wiele wspaniałych chwil i w ogóle jej życie stanie się ekscytujące jak nigdy dotąd. Powiedziałem, że jej przyszłość rysuje się nadzwyczaj pomyślnie, że ona jest wspaniałą kobietą i że karty wprost ją uwielbiają. Uwielbiają ją również gwiazdy. Była spod znaku Bliźniąt, a najbliższy miesiąc oznacza korzystną odmianę w życiu wszystkich Bliźniąt.

Celowo jej nie wspomniałem, że ekscytacja w życiu wcale nie musi oznaczać radości. Istnieje coś takiego jak nadmiar ekscytacji. Nie powiedziałem również, że „odmiana w życiu” nie musi oznaczać odmiany na lepsze. Z tego, co jej zaprezentowałem, pani Ratzenberger była zadowolona, i o to mi chodziło. Kiedy zbierałem karty, dopijałem szampana i rzucałem mewom białe truskawki, zniknęła na dłuższą chwilę w domu, a gdy do mnie wróciła, trzymała w rękach ciemnoniebieskie pudełeczko obite aksamitem.

– Masz – powiedziała, wręczając mi pudełeczko. – Frank dał mi to z okazji rocznicy ślubu, chcę jednak, żebyś ty to wziął. Frank to niewierny dupek, ale ty jesteś prawdomównym, uczciwym facetem.

– Nie, nie, pani Ratzenberger – zaprotestowałem. – Nie mogę przyjąć prezentu, który otrzymała pani na rocznicę ślubu. To by nie było w porządku. Poza tym przyjmuję od moich klientów wyłącznie gotówkę. Nie mam w tej chwili konta bankowego, no i nie chcę sobie komplikować życia zmaganiem z natrętnym urzędem podatkowym.

– Harry, przysięgam na Boga, zrobiłeś dla mnie dzisiaj dużo dobrego, znacznie więcej niż Marty tymi swoimi masażami. Proszę cię, weź to. To jest tylko świecidełko, ale jeśli je sprzedasz, dostaniesz za nie znacznie więcej niż czterysta dolarów.

– W rzeczy samej, pani Ratzenberger, w ubiegłym miesiącu podniosłem stawkę do pięciuset. Oczywiście zrobiłem to bardzo niechętnie.

– Jasne, Harry, musisz przecież z czegoś żyć. Ale bardzo cię proszę, weź to. Jeśli nie będziesz chciał sprzedać tego pudełka, możesz je podarować swojej przyjaciółce.

Gadała i gadała, wyciągając pudełeczko w moim kierunku tak długo, aż wreszcie

je od niej wziąłem, mimo że nie miałem na to najmniejszej ochoty.

– Otwórz to – naciskała pani Ratzenberger. Była tak podniecona, że podskakiwała jak mała dziewczynka.

Otworzyłem pudełko. W środku, na kremowym atłasie, leżała diamentowa bransoletka. Była ładna i nieskomplikowana, jak na Ratzenbergerów w zadziwiająco dobrym guście. Wysadzana była jednak tak wielką liczbą prawdziwych diamentów, że nawet nie próbowałem odgadnąć, jaką ma wartość. Nie byłem właścicielem lombardu, ale w jedno nie wątpiłem: bransoletka była warta znacznie więcej niż marne pięć banknotów z wizerunkiem Benjamina.

W pudełeczku znajdowało się nazwisko i adres jubilera: Van Cleef & Arpels, 9870 Collins Avenue, Bal Harbor.

– W żadnym wypadku nie mogę tego przyjąć – powiedziałem. Energicznie zamknąłem pudełko i wyciągnąłem je w stronę kobiety. – Ten prezent jest stanowczo zbyt cenny. Poza tym, co powie Frank, kiedy się dowie, że go pani komuś oddała? Przecież się wścieknie.

– I o to właśnie chodzi – stwierdziła pani Ratzenberger. – Chcę mu pokazać, że ani biżuteria, ani pieniądze nie mają żadnego znaczenia. Nie chcę jego bransolet, pierścionków ani naszyjników. Chcę, żeby znowu był moim mężem. Chcę, żeby ze mną rozmawiał, żeby mi był wierny i żeby mu stawał na mój widok. No, nie za często, to byłoby uciążliwe, ale przynajmniej od czasu do czasu.

– Ale ja nie mogę przyjąć tej bransolety, pani Ratzenberger. Jest warta tyle pieniędzy, że musiałbym przepowiadać pani przyszłość ze sto razy albo i więcej.

Nie dodałem, że pani R. prawdopodobnie zejdzie z tego świata wcześniej, nim przepowiem jej przyszłość po raz trzydziesty szósty, lecz zrozumcie mnie, moi drodzy, w zawodzie jasnowidza dyplomacja jest jedną z najważniejszych umiejętności.

– Musisz ją przyjąć i koniec, Harry – odparła pani Ratzenberger. – Jeśli jej nie weźmiesz, zacznę krzyczeć na cały głos i powiem, że próbowałeś mnie zgwałcić.

Cóż, urodziłem się i wychowałem na Manhattanie, na Lower East Side, i możecie mi wierzyć, że w życiu przynajmniej kilkakrotnie grożono mi śmiercią. Jednak nie

zniosłem przerażającej myśli, że wkrótce będę musiał udowodniać policjantom z Miami/Dade, że nie jestem aż tak popieprzony, by nastawać na cześć osiemdziesięcioletniej staruszki o klatce piersiowej pomarszczonej jak spieczony papier.

– Dobrze, wygrała pani – powiedziałem. – Wezmę ten prezent.

Ale mówiąc to, myślałem: Następnym razem, kiedy tu przyjdę, żeby jej powróżyć z kart, przyniosę pudełeczko i schowam je pod łóżko albo gdziekolwiek. Kiedy pani Ratzenberger je znajdzie, uzna, że po prostu na pewien czas się zawieruszyło. Kobieta pewnie nawet nie będzie pamiętać, że mi je sprezentowała.

W mojej głowie powinien był w tej chwili zabrzmieć ostrzegawczy dzwonek! Nieważne, czy byłem prawdziwym jasnowidzem czy nie, powinienem był go usłyszeć. Kobieta pewnie nawet nie będzie pamiętać, że mi je sprezentowała. Ja jednak z wściekłością skupiłem się na okrutnej myśli, że spędziłem z nią cholerne dwie i pół godziny i nie dostanę za to nawet złamanego centa.

Wstałem, zadarłem dżelabę i wsunąłem pudełeczko do kieszeni dżinsów od Armaniego. Następnie serdecznie panią Ratzenberger uściskałem i wycałowałem jej porcelanowe policzki. Miałem nieprzyjemne uczucie, że pod jedwabnym strojem kryje się szkielet z rodzaju tych, jakie czasami widuje się w pracowniach biologicznych.

Chiński lokaj z nadętą miną sprowadził mnie po schodach do frontowych drzwi. Nie wiem, dlaczego tak bardzo mnie nie lubił. Może patrząc na moją gwiazdzistą dżelabę, przypuszczał, że jestem Voldemortem na wakacjach?

Kiedy przechodziłem przez podjazd, zmierzając po rozgrzanym asfalcie do mojego zielonego mustanga metallic, pani Ratzenberger wychyliła się przez barierkę werandy i zawołała:

– Harry! Zapomniałeś czegoś!

Zatrzymałem się i zerknąłem w jej kierunku. Słońce świeciło mi prosto w twarz, tak że musiałem zmrużyć powieki. Żeby tylko ta baba nie zapomniała, że już jej przepowiedziałem przyszłość, bo będę musiał wrócić i zacząć wszystko od początku, pomyślałem.

– Harry, moja mistyczna maksyma. Zapomniałeś o mojej mistycznej maksymie!



– Och, przepraszam, pani Ratzenberger. Rzeczywiście. – Przez krótką chwilę się zastanawiałem, a potem odkrzyknąłem do niej: – Diament ze skazą jest wart więcej niż idealna maca!

Powtórzyła całe zdanie; nie usłyszałem słów, lecz wyraźnie widziałem, jak porusza ustami. Odnosiłem wrażenie, że przypatruję się złotej rybce, która próbuje wypowiedzieć zobowiązanie, że spełni moje trzy życzenia. Pani Ratzenberger wyrecytowała maksymę chyba ze cztery razy, po czym pokiwała głową.

Pomachałem do niej, wsiadłem do samochodu i wjechałem na East Star Island Drive. Mudcrutch spokojnie grał Scare Easy w radiu samochodowym, a ja nie miałem zielonego pojęcia, w jakie kłopoty się wpakowałem.

## ROZDZIAŁ 6

Kiedy przyjechałem do Miami po raz pierwszy, zakładałem, że zostanę tu nie dłużej niż trzy miesiące. Mój stary przyjaciel, Marcos Hernandez, poprosił mnie, żebym zaopiekował się jego domem w Coral Gables, gdy on tymczasem podróżował po Europie z Joe Morales Mariachi Orchestra. Wyglądało to po prostu jak zaproszenie na długie wakacje. Nie przyszło mi do głowy, że już wkrótce uwiedzie mnie tutejsze słońce, ocean i dziewczęta w skąpych bikini – że już nie wspomnę o kopertach wypchanych banknotami pięćdziesięciodolarowymi, które podstarzałe wdowy z Florydy wpychały mi w zamian za niezbyt wnikliwe spoglądanie w ich bardzo przewidywalną przyszłość.

Nie przyszło mi też do głowy, że nawet przez chwilę nie zatęsknię za niekończącymi się korkami na Manhattanie, za bezustannymi klaksonami, za wyciem syren wozów strażackich ani za tłumami tłoczącymi się na chodnikach, ani za moim loftem na wysokim piętrze bez windy, bezustannie śmierdzącym piżmem, a położonym przy Trzynastej Zachodniej Ulicy. Nie miałem najmniejszej ochoty wracać do leniwych poranków w Think Coffee, do naprawiania świata w towarzystwie niedoszłych artystów, niepublikowanych poetów, rycerzy laptopów ani do dziewczyn o rozmarzonych oczach, w bandanach i z tandetnym makijażem, które nie zdawały sobie sprawy z tego, że bitnicy wymarli pół wieku temu i wciąż miały nadzieję, że w każdej chwili w drzwiach kawiarni może stanąć Allen Ginsberg.

Marcos wkrótce wrócił z tournée, jednak wspaniałomyślnie pozwolił mi pozostać w ślicznym domku gościnnym stojącym na skraju ogrodu. Domek wyglądał tak, jakby kiedyś mieszkała w nim Królowna Śnieżka, tyle że był bardzo mały i pomieściłby co najwyżej trzech spośród jej siedmiu krasnoludków. Miałem w nim jednak sypialnię, salon, prysznic i małą wnękę kuchenną; okna wychodziły na Triangle Park. Poza tym brakowało w nim wygod, kafelki w łazience były byle jakie, ściany jedynie pacnięte pośpiesznie białą farbą, podłogę zaścielały stare meksykańskie dywany, a Marcos i jego kumple przez większość nocy nie dawali mi spać, grając głośno muzykę

huapango, śmiejąc się i waląc buciorami w podłogę. Domek był jednak czysty, stał w ustronnym miejscu i nie musiałem płacić za jego wynajęcie.

Zakończyłem pracę o siedemnastej trzydzieści w James Hotel. Podczas gdy pani Edwards cmokała ze zniecierpliwieniem, wierciła się i ssała sztuczną szczękę, powiedziałem jej, że ma przed sobą świetne perspektywy. Szczerze mówiąc, wiedziałem, że kobieta dosłownie siedzi na portfelu inwestycyjnym wartym ponad trzysta milionów dolarów, skoro więc dysponowała takim majątkiem, trudno było przypuszczać, aby cokolwiek w jej życiu zmieniło się na gorsze. Skończywszy z panią Edwards, powróżyłem jeszcze pani Bachman w Hialeah. Ta z kolei spoczywała na łożu boleści karmiona przez rurkę, z pięcioma kotami perskimi, które bezustannie syczały na mnie, jakbym był Ponurym Rzeźnikiem, który zamierza odebrać im codzienny przydział mięsa.

W obu przypadkach zamiast Przepowiedni Sybilli użyłem kart tarota. Nie chciałem, żeby po raz kolejny pojawiły się przede mną Katastrofa, Plaga albo Rzeźnia, szczególnie że pani Edwards zawsze płaciła podwójną stawkę, a pani Bachman mogła w każdej chwili wyciągnąć kopyta, a przecież nie chciałem odpowiadać przed prawem za wystraszenie jej na śmierć.

Wiedziałem, że kiedy znów wezmę je do ręki, będę się musiał dowiedzieć, czy karty nadal wyglądają tak samo. Jednak w drodze do domu postanowiłem odłożyć trudny moment prawdy i zatrzymać się w John Martin's Irish Pub przy Miracle Mile. Miałem ochotę na półlitrowy kufel guinnessa i lufkę Johnny'ego Walkera na dokładkę. Przyznam się bez bicia, musiałem nabrać irlandzkiej odwagi przez zajrzeniem do talii i podjęciem próby wyjaśnienia, dlaczego jedne z najbardziej optymistycznych kart, służących do przepowiadania przyszłości, nagle zaczęły wyjeżdżać z kwestiami tak przerażającymi i groteskowymi.

Przy swoim stałym stoliku siedziała już moja stara znajoma, Kathleen O'Sullivan, od razu podszedłem więc do niej. W pubie, którego ściany są wyłożone dębową boazerią, zawsze panuje półmrok. Znajduje się w nim długi kontuar barowy, jednak jest tam również kilka całkiem intymnych kącików. Kathleen jak zwykle popijała swojego ulubionego Johnny'ego Walkera z czarną nalepką. Była kobietą po

siedemdziesiątce, o kanciastej twarzy i siwo-rudych włosach, które należałoby już dawno pofarbować na nowo, oraz o długich siekaczach ze szczyrbą pośrodku w górnej szczęce. Ubrana była w ciemnozieloną suknię, a z jej szyi zwisał srebrny krucyfiks. Wyglądała jak irlandzki duszek, o którego istnieniu zapomniał czas.

– Co masz mi do opowiedzenia, Harry? – zapytała mnie, kiedy usiadłem przy stoliku obok niej. – Wyglądasz, jakby cię dopadły najczarniejsze z czarnych myśli, chłopaku.

Doskonale wiedziałem, że Kathleen nie warto okłamywać. Mogłem sobie być Niesamowitym Erskine'em, wziętym jasnowidzem, przepowiadaczem przyszłości, ale Kathleen była wyjątkowa. Nie potrzebowała ani kart, ani kryształowej kuli, żeby powiedzieć, co się będzie działo z człowiekiem we wtorek za dwa tygodnie. Wystarczyło, żeby wyczuła jego aurę. Wystarczyło, żeby go powąchała. Nie pozwoliłbym, aby Kathleen przepowiedziała mi przyszłość, nawet gdyby to ona mi zapłaciła, ponieważ tak naprawdę nigdy nie chciałem znać z góry swojego losu.

– Miałem po prostu pierdolony dzień – odparłem, upijając pierwszy łyk piwa.

– Słowem „pierdolony” określasz dzień, w którym matka natura zachowuje się inaczej, niż się po niej spodziewasz, znając zasady, jakimi powinna się kierować? Dzień, w którym zza pleców wyskakuje ci mały czerwony diabełek i straszy cię tak, że prawie dostajesz sraczki?

– Trafiłaś w sedno. – Skinąłem głową. Po chwili dodałem: – Dlaczego tak dziwnie się na mnie gapisz?

– Bo masz wąsy z piany. – Wyciągnęła rękę i czubkami palców starła mi pianę znad warg. – Dobrze byś wyglądał w takich wąsach. Byłbyś podobny do generała Custera.

– Zdaje się, że mam z generałem Custerem wiele wspólnego. Obaj mieliśmy problemy z Indianami.

– Widzę, że masz jakiś potężny problem – zauważyła Kathleen. – Zobaczyłam to, kiedy tylko stanąłeś w drzwiach.

Popatrzyłem na nią spod przymrużonych powiek. Jej oczy były szarzielone i nie wiem dlaczego, ale bardziej przypominały mi oczy zwierzęcia niż kobiety. To były

oczy wilczycy albo pумы. Pełne zrozumienia dla świata, mądre, ale zarazem bezlitosne. Te oczy zawsze wzbudzały we mnie niepokój. Kathleen nigdy nie bała się mówić prawdy, nieważne jak bardzo była bolesna.

– Dzisiaj po południu wróżyłem pewnej kobiecie i karty okazały się co najmniej dziwaczne – przyznałem.

Jak już wspomniałem, nie było sensu jej oszukiwać. Natychmiast zorientowałyby się, że kłamię.

– Dziwaczne? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Niektóre wyglądały zupełnie inaczej, niż powinny. Na przykład Śmierć, czyli dziewiątka pik. Powinien się na niej znajdować wizerunek śmierci. A jednak dzisiaj zobaczyłem przerażonego faceta, który leżał w łóżku i zamiast nóg miał szpony pokryte rybimi łuskami. Odkryłem jeszcze sześć czy siedem innych kart, których, przysięgam na Boga, nigdy w mojej talii nie widziałem. Ludzie dźgali się na nich sztyletami, podpalali żywym ogniem, a jakaś dziewczyna miała oczy przekłute ogromnymi gwoździami.

Kathleen przez długą chwilę zastanawiała się w milczeniu. Przesuwała paznokciem po blacie stołu, kreśląc na nim jakąś niewidzialną a skomplikowaną figurę. Nie wiem, co to mogło być: koniczyna, gwiazda pięcioramienna? Może była to figura mająca przynieść mi szczęście, a może przywołać diabła?

– Chyba wiesz, co się z tobą dzieje, prawda? – zapytała mnie wreszcie.

– Nie, nie wiem. Nie jestem jasnowidzem. Ale... wiesz, nikomu tego nie powtarzaj.

– To ostrzeżenie. Ktokolwiek ci go udzielił, być może znajduje się jeszcze wśród żywych, ale, co bardziej prawdopodobne, może też być już martwy, ponieważ potrafi dostrzegać rzeczy, których ty nie widzisz. Jednak wszystko wskazuje na to, że ktoś, komu na tobie zależy, próbuje cię ostrzec, że grozi ci wielkie niebezpieczeństwo.

– Przepraszam cię, Kate. Nie zgadzam się z tobą. To raczej nie ostrzeżenie, lecz groźba. Jeśli karty kiedykolwiek powiedziały mi, żebym trzymał gębę na kłódkę i pilnował swoich spraw, bo w przeciwnym wypadku spotka mnie krzywda, to stało się to właśnie dzisiaj.

– Masz te karty przy sobie?

– Tak. Są w samochodzie. Zamknąłem je w skrytce, żeby się przypadkiem nie zamieniły w nietoperze-wampiry albo w coś podobnego i nie odleciały w siną dal.

Kathleen uniosła niewyregulowane brwi.

– Wiesz, co się mówi o książkach, Harry? Książka, dopóki jej nie otworzysz, jest po prostu papierową cegłą. Tak samo jest z kartami. Dopóki nie zaczniesz ich odwracać i czytać, co mają do powiedzenia, są po prostu stertą tektury.

– Według mnie mogłyby na razie nią pozostać. Wciąż nie mogę dojść do siebie. W tej chwili mam jedynie ochotę siedzieć tutaj, pić i zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Spojrzę w te karty, kiedy wrócę do domu. Mam nadzieję, że będą już normalne, takie, jakie powinny być.

– Jeśli chodzi o picie, możesz mi postawić drinka – powiedziała Kathleen. – Sam też możesz wypić jeszcze jednego. Nic nie wskazuje, aby mrok, który cię otacza, miał się przejaśnić. Jest czarny jak smoła, Harry, uwierz mi. Jeśli mam być szczerą, to z każdą minutą jest coraz bardziej czarny i gęsty.

Skinałem na kelnerkę, żeby przyniosła dwa drinki. Następnie pochyliłem się nad stolikiem i powiedziałem:

– Kate, jeśli te karty wieczorem będą wyglądać tak samo, jak wyglądały w południe, spalę je albo wyrzucę do zatoki, całą cholerną talię. Cokolwiek się dzieje, czy ktoś mnie ostrzega, czy mi grozi, nie chcę nic o tym wiedzieć.

Kathleen sięgnęła po moją dłoń i delikatnie ją uściśnęła.

– Nie możesz tego zignorować, Harry. Twoje życie bardzo się teraz zmieni. Kości zostały rzucone. Za późno, żebyś się wycofał.

Uwielbiałem irlandzki akcent, z jakim mówiła, ale nie czułem się przez to ani trochę lepiej. Kusilo mnie, żeby przynieść karty z samochodu i pokazać je Kathleen, czułem jednak, że takie zachowanie byłoby z mojej strony przyznaniem, że naprawdę się ich boję.

Wypiliśmy kolejnego drinka, potem jeszcze jednego i Kathleen opowiedziała mi o Cóiście Bodhar, irlandzkim Powozie Śmierci, który – gdy ktoś ma wkrótce umrzeć – czeka cierpliwie przed jego domem. Raz przybywszy na ziemię, nie może już

powrócić pusty do podziemnego świata. Ta opowieść cholernie poprawiła mi nastrój, możecie mi wierzyć.

Zanim wyszedłem z pubu, Kathleen uścisnęła jeszcze moje ramię i powiedziała:

– Ja nie żartuję, Harry. Naprawdę, chłopaku, tańczą dookoła ciebie mroczne postaci. Nie możesz ich ignorować. Uważaj teraz na każdy krok, oglądaj się za siebie, nie łaź byle gdzie i unikaj wszelkich kłopotów. Nadchodzi coś okropnego, zapewniam cię.

Kiedy wróciłem do domu, nie byłem wcale pijany, jednak udało mi się przewrócić zderzakiem betonową żardinierę w greckim stylu i juka, która w niej rosła, wypadła na trawnik razem z górą ziemi doniczkowej. Lekko się zataczając, obszedłem dom i pokonawszy chwiejnym krokiem podwórze na tyłach, za piątym razem zdołałem wsunąć klucz do zamka mojej gościnnej chatki.

Z przesadną ostrożnością położyłem talię kart na środku stolika w salonie. Następnie poszedłem do sypialni, zdjąłem przepoconą dzelabę i mokasyny od Gucciego i z jękiem rzuciłem się jak długi na łóżko.

Zamknąłem oczy, ale nie zasnąłem. Karty wirowały w mojej głowie niczym jakaś zwariowana karuzela. – Śmierć, Rzeźnia, Zamieszki, Katastrofa.

Pewnie uznacie mnie za cynika, teraz, kiedy już wiecie, że przepowiadam wyssaną z palca przyszłość starym kobietom, kasując za to mnóstwo pieniędzy, ja jednak wierzę w tak zwane „siły nadprzyrodzone”. A właściwie nie wierzę w to, że istnieje punkt, w którym kończy się to, co naturalne, a zaczyna to, co nadprzyrodzone. W całym moim życiu byłem świadkiem wystarczająco wielu niewytłumaczalnych zdarzeń, by wiedzieć, że cała nasza codzienna egzystencja jest zjawiskiem nadprzyrodzonym. To, co nadprzyrodzone, jest w gruncie rzeczy tylko dziwniejszą stroną tego, co uważamy za naturalne. A stopniowanie naturalności zjawisk jest kwestią umowną.

Uważamy za zjawisko „nadprzyrodzone” to, że w ciele człowieka tkwi dusza, która istnieje nawet po tym, jak jego fizyczna powłoka umrze. Zarazem wszyscy obracamy się w próżni z prędkością tysiąca sześciuset kilometrów na godzinę, wirując dookoła własnej osi z prędkością ponad stu siedmiu kilometrów na godzinę, i żaden

klej nie mocuje naszych stóp do gruntu, a przecież uważamy te zjawiska za „naturalne”.

Kiedy ludzie pytają mnie o zjawiska nadprzyrodzone, wskazuję na Księżyc unoszący się nad Ziemią i mówię po prostu: Quod erat demonstrandum. Uważacie, że duch waszej babci ukazujący się w sypialni to coś bardziej niesamowitego od Księżyca, który wisi sobie swobodnie nad Ziemią? Na pewno nie duch mojej babci.

Nawet jeśli duchy naprawdę istnieją, a wierzę, że tak właśnie jest, nie powinniśmy pozwalać, żeby nam groziły lub dyktowały, jak żyć. One miały już kiedyś swoją szansę. Teraz jest nasza kolej, przynajmniej dopóki nie zostaniemy zakopani, skremowani albo zamknięci w betonowej kuli i wrzuceni do Atlantyku w charakterze sztucznej rafy, żeby ryby miały gdzie cudzołożyć.

Muszę jednak przyznać, że talia Przepowiednia Sybilli bardzo mnie zaniepokoiła. Byłem pewien, że karty mi grożą, nie rozumiałem jednak dlaczego, i właśnie z tego powodu byłem taki rozstrojony. Czuję się tak, jakbym odebrał anonimowy telefon i usłyszał szept: „Idziemy po ciebie, przyjacielu”.

Poszedłem do łazienki po alka-seltzer i stwierdziłem, że kartonik jest pusty. Przypomniałem sobie, że ostatnie tabletki zużyłem po ostatnim wieczorze w John Martin's Irish Pub, gdy z moim nowym przyjacielem Gusem rozmawiałem o wyścigach konnych, a potem piłem za zwycięzcę ostatniej gonitwy, zwycięzcę poprzedniej gonitwy, potem za wszystkie konie, które brały udział w tych gonitwach.

Przez długą chwilę przyglądałem się swojemu odbiciu w lustrze. Bywają dni, kiedy człowiek patrzy na siebie i chciałby być kimś innym, chciałby, żeby jego życie potoczyło się zupełnie innym torem. Dlaczego każdy z nas jest przez całe życie uwięziony w tym samym ciele, od narodzin aż do śmierci? Cholera, nigdy się nie dowiem, jak to jest być gwiazdą futbolu, Afroamerykaninem albo kobietą.

Poszedłem do kuchenki, żeby zobaczyć, czy w lodówce mam jeszcze butelkowaną wodę, nie było w niej jednak nic do picia, jeśli nie liczyć trzech butelek coorsa. Cóż, musiałem się zadowolić piwem. Byłem tak odwodniony, że miałem wrażenie, jakbym przez cały wieczór jadł suchy piasek.

Karty ciągle czekały na mnie na stoliku. Widziałem je przez niedomknięte drzwi



kuchni; tkwiły w różowo-czerwonym pudełku, ozdobionym wizerunkiem starej Francuzki w czepku zawiązanym pod brodą i w okularach. Zerwałem kapsel z butelki i pociągnąłem trzy długie łyki piwa. Dopiero wtedy wróciłem do salonu, żeby się zmierzyć z dręczącymi mnie kartami.

Usiadłem na zniszczonej skórzanej sofie i zacząłem intensywnie wpatrywać się w pudełko. Od strony domu Marcosa dotarł do mnie dźwięk gitar, meksykańskie rytmy i odgłosy stepowania. Co jakiś czas muzycy wybuchali głośnym śmiechem.

– No, karty – ostrzegłem je. Moje słowa zaczynały brzmieć głosem Jamesa Cagneya. – Rozłożę was teraz, a wy macie wyglądać normalnie. Nie chcę widzieć Zamieszek, Plagi ani Katastrofy. Jasne?

Wziąłem do ręki pudełko, wytrząsnąłem z niego całą talię i zacząłem układać karty w rzędach po siedem sztuk. Tak rozkładałem je dla klientek, które mniej były zainteresowane odległą przyszłością, ale za to chciały dokładnie wiedzieć, jakie problemy czekają je w najbliższych dniach. Taki układ kart pozwalał na szczegółową przepowiednię. Miałem nadzieję, że w ten sposób uda mi się zrozumieć, co karty chcą mi przekazać.

Pierwsze trzy karty były w porządku. Homme de Loi, Prawnik. Maison de Campagne, Domek na wsi. Perte d'Argent, Utrata pieniędzy. Często je odkrywałem, przepowiadając przyszłość klientkom.

Jednak czwartej karty w ogóle nie znałem. Zobaczyłem na niej bladą, pulchną kobietę biegnącą nago wzdłuż nawy jakiejś katedry, w cierniowej koronie na głowie. Jej ciało było poznaczone szkarłatnymi pręgami, tak jakby ktoś ją biczował, uderzając w piersi, brzuch i uda. Za nią znajdowało się wysokie okno z witrażem. Ciemnopurpurowe szkło układało się w wizerunek diabła z rogami i skrzydłami smoka oraz skośnymi czerwonymi oczami.

Pod witrażem ustawiony był ołtarz, a przed ołtarzem stał mężczyzna z siwą brodą. W jednej ręce trzymał Biblię, a w drugiej kij, z którego zwisały kosmyki włosów. Mężczyzna miał na głowie szary księżowski biret i ubrany był w komżę, która również była szara.

Karta nosiła nazwę L'Hystérie. Zaryzykowałem stwierdzenie, że słowo to znaczy

po prostu Histeria.

W jednej chwili całkowicie wytrzeźwiałem. Wziąłem kartę do ręki i uważnie się jej przyjrzałem. Zasadniczo pod każdym względem pasowała do pozostałych, jeśli nie liczyć tematu. Była zadrukowana równie wyblakłymi kolorami – czerwonym, żółtym i odcieniami niebieskiego – była też podobnie jak inne karty zużyta po wielu latach tasowania i wykładania. A jednak nigdy dotąd jej nie widziałem i nie miałem pojęcia, jak ją interpretować. Histeria? Rany! Pewnie, sam wpadłbym w histerię, gdybym musiał biegać nago po kościele, cały umazany krwią.

Ostrożnie odkryłem kolejną kartę. I znów natrafiłem na dobrze znaną mi kartę z talii Przepowiednia Sybilli – Divertissements, Zabawa – przedstawiającą młodą kobietę w czepku, tańczącą z arlekinem i popijającą szampana. Jednak następną okazała się Ravages – Spustoszenie – przedstawiająca małe płaczące dziecko siedzące na szczycie sterty rozkładających się zwłok, nagich lub okrytych łachmanami. Stado wron wydziobywało trupom oczy i wnętrzności. W oddali widoczna była wysoka góra przykryta czapą śniegu. Z jakiegoś powodu wydała mi się znajoma, chociaż w tej chwili nie wiedziałem dlaczego.

Przejrzałem całą talię, rozkładając karty coraz szybciej i szybciej, aż odkryłem wszystkie pięćdziesiąt dwie – ułożone w siedmiu rzędach po siedem i w jednym trzy. Mniej więcej dwie trzecie spośród nich to były karty, które znałem, na pozostałych widniały sceny rzezi, mordów i samobójstw, a niektóre przedstawiały najbardziej okrutne tortury, jakie tylko można sobie wyobrazić. Pewien mały chłopiec krzyczał wniebogłosy, a trzech wąsatych kucharzy wpychało go, nogami do przodu, do maszynki do mielenia mięsa. Jego matka stała z boku i błagała okrutników, żeby się opamiętali. Jakiś nagi mężczyzna nadziany był przez odbyt na grubą ciernistą gałąź, a przed nim stały dwie dziewczyny roześmiane od ucha do ucha, z dłońmi pełnymi indyjskich piór. Ta karta nazywała się po prostu Cisza. Jedną z najdziwniejszych przedstawiała mężczyznę w długim fartuchu zbryzganym krwią, piłującego w poprzek głowę chłopca, dokładnie przez środek twarzy. Chłopiec tymczasem siedział wyprostowany na krześle kuchennym i uśmiechał się idiotycznie. Tytuł karty brzmiał Les Deux Visages – Dwie twarze.

Kiedy już rozłożyłem wszystkie karty, długo się w nie wpatrywałem. Do diabła, jak to się mogło stać? Może ktoś z moich znajomych zrobił mi ponury żart i podmienił karty pod moją nieobecność? Ale tak naprawdę znałem w Miami niewiele osób i nie przychodził mi do głowy dosłownie nikt, komu chciałoby się poświęcić aż tak dużo czasu, wyobraźni i energii, niewątpliwie potrzebnych do przygotowania tego kretyńskiego dowcipu. Zaprojektowanie i wykonanie nowych kart musiało także sporo kosztować.

Uznałem w końcu, że karty najprawdopodobniej zmieniły się spontanicznie, samodzielnie, bez udziału osób trzecich. Być może oryginalne karty wydrukowano, używając farby, która w pewnych warunkach, na przykład przy określonej wilgotności, zniknęła, ujawniając inny obrazek, zamieszczony pod nią i wydrukowany inną techniką. Ale jeśli to była prawda, to dlaczego tej przemianie nie uległy wszystkie karty i dlaczego nie zdarzyło się to nigdy wcześniej? Miałem tę talię już ponad sześć lat, a wilgotność powietrza w Nowym Jorku latem bywała znacznie wyższa niż w Miami.

Wciąż siedziałem na sofie, od czasu do czasu popijając piwo z butelki i próbując zrozumieć rzecz nie do zrozumienia – skąd wzięły się w talii karty ukazujące wszystkie te okrucieństwa – kiedy z sypialni dobiegł mnie jakiś odgłos. Brzmiał on tak, jakby ktoś opuszczał żaluzję na oknie. Wyprostowałem się i zacząłem nasłuchiwać, jednak do moich uszu dotarły jedynie dźwięki gitar i rytmiczny stukot obcasów.

Odczekałem jeszcze kilka sekund. Nic. Ale kiedy zacząłem zbierać karty ze stolika, jedną po drugiej, znowu usłyszałem trzask, tak jakby ktoś nadepnął na luźną deskę w podłodze.

Odłożyłem karty, wstałem i podszedłem do lekko uchylonych drzwi sypialni. W środku było niemal zupełnie ciemno – żaluzje w oknach były zaciągnięte, a przecież to nie ja je zaciągałem. Zazwyczaj robiłem to dopiero wtedy, gdy szedłem spać, żeby do sypialni nie wpadało światło latarni z Triangle Park. Nie było ono szczególnie jaskrawe, ale prześwitywało pomiędzy drżącymi na wietrze liśćmi, rzucając na sufit dziwne, migoczące cienie. Prawdę mówiąc, mnie to nie przeszkadzało, ale kiedy

Sandy zostawała u mnie na noc, mówiła, że się ich boi, bo przypominają jej koszmarne sny z dzieciństwa.

Znowu usłyszałem szelest i otworzyłem drzwi trochę szerzej.

– Hej! Jest tam kto? – zawołałem.

Policja radzi, żeby nigdy nie ostrzegać intruzów, że ma się przy sobie broń, nawet jeśli naprawdę trzyma się ją w ręce. Jeśli napastnik nie ma do czynienia z osobą uzbrojoną, może natychmiast strzelić.

Czekałem. Cisza. Otworzyłem drzwi jeszcze szerzej i znowu się odezwałem:

– Kimkolwiek jesteś, wyjdź natychmiast! Jeśli niczego nie ukradłeś i nie wyrządziłeś żadnej szkody, będziesz mógł spokojnie odejść!

Żadnej odpowiedzi. Wytężałem słuch i wydawało mi się, że znów usłyszałem szmer, ale Marcos i jego kumple zachowywali się zbyt głośno, bym mógł być pewien...

Prawdopodobnie postąpiłbym najrozsądniej, zamykając drzwi sypialni na klucz i wzywając gliny, lecz klucz znajdował się w drzwiach od środka. Poza tym, skoro intruz dostał się tam przez okno, z powodzeniem mógłby przez to okno uciec. Ale byłem tak zmęczony, rozdrażniony i wstrząśnięty przez te cholerne karty, że nie myślałem logicznie.

Dlatego bez ostrzeżenia kopnąłem drzwi i jednocześnie nacisnąłem włącznik światła przy framudze. Światło się zapaliło, jednak żarówka natychmiast pękła i sypialnia znowu pogrążyła się w ciemności.

Ułamek sekundy wystarczył, bym mógł zobaczyć, kto lub co znalazło się w mojej sypialni. Była to jakaś postać przypominająca zakonnicę w czarnym habicie.

Tkwiałem na progu i czułem, jak cierpnie na mnie skóra. Postać stała na środku ciemnego pomieszczenia, na tle żaluzji widziałem jedynie jej mroczną sylwetkę.

– Kim jesteś? – Chciałem, żeby mój głos zabrzmiał stanowczo, zrobiłem jednak wrażenie, jakbym wypił przynajmniej trzy szklaneczki Johnny’ego Walkera za dużo. – Co, do diabła, robisz w moim domu?

Postać wciąż stała nieruchomo i milczała.

– Czego chcesz? – zapytałem. – Chodzi o pieniądze? O coś innego?

Cisza. Serce biło mi jak szalone. Wciąż byłem wytrącony z równowagi, jednak przynajmniej zacząłem myśleć: cokolwiek ona tutaj robi, jest to tylko zakonnica albo ktoś przebrany za zakonnice. Jest ode mnie o wiele niższa i jeżeli naprawdę jest zakonnice, mało prawdopodobne, żeby miała przy sobie jakąś broń.

– Dobrze – powiedziałem. – Podejdę teraz do łóżka i włączę nocną lampkę. Nie zrobię ci żadnej krzywdy. Nie zadzwonię po policję. Mam zamiar się tylko dowiedzieć, kim jesteś i czego chcesz. Rozumiesz mnie?

Bardzo ostrożnie wszedłem do sypialni i przesuwając się pod ścianą, zacząłem się zbliżać do łóżka. Nie spuszczałem wzroku z zakonnicy; bałem się, że rzuci się do ucieczki albo – co gorsza – zaatakuje mnie. Ona jednak przez cały czas tkwiła w jednym miejscu.

Dotarłem do nocnego stolika, wyciągnąłem rękę, żeby namacać lampę, i niezdarnie przewróciłem ją na łóżko.

– Wszystko w porządku – powiedziałem. – To tylko ja jestem taki niezgrabny.

Postawiłem lampę na stoliku, znalazłem włącznik na sznurku i pociągnąłem za niego. W sypialni zrobiło się jasno, ale zakonnica zniknęła.

Natychmiast skoczyłem do drzwi, przypuszczając, że wybiegła z sypialni, kiedy podnosiłem lampę. Jednak zakonnicy nie było ani w salonie, ani w łazience, ani w kuchni. Drzwi frontowe były zamknięte i zabezpieczone łańcuchem.

Wróciłem do sypialni i podniosłem żaluzje. Środkowe okno było zamknięte, a boczne miały jedynie uchylone lufciki, zatem żaden człowiek na pewno nie mógł się przez nie wydostać. Poza tym musiałyby podnieść żaluzje, a przecież tego nie zrobiła. Nawet gdyby wybiegła na ulicę, zobaczyłbym ją w świetle lamp. Uwagę miałem rozproszoną zaledwie przez moment.

Wróciłem do salonu. Dla pewności otworzyłem dużą sosnową szafę, w której wisały moje ubrania, jednak nikogo w niej nie było. Sprawdziłem kabinę prysznicową w łazience, wsunąłem głowę nawet do toalety. Ani śladu po tajemniczej zjawie.

Otworzyłem drzwi frontowe, wyszedłem na zewnątrz i zacząłem oświetlać latarką ogród. Powietrze było ciepłe i pięknie pachniało. Kumple Marcosa zaczęli się właśnie żegnać. Przy akompaniamencie rubasnych śmiechów jeden po drugim zatrzasnęli

drzwi swoich samochodów. Po zakonnicy nie było śladu.

Uniosłem głowę i popatrzyłem na księżyc. Wisiał sobie swobodnie na wieczornym niebie i patrzył na mnie tak, jakby wiedział coś ważnego, ale nie zamierzał mi tego powiedzieć. Przez chwilę gapiłem się na niego, po czym wróciłem do chaty, zamknąłem drzwi na klucz i dodatkowo zabezpieczyłem je łańcuchem, chociaż bardzo wątpiłem, czy to wystarczy, żeby zatrzymać na zewnątrz kogoś, kto prawdopodobnie potrafi przenikać przez mury.

Zebrałem karty i umieściłem je w pudełku. Wcześniej miałem ochotę je spalić, wyrzucić do zatoki albo zniszczyć w jakiś inny, byle skuteczny sposób. Jednak po namyśle umieściłem je w szufladzie, którą zamknąłem na klucz. Karty mnie przerażały, ale być może to one stanowiły klucz do tego, co się wokół mnie działo. Ponieważ coś się działo, tego byłem pewien. Nie jestem genialnym jasnowidzem, jednak to potrafiłem wyczuć.

Wróciłem do sypialni i wciągnąłem nosem powietrze. Czuję jakiś zapach, zapach czegoś nieokreślonego, co nieuchronnie się zbliżało... Przypominał odór stęchłego cynamonu...

## ROZDZIAŁ 7

Jim Waso zadzwonił z samego rana, kilka minut przed siódmą. Początkowo chciała zignorować telefon, ten dzwonił jednak i dzwonił, aż w końcu dała za wygraną.

– Anna? Powiedzieli mi o Davidzie, kiedy tylko przyszedłem. Bardzo ci współczuję. Naprawdę. Nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć...

– Dzięki, Jim – odparła. – Szczerze mówiąc, jeszcze nie wierzę w to, co się stało.

Siedziała na łóżku z tabletem na kolanach, ubrana w jedną z koszul Davida. Po powrocie z kostnicy już nie zmrużyła oka. Była tak zmęczona, że z trudem odczytywała poszczególne słowa na ekranie. Miała już za sobą telefon do rodziców Davida. Rozmowa trwała ponad godzinę i był to pewnie najtrudniejszy dialog, jaki przyszło jej kiedykolwiek prowadzić. Państwo Russell obiecali jej, że przyjadą z Boise najszybciej, jak to będzie możliwe. Następnie Anna zadzwoniła do swojej matki, ta jednak nie odebrała telefonu i Anna jedynie nagrała jej wiadomość.

Później długo szukała informacji na temat objawów, jakie zaobserwowała u dwóch mężczyzn. Jednak jej wysiłki były bezowocne. Nie natrafiła na żaden raport medyczny, który opisywałby podobny przypadek.

Nie mogła zignorować podobieństw pomiędzy tymi dwoma zgonami, ale były to jedyne takie przypadki na świecie; na inne nie natrafiła. Wiedziała, że jeśli choroba jest bardzo rzadka, Centrum Kontroli Chorób opisuje ją już na podstawie dwóch znanych przypadków. Do tej pory miała jednak za mało informacji, żeby dojść do twardego wniosku, że David i John Patrick Bridges zapadli na tę samą chorobę, a nawet że to ona była przyczyną ich zgonu. Przecież mogli umrzeć z powodu jakiejś ostrej reakcji alergicznej organizmu albo chociażby ciężkiego zatrucia pokarmowego. Może ich zgony nie były ze sobą związane, a podobieństwo objawów było jedynie przypadkowe?

Przeszukiwała także bardziej mroczne strony. Na portalu Czy zmarli mogą z nami rozmawiać? starała się znaleźć informacje o ludziach przemawiających post mortem.

Znów jednak nie odkryła nic, co choćby odrobinę pasowało do jej własnych doświadczeń.

Znalazła mnóstwo relacji pogrążonych w smutku osób, które twierdziły, że słyszały głosy swoich zmarłych bliskich wiele tygodni i miesięcy po ich śmierci. Jednak niemal wszyscy przyznawali, że były to tylko złudzenia powstające w zrozpaczonych umysłach: „Usłyszałam, jak mąż woła mnie z piętra, ale kiedy pobiegłam po schodach, żeby się przekonać, czego chce, nie było tam nikogo”. Nikt jednak nie słyszał głosu zmarłej osoby bezpośrednio po jej śmierci.

Anna zdawała sobie sprawę, że śmierć Davida była dla niej ogromnym szokiem. Zdenerwowana mogła sobie wyobrazić, że słyszy, jak zmarły do niej przemawia. Ale jeśli to prawda, dlaczego nie usłyszała słów, które zazwyczaj do niej mówił, dlaczego nie powiedział, że ją kocha i że po śmierci będzie bardzo za nią tęsknił? Dlaczego przestrzegł ją, żeby nie przeszkadzała i że nadchodzi koniec? Koniec czego? Koniec także jej życia? Koniec ludzkości? Koniec świata?

– Posłuchaj, Anno – powiedział Jim. – Nie przychodź do pracy dziś ani jutro. Weź wolne do końca tygodnia. Doktor Ahmet i Epiphany dokończą badania wirusa z Meramac.

– Nie, Jim, nie ma mowy. Muszę przyjść do pracy. Muszę kontynuować badania. Jeszcze raz przejrzeć dotychczasowe rezultaty. Jestem pewna, że przegapiłam coś oczywistego, coś, co w jednej chwili powinno uderzyć mnie w oczy.

– Anno, właśnie straciłaś chłopaka. Zrób sobie przerwę, na miłość boską!

– A co miałabym robić? Siedzieć w domu i użalać się nad sobą? Jak myślisz, jak będę się czuła, jeśli kolejne dzieci zachorują, a ja nie zrobię nic, żeby im pomóc, bo będę rozpaczała nad swoim losem? Praca pomoże mi pokonać rozpacz, Jim, a tak naprawdę tego mi właśnie teraz potrzeba.

– Anno, jestem twoim przełożonym. Dbanie o podwładnych to jeden z moich obowiązków.

– Chcę też być przy sekcji zwłok Davida. Muszę się dowiedzieć, dlaczego umarł.

– Przecież wiesz, że nie będziesz mogła wziąć w niej udziału.

– Oczywiście. Mogę ją jednak obserwować i przeanalizować wyniki. Mam



nadzieję, że dowiemy się, jaka była przyczyna jego śmierci.

– Cóż, mówię to wbrew sobie, ale dobrze, zgadzam się. Ale pamiętaj: jeśli poczujesz się źle, jeżeli tylko okażesz jakiegokolwiek objawy bólu i przemęczenia, fizycznego czy psychicznego, natychmiast odeślę cię do domu.

– Jim, wrócę do domu, jeśli uznam, że nie dam rady. Żeby przyskrzynić ten wirus z Meramac, muszę mieć umysł sprawny w stu procentach. Także po to, żeby zrozumieć, co się stało z Davidem.

– Dobrze, zgadzam się. Zajrzyj do mnie, jak przyjedziesz. I jeszcze jedno, Anno...

– Słucham.

– Bardzo ci współczuję. Przyjmij moje kondolencje.

Weszła do laboratorium i powiedziała głośno:

– Dobra, przekonajmy się, czy damy radę przyskrzynić tego cholernego małego gremlina.

Wzdłuż lewej ściany stało około trzydziestu klatek z ocynkowanego drutu. Niemal w każdej znajdował się biały szczur o różowych ślepiach. W pomieszczeniu unosił się silny odór szczurzego moczu i formaldehydów. Poprzedniego popołudnia Anna wstrzyknęła każdemu szczurowi wirusa z Meramac i kiedy tylko przyszła do laboratorium, natychmiast podeszła do klatek. Trzy szczury były martwe, a dziewięć leżało na boku, drżąc i desperacko walcząc o każdy oddech.

Szczurom, które przeżyły, miała teraz zamiar wstrzyknąć różne szczepionki antywirusowe przeznaczone do zwalczania najnowszych mutacji wirusa grypy H5N1.

H5N1 zebrał znacznie więcej ofiar niż H1N1, nazywany wirusem świńskiej grypy, jednak zwykle rozwijał się wolniej. Tymczasem w wypadku epidemii w szkole w Clayton wirus atakował z taką szybkością i tak gwałtownie, że choroba rozwijała się błyskawicznie.

Anna zaszczepiła trzy szczury, które wydawały się bliskie uduszenia. Zanim wyciągnęła z klatki czwarte zwierzę, spojrzała na Epiphany. Z oczu dziewczyny wyczytała współczucie. Anna ponownie skupiła uwagę na szczurze. W tej chwili niepotrzebne jej było niczyje współczucie. Musiała się skoncentrować na pracy, na wyodrębnieniu tego wirusa, na pokonaniu go i zniszczeniu. Myślała tylko o tym, że w

jej rękach spoczywa życie dzieci.

Przede wszystkim nie chciała niczyjego współczucia, dlatego że każdy jego przejaw mógł ją doprowadzić do łez.

Szczepienie szczurów zajęło Annie około czterdziestu minut. Kiedy skończyła, poprosiła Epiphany, żeby obserwowała zaszczepione zwierzęta.

– Ja tymczasem pójdę na górę, do Jima. – Zdjęła maskę chirurgiczną i fartuch. – Pewnie znowu będzie chciał odesłać mnie do domu.

– A może powinnaś pojechać do domu? – odparła Epiphany. – Na twoim miejscu wypłakiwałamby teraz oczy w jakimś ustronnym miejscu. Dziwię się, że tak właśnie nie robisz.

– Muszę być silna. Niedługo wracam. Poinformuję Jima o postępach w naszych badaniach.

– Naprawdę uważasz, że robimy jakieś postępy? Ten mały złośnik zdaje się z łatwością otrząsać ze wszystkich pocisków, jakimi w niego strzelamy.

– W końcu go dostaniemy – powiedziała Anna. – Musimy go po prostu przechytryć.

Jim zajmował obszerny gabinet na piątym piętrze, z szafirowym dywanem i wielkim mahoniowym biurkiem. Pod jedną ścianą stał regał pełen książek medycznych. Nad biurkiem wisiały certyfikaty i dyplomy medyczne. Przez okna rozpościerał się widok na ceglany budynek wydziału medycyny przypominający gotycki kościół. Za nim widać było osiedle mieszkalne na przedmieściu Gate, a dalej Missisipi.

Kiedy Anna weszła do gabinetu, Jim rozmawiał przez telefon. Wskazał jej krzesło. Był szczupłym, przystojnym mężczyzną; jego krótkie czarne włosy lekko siwiały na skroniach. W białej koszuli z krótkimi rękawami i w krawacie w czerwono-żółte paski wyglądał raczej jak polityk niż dyrektor szpitala.

– Anno – powiedział, skończywszy rozmowę telefoniczną. Podszedł do niej, a gdy wstała, serdecznie ją uściskał. – Mój Boże, co za tragedia. Dla mnie to też jest straszny szok.

– Tak, to stało się nagle. David wrócił wieczorem z Chicago, narzekał na dreszcze

i gorączkę. Mówił, że przespał większą część dnia i spóźnił się na samolot.

– Miał jakieś przypuszczenia, kiedy i czym się zaraził? Może coś zjadł? Słyszałem ostatnio o ciężkich zatruciach estrami kwasów fosforowych. W tym tygodniu troje dzieci zmarło z tego powodu w Cleveland, a kolejnych sześcioro czy siedmioro w Atlancie.

Anna pokręciła głową.

– Nie narzekał na żadne dolegliwości ze strony układu pokarmowego. Kiedy kładł się spać, nie wyglądał najgorzej, ale gdy się obudził, wpadł w drgawki, wymiotował krwią i krzyczał. Powtarzał mi, że walczył z czymś przez całą noc i że już dłużej tego nie wytrzyma.

Jim przysunął drugie krzesło i usiadł blisko Anny.

– Dzisiaj odbędzie się sekcja zwłok zarówno Davida, jak i tego drugiego mężczyzny, który przyjechał do nas wcześniej.

– Johna Patricka Bridgesa.

– Tak się nazywał? – Jim wydawał się zdziwiony, że Anna zapamiętała to nazwisko. – Cóż, miejmy nadzieję, że sekcje zwłok udzielą odpowiedzi na pytanie o przyczynę śmierci. Rano rozmawiałem z Michaeliem Limem. Na razie nie ma pojęcia, co mogło spowodować zgon.

Anna poczuła pokusę, żeby mu powiedzieć, że zarówno David, jak i Bridges przemawiali do niej po śmierci; mogłaby nawet powtórzyć słowa. Jim był jednak pragmatykiem, profesjonalistą, poważnym człowiekiem, wiedziała więc, jak by zareagował: „Anno, nadal jesteś w ciężkim szoku”. I w gruncie rzeczy było to prawdą. Z trudem przyjmowała do wiadomości, że wszystko, co się rozgrywa wokół niej, dzieje się naprawdę, że David naprawdę nie żyje, a ona sama siedzi naprzeciwko Jima Waso i rozmawia na temat możliwych przyczyn jego śmierci. Doświadczenie medyczne podpowiadało jej jednak, że szok w końcu minie, że go pokona. W każdym razie teraz musiała pozostać w szpitalu, żeby kontynuować badania. Nie mogła dopuścić, żeby Jim odesłał ją do domu.

– Jesteś absolutnie pewna, że dasz sobie z tym radę? – zapytał, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Jeśli będziesz chciała wziąć wolne albo w ogóle będziesz czegoś

potrzebowała, wystarczy, że mi powiesz. Wiem, że jesteś najlepszym epidemiologiem w Missouri, a nawet w całym tym cholernym kraju, ale jesteś także człowiekiem. Nie chcę, żebyś została męczennicą.

– Dzięki, Jim.

Spróbowała się uśmiechnąć, jednak jej usta ułożyły się w smutny grymas, a oczy zaszyły łzami. Jim podał jej pudełko z chusteczkami.

– Peter Kelly i Rafik Ahmet mogą cię przez jakiś czas zastępować – powiedział, patrząc, jak Anna wyciera łzy. – No i Epiphany... Zdaje się, że Epiphany to nasza wschodząca gwiazda.

– Nie, nie, dam sobie radę, Jim. Myślę, że jestem bardzo bliska przyskrzynienia tego robala z Meramac. Wirus bardzo szybko wytwarza odporność na nowe leki przeciwwirusowe i muszę tylko dojść do tego, w jaki sposób się to odbywa. Ma w genomie osiem cząsteczek RNA, jak każdy inny wirus RNA, ale byskawicznie potrafi tworzyć nowe kopie.

– Cóż, skoro tak twierdzisz, to rób swoje – powiedział Jim i westchnął. – Masz numer mojej komórki, prawda? Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, możesz do mnie dzwonić o każdej porze dnia i nocy, nawet gdybyś chciała jedynie porozmawiać. Jestem do twojej dyspozycji, Anno.

Pokiwała głową. Naprawdę lubiła Jima, mimo powagi, którą bezustannie zachowywał – a może właśnie z jej powodu. Czuła też, że podoba mu się jako kobieta. W czasie tej rozmowy patrzył na nią tak, jakby oczami chciał powiedzieć Annie to, czego nie mógł wyrazić słowami. Ona jednak miała ochotę na rozmowę tylko z jedną osobą. Osoba ta leżała obecnie na stole sekcyjnym, zimna i martwa. Niestety, Anna doskonale wiedziała, że już nigdy z nią nie porozmawia.

Jeszcze tego samego popołudnia doktor Rutgers przysłał jej wiadomość na pager; poprosił, żeby do niego zajrzała. W laboratorium był z nią doktor Ahmet i co chwilę sprawdzał stan szczurów, którym Anna wstrzyknęła lek przeciwwirusowy. Kilka zwierząt było bardziej ożywionych niż przed zastrzykami, chociaż miały niepewne ruchy i wydawały się dezorientowane. Co kilka sekund podskakiwały, jakby ktoś traktował je elektrowstrząsami. Stan pozostałych szczurów pogarszał się szybko. Trzy

z nich miały zamknięte ślepia i leżały na plecach.

– Możesz rzucić na to okiem? – spytał doktor Ahmet, przywołując Annę do monitora, na którym widoczny był obraz z mikroskopu. Wskazał na zielone obiekty na ekranie. – Miałaś rację. Kiedy lek przeciwwirusowy uniemożliwia reprodukcję wirusa, ten natychmiast zaczyna mutować. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– Musimy znaleźć sposób, żeby rozkodować jego RNA – powiedziała Anna. – Musimy sprawić, żeby wirus myślał, że mutuje, gdy tymczasem będzie się jedynie powtarzał. Bez końca.

– Cóż, chyba miałbym w tej kwestii jakiś pomysł – stwierdził doktor Ahmet. – Zastosowałem podobną sztuczkę z wirusem ospy prawdziwej w Gumli w 2011 roku. Oczywiście Variola jest wirusem DNA, jednak zakładam, że moglibyśmy spróbować tej metody z wirusem, z którym walczymy obecnie.

– Zdaję się na ciebie, Rafik. Teraz muszę pójść na chwilę do patologów. Jeśli będziesz mnie potrzebować, przyslij mi wiadomość na pager.

– Anno, zanim pójdziesz...

– O co chodzi, Rafik?

– Powinnaś wiedzieć, że ogromnie ci współczuję – powiedział. Zdjął okulary w grubych oprawkach, spojrzał na nią wielkimi brązowymi oczami i kilkakrotnie zamrugał. – Wiem, że jest ci teraz bardzo ciężko. Po śmierci mojego ojca, kiedy byłem pogrążony w strasznym bólu, matka powiedziała do mnie: „Zmarłych możemy naprawdę uczcić jedynie wtedy, gdy się skupimy na nowym życiu”. – Na chwilę umilkł, ale zaraz mówił dalej: – Te słowa bardzo mi pomogły.

– Dzięki, Rafik.

Anna pochyliła się i pocałowała jego policzek porośnięty czarną brodą.

Doktor Rutgers już na nią czekał. Był wysokim, lekko przygarbionym mężczyzną z czupryną siwych włosów, które sterczały mu na wszystkie strony, tak że przypominał postać z filmu animowanego. Miał jakby nieobecny wyraz twarzy i kanciaste okulary bez oprawek na czubku bulwiastego, szerokiego nosa.

Na stole sekcyjnym leżał John Patrick Bridges. Jego skóra była tak szara, że niemal srebrna. Rutgers jeszcze nie zaczął sekcji, lecz wszystkie niezbędne narzędzia

były już przygotowane.

– Dzień dobry, Anno – przywitał ją. – Bardzo mi przykro z powodu twojej straty.

– Dziękuję, Henry. To bardzo miło z twojej strony.

– Cóż, wiem, jakim szokiem jest śmierć bliskiej osoby, jak bardzo to boli. Podniesienie się po czymś takim jest naprawdę bardzo trudne, jeśli nie wręcz niemożliwe, nieważne, co ci mówią przeróżni mądrale.

Anna wiedziała, że przed rokiem doktor Rutgers stracił jedyne dziecko w wypadku narciarskim i że do tej pory nie pogodził się z jego śmiercią. Milczała jednak. Nie chciała się rozpłakać.

– W zeszłym miesiącu czytałem twój artykuł w „American Journal of Epidemiology” – kontynuował Rutgers. Widać było, że bardzo chce zmienić temat rozmowy.

– Naprawdę?

– Muszę powiedzieć, że twoje poglądy na przypadkowość związków przyczynowo-skutkowych w występowaniu ptasiej grypy są bardzo odważne. Wygłaszając je, nastroszyłeś piórka pewnym ludziom, jeśli wybaczysz mi ten kolokwializm.

Anna uśmiechnęła się słabo.

– Czasami linia pomiędzy tym, co mogłoby wywołać epidemię, a co wywołało ją w rzeczywistości, jest bardzo cienka.

– Jeśli już rozmawiamy o prawdopodobnych i rzeczywistych przyczynach różnych zjawisk, przeprowadziłem bardzo dokładne oględziny powłok skórnych tego dżentelmena, który leży przed nami, oraz twego przyjaciela Davida Russella.

– Myślałam, że doktor Lim już to zrobił.

– Michael? Tak, zrobił to. Ale ja staram się sam przeprowadzić każdą sekcję od początku do końca. Nie oznacza to, że nie ufam kompetencji moich kolegów. Chodzi o to, że jako patolog mam duże doświadczenie i często zdarza mi się dostrzec coś, co odbiega od normy, choć inni nie zwracają na to uwagi. Cóż... wystarczy spojrzeć na moją żonę! – Urwał i popatrzył na Annę ponad okularami. – Bardzo cię przepraszam, Anno. Obawiam się, że po dwudziestu sześciu latach pracy jako anatomopatolog

zachowuję się jak podrzędny komediant.

Anna pokręciła głową. Nie raziło jej zachowanie doktora Rutgersa. Pracowała już wystarczająco długo, by doskonale rozumieć, że w tym zawodzie czarny humor pomaga zмагаć się z bólem i poczuciem bezsilności, które pojawia się na widok cierpiących ludzi. Dawno się przekonała, że najbardziej rubaszne dowcipy opowiadają ci lekarze, którzy są najbardziej czuli na cierpienie i krzywdę.

Doktor Rutgers skinął na nią, żeby podeszła do stołu sekcyjnego. Uniósł prawą rękę Johna Patricka Bridgesa i wskazał na rząd drobnych brązowych punkcików na jego boku. Łatwo byłoby je pomylić z krostkami po trądziku, pieprzykami albo po prostu w ogóle ich nie zauważyć.

– Co ci to przypomina, Anno?

Anna zmarszczyła czoło i dokładniej przyjrzała się brązowym zmianom na skórze.

– To mi wygląda na punktowe rany niewiadomego pochodzenia, naprawdę bardzo drobne. Mogły zostać spowodowane igłą strzykawki, ale bardziej prawdopodobne jest, że to ukąszenia owadów.

– Czy ich układ coś ci podpowiada?

– Są ułożone niemal w linii prostej. To ma jakieś znaczenie?

– Być może – odparł doktor Rutgers. – Istnieje owad, którego ukąszenia układają się w linii prostej. To *Cimex lectularius*.

– Pluskwa domowa?

– Właśnie ona. Wstrętny, obrzydliwy drobny wysysacz krwi, który miliardami atakuje domy, motele i hotele, jak Stany Zjednoczone długie i szerokie.

– Ale pluskwy nie przenoszą chorób na ludzi. Same mogą zostać zakażone wieloma ludzkimi patogenami, ale przecież nie przenoszą ich z człowieka na człowieka, prawda? Chyba że ktoś rozdrapie miejsce ukąszenia i powstanie otwarta rana, którą łatwo zakazić.

– Pluskwy mogą nas jednak doprowadzać do szaleństwa – stwierdził doktor Rutgers. – U ludzi narażonych na częste ukąszenia pluskiew stwierdza się zaburzenia psychiczne, stany lękowe, a nawet pewną odmianę schizofrenii. Niewiele innych robali to potrafi, prawda?

– Tak, zgadzam się. Ale ukąszenia pluskiew nie powodują masywnych krwotoków ani drgawek, i to jednocześnie.

Rutgers wzruszył ramionami.

– Może pluskwy ewoluują? Jak wiesz, przeprowadzona została ogólnokrajowa akcja mająca na celu ich zwalczenie. Może na chwilę się przyczaiły i teraz wracają, groźniejsze niż przedtem? Skoro wirusy potrafią mutować, żeby przetrwać, to dlaczego nie mogłyby tego robić pluskwy?

– Och, daj spokój. – Wzruszyła ramionami. – Klątwa mutujących pluskiew? To brzmi jak tytuł kiepskiego horroru.

– Anno... Twój partner miał podobne rany. Miał ich dokładnie siedem.

– David? – Anna poczuła, jak cierpnie jej skóra. – On też? Nie widziałam ich. Gdzie?

– Tutaj. – Doktor Rutgers wskazał na swoje prawe biodro. – Linia ukąszeń ciągnęła się odtąd aż na brzuch.

– Jesteś pewien? Ja ich nie widziałam.

– Nic dziwnego. Kiedy zachorował, byłaś zdenerwowana i skoncentrowana na ratowaniu jego życia, a nie na oglądaniu skóry. Te ślady są bardzo słabo widoczne. Ale wyglądają podobnie jak te. – Doktor Rutgers wskazał na ciało Bridgesa. – A objawy choroby były niemal identyczne.

– Muszę się skontaktować z hotelem, w którym mieszkał, bywając w Chicago. Ostrzegę ich, że mają w pokojach pluskwy.

– Hej, powoli! – zawołał doktor Rutgers. – Na razie nie wiemy jeszcze, czy to są rzeczywiście ukąszenia pluskiew, a nawet jeśli są, to nie mamy pojęcia, gdzie one dopadły Davida i tego drugiego faceta. Pluskwy można przewozić w bagażu, potrafią się nawet skryć w czystym i ciepłym laptopie, na miłość boską! Jeden Bóg wie, ile pluskiew krąży w tej chwili po świecie, korzystając z gościnności firm Samsonite i Apple! – Zamilkł na krótką chwilę, ale zaraz kontynuował: – Na razie jeszcze nie wiemy, jaka była przyczyna zgonu. Możliwe, że pluskwy nie mają z tym nic wspólnego. Uznałem jednak, że powinnaś popatrzeć na te rany, na wypadek gdybyś w przyszłości natrafiła na coś podobnego. Może się okazać, że ci dwaj to tylko



wyizolowane przypadki jakiejś choroby i nigdy więcej już o niej nie usłyszymy. Mam cholerną nadzieję, że tak właśnie będzie. Ale z drugiej strony...

– Mogę go zobaczyć? – zapytała Anna.

– Davida? Och...To nie jest najlepszy pomysł.

– Dlaczego nie? Chciałabym się przyjrzeć tym rankom na biodrze.

– Szczerze mówiąc, wolałbym, żebyś go nie oglądała.

– Henry, jestem profesjonalistką. Kochałam Davida, ale w życiu widziałam już mnóstwo różnych zwłok i możesz mi wierzyć, nie zemdleję.

– Anno... Davida spotkało coś, co mogę określić jedynie jako nietypowe rigor mortis. Jego twarz jest straszliwie wykrzywiona. Nie wiemy, nikt z nas nie wie, co jest tego przyczyną. Nie chcę, żebyś go zapamiętała właśnie takim.

A więc David nadal wygląda tak jak wtedy, kiedy go widziałam ostatni raz, pomyślała Anna. Przypomniała sobie język, który wysunął się z ust jej ukochanego. A może to wcale nie był jego język? Co znajdzie w ciele Davida doktor Rutgers, kiedy je otworzy?

Anna miała nadzieję, że twarz Davida znowu wygląda tak samo jak za życia. Lecz jeśli nie... Rutgers miał rację. Nie chciała znowu na to patrzeć. Nie miała też ochoty myśleć o wynikach sekcji zwłok.

Doktor Rutgers położył dłoń na jej ramieniu.

– Jak tylko będę miał jakieś wstępne wyniki, natychmiast dam ci znać – obiecał. – Ty pierwsza się dowiesz.

– Tylko bądź ostrożny, Henry.

– Oczywiście, bądź spokojna.

Było jasne, że nie do końca zrozumiała ostrzeżenie, nie zamierzała jednak niczego mu wyjaśniać, bo właściwie nie wiedziała, przed czym go ostrzega. Sama niewiele wiedziała.

Opuściła prosektorium. Kiedy drzwi zamykały się za nią, zobaczyła jeszcze, jak Rutgers sięga do tacy z instrumentami medycznymi i bierze do ręki skalpel.

## ROZDZIAŁ 8

Tej nocy nie spałem dobrze, to chyba oczywiste. Okna zostawiłem odsłonięte, ale w tych krótkich chwilach, kiedy udało mi się zasnąć, śniły mi się tajemnicze postaci wchodzące przez nie lub stojące w nogach łóżka. Leżałem z otwartymi oczami i wpatrywałem się w zmieniające się wzory, które tworzyło na suficie światło latarni przeświecające przez korony drzew.

Koniec mojej udręki przyszedł z pierwszym brzaskiem. Wzory wyblakły, no i zobaczyłem, że żadne zakonnice nie gramolą się przez okno do mojej sypialni. Wylazłem z łóżka i poczłapałem do kuchni, żeby przyrządzić sobie kubek cholernie mocnej kawy.

Bardzo poważnie się zastanawiałem, czy nie powinienem porozmawiać z jakimś księdzem o tym, co mi się przytrafiło poprzedniego wieczoru. Jestem bardzo przesądny i wierzę w siły nadprzyrodzone, jeśli na tym absurdalnym świecie nie należy wszystkiego uznawać za nadprzyrodzone. Chociaż nie jestem człowiekiem religijnym, uznałem, że ksiądz wyjaśni mi, dlaczego ta dziwna zakonnica złożyła mi wizytę i czego ode mnie chciała.

Znałem w Miami Beach tylko jednego księdza, wilebnego José Zapatę z kościoła pod wezwaniem Świętego Franciszka Salezego. Kościół znajdował się przy Lenox Avenue. Zapatę poznałem u jednej z moich klientek, gdy przyszedł z komunią świętą. Nora Washburn była młoda, chuda i niewiarygodnie gadatliwa. Ksiądz José Zapata twierdził, że jego zdaniem przepowiadanie przyszłości to zajęcie nikczemne, niewiele gorsze od propagowania satanizmu, przyznawał jednak – aczkolwiek niechętnie – że korzystnie wpływa na schorowany organizm pani Washburn. Jedynie bowiem chęć dowiedzenia się, co spotka ją w przyszłości, trzymała ją jeszcze przy życiu.

Wypiłem dwa kubki kawy, zjadłem dwa tosty z galaretką jagodową i pojechałem do parafii Świętego Franciszka Salezego, żeby się przekonać, czy zastanę tam ojca Zapatę. Do spotkania z pierwszym klientem miałem aż godzinę, poza tym mogłem się na nie spóźnić – klientem tym był siedemdziesięcioletni emerytowany malarz

pokojowy Joey Vespucci, a z całej mojej przepowiedni interesowało go tylko to, który koń następnego dnia wygra gonitwę w Gulfstream Park. Szczęśliwie miałem tam znajomego, Mickeya O'Briena zwanego „Strzemię”, i zdziwilibyście się, jak wiele z moich „przepowiedni” się sprawdzało (dziwił się też Joey, który z wdzięczności zawsze odpalał mi procent od wygranych). Nie lubiłem go jednak, bo dziad śmierdział zjełczalym tłuszczem, nigdy nie otwierał okien, a kiedy wykładałem mu karty, bezustannie puszczał wiatry.

Skręciłem na parking przy kościele akurat w chwili, gdy wielebny ojciec Zapata wyjechał z za węgła na rowerze sportowym. Na głowie miał prześmieszny, obciachowy złoty kask, na nosie lustrzane okulary, a ubrany był w kolarski kostium z lycry. Zawołałem do niego, kiedy wnosił rower po schodach:

– Hej! Ojcie Zapata!

Ksiądz odwrócił się i zdjął okulary. Wyglądał na skonsternowanego, jakby ktoś przyłapał go na niezbyt chwalebny zajęciu.

Wszedłem za nim po schodach.

– Nie wiem, czy ojciec mnie pamięta. Nazywam się Harry Erskine. Poznaliśmy się u pani Washburn.

– Ach tak, przypominam sobie.

Miał blisko osadzone oczy i potężny nochal. Temperatura powietrza była już bardzo wysoka i pot ściekał mu po policzkach.

– Pamiętam pana – powtórzył. – Przepowiada pan przyszłość.

– Przewiduję przeznaczenie moich klientów, może to zabrmi trochę lepiej?

– Trochę. – Uśmiechnął się. – Niemniej jednak i tak jest to szarlataneria. – Miał silny meksykański akcent. – Co mogę dla pana zrobić?

– Czy jest jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać? – zapytałem. – Wczoraj przytrafiło mi się coś naprawdę dziwnego, coś, co być może ma związek z religią, chociaż, do diabła, nie potrafię zgłębić natury tego zdarzenia. Zaraz, powiedziałem „do diabła”, ale wcale nie chodzi mi o diabła, przepraszam.

– „Coś dziwnego?” – powtórzył. – A co pan ma na myśli, mówiąc „coś dziwnego”?

– Może raczej powinienem użyć słowa „niesamowitego”. Przede wszystkim na kartach, z których przepowiadam przyszłość, zmieniły się rysunki.

Ojciec Zapata kilkakrotnie zamrugął.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Po prostu zmieniły się, same z siebie, nie wiadomo, z jakiego powodu. Nie wszystkie, tylko część. Na moich kartach widnieją rysunki ludzi śmiejących się, tańczących, liczących pieniądze i tak dalej, ale teraz te same karty pokazują ludzi, którzy dźgają się sztyletami, odcinają dzieciom głowy albo smażą jedni drugich w gorącym oleju.

Ojciec Zapata wierzchem dłoni otarł pot z czoła i popatrzył na mnie ciemnymi, lśniącymi oczami.

– Same się zmieniły? I nie wie pan dlaczego?

– Właśnie. Wśród pięćdziesięciu dwóch kart pojawiło się przynajmniej trzydzieści, których nigdy wcześniej nie widziałem.

– Zaczął pan od „przede wszystkim”. Co jeszcze się stało?

– Te karty to nie jest główna przyczyna, dla której zapragnąłem się z ojcem spotkać. One mogły się zmienić pod wpływem jakiejś okultystycznej aberracji, jakichś zawirowań sejsmicznych w świecie duchów, jeśli ojciec rozumie, co mam na myśli.

– Nie, nie rozumiem.

– Ja też niczego nie jestem pewien. Jednak głównym powodem, dla którego do ojca przyszedłem, jest to, że nocą w mojej sypialni pojawiła się zakonnica.

– Za... zakonnica?

– Była ubrana na czarno i miała zakrytą twarz. Nie wiem, w jaki sposób dostała się do mojego domu, ponieważ otwarty był jedynie lufcik w oknie. Nie widziałem, jak wchodziła do środka. Kiedy zapaliłem światło, zniknęła.

– Pił pan coś albo brał jakieś inne środki?

– Ojciec, kiedy piję albo zażywam jakieś środki, nie widuję sióstr zakonnych, proszę mi wierzyć. Raczej nagie kobiety tańczące przy rurze. Wieczorem wypłem dwie albo trzy szklaneczki whisky w John Martin's Irish Pub, ale to wszystko.

– Może pan jednak wejdzie do środka.

Wniósł rower przez tylne drzwi kościoła i oparł go o ścianę. Następnie zdjął kask i poprowadził mnie korytarzem. Po chwili weszliśmy do małego pokoiku, na którego umeblowanie składały się trzy zniszczone zielone fotele, stolik z miską podwiedłych jabłek i przeszklona szafa z książkami. Z krucyfiks na ścianie smutno spoglądał Jezus.

– Proszę, niech pan usiądzie – powiedział ksiądz Zapata. – Napije się pan wody?

– Chętnie wypiłbym kieliszek wina mszalnego... Oczywiście żartowałem. Dziękuję za poczęstunek, ojciec, ale nie będę nic pił. Mam nadzieję, że przychodząc do ojca, nie straciłem czasu. Może ojciec rzeczywiście ma rację i to były tylko jakieś przywidzenia?

– Mam wielką nadzieję, panie Erskine.

– Harry. Proszę, niech ojciec mówi mi po imieniu. Wszyscy tak się do mnie zwracają.

– Dobrze. Ale wróćmy do tej zakonnicy... – Zamilkł na chwilę, szukając właściwych słów. – W Kościele katolickim uznajemy, że jest to szczególny rodzaj manifestacji zjawiska paranormalnego. Oficjalnie nazywamy to syndromem Loudun.

– Ma ojciec na myśli ducha?

– W pewnym sensie tak. Jednak bylibyśmy bardziej dokładni, gdybyśmy mówili, że chodzi o zjawę.

– Nie rozumiem.

Ojciec Zapata otworzył usta, ukazując lśniące białe zęby, ale to nie był uśmiech. Odniosłem wrażenie, że jest to raczej grymas wahania, tak jakby nie mógł się zdecydować, ile może mi powiedzieć. Wiedział, że nie jestem wiernym jego Kościoła, że w ogóle nie jestem człowiekiem religijnym, i prawdopodobnie nie chciał powiedzieć niczego, co sprawiłoby, że moja opinia o Kościele jeszcze by się pogorszyła.

– Duchy to dusze ludzi, którzy zeszli z tego świata – powiedział. – Ludzie ci muszą jednak, z różnych powodów, czasami do tego świata powrócić; dlatego, że pozostawili niedokończone jakieś ważne sprawy albo mają komuś coś ważnego do przekazania.

– Jasne. „Akcje na okaziciela ukryte są w budzie dla psa” albo coś w tym stylu? Ale czym jest ta „zjawia”? Jest podobna do ducha? O duchach coś wiem z doświadczenia. Z gorzkiego doświadczenia.

– Zjawy nie muszą być duchami, mogą nie mieć z nimi nic wspólnego. Mogą być znakami. Mogą się pojawiać w wielu różnych postaciach i mogą mieć bardzo różne znaczenie.

– A jeśli zjawia jest zakonnica?

Ojciec Zapata znowu długo milczał. Wreszcie się odezwał:

– Z tego, co nam wiadomo, pojawienie się zakonnicy jest poważnym ostrzeżeniem przed nadciągającą katastrofą.

– Ależ mnie ojciec uspokoił. Co to za katastrofa?

– Prawdopodobnie chodzi o to, że świat, jaki dotąd znamy, całkiem się zmieni. Ludzie, których znamy i którym ufamy, nagle nas zdradzą. Nastąpi całkowite odwrócenie wszelkich wartości społecznych i moralnych.

– Aha... – mruknąłem, chociaż wciąż nie rozumiałem, co jest grane. – Niech mi ojciec poda jakiś przykład.

– Krótko przed wybuchem pierwszej wojny światowej mówiono, że zakonnice pojawiły się kilku politykom i duchownym we Francji i w Niemczech; historia świata notuje wiele podobnych przypadków. Na przykład widziano zakonnice na mostku Titanica, a przecież żadna zakonnica nie znajdowała się na liście pasażerów statku. Kościół czynił wiele starań, żeby nie nagłaśniano tych zjawisk, z obawy o to, żeby nie wiązano go z katastrofami, nie obwiniano o nie.

– Ale jakie te zakonnice są? Dobre czy złe?

– Będę z tobą szczery, Harry: nie wiemy tego. Ich pojawienie się po raz pierwszy odnotowano w Angers, we Francji, krótko przed Bożym Narodzeniem w tysiąc sześćset pięćdziesiątym ósmym roku. W środku nocy zakonnice odwiedziły wówczas burmistrza Angers i kilku najważniejszych duchownych. W sumie było ich sześć lub siedem. Mniej więcej tydzień później większość mieszkańców miasta zapadła na tajemniczą chorobę i zmarła.

– Ale przecież to mógł być przypadek, prawda? W tamtych czasach ludzie

masowo chorowali. Na cholere, wietrzną ospę albo dżumę. Byle co wywoływało nieuleczalną chorobę.

– Zgadza się, to mógł być przypadek. Ale jakieś trzy miesiące później jeden z mieszkańców Angers, który ponoć umarł, widziany był w sąsiednim mieście, w najlepszym zdrowiu. Jeszcze później w innych miejscach, bardziej odległych, rozpoznano kolejnych zmarłych mieszkańców Angers. Okazało się, że wszyscy zmienili nazwiska i w nowych miejscach zamieszkania stali się prominentnymi i wpływowymi obywatelami. Osiągnęli to jednak gwałtem i wymuszeniami, wzbudzając strach, mimo że przed swoją rzekomą śmiercią wszyscy byli spokojnymi, praworządnymi ludźmi. Jak już powiedziałem, historia Kościoła notuje wiele podobnych przypadków, jednak w większości wymazywano je z kronik.

– Jasne, rozumiem – powiedziałem. – To znaczy, kiedy komuś ukazuje się zakonnica, ludzie chorują i umierają, a później pojawiają się w innych miejscach i wcale nie są martwi, za to bardzo odmienni.

Ojciec Zapata pokiwał głową.

– W skrócie można tak to ująć. Nigdy nie udowodniono bezpośredniego związku pomiędzy zakonicami a wybuchem epidemii, ale zdarzało się to zbyt często, żeby uznać to za zwyczajny przypadek.

– Co więc zamierza mi ojciec powiedzieć? Że zachoruję, a potem umrę, ale wkrótce ożyję w charakterze jakiegoś zombi, który żyje z wymuszania okupów?

– Harry, mówię ci tylko, co Kościołowi udało się ustalić na temat pojawiania się sióstr zakonnych.

– Co więc powinienem teraz zrobić? Macie tu w parafii jakiegoś egzorcystę? Powinienem okadzić mój dom? A co z kartami? Właśnie, wielebny ojcze, pokażę je ojcu.

Wyjąłem Przepowiednię Sybilli, odsunąłem na bok miskę z jabłkami i zacząłem wykładać karty na stoliku. Ku mojemu zaskoczeniu, pierwsza karta była czarna. Po chwili wyłożyłem drugą i ona też była czarna. Podobnie jak trzecia. Pośpiesznie obejrzałem całą talię; wszystkie karty wyglądały identycznie. Nie było na nich żadnych rysunków, ani wesołych, ani smutnych.

Wyprostowałem się na krześle, z niedowierzaniem spoglądając na karty. Ojciec Zapata również na nie popatrzył. Po chwili przeniósł wzrok na mnie.

– Harry, mam nadzieję, że się ze mnie nie nabijasz?

– Ojczy, jeśli któryś spośród nas jest obiektem drwin, to z pewnością ja. Kiedy dzisiaj przed wyjściem z domu oglądałem te karty, na każdej z nich był rysunek.

– To za pomocą tych kart przepowiadasz przyszłość?

– Tak. I zdaje się, że w tej chwili ma ona zdecydowanie czarny kolor.

Ksiądz znowu obnażył zęby w dziwnym grymasie i po chwili zapytał:

– Czy po zniknięciu zjawy znalazłeś coś, co ona zostawiła?

– Nie rozumiem. Niby co miałbym znaleźć? Owszem, w powietrzu unosił się intensywny zapach, jakby kadzidła, ale to wszystko.

– Wiesz co? Najlepiej będzie, jeżeli pojedę teraz z tobą i obejrzę twój dom. Masz coś przeciwko temu?

– Nie, skądże. Ale co ojciec spodziewa się znaleźć?

– Mam nadzieję, że nie znajdę niczego.

– A jeśli ojciec jednak coś znajdzie?

– Nie jestem egzorcystą, Harry. A egzorcyzmy mogą się w tym przypadku okazać niezbędne. Albo przynajmniej odprawienie obrzędu oddalenia. Obrzęd oddalenia to rodzaj duchowego okadzenia, oczyszczenia domu z wpływu sił nieczystych.

Powoli zebrałem karty, starannie ułożyłem i schowałem do pudełka.

– Zdaje się, że ojciec bierze naszą rozmowę bardzo serio – powiedziałem.

– Tak, rzeczywiście. Syndrom Loudun to nie żart, możesz mi wierzyć. Jak już powiedziałem, fakt, że odwiedziła cię zjawa pod postacią zakonnicy, niekoniecznie musi oznaczać coś złego. Zjawiska paranormalne bywają przecież wywoływane przez burzową pogodę, ale też mogą się dziać tylko w umyśle ich rzekomych świadków.

– Och, dziękuję. Teraz chce mi ojciec powiedzieć, że postradałem zmysły.

– W rzeczy samej, Harry, to byłoby najlepsze rozwiązanie. Jeżeli cierpisz na jakąś chorobę umysłową, wyleczy się psychiatra. Natomiast nadchodzącym katastrofom może zapobiec jedynie Bóg, i to tylko jeżeli sam zechce.



## ROZDZIAŁ 9

Pojechałem z ojcem Zapatą do Coral Gables. Od wschodu widać było gromadzące się nad oceanem ciemne chmury. Od czasu do czasu niebo przecinała błyskawica. Wzmagał się wiatr, który miotał po szosie poszarpanymi stronami starych gazet, a nad trotuarem tańczyły tumany pyłu.

– Nadchodzi burza – powiedział ojciec Zapata i przeżegnał się.

Przed wyjazdem przebrał się w niebieską koszulę z krótkimi rękawkami i koloratką pod szyją oraz dzinsy. Wziął ze sobą purpurową torbę z wyhaftowanym złotym krzyżem, lecz nie miałem pojęcia, co jest w środku.

Popatrzyłem na niego z ukosa.

– Chyba nie chodzi ojcu o zjawisko atmosferyczne, co?

Nie odpowiedział. Patrzył na wprost, przez szybę samochodu. Był lekko pochylony do przodu i bardzo spięty, jakby się spodziewał, że w każdej chwili ktoś może nam wyskoczyć przed maskę.

– Moja historia zmartwiła ojca, prawda? – zapytałem, kiedy zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle. – Wygląda ojciec na bardziej przestraszonego niż ja sam.

– Potrafię wyczuć, kiedy coś ma się wydarzyć – odparł ojciec Zapata. – Mam tak już od dzieciństwa. Na przykład wyczułem, że coś złego spotka naszego kota, a godzinę później przejechał go samochód.

– O kurczę. Powinien ojciec pracować raczej w moim biznesie. Zarabiałby ojciec wielkie pieniądze.

– Psychologowie uważają, że mózg niektórych ludzi wysyła fale o wyższej częstotliwości niż innych i dlatego potrafią oni preczuwać wydarzenia, które dopiero mają nastąpić. Moja matka często mawiała, że odziedziczyłem tę umiejętność po stryjecznym dziadku Emilianie. Został zastrzelony, a dzień wcześniej powiedział swojej żonie, że to jest ostatni dzień jego życia.

– Ma ojciec na myśli Emiliana Zapatę? Byliście spokrewnieni? Naprawdę?

– Był moim stryjecznym dziadkiem.

– Niech ojciec opowie mi o nim coś więcej. Stryjeczny dziadek ojca był wielkim rewolucjonistą meksykańskim. To nadzwyczajne! Dlaczego zatem wybrał ojciec drogę kapłaństwa?

– Ponieważ zawsze żarliwie wierzyłem w to, w co wierzył mój stryjeczny dziadek, chociaż uważałem, że ten sam cel można osiągnąć, podążając zupełnie inną drogą. Niemniej jednak noszę w sercu słowa Emiliana Zapaty: „Lepiej umrzeć, stojąc, niż żyć na kolanach”.

– Tak, to bardzo mądre słowa. Ale na nogach niekoniecznie trzeba stać. Można na nich również uciekać.

– Co sprawiło, że jesteś aż takim cynikiem, Harry?

– Nie wiem. Zapewne łatwowierność innych ludzi. Ale też fakt, że widziałem już na niebie i na ziemi więcej rzeczy, niż większości ludzi mogłoby się przyśnić.

– Ale jeśli chodzi o tę zakonnicę, raczej nie okazujesz cynizmu. W przeciwnym razie nigdy nie przyszedłbyś do mnie po poradę, prawda?

– Ma ojciec rację.

Zaparkowałem samochód na ulicy, ponieważ cały podjazd zajmował różowozielony ośmioosobowy ford, z którego korzystali członkowie Joe Morales Mariachi Band. Auto miało przyciemnione szyby, a karoserię zdobił wizerunek dziewczyny z wysoko uniesioną nogą, ubranej w purpurową sukienkę i ukazującej majtki z falbankami.

Przeszliśmy na tyły posiadłości i otworzyłem drzwi do mojego domku gościnnego.

– To bardzo elegancka chata – zażartowałem. – W środku nie ma bałaganu. Po prostu nie ma tu miejsca na bałagan.

Ojciec Zapata wszedł do salonu. Położył torbę na kanapie i uważnie rozejrzał się dookoła. Kilkakrotnie wciągnął nosem powietrze.

– Kamfora – powiedział wreszcie. – Kamfora, mirra i olibanum. Miałeś rację, mówiąc o zapachu kadzidła.

Ja także pociągnąłem nosem, jednak niczego nie wyczułem. Ojciec Zapata musiał mieć bardzo wrażliwy węch.

– Napije się ojciec piwa albo czegoś innego? – zapytałem go.

– Nie, dziękuję. Najlepiej będzie, jeśli od razu przystąpimy do rzeczy. Zaprowadź mnie do sypialni.

Otworzyłem drzwi do sypialni i zaprosiłem go do środka, starając się nie zwracać uwagi na niezasałane łóżko. Po ostatniej nocy wyglądało, jakby ktoś w pościeli uprawiał zapasy. W pewnym sensie tak właśnie było.

Ojciec Zapata wskazał na lufcik.

– Czy on był otwarty?

– Tylko lekko uchylony, tak jak teraz. Przez tę szparę trudno precyzyjnie przycisnąć rękę, że nie wspomnę o zakonnicach.

Ksiądz podszedł do okna, wspiął się na palce i wyjrzał na zewnątrz.

– Gdyby ktoś stanął na ławeczce, bez trudu mógłby wrzucić coś do środka – powiedział. – Nie musiałby wchodzić do domu.

– Słucham? – zdziwiłem się i omiotłem wzrokiem sypialnię. – Przecież tutaj nic nie przybyło! A może chce mi ojciec wmówić, że zakonnica, którą widziałem, była dmuchaną lalką w habicie, którą ktoś najpierw wrzucił tu przez okno, a potem sama się nadmuchała. Tylko co się z nią stało?

Ojciec Zapata krążył powoli po pomieszczeniu, z rękami uniesionymi, jakby był dyrygentem uciszającym orkiestrę przed rozpoczęciem koncertu.

– Coś tutaj jest – stwierdził, ignorując moje niemądre uwagi na temat dmuchanej lalki. – Jest bardzo słabo wyczuwalne, jednak jest tutaj. Czuję to z całą pewnością.

Ja także zacząłem chodzić po pokoju, zaglądać do każdego kąta, ale nie zauważyłem niczego nadzwyczajnego. Na nocnym stoliku stał jedynie elektroniczny zegar, szklanka z resztką wody i broszurowe wydanie książki Sztuki magiczne dla żółtodziobów. Książka była już bardzo zniszczona, okładkę szpeciły plamy, a większość kartek miała ośle uszy. Od pewnego czasu całkiem poważnie zastanawiałem się nad zmianą zawodu.

Pod wiklinowym krzesłem leżały zrolowana para zielonych skarpetek, jeden but sportowy firmy Nike, bez sznurowadeł, i puste opakowanie po czekoladzie. Nic więcej.

– Coś tutaj jest – powtórzył Zapata. – Jest bardzo słabe, jakby niemal całkowicie straciło moc. Ale wyczuwam tu coś, jakby zadawnioną urazę. Mam wrażenie, jakby ktoś za mną stał i szeptał mi do ucha. Trudno mi rozróżnić poszczególne słowa, ale wydaje mi się, że ktoś chce się na tobie zemścić, zrobić ci wielką krzywdę.

Przez chwilę się zastanawiałem nad jego słowami.

– Na pewno chodzi tylko o mnie? – zapytałem. – A może jednak dotyczy to jakiejś większej grupy ludzi?

Ojciec Zapata popatrzył na mnie swoimi blisko osadzonymi oczyma. Wyglądał w tej chwili równie przerażająco, jak przerażająco zabrzmiały słowa, które wypowiedział:

– Tak, Harry, chodzi o ciebie. Ktokolwiek odwiedził cię w sypialni, żywi do ciebie, i tylko do ciebie, osobistą urazę.

– Skąd ojciec o tym wie?

– Niełatwo to wyjaśnić. Ale w tym pomieszczeniu czuć skoncentrowaną złość. Nie mam cienia wątpliwości, że zakonnica, która się tutaj pojawiła, była ostrzeżeniem skierowanym wyłącznie do ciebie.

– Rozumiem – odparłem. – Ale jeżeli ten, kto mi zagraża ma wystarczającą moc, żeby wyczarować zakonnice, dlaczego nie zrealizuje swojej zemsty natychmiast? Przecież ta postać po prostu stała i nie próbowała mnie zadźgać, udusić ani w ogóle zrobić mi żadnej krzywdy.

– Nie odpowiem ci na te pytania, Harry. Po prostu nie znam odpowiedzi. – Znowu wciągnął powietrze nosem. – Ale wiem jedno: coś tutaj jest. Coś złego, co krąży i unosi się uparcie w powietrzu. I nie jest to tylko zapach kadzidła, chociaż je też mocno czuć. Wiesz, co mi to przypomina? Zapach kwiatów więdnących na grobie tydzień po pogrzebie.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Prawdę mówiąc, niemal zacząłem żałować, że w ogóle zdecydowałem się na rozmowę z księdzem Zapatą. Być może on naprawdę coś wyczuł. Ale z drugiej strony mógł mieć po prostu nierówno pod sufitem. Oczywiście, chciał dobrze, nie zamierzał nikomu szkodzić, ale nie zmieniało to faktu, że trudno było znaleźć sens w jego słowach.

Padł na kolana i zajrzał pod łóżko. Znowu wciągnął powietrze nosem i po chwili wyjął spod łóżka niewielki bukiet zwiędłych różowych róż. Było ich siedem, związanych cienkim, postrzępionym sznureczkiem.

Ojciec Zapata wstał i wyciągnął kwiaty w moim kierunku. Teraz i ja poczułem ich słaby zapach. Miał rację, wydzielały charakterystyczną woń.

– No i co? – zawołał.

Przyznaję, byłem pod wrażeniem.

– Ja ich tam nie wrzuciłem – stwierdziłem. – Bo niby po co? Nigdy w życiu nie widziałem tych kwiatów. Ostatni razem kupowałem kwiaty w liceum, kiedy szedłem z Zoë Salinger na bal kończący rok szkolny.

– Och, przecież nie twierdzę, że to ty podrzuciłeś te kwiaty – powiedział ojciec Zapata. – Prawdopodobnie zostały wrzucone przez lufcik i potoczyły się pod łóżko. To właśnie róże spowodowały, że zakonnica pojawiła się w twojej sypialni. Mamy do czynienia z klasycznym objawem syndromu Loudun.

– Już wcześniej ojciec o nim mówił. Właściwie co to takiego, do diabła?

– To bardzo skomplikowane. Później spróbuję ci to wyjaśnić. Przede wszystkim musimy się zająć tym bukietem i oczyścić twoją sypialnię.

– Tak, jasne – przytaknąłem.

Zaczynałem już całkiem na poważnie wierzyć, że w różańcu ojca Zapaty zabrakło swojego czasu kilku paciorków.

Tymczasem ksiądz przeszedł do salonu i po chwili wrócił z torbą, z której wyciągnął lśniący srebrny krzyż, butelkę wody ze srebrnym korkiem, miedzianą miskę oraz grubą żółtawą świecę.

– Ten krzyż pochodzi z Rzymu, poświęcił go sam papież. Świeca została wykonana z wosku pszczelego przez siostry urszulanki z klasztoru w Loudun, we Francji.

Z każdą chwilą rósł mój sceptycyzm; jestem pewny, że każdy z was byłby sceptyczny, gdyby jakiś przystojny młody ksiądz znalazł pod waszym łóżkiem pęk róż i powiedział prosto z mostu, że należy odprawić nad nimi egzorcyzmy.

Ojciec Zapata odezwał się po dłuższej chwili:

– Zamierzam teraz zapalić świecę i skropić kwiaty, tak żeby pokryła je twarda skorupa wosku. W ten sposób zamknę złość, jaka wciąż w nich tkwi. Wtedy zabiorę je i spalę, zgodnie z właściwym obrzędem.

– Rozumiem.

Ojciec Zapata zdjął koloratkę i zaczął rozpinać guziki koszuli.

– Kiedy skończę, pokój będzie oczyszczony. Przed wyjściem podam ci listę środków, które możesz stosować każdego wieczoru, żeby zapobiec podobnym wizjom w przyszłości. To będą krótkie inwokacje do wygłaszania, zioła, które będziesz mógł przybić do drzwi, i inne podobne, proste, ale skuteczne środki.

– Ojcie... – zacząłem.

Miałem zamiar mu powiedzieć, że ani przez chwilę nie wątpię w jego dobre intencje, ale nie rozumiem, o czym on w ogóle mówi. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że pęk zwiędłych kwiatów może dla kogokolwiek stanowić jakieś zagrożenie. Wyobrażałem sobie, że należy je po prostu wyrzucić do śmietnika. Poza tym, dlaczego się rozbiera? Jezu... teraz zaczął rozpinać także spodnie.

Zdjąwszy je, popatrzył na mnie poważnie. Miał teraz na sobie tylko bokserki i czarne skarpetki. Był chudy jak każdy kolarz, miał owłosioną klatkę piersiową i muskularne nogi.

– Rytuał tego oczyszczenia wymaga, żebym był zupełnie nagi. Moja nagość mówi siłom zła, że jestem otwarty i czysty i że nie mam nic do ukrycia. Jestem dumny z tego, że właśnie takim stworzył mnie Bóg, i nic nie może mnie zawstydzić.

– Rozumiem – powiedziałem powoli, z zastanowieniem.

Ogarniały mnie coraz większe wątpliwości. Miałem tylko nadzieję, że niespodziewanie nie wpadnie do mnie teraz moja dziewczyna, Sandy. W mojej własnej sypialni zastałaby mnie w towarzystwie młodego księdza, gołego jak święty turecki, a przecież dostatecznie już się wkurzała za każdym razem, kiedy oglądałem się za jakąś ładną kobietą. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak zareagowałaby na nagiego ojca Zapatę.

Tymczasem ksiądz zdjął bokserki, usiadł na wygniecionej pościeli i pozbył się skarpetek.

– A... co ja mam właściwie robić? – zapytałem go. – Może powinienem przejść do salonu i pozostawić ojca w samotności?

– Nie, nie! Twoja obecność jest bardzo ważna! Postaram się odpędzić od ciebie demona, musisz jednak być razem ze mną, żeby mógł cię rozpoznać.

– Demona? Wcześniej ojciec ani słowem nie wspominał o demonie.

– Ale to nie jest demon z rogami i ogonem, Harry, jeśli coś takiego chodzi ci po głowie. Używam tego słowa tylko dlatego, że nie wiem, jak inaczej nazwać zło, które sobie ciebie upatrzyło. To jest nikczemna zjawa i słowo „demon” doskonale do niej pasuje.

– Cóż, to ojciec jest ekspertem. Tylko proszę się pośpieszyć. Jestem umówiony z wieloma klientami i już mam spóźnienie.

– Harry, jest bardziej niż prawdopodobne, że zakonnica, która zjawiała się w twojej sypialni, jest zwiastunem straszliwej katastrofy. Być może mnóstwo ludzi straci życie. A może nastąpi coś znacznie gorszego? W porównaniu z tym kilka przepowiedni, których nie wygłosisz, to naprawdę małe piwo.

– Mam też nadzieję, że moje karty wrócą do dawnej postaci, bo jeśli nie, to nie ma mowy, żebym jeszcze komuś coś przepowiedział.

– Proszę cię, Harry. Czeka mnie bardzo trudne zadanie i muszę się skoncentrować. Po prostu usiądź i obserwuj wszystko w milczeniu. Nic więcej.

Niechętnie usiadłem na wiklinowym krześle, które nieprzyjemnie zatrzęszczało, i czekałem na to, co miało nastąpić.

Ojciec Zapata siedział na skraju łóżka i ustawił pomiędzy swoimi stopami miedzianą miskę. Wyciągnął z torby pudełko zapalek i zapalił świecę, a potem uniósł pęk róż na wysokość twarzy i wbił w nie wzrok.

Pomyślałem, że nawet gdybym chciał, nie wymyśliłbym czegoś takiego. Kiedy Kathleen o tym usłyszy, umrze ze śmiechu.

– Zaklinam cię, nikczemny duchu, odejdz stąd – zaczął ojciec Zapata. – W imię Boga Ojca, wzywam cię, opuść ten dom. W imię Syna Bożego, mówię do ciebie, odejdz. W imię Ducha Świętego, rozkazuję ci, porzuć to miejsce.

Zapata powoli obrócił bukiet, kierując kwiaty ku dołowi, wreszcie włożył go do

miedzianej miski tak, że wystawały z niej jedynie kruche łydki. Następnie pochylił świecę nad miską. Wosk zaczął kapać na zwiędnięte, brązowiejące płatki róż.

– Ponieważ to Bóg ci nakazuje. Ponieważ to ja ci nakazuję. Ustąp mi, w imię Jezusa z Nazaretu, który oddał za ludzi swoją duszę, w imię Maryi, Jego Matki. Żądam, abys odstał od tego, na którego rzuciłeś urok, i żebyś do niego nigdy nie powrócił. Amen.

– Amen – dodałem, jakby to mogło cokolwiek pomóc.

– Opuścisz miejsce, które zbrukałeś swoimi miazmatami. Opuścisz je i nigdy nie wrócisz, by grozić temu człowiekowi ani jego krewnym, ani nikomu, kto jest mu bliski.

– Amen – wtrąciłem.

Wosk ze świecy kapał na róże, a tymczasem ojciec Zapata zaczął coś mruczeć pod nosem. Jego słowa brzmiały mniej więcej tak: „Idź-i-nigdy-idź-i-nigdy-idź-i-nigdy-idź-i-nigdy...”. Nie słyszałem jednak słów „nie wracaj”.

Właśnie wtedy zacząłem czuć, że atmosfera w sypialni staje się dziwnie napięta. W pierwszej chwili pomyślałem, że to po prostu zmęczenie robi swoje. Stopniowo jednak robiło się coraz zimniej, mimo że powietrze nadal było ciężkie i wilgotne. Trudno to opisać, ale odniosłem wrażenie, że został zakłócony spokój jakiegoś bytu – jakby ojciec Zapata kogoś lub coś zbudził i teraz to coś przysłuchiwało się nam, niezadowolone z naszej obecności.

„To jest nikczemna zjawia i słowo «demon» doskonale do niej pasuje”, przypomniałem sobie słowa ojca Zapaty.

Wosk ze świecy uparcie kapał, a ksiądz kontynuował murmurando, powtarzając: „Idź-i-nigdy-idź-i-nigdy-idź-i-nigdy-idź-i-nigdy”. W pewnej chwili usłyszałem dziwny odgłos, ni to zgrzyt, ni to drapanie. Zabrzmiało to tak, jakby ktoś, kto nie ma pojęcia o grze na skrzypcach, zaczął nagle przesuwac smyczkiem po strunach, tyle że dźwięk ten trwał bez przerwy i z każdą sekundą stawał się coraz bardziej przenikliwy.

Nie chciałem teraz przerywać obrzędu. Pomyślałem, że mógłbym coś schrzanić i ksiądz musiałby wszystko zaczynać od początku, a może w następstwie mojego nieostrożnego zachowania egzorcyzmy w ogóle by się nie udały. Nadal więc tkwiłem



bez ruchu na krześle, chociaż przenikliwy dźwięk boleśnie drażnił moje uszy.

Tymczasem ojciec Zapata najpierw się pochylił, żeby sprawdzić, czy wosk kapie dokładnie na płatki róż, a potem wyprostował się i wbił wzrok w ścianę. Miał teraz szkliste oczy jak zahipnotyzowany. Być może wpadł w jakiś trans religijny i dlatego powtarzał w kółko te same słowa. Wiele lat temu spróbowałem LSD i jak później opowiadali mi koledzy, śpiewałem Good – Good – Good Vibrations, przez pięć i pół godziny. Możecie mi wierzyć, w ten sposób nie zdobywa się kumpli.

Po chwili zaczęły się dziać bardzo dziwne i niepokojące rzeczy, tak jakby dotychczas cały ten obrzęd nie był wystarczająco dziwny i niepokojący. Przede wszystkim ksiądz ustawił świecę pionowo. Była wykonana z naturalnego wosku, więc paliła się bardzo szybko i gorące, tężejące krople spływały prosto na jego palce. Jakby tego było mało, uniósł lewą rękę i trzymał ją nad ogniem w taki sposób, że płomień zaczęły lizać mu palce. Gapiłem się na niego z przerażeniem, jednak on nawet nie mrugnął. W absolutnym milczeniu przypalał sobie dłoń.

W rzeczy samej, płomień jakby nie sprawiał mu bólu, natomiast zaczął go podniecać. Jego penis zaczął sztywnieć. Wkrótce objawił się w całej okazałości – cholernie twardy, lekko zakrzywiony, z purpurową główką.

Właściwie miałem już się zerwać z krzesła i wyrwać mu z ręki świecę, żeby przestał zadawać sobie ból, ale widok jego wzwołu sprawił, że się zawahałem. Pomyślałem, że przypalanie dłoni jest pewnie częścią obrzędu. Być może ksiądz musi zaznać zarówno bólu, jak i rozkoszy, żeby wypędzić demona, niezależnie od modlitwy. Może doświadczenia z własnym ciałem są konieczne, żeby mógł przepędzić zło? Czytałem przecież o mnichach, którzy jadal surowe, krwiste mięso, żeby karać własne podniebienia, albo biczowali się drutem kolczastym. Może ojciec Zapata musiał uczynić coś podobnego? Cóż, nie wiedziałem tego. Doskonale rozumiałem, co należy zrobić, żeby skutecznie posłać Indianina do Krainy Wiecznych Łowów, jeśli jednak chodzi o moje doświadczenie z egzorcyzmami Kościoła katolickiego, opierało się ono wyłącznie na filmie Egzorcysta, w którym dziewczynka o imieniu Regan bez przerwy się wydzierała, aż bolały mnie uszy.

Wciąż się zastanawiałem, co robić, gdy ksiądz uniósł dłoń znad płomienia i ścisnął

knot świecy palcem wskazującym i kciukiem. Popatrzyłem na róże. Niczego już nie rozumiałem. Czyż nie powiedział mi wcześniej, że ma zamiar kompletnie zalać je woskiem ze świętej świecy, aby zamknąć zło, które w nich tkwiło? W tej chwili do ich całkowitego zalania naprawdę jeszcze wiele brakowało.

– Ojcie – powiedziałem, chociaż wątpiłem, żeby mój głos mógł się przebić ponad przenikliwy zgrzyt nadal rozlegający się w sypialni; nawet jeśli ksiądz mnie usłyszał, zignorował moje słowa. – Ojcie... Czy to... czy to wszystko właśnie tak się powinno odbywać?

Ale on milczał. Zamiast mi odpowiedzieć, rzucił się plecami na łóżko. Kiedy świeca wypadła z jego dłoni i potoczyła się na podłogę, uznałem, że tego już za wiele, i wreszcie wstałem.

W tym samym momencie ojciec Zapata zarzucił nogi za głowę i zaczął się kołysać – do przodu i do tyłu. Nie miałem pojęcia, do czego zmierza, dopóki nie stanąłem przy łóżku. Zobaczyłem, że wsunął sobie do ust swój sztywny członek i patrzył na mnie z wyrazem twarzy, który potrafiłem określić wyłącznie jako desperacki.

Pomyślałem, że powinienem natychmiast zepchnąć go z łóżka. A jednak stałem bez ruchu, obserwując, jak wykonuje sztuczkę rodem z cyrku pornograficznego.

Stałem tak, niestety, zbyt długo. Nagle ojciec Zapata zamknął oczy i ugryzł własny członek. Zacisnął na nim zęby tak mocno, że odgryzł żołądź i z członka trysnęła krew. Twarz księdza w jednej chwili przemieniła się w szkarłatną maskę. Krew była wszędzie, na pościeli, na podłodze, nawet na mojej koszuli.

Zapata nawet nie krzyknął. Jego nogi opadły z powrotem na pościel, a on znów leżał na łóżku z szeroko rozrzuconymi rękami. Zaczął gwałtownie drzeć, parskając przez nozdrza. Z przegryzionego penisa wciąż płynęła krew. Co mogłem teraz zrobić dla tego nieszczęśnika? Przyszło mi do głowy tylko jedno. Wyjąłem z miski zwiędłe róże, ściągnąłem z bukietu postrzępiony sznurek, którym był przewiązany, i jak opaskę uciskową zacisnąłem go mocno na kikucie penisa. Kiedy skończyłem, moje ręce były uwalane krwią aż po łokcie.

Z zakrwawionej koszuli wyciągnąłem telefon komórkowy i zadzwoniłem na numer alarmowy.

– Dziewięćset jedenaście – usłyszałem po chwili kobiecy głos. – O co chodzi?

– Potrzebuję karetkę. Orduna Drive numer 773, Triangle Park. Jestem w domku gościnnym na tyłach posiadłości. Mam tutaj mężczyznę, który stracił czubek penisa.

– Co stracił?

– Ma bardzo poważnie poranione przyrodzenie. Mocno krwawi. Próbowałem powstrzymać krwawienie, ale potrzebna mu jest fachowa pomoc, i to szybko.

– Proszę się nie rozłączać. Zaraz wyślę karetkę.

Nic więcej nie mogłem zrobić. Stałem i patrzyłem, jak ojciec Zapata wije się na łóżku, charczy i drży. Doprowadziłem do tego, że krew nie tryskała już z niego jak woda z hydrantu przeciwpożarowego, jednak wciąż się sączyła obficie na pościel.

Przyszło mi do głowy, żeby poszukać czubka penisa, który sobie odgryzł. Może chirurgom uda się go przyszyć? Zacząłem macać dłońmi po całym łóżku, ale nigdzie nie mogłem go znaleźć. Popatrzyłem na Zapatę. Miał wywrócone oczy – widać było tylko ich białka – a jego twarz szarzała z każdą chwilą. Nawet gdybym go zapytał, nie byłby w stanie odpowiedzieć mi, czy połknął czubek własnego członka.

Po długich minutach usłyszałem wreszcie wycie syreny. Ojciec Zapata leżał już zupełnie spokojnie. Oczy miał zamknięte, a usta otwarte; wcale nie byłem pewien, czy żyje.

Odwróciłem się, żeby podejść do drzwi, i w tym samym momencie dostrzegłem cień sylwetki, która przebiegała z kuchni do salonu. Znieruchomiałem i zawołałem:

– Kto tam?

Z pewnością nie mógł to być sanitariusz, ponieważ drzwi do domu były zamknięte.

Przez bardzo długą chwilę panowała absolutna cisza. Ustał nawet ten przenikliwy, denerwujący dźwięk. Czekałem i nasłuchiwałem.

– Jest tam kto? – zawołałem.

Wydawało mi się, że znowu dostrzegłem jakiś cień, tym razem w salonie.

Wciąż cisza. I nagle usłyszałem pukanie do drzwi, tak ciche, że prawie nie zwróciłbym na nie uwagi. Puk-puk-puk. Cisza. I znowu: Puk-puk-puk.

Boże, pomyślałem. Tylko nie to. To nie może się dziać naprawdę.

Wtedy zadzwonił dzwonek przy drzwiach i usłyszałem donośny głos:

– Pogotowie ratunkowe!

## ROZDZIAŁ 10

Anna mijiała właśnie szpitalną recepcję, kiedy usłyszała za sobą wyraźny męski głos:

– Profesor Grey?

Odwróciła się, próbując skupić wzrok, mimo że od błyszczącej marmurowej podłogi odbijały się promienie słońca i świeciły jej prosto w oczy. Miała za sobą długi, trudny dzień i czuła, że z każdą chwilą dopada ją coraz silniejsza migrena.

Wczesnym popołudniem Jim Waso znów ją namawiał, żeby poszła do domu, jednak odmówiła. Poza tym, że intensywnie pracując, nie myślała bezustannie o Davidzie, odnotowała postęp w badaniach nad wirusem z Meramac. Była przekonana, że wkrótce znajdzie sposób, żeby go wyizolować. Duża część jej sukcesów jako epidemiologa wynikała z tego, że zawsze traktowała wirusy, jakby były istotami myślącymi – być może obcymi, ale inteligentnymi i sprytnymi. Lubiła porównywać swoją pracę do pracy kryminologów, którzy z mozołem przenikają do umysłów seryjnych zabójców, a potem wykorzystują wzory ich zachowań do przechytrzenia ich.

Do Anny podszedł młody mężczyzna o szerokich ramionach, ubrany w ciemną marynarkę. Miał przystojną, dość niezwykłą twarz o indiańskiej urodzie. Oczy były szeroko rozstawione, a kości policzkowe wysokie. Lśniące czarne włosy miał związane w koński ogon. Wyciągnął do Anny rękę, jednak nie odpowiedziała na ten gest.

– Profesor Grey? Nazywam się Robert Machin. Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

– Dziękuję – odparła Anna. – Nie chcę być niegrzeczna, ale chyba pana nie znam. Nigdy dotąd się nie spotkaliśmy, prawda? Był pan przyjacielem Davida?

Robert Machin pokręcił przecząco głową.

– Niestety, nie miałem przyjemności go poznać. Jestem przedstawicielem Domu Pogrzebowego Grandier.

Anna przełknęła ślinę, żeby rozluźnić ściśnięte gardło.

– Zapewne pan wie, że mój partner odszedł z tego świata zaledwie dzisiejszej nocy. Od jego śmierci nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny.

– Tak, wiem i mam nadzieję, że nie weźmie mi pani za złe, że tak szybko nawiązuję kontakt. Nasza firma działa od niedawna i dlatego ceny naszych usług są bardzo konkurencyjne w porównaniu z tymi, które proponują inne domy pogrzebowe funkcjonujące na tym terenie.

– Rozumiem – odparła Anna.

Bezpośredniość młodego człowieka rozdrażniła ją, ale ze zdziwieniem zauważyła, że przyniosła jej też ulgę. Rozumiała, że po tym, co widziała i słyszała po śmierci Davida, jego ciało powinno zostać pochowane jak najszybciej. Miałaby wtedy pewność, że spoczywa on w spokoju, i nawet jeśli w nim tkwi coś złego, to nie będzie go już dłużej niepokoiło i zostanie pogrzebane razem z nim.

Głęboko westchnęła i powiedziała:

– Nie czytałam jeszcze jego ostatniej woli, ale powiedział mi kiedyś, że chciałby zostać skremowany.

– Oczywiście – odpowiedział natychmiast młody człowiek. – Możemy zająć się absolutnie wszystkim. Uroczystością pogrzebową według dowolnego obrządku. Skremowaniem lub pochówkiem zwłok, zależnie od pani decyzji. Zapewnimy oprawę muzyczną, z taśmy lub na żywo. Samochody, nagrobek. Kwiaty. W pełni rozumiemy, jak trudny i bolesny jest to dla pani czas. Zapewniam, że może nam pani zaufać. Wszystko wykonamy z największą starannością.

– Będę musiała porozmawiać z rodzicami Davida – zauważyła Anna. – Mieszkają w Boise i być może zechcą, żeby pogrzeb odbył się właśnie tam.

– To nie będzie problemem – powiedział Robert Machin. – Zaczniemy przygotowania tutaj, a później skontaktujemy się ze współpracującą z nami firmą w Boise.

– Muszę się jeszcze nad tym zastanowić – stwierdziła Anna. – Ma pan wizytówkę?

Robert Machin wyciągnął z kieszeni niewielki portfel, po czym podał Annie swoją wizytówkę. Przeczytała adres wytłoczony czarną kursywą: Dom Pogrzebowy

Grandier, Gravois Road nr 1001, St Louis. Z wyrazami współczucia. Pod adresem widniał, także wytłoczony, miniaturowy rysunek, przedstawiający bukiet różowych róż.

– Proszę do nas zadzwonić – powiedział Robert Machin. – Nie będzie pani żałować, obiecuję.

Pożegnał się z Anną i odszedł. Kiedy dotarł do windy, odwrócił się i pomachał do niej, jakby był pewien, że już się zdecydowała na współpracę. Nie zareagowała. Stała i patrzyła, jak młody mężczyzna wsiada do windy i zasuwają się za nim drzwi. Jeszcze raz popatrzyła na wizytówkę. Nie potrafiła tego logicznie wytłumaczyć, czuła jednak, że jeśli zatelefonuje do Roberta Machina i zgodzi się na skorzystanie z usług Domu Pogrzebowego Grandier, jej życie przyjmie zupełnie nowy kierunek.

Zawsze kierowała się intuicją. Między innymi dlatego była tak dobra w zwalczaniu wirusów, nawet kiedy próbowały wywieść ją w pole. Jednak nigdy dotąd nie miała tak silnego wrażenia, że być może czeka ją zupełnie nowa przyszłość, a zależy ona tylko od tego, jaką decyzję podejmie w sprawie zwłok Davida.

Nadal stała przed recepcją, wpatrując się w bukiet róż wytłoczony na wizytówce, kiedy usłyszała za sobą stukot obcasów. Epiphany przystanęła za nią i dotknęła jej ramienia. Anna wiedziała, że to ona. Zdradził ją zapach perfum marki Sarah Jessiki Parker, których Epiphany używała.

– Wszystko w porządku, Anno?

– Co takiego? Och tak, wszystko jest w najlepszym porządku. Po prostu się zamyśliłam.

– Masz jakieś plany na wieczór? Chyba nie będziesz sama?

– Będę sama i tego właśnie chcę. Nie musisz się o mnie martwić. Muszę uporządkować myśli.

– Jesteś pewna? Mogłabyś przyjść do mnie. Na kolację mam tylko risotto, ale podejmę cię z wielką ochotą.

– Bardzo ci dziękuję za zaproszenie, ale wolę dzisiaj być sama. Muszę w spokoju pomyśleć.

Epiphany wzruszyła ramionami.

– Moja babcia często mawiała, że myślenie to diabelski wynalazek.

– Naprawdę? – Anna nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. – Dlaczego tak uważała?

– Człowiek, który za dużo myśli, zdręcza się pytaniami o swoją przyszłość, zamiast zdać się na to, co przygotował mu dobry Bóg. Często nie prowadzi to do niczego dobrego.

– Zdaje się, że twoja babcia była bardzo podobna do mojej – stwierdziła Anna. – Moja codziennie czytała jeden rozdział z Biblii. Potrafiła cytować Apokalipsę świętego Jana od początku do końca. – Umilkła i nagle niczym kaznodzieja uniosła rękę, próbując przypomnieć sobie właściwe słowa pisma: – „I w owe dni ludzie szukać będą śmierci, ale jej nie znajdą, i będą chcieli umrzeć, ale śmierć od nich ucieknie”[1].

– O cholera – westchnęła Epiphany.

– Nie musisz mnie tak podziwiać. Więcej nie pamiętam ani słowa.

– Mimo wszystko jestem pod wrażeniem. Ja nawet nie pamiętam Ojciec nasz.

Wyszły na zewnątrz i skierowały się na parking. Powietrze było bardzo ciepłe. W pewnej chwili pod szpitalną izbę przyjęć podjechał ambulans, błyskając światłami. Anna nie zwróciła na pojazd uwagi; karetki na sygnale stale przywoziły tutaj pacjentów. Pożegnała się z Epiphany i ruszyła do samochodu. Kiedy otworzyła drzwi, zaterkotał jej telefon komórkowy. To był Rutgers.

– Anna? Jesteś jeszcze w szpitalu?

– Właśnie miałam wyjechać. O co chodzi, Henry?

– Przywieźli kolejną ofiarę ze znanymi ci objawami. To kobieta w wieku trzydziestu czterech lat, kierowniczka działu sprzedaży z jakiejś firmy w Dayton w Ohio. Ma drgawki i wymiotuje krwią.

– Boże...

– I jest coś jeszcze, Anno. Ona też ma na ciele wyraźne ślady po ugryzieniach. To pluskwy.

– Jesteś pewien?

– Nie mam cienia wątpliwości.



Anna zatrzasnęła drzwi samochodu i nacisnęła guziczek na pilocie, żeby go zamknąć.

– Zaraz idę. Gdzie jesteś?

Doktor Rutgers czekał na nią w pokoju, w którym lekarze przebierali się przed przystąpieniem do zabiegów, sąsiadującym z salą operacyjną oddziału ratunkowego. Białe włosy miał potargane, jakby jeszcze przed chwilą zmagął się z huraganem.

– Jest w stanie krytycznym – powiedział. – Szczerze mówiąc, bardzo wątpię, żeby z tego wyszła.

Anna popatrzyła przez przyciemnione okienko w drzwiach prowadzących na salę operacyjną. Zobaczyła dwóch lekarzy i trzy pielęgniarki pochylone nad stołem operacyjnym.

Szybko umyła ręce, po czym wyjęła z szafy i włożyła bładoniebieski fartuch operacyjny.

– Krwawi jeszcze bardziej niż twój David i ten drugi nieszczęśnik, jak on się nazywał, Bridges. Wygląda na to, że doszło do uszkodzenia głównych naczyń krwionośnych w obrębie jamy brzusznej. Drgawki też są bardziej gwałtowne niż w poprzednim przypadku.

– W którym miejscu znajdują się ślady po ukąszeniach? – zapytała Anna, chowając włosy pod wzorzystym czepkiem. Zasłoniła usta maską chirurgiczną i naciągnęła na dłonie lateksowe rękawiczki.

– Najgorsze są tutaj. – Rutgers wskazał swoje lewe ramię tuż nad łokciem. – Siedem śladów powyżej łokcia i pięć poniżej. Być może jest ich więcej, jednak przez te drgawki nie mogłem jej dokładnie obejrzeć.

– Skąd ją przywieziono?

– Z Gateway Inn przy dworcu kolejowym. Wiem o niej tylko tyle, że przyjechała służbowo. Jest z nią koleżanka z pracy. Czeka w poczekalni dla rodzin.

– Musimy poinformować o wszystkim miejskie służby sanitarne. To może być początek epidemii.

– Już to zrobiłem. Wkrótce zjawi się tu Phil Magruder i jacyś specjaliści od pluskiew z ESSENCE.

ESSENCE, czyli Early Notification of Community-Based Epidemics, była instytucją monitorującą zagrożenia sanitarne w mieście. W ciągu ostatnich dwóch dni Annę trzykrotnie odwiedzali ludzie z ESSENCE, w związku z jej pracą nad wirusem, który wywołał objawy choroby u dzieci ze szkoły Meramac. To właśnie ta instytucja nakazała zamknięcie szkoły do odwołania oraz izolowanie dzieci z podwyższoną temperaturą.

– Jeden Bóg wie, co się stanie, jeśli to naprawdę sprawka pluskiew – powiedziała Anna. Stanęła na chwilę przed lustrem i poprawiła czepek. – Będzie pewnie trzeba zamknąć połowę hoteli w tym kraju.

– Wiesz co? – odezwał się doktor Rutgers. – Na samą myśl o tym zaczyna mnie swędzieć całe ciało.

Weszli do sali operacyjnej. Kobieta na stole była dosłownie skąpana we krwi. Włosy lepiły się do jej czaszki niczym lśniący, krwisty czepek kąpielowy, a na jej twarzy widać było mnóstwo szkarłatnych smug. Pielęgniarki próbowały przypiąć ją pasami do stołu. Kobieta rzucała się na wszystkie strony i wymachiwała dziko rękami. Za każdym razem, gdy jej plecy wyginały się w łuk, z ust tryskała fontanna świeżej krwi.

W pewnej chwili kobieta uspokoiła się trochę i próbowała coś powiedzieć. Anna obeszła stół operacyjny i pochyliła się nad jej twarzą. Jej oczy były szeroko otwarte, malowało się w nich skrajne przerażenie. Bezustannie otwierała i zamykała usta, z trudem łapiąc oddech.

Po długich zmaganiach zdołała wycharczeć:

– We mnie! Ona jest we mnie! Proszę, wyciągnijcie ją! O Boże! Ona jest we mnie!

Jedna z pielęgniarek zdołała unieruchomić jej głowę. Druga podłożyła pod nią grubą piankę i gumowym pasem przymocowała głowę do stołu. W tym momencie ciało kobiety jeszcze raz gwałtownie zadrżało i znieruchomiało. Wysoki, jednostajny pisk kardiomonitora wskazał, że serce przestało bić.

– Tracimy ją!

Pielęgniarka natychmiast przyciągnęła defibrylator na wózku, a jeden z lekarzy przycisnął elektrody do piersi kobiety. Kilkakrotnie poddał ją elektrowstrząsom, za

każdym razem wołając: „Strzelam!”, jednak po pięciu próbach kobieta nadal nie dawała oznak życia.

– Straciła zbyt dużo krwi – orzekł Rutgers, kręcąc głową. – Chyba nic więcej nie możemy już zrobić.

– Godzina śmierci dziewiętnasta zero trzy – powiedział chirurg, oddając elektrody pielęgniarce, która stała za jego plecami.

Skierował się do drzwi, po drodze zdejmując maskę z twarzy. Anna знаła go dobrze. Był to Syryjczyk, doktor Farage. Miał mały wąsik i smutne brązowe oczy, które z pewnością widziały już niejedną tragiczną śmierć.

– Nigdy dotąd nie spotkałem się z takim przypadkiem – powiedział. – A pracuję na oddziale ratunkowym już dwadzieścia siedem lat. Oczywiście miałem do czynienia z krwotokami, których nie byłem w stanie powstrzymać. Ale żeby takie krwawienie wywołał wirus? Czegoś takiego nie widziałem nawet w przypadku gorączki krwotocznej.

– Czy coś mówiła, zanim weszłam? – zapytała go Anna.

– Na początku próbowała coś powiedzieć, ale krwawienie było tak intensywne, że nie mogła nawet oddychać. Zapytałem, co według niej mogło być przyczyną choroby, może coś zjadła albo wypła... Ale ona wyszeptała tylko, że jakaś kobieta próbowała wkraść się do jej ciała. Nie mam pojęcia, co to mogło znaczyć.

– Obaj nasi poprzedni pacjenci mówili coś podobnego – poinformowała go Anna. – Ja również nie wiem, o co w tym chodzi, jednak obaj usilnie twierdzili, że znaleźli się w nich ktoś inny i próbuje ich wyrzucić z ich własnych ciał.

Nie dodała, że zarówno David, jak i John Patrick Bridges powiedzieli jej o tym, kiedy już stwierdzono zgon.

Doktor Farage zaczął ściągać lateksowe rękawiczki.

– Oczywiście mamy do czynienia z urojeniami.

– Może to jakaś mutacja gorączki Lassa albo wirusa Marburg? – odezwał się doktor Rutgers. – Wiemy, że normalnie pluskwy nie przenoszą tych wirusów na ludzi. Ale nie możemy wykluczyć, że tym razem chodzi o ich nowe odmiany, którymi mogą zakażać ludzi.

– W tej chwili nie możemy jeszcze powiedzieć, że choroba tych trojga została przeniesiona przez pluskwy – zauważyła Anna. – Fakt, że cała trójka została pogryziona przez pluskwy, może być po prostu przypadkowy. W końcu pluskwy są w większości hoteli i moteli w całej Ameryce. Henry, trzeba pobrać próbki do badań. Od razu się nimi zajmę. Tymczasem porozmawiam z przyjaciółką tej nieszczęsnej kobiety, przede wszystkim przekażę jej smutną wiadomość.

Anna podeszła do stołu operacyjnego i przez długą chwilę przyglądała się martwej kobiecie. Jej twarz – inaczej niż u Davida i Bridgesa – była spokojna.

Rutgers podszedł do Anny. Do tekturowej podkładki, którą trzymał w dłoniach, miał przypięte kartki z notatkami.

– Mary Belling Stephens – powiedział. – Wiek: trzydzieści cztery lata, kierownik działu sprzedaży w Infinity Software Systems, zamieszkała w Dayton w stanie Ohio.

Anna zauważyła złotą obrączkę na serdecznym palcu jej lewej ręki i poczuła ukłucie żalu. Łóżko Mary Belling Stephens będzie dzisiaj puste, a ona sama nigdy już nie włoży żadnej z sukienek wiszących w jej garderobie.

Zdjęła fartuch, po czym zjechała windą na parter. W windzie patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Była bardzo blada i wyglądała na skrajnie zmęczoną. Czuła pustkę i wyczerpanie. Zawsze tak było, gdy zmarł jej pacjent, tak jakby bezskuteczna walka o czyjeś życie wysysała z niej ogromne zasoby energii. Każdy lekarz inaczej reaguje na taki stres.

W poczekalni dla rodzin panowała cisza, słychać było tylko delikatne bulgotanie wody w akwarium z tropikalnymi rybami. W pomieszczeniu siedziały dwie osoby: czarnoskóry Amerykanin z zatroskaną miną, ubrany w niebieską koszulkę z reklamą opon samochodowych, oraz młoda kobieta o kręconych rudych włosach, ubrana w elegancki zielony kostium biznesowy, upstrzony z przodu rdzawymi plamami, niewątpliwie śladami krwi.

– To pani jest zapewne przyjaciółką Mary Stephens? – odezwała się Anna. – Dzień dobry. Jestem profesor Anna Grey.

Młoda kobieta natychmiast zerwała się na równe nogi.

– Co z nią? Wyzdrowieje, prawda?

– Proszę usiąść – zaproponowała Anna.

– Co takiego? – Kobieta nie posłuchała Anny. Kiedy zrozumiała, powoli uniosła rękę i zakryła usta dłonią.

– Naprawdę, jest mi bardzo przykro – powiedziała Anna. – Lekarze zrobili wszystko, co leżało w ich mocy, żeby ją uratować.

W oczach kobiety zalśniły łzy.

– O nie – jęknęła. – Nie, nie. Nie wierzę. Tylko nie Mary. Przecież ona zawsze była taka pełna życia! Wesoła, roześmiana! Wszyscy ją kochali. Co teraz zrobi Alex? Boże, a dzieci?

Teraz dopiero usiadła. Anna zajęła miejsce na krześle obok niej i ujęła ją za rękę.

– W tej chwili nie wiemy jeszcze, co było przyczyną zgonu. Miała gwałtowne drgawki, gorączkę i krwotok. Bezpośrednią przyczyną jej śmierci była niewydolność krążenia i utrata krwi.

– Ale to się stało tak nagle! – Młoda kobieta rozplakała się. – Przecież doskonale się czuła i prowadziła wykład. W pewnym momencie zakaszła i poplamiła bluzkę krwią. Po chwili przewróciła się na podłogę, zaczęła wierzgać nogami, trząść się i wymiotować krwią.

– Przeprowadzimy badania i na pewno dowiemy się, co było tego przyczyną – obiecała Anna. – Tymczasem chciałabym, żeby powiedziała pani uczestnikom konferencji, że jeśli ktoś źle się poczuje, powinien natychmiast przyjechać do naszego oddziału ratunkowego. Miejskie służby sanitarne udzielą informacji, jakie środki zaradcze powinniście przedsięwziąć. Być może część z was będzie musiała odbyć kwarantannę. Chciałabym panią o coś zapytać. Została może pani przez coś pogryziona, ukąszona?

Młoda kobieta zmarszczyła czoło i uważnie popatrzyła na Annę.

– Pogryziona? Nie rozumiem.

– Czy ma pani na ciele ślady ukąszeń? Pogryzły panią jakieś owady? Może coś panią swędzi?

Młoda kobieta pokręciła głową.

– Nie. Nic z tych rzeczy. Dlaczego? Sądzi pani, że Mary została śmiertelnie

pogryziona przez jakieś komary albo inne owady?

– To możliwe, ale jeszcze za wcześnie, żeby o tym mówić. Po prostu rozpatrujemy różne ewentualności. Jeśli zna pani adres pani Stephens, skontaktujemy się z jej rodziną i zawiadomimy, co się stało. Nasza placówka dysponuje zespołem doskonałych psychologów, którzy potrafią otoczyć opieką rodziny zmarłych.

Młoda kobieta pokiwała głową. Widać było, że jest zdruzgotana. Wyciągnęła z kieszeni telefon komórkowy.

– Mam tutaj adres Mary – stwierdziła i zaczęła go szukać. Po chwili podniosła głowę. – Muszę pani o czymś powiedzieć. Przed wyjściem Mary narzekała, że dziwnie się czuje.

– Dziwnie? Powiedziała coś więcej?

– Tak, ale nic z tego nie zrozumiałam. Mówiła coś o tym, że chce się modlić o przebaczenie. To mnie zaskoczyło, bo Mary nie była religijna. Zapytałam ją, dlaczego potrzebuje przebaczenia, a ona tylko się roześmiała i odparła: „Bo chyba byłam niegrzeczna”.

Anna miała na końcu języka pytanie, czy Mary Stephens rzeczywiście zrobiła coś, co można by uznać za „niegrzeczne”, może miała romans albo źle się odnosiła do kolegów w pracy, uznała jednak, że nie jest to najlepszy moment na takie dociekania. Poza tym, nawet jeśli Mary naprawdę uczyniła coś, co wywoływało u niej wyrzuty sumienia, z pewnością nie to było przyczyną choroby.

– Zaraz zajmie się panią ktoś z naszego zespołu wspierania rodzin pacjentów – powiedziała do młodej kobiety. – Znajdę pani coś do przebrania. Jak na jeden dzień dosyć miała już pani do czynienia z krwią.

[1] Ap 9,6. Biblia Tysiąclecia, Pallottinum, Poznań–Warszawa 1971.

## ROZDZIAŁ 11

Anna wiedziała, że powinna pojechać do domu, wziąć prysznic, zjeść coś i wreszcie zasnąć. Jednak informacje młodej kobiety na temat Mary Stephens zaintrygowały ją. Dlaczego Mary czuła się winna – i to tak mocno, że pragnęła się modlić.

Poza tym Anna chciała osobiście zobaczyć miejsca po ukłuciu pluskiew, które opisał doktor Rutgers. Umyte ciało Mary Stephens powinno się już znajdować w kostnicy, istniała więc możliwość dokładnego obejrzenia zwłok.

Przyszło jej też do głowy, że drgawki wcale nie musiały być spowodowane chorobą wirusową. Pluskwy występowały w Stanach Zjednoczonych właściwie wszędzie, od prywatnych domów po hotele, dlatego więc setki albo i tysiące osób nie miało dotąd identycznych objawów jak trzy osoby w jej szpitalu? Przypomniała sobie pewien niemiecki raport medyczny na temat morderstw popełnianych przez wstrzykiwanie ofiarom pewnego środka chemicznego służącego do produkcji kart do brydża i filtrów papierosowych. Ofiary nie miały drgawek, umierały natomiast z powodu silnego krwotoku płucnego. Być może podobnie działający środek podany został Davidowi, Johnowi Patrickowi Bridgesowi i Mary Stephens. Być może ktoś chciał uśmiercić właśnie ich troje. Anna nie potrafiła sobie wyobrazić, dlaczego miałyby tego chcieć ani co łączyło te trzy osoby. Nie mogła jednak wykluczyć, że miały ze sobą coś wspólnego.

Skierowała się do kostnicy. Kiedy otworzyła drzwi, stwierdziła, że w środku nie ma nikogo, a pomieszczenie pogrążone jest w ciemności. Zapaliła światło; świetlówki przez chwilę mrugały, zanim zalały kostnicę jasnym blaskiem.

Anna podeszła do lodówki z szufladami, mieszczącej dziewięć ciał. Ręcznie zapisana kartka na jednej z szuflad podpowiedziała jej, że właśnie tam znajduje się ciało Mary Stephens. Wysunęła ją do samego końca, po czym uniosła zielone prześcieradło, które okrywało zwłoki.

Otwarte oczy kobiety wpatrywały się w pustkę. Ciało zostało już umyte i

przygotowane do sekcji.

Anna ściągnęła prześcieradło, odkrywając całe zwłoki. Mary Stephens miała wąską talię i drobne piersi, za to dość szerokie biodra.

Anna pochyliła się i cal po calu zaczęła oglądać ciało. Delikatnie przesuwała palcami po gładkiej, zimnej skórze. Szybko zlokalizowała siedem śladów po pluskwach na lewej ręce pod pachą, a następnie pięć na przedramieniu. Kolejne trzy widniały w zagłębieniu prawego kolana i jeszcze cztery przy prawej kostce.

Ostrożnie obróciła zwłoki na drugą stronę, lecz nie znalazła tam żadnych śladów po ugryzieniach pluskiew. Skóra poznaczona piegami wyglądała jak mapa nieba. Pomiedzy łopatkami kobieta miała wytatuowane szkarłatne serce otoczone wieńcem z zielonych liści oraz litery „M” i „A”. Pewnie inicjały imion Mary i Alex.

Anna znowu się pochyliła nad ciałem. W tym samym momencie Mary Stephens wydała długie, ciche westchnienie. Można było odnieść wrażenie, że wzdycha z niecierpliwością, Anna wiedziała jednak, że to tylko przemieszcza się powietrze, które zostało uwięzione w jej płucach.

Nie znalazła już więcej ranek po ugryzieniach ani żadnych śladów po ukłuciu, które by świadczyły, że Mary przyjmowała ostatnio jakieś zastrzyki. Anna pomyślała, że następnego dnia Rutgers zbada jej ciało milimetr po milimetrze, w silnym świetle i dużym powiększeniu, i z pewnością nie umkną mu żadne szczegóły.

Wzięła do ręki brzeg prześcieradła, gotowa ponownie przykryć zwłoki, gdy niespodziewanie usłyszała szept:

– Pieprz się, ty płacziwa suko!

Anna zamarła z dłońmi zaciśniętymi na prześcieradle. Popatrzyła na Mary Stephens, jednak wyraz jej twarzy wcale się nie zmienił. Oczy wciąż miała otwarte i nadal pustym wzrokiem wpatrywała się w sufit. Lampa umieszczona tuż nad jej głową odbijała się w jej oczach, które przypominały teraz raczej wąskie oczy jaszczurki, a nie człowieka.

– Pieprz się, ty suko – znów rozległ się szept. – Nie wiesz, z kim masz do czynienia, ty pieprzona smutna kreaturo. Możesz mi wylizać cipę, a potem wsadzić jęzor w dupę i polizać czubek mojego gówna.



Zszokowana Anna powoli naciągnęła prześcieradło na ciało. Jednak twarzy nie zakryła. Mary Stephens nawet nie mrugnęła okiem, jej usta też się nie poruszyły, a przecież Anna całkiem wyraźnie słyszała jej głos.

Stała bez ruchu, oddychając bardzo powoli i nasłuchując. Odniosła wrażenie, że w kostnicy robi się coraz zimniej, zaczęła wyraźnie wyczuwać zmiany w powietrzu, jakby ciśnienie w pomieszczeniu rosło z każdą chwilą. Usłyszała też słaby, monotony odgłos, jakby ktoś idący długim korytarzem ciągnął za sobą krzesło.

– Kim jesteś? – zapytała, patrząc w oczy Mary Stephens.

Kilkakrotnie machnęła przed nimi ręką, jednak martwa Mary ani nie mrugnęła.

Po chwili znowu usłyszała głos, wyraźniejszy i bardziej chrapliwy:

– Jeżeli jeszcze mnie nie znasz, pieprzona suko, to wkrótce mnie poznasz. Mam zamiar wypierdolić cię i cały twój pierdolony gatunek. Zamierzam ci wsadzić rękę w cipę aż po łokieć i przekonać się, jak głośno będziesz wrzeszczała.

Anna cofnęła się. Czuła, jak lodowate ciarki przesuwają się wzdłuż jej kręgosłupa, jakby ktoś powoli lał na jej kark strumyczek zimnej wody. Szept, który słyszała, był prawdziwy, nie miała co do tego wątpliwości. Nie wymyśliła go sobie.

– Myślałaś, że ci to wszystko ujdzie płazem, ty pieprzona dziwko. Posłuchaj, co ci powiem: nic nie kosztuje drożej niż to, za co człowiek nie płaci. Naszczam ci na twarz i będziesz musiała wypić mój mocz.

Anna nie miała już wątpliwości. Głos docierał gdzieś z głębi pomieszczenia. Przecież poza nią w kostnicy nie było nikogo żywego, w szufladach chłodni leżały jedynie zwłoki, a drzwi przez cały czas pozostawały zamknięte.

– No i co? Co masz mi do powiedzenia? – szeptał głos. – Chcesz prosić o przebaczenie za to, co zrobiłaś? Więc padnij na kolana, ty pieprzona suko, i błagaj o rozgrzeszenie!

Anna odwróciła się. Po przeciwnej stronie pomieszczenia znajdował się stół laboratoryjny służący do badania narządów podczas sekcji zwłok. Kiedy popatrzyła w tamtym kierunku, światła nad nim nagle rozbłysły i uruchomił się system wentylacyjny.

Przy stole Anna dostrzegła ciemną sylwetkę w stroju zakonnicy i w welonie

zasłaniającym twarz. Stała całkiem nieruchomo.

– Kim jesteś? – zapytała Anna. – Co tutaj robisz? Do kostnicy nie mogą wchodzić osoby nieuprawnione. To jest zakazane.

– Zakazane? – usłyszała chrapliwy szept. Wciąż nie była pewna, skąd dobiega, a przecież zakonnica stała naprzeciwko niej. – Co ty wiesz o zakazach, hipokrytka jedna? Ty i cały twój gatunek, co wy o tym wiecie? Kiedy na ciebie patrzę, wszystko mi się przewraca w pieprzonym żołądku.

– Do diabła, kim ty jesteś?! – zawołała Anna w odpowiedzi. Chciała, żeby jej głos brzmiał mocno, zdecydowanie, mimo że drżała na całym ciele i ogarniało ją irracjonalne przeczucie, że zakonnica zaraz na nią skoczy. – Jesteś siostrą zakonną? Prawdziwą siostrą zakonną? Pokaż mi swoją twarz.

– Czy jestem prawdziwą siostrą zakonną? Może zapytasz o to ojca Surina? Zapytaj tego głupiego pierdolca! On myśli, że jest bardzo sprytny! O tak! On naprawdę myśli, że jest bardzo sprytny!

– Lepiej idź stąd do diabła, natychmiast – powiedziała Anna rozkazującym tonem. – Idź stąd, idź z tego szpitala i trzymaj się od niego z daleka. Jeżeli mnie nie posłuchasz, wezwę ochronę.

– Czego ty się boisz, Anno? – wyszeptał głos.

Zabrzmiało bardzo blisko jej ucha, tak blisko, że gotowa była przysiąc, iż poczuła na policzku czyjś oddech. Zakonnica jednak wciąż stała przy stole.

– Boisz się duchów, które mogą przebywać wewnątrz ciebie? To cię przeraża, ty pieprzona dziwko? A przecież miałaś w sobie mnóstwo mężczyzn, prawda? Przypomnij sobie Jerry'ego! Dobrze cię pieprzył, z tyłu i z przodu, co? Szkoda tylko, że pieprzył również twoją najlepszą przyjaciółkę! A David? Przypomnij sobie, na co pozwalałaś Davidowi, ty pieprzona dziwko! Ale twój David odszedł na spotkanie ze Stwórcą, zgadza się? Dusze w duszach, Anno! Dusze w duszach dusz!

Anna wzięła do ręki pager błyskawicznego kontaktu, który miała zawieszony na szyi, ale zanim zdołała dotknąć przycisku informującego o niebezpieczeństwie, w kostnicy nagle zapanowała absolutna ciemność. W tej samej chwili usłyszała szuranie niezdarnie stawianych kroków i czyjeś kościste dłonie pchnęły ją do tyłu tak mocno,

że zatoczyła się na wózek stojący za jej plecami i straciła równowagę. Upadła, boleśnie uderzając się w prawe biodro. W tej samej chwili posypały się jej na głowę narzędzia chirurgiczne z wózka i z brzękiem upadły na posadzkę.

Anna spróbowała wstać. Kiedy chciała podeprzeć się ręką, trafiła dłonią na skalpel i boleśnie się zraniła. Zanim zdążyła się wyprostować, kościste dłonie znowu ją pchnęły. Tym razem padła na plecy i uderzyła głową o kafelki. Zobaczyła przed oczyma lśniące gwiazdki i poczuła, że za chwilę straci przytomność.

Kiedy leżała na plecach, ktoś na niej usiadł. Ten ktoś był bardzo kościsty, niczym wielki pająk, i kolanami przycisnął jej ramiona do posadzki. Anna nie miała wątpliwości, że to siostra zakonna, chociaż kostnica wciąż była pogrążona w absolutnej ciemności. Czuła dotyk materiału i bijącą od niego duszącą stęchliznę oraz słaby odór moczu.

– Tym razem nic nas nie powstrzyma przed zemstą – wyszeptał głos. – Ty chyba nie rozumiesz, Anno, jak bardzo i przez jak wielu jesteś znienawidzona. Ale w końcu dostaniesz to, na co zasługujesz. A teraz całuj mnie, ty pieprzona zdiro, i błagaj o litość.

Anna próbowała uwolnić ręce, lecz zakonnica – chociaż bardzo koścista – okazała się niewiarygodnie ciężka i próby oswobodzenia się były skazane na niepowodzenie. Mimo że Anna starała się walczyć ze wszystkich sił, nic to nie dawało, ponieważ zakonnica z każdą chwilą mocniej przyciskała ją do posadzki.

– Całuj mnie, ty suko! – powtórzył głos.

Po tych słowach zakonnica wsunęła szponiastą dłoń pod głowę Anny. Wbiła paznokcie w jej skórę i podniosła jej głowę tak gwałtownie, że omal nie złamała jej kręgosłupa, po czym przesunęła się do przodu i Anna poczuła, że jej usta przyciskają się do mokrego, cuchnącego owłosienia. Natychmiast zebrało jej się na wymioty; zdała sobie sprawę, że zakonnica wciska jej twarz pomiędzy swoje nogi.

– Całuj mnie, ty pieprzona suko! Całuj usta samego szatana! Wiesz, kim jestem? A wiesz, kim on jest? Całuj jego usta i błagaj go o przebaczenie!

Anna zacisnęła usta i zamknęła oczy, gdy kobieta lubieżnie ocierała się o jej twarz. W końcu zakonnica puściła głowę Anny; cuchnący habit zaszeleścił, kiedy z niej

schodziła. Anna wyczuła, że kobieta stanęła tuż obok niej.

Anna splunęła i wytarła rękawem twarz. Miała wielką ochotę wstać, jednak bała się reakcji zakonnicy. Spróbowała wymacać dłonią pager, ale go nie znalazła. Nie wyczuła nawet łańcuszka, na którym powinien wisieć. Prawdopodobnie zerwał się w czasie szamotaniny.

Odczekała dłuższą chwilę i w końcu doszła do wniosku, że zakonnica zniknęła. Anna nie słyszała jej odejścia, drzwi ani na moment się nie otworzyły, a jednak była pewna, że w pomieszczeniu nikogo nie ma. Wstała i po ciemku skierowała się w stronę włącznika światła. Szła z rękami wyciągniętymi przed siebie, żeby nie wpaść na ścianę.

W kostnicy nagle znowu zrobiło się jasno. Anna rozejrzała się dookoła i upewniwszy się, że zwłoki Mary Stephens wciąż spoczywają w otwartej szufladzie lodówki, podeszła do stołu laboratoryjnego. Odkręciła kran i przemyła twarz ciepłą wodą. W szafce pod stołem znalazła butelkę izopropanolu. Wlała sporą jego porcję do kubka, który wpadł jej w rękę, i wypłukała dokładnie usta, wypluła alkohol i z kolei przepłukała usta zimną wodą.

Stała przy zlewie z pochyloną głową, głęboko oddychając i próbując zrozumieć, co się stało. Jednego była pewna: z pewnością nie postradała zmysłów. Zakonnica zniknęła tak cicho i tajemniczo, jak się pojawiła, Anna jednak wiedziała, że nie była tylko wytworem jej wyobraźni. Narzędzia chirurgiczne rzeczywiście leżały porozrzucane na ziemi, a głowa wciąż bolała ją od uderzenia o posadzkę. Dotknęła ostrożnie obolałego miejsca i wyczuła, że rośnie jej guz.

Musiała koniecznie komuś o tym opowiedzieć – komuś, kto potrafiłby jej to wszystko wyjaśnić. W pierwszej chwili pomyślała, żeby pójść do Kena Fiedlera, szefa szpitalnego oddziału psychiatrycznego, ale była przecież zupełnie pewna, że z jej głową wszystko jest w porządku. Tymczasem Ken mógłby dojść do przeciwnych wniosków i gdyby stwierdził, że Anna straciła równowagę psychiczną, jego obowiązkiem byłoby poinformowanie władz szpitala. Teraz dopiero przyszło jej do głowy, że przed umyciem twarzy powinna była pobrać próbkę wydzieliny z pochwy zakonnicy. Jej analiza mogłaby wiele powiedzieć. A tak pozostała z niczym. O tym,

co zaszło, przypominał jej posmak izopropanolu, przypominający lakier do paznokci.

Anna doszła do wniosku, że nie potrzebuje psychiatry, ale raczej księdza, a może nawet jasnowidza.

Zaczęła zbierać z posadzki narzędzia chirurgiczne. Pomyślała, że powinna jak najszybciej powiedzieć Henry'emu Rutgersowi, że przypadkiem zrzuciła je na podłogę i że trzeba je ponownie wysterylizować. Kiedy ułożyła narzędzia na wózku, wróciła do zwłok Mary Stephens – kobieta wciąż patrzyła niewidzącymi oczami w sufit, ale jej usta były teraz szeroko otwarte, a na twarzy malował się wyraz skrajnego przerażenia. Anna czym prędzej dokładnie przykryła ciało i z powrotem wsunęła szufladę do lodówki.

Wyszła z kostnicy i udała się do recepcji szpitalnej. Słońce już zaszło i na dworze panował półmrok. Idąc do samochodu, Anna zastanawiała się, czy nie powinna poinformować szpitalnej ochrony o incydencie w kostnicy, postanowiła jednak tego nie robić.

Uznała, że najlepiej będzie, jeśli pojedzie do domu, uspokoi się i spróbuje racjonalnie pomyśleć nad ostatnimi wydarzeniami. Bo przecież musiało istnieć jakieś rozsądne wyjaśnienie tego, co ją spotkało.

Zaledwie tydzień wcześniej Anna czytała o badaniach prowadzonych na Uniwersytecie Stanowym w Michigan, które miały dowieść, że spadek stężenia tlenu i glukozy we krwi w chwili śmierci stymuluje aktywność mózgu i powoduje, że zmarły jest w stanie myśleć nawet po śmierci klinicznej. Dalsze badania mogłyby doprowadzić do wyjaśnienia zjawiska życia po życiu – gdy ludzie ocierający się o śmierć podążają w kierunku jaskrawego światła, a nawet widzą swoich zmarłych krewnych, czekających na nich po drugiej stronie.

W jej łofcie było chłodno i cicho. Nie było już Davida, nie będzie go tutaj ani dzisiaj, ani jutro, ani nigdy. Anna rzuciła torebkę i laptop na jedną z kanap i poszła do kuchni po szklaneczkę. Musiała się czegoś napić.

Włączyła telewizor, jednak natychmiast ściszyła głos do zera. Na ekranie Wendy Williams śmiała się z kolejnego gościa, którego zaprosiła do swojego programu, ale Anna chciała jedynie widzieć zmieniające się obrazy na ekranie i ludzkie twarze.

Dzięki temu nie czuła się wtedy tak bardzo samotna.

Usiadła na chwilę na kanapie, popijając wódkę i wciąż rozmyślając o incydencie w kostnicy. Zdarzenia przesuwały się w jej myślach jak obrazki w kinematografie. Widziała, jak zapalają się światła nad stołem laboratoryjnym, słyszała świst wentylatora. Widziała zakonnice w czerni stojącą bez ruchu, w czarnym welonie na głowie. Słyszała szeptane do ucha bluźnierstwa. Teraz, we własnym mieszkaniu, trochę już spokojniejsza, zdała sobie sprawę, że pamięta niemal każdą chwilę, którą spędziła w kostnicy, i każde obsceniczne słowo, które usłyszała, tak jakby zapisała je na taśmie.

Najbardziej frustrowało ją to, że zakonnica знаła jej imię i takie szczegóły z jej prywatnego życia, o których nie mieli pojęcia nawet najlepsi przyjaciele Anny.

Sześć lat wcześniej Anna związała się z chiropraktykiem, Jerryem Manville'em. Jerry był przystojny, pewny siebie, czarujący i wciąż miał ochotę na seks. Dlatego właśnie Anna kochała się z nim na tylnym siedzeniu samochodu na parkingach, a nawet w toaletach podczas przyjęć u znajomych. Bezustannie głodny seksu Jerry zdradził jednak Annę z jej najlepszą przyjaciółką, Kay, a także z kilkoma innymi kobietami. Kiedy się o tym dowiedziała, był to koniec ich namiętnego i burzliwego związku.

David natomiast lubił od czasu do czasu przywiązywać ją do łóżka, a Annę to bardzo podniecało. Ale skąd zakonnica o tym wiedziała?

„Czy jestem prawdziwą siostrą zakonną? Może zapytasz o to ojca Surina?”

Ojciec Surin. Był jedyną wskazówką, która mogła pomóc Annie rozwikłać zagadkę zakonnicy. Lecz ona nie chodziła do kościoła, nie była katoliczką. Nie znała żadnego księdza, jeśli nie liczyć ojca Williama, kapelana szpitala.

Kto to jest ojciec Surin?

Anna włączyła laptop i zastanowiła się, jakie nazwisko wpisać w wyszukiwarce Google. W końcu wpisała Suran. Wyszukiwarka natychmiast zapytała, czy chodziło jej o „Horan”, albo „Curran”, a może „Surin”? Na chwilę zamknęła oczy i spróbowała sobie przypomnieć, jak zakonnica wymawiała to nazwisko. Na pewno nie chodziło jej o „Horana” ani o „Currana”. Najbardziej prawdopodobne wydało jej się to trzecie

nazwisko, więc ostatecznie kliknęła je.

Rezultat wprowadził ją w niepokój i niedowierzenie. Jean-Joseph Surin był francuskim jezuitą, mistykiem, wielce szanowanym autorem kilkunastu książek religijnych i setek artykułów oraz egzorcystą. Najślynniejsze egzorcyzmy odprawił nad Joanną od Aniołów, matką przełożoną klasztoru sióstr Urszulanek w Loudun we Francji. Mówiło się wówczas, że siostrę przełożoną posiadało siedem demonów, które przegnał.

Joanna od Aniołów przemawiała wtedy ordynarnym językiem, pomstowała przeciwko Bogu, unosiła habit i publicznie się masturbowała.

Ojciec Surin był tak zszokowany jej zachowaniem, że zaoferował siedmiu złym duchom objęcie w posiadanie własnej duszy, w zamian za wolność dla duszy Joanny od Aniołów. Po egzorcyzmach matka przełożona stopniowo wydobrzała, jednak ojca Surina do końca życia prześladowały koszmary, konwulsje, długie ataki paraliżu i napady chwilowej niepoczytalności. Bezskutecznie próbował popełnić samobójstwo, skacząc z okna na drugim piętrze, czasami widywano go też, jak przechadza się na terenie College de Clermont w Paryżu, gdzie wcześniej studiował, nagi i powalany własnymi ekskrementami.

Urodził się w roku 1600, a zmarł w 1665. Polecenie wykonania egzorcyzmów nad matką Joanną od Aniołów otrzymał w grudniu 1634 roku.

Przypomniała sobie słowa zakonniczki: „Może zapytasz o to ojca Surina? On myśli, że jest bardzo sprytny!”. Jak mogłaby zapytać ojca Surina o cokolwiek, skoro jest martwy od niemal czterech stuleci?

Wyłączyła laptop i podeszła do stolika, żeby dolać sobie wódki. Myśli kotłowały jej się w głowie, a ból rozsadzał czaszkę. Przecież zakonniczka nie mogła być wytworem jej wyobraźni. Anna nigdy wcześniej nie słyszała o ojcu Surinie ani o egzorcyzmach w klasztorze w Loudun.

Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze.

– Musi istnieć logiczne wyjaśnienie tego wszystkiego – powiedziała do siebie. – Coś takiego jak duchy i demony w ogóle nie istnieje. Nie istnieje też coś takiego jak opętanie. Nie ma czegoś takiego jak znikające siostry zakonne, a martwi ludzie nie

potrafią mówić.

Nagle dostrzegła w lustrze jakiś ruch i zmartwiała. W kącie salonu, tuż przy drzwiach do sypialni stała ponura postać przypominająca zakonnicę.

Anna odwróciła się i upuściła butelkę z wódką. Butelka rozbiła się i w tym samym momencie z hukiem pękło lustro.

Drżąc, Anna stała pomiędzy lśniącymi odłamkami szkła leżącymi na podłodze. W kącie salonu nie było żadnej postaci, jedynie mrok.

Z ulicy dobiegło wycie syren samochodów policyjnych.



## ROZDZIAŁ 12

Niemal przez godzinę czekałem w komisariacie policji w Coral Gables, zanim w pokoju przesłuchań pojawił się wreszcie detektyw Blezard. Towarzyszyła mu policjantka w mundurze. Kiepsko się czułem i marzyłem o mocnej kawie.

– Pan Erskine? Mam dla pana kilka dobrych wiadomości i kilka nie bardzo dobrych wiadomości.

– Tak?

Wcale nie potrzebowałem detektywa, żeby poznać swoją najbliższą przyszłość. Mogłem ją sobie sam przepowiedzieć, chociaż zapewne nie uwierzyłbym w tę przepowiednię.

Detektyw Blezard rzucił na stół niebieską tekturową teczkę i zajął miejsce na krześle. Był niskim, tłustym facetem o rzędnych włosach i pomarszczonym czole. Ubrany był w przeponą pomarańczową koszulę i spodnie khaki, za małe dla niego co najmniej o dwa rozmiary.

Policjantka natomiast była całkiem ładna. Miała krótkie jasne włosy, mały zadarty nosek i obfite piersi pod starannie wyprasowaną bluzą. Kiedy detektyw Blezard do mnie mówił, nie odrywałem od niej wzroku, a ona co jakiś czas spoglądała na mnie i czerwieniła się. Lubię kobiety, które się czerwienią. Ich zaczerwieniona buzia dowodzi bez cienia wątpliwości, że myślą o tym samym co ja.

– Rozmawialiśmy z ojcem Zapatą. Jest już po zabiegu.

– Jak się czuje?

– Nie najgorzej. Wyzdrowieje, ale dobrze, że akurat jest księdzem, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi.

– Rozumiem. Co powiedział?

– Powiedział, że zaprosił go pan do domu, chcąc z nim podyskutować na tematy religijne i że w czasie tej dyskusji dopadł go atak depresji, za co częściowo jest pan odpowiedzialny. Stwierdził, że zrobił pan wszystko, żeby go powstrzymać przed samookaleczeniem, nie był pan jednak w stanie mu pomóc.

– Tak powiedział?

Detektyw otworzył notes, przez chwilę wpatrywał się w swoje koślawe zapiski, po czym pokiwał głową.

– Tak. Powiedział też, że załamania psychiczne nie są w stanie kapłańskim czymś niespotykanym, ze względu na ogromne wymagania, jakie stawia powołanie, oraz stres, który wynika z konieczności tłumienia naturalnych potrzeb i trwanie w celibacie.

– W celibacie.

– Słucham?

– W celibacie, proszę pana, a nie w „celebrycie”. Celibat oznacza, że nie można się żenić i należy się wystrzegać ziemskich rozkoszy.

– Wiem, co to oznacza, panie Erskine – rzucił cierpko detektyw. – W każdym razie wszystko wskazuje na to, że wielbny ojciec Zapata sam siebie okaleczył, a pan nie miał w tym udziału ani go do tego nie zachęcał. Nie będzie składał na pana doniesienia, zatem policja także nie postawi panu żadnych zarzutów. Dla nas sprawa jest zamknięta.

– Wspaniale. – Westchnąłem z ulgą. – Rozumiem, że to są właśnie te dobre wiadomości. A te nie bardzo dobre?

Bleazard wziął do ręki teczkę i wyciągnął z niej dużą czarno-białą fotografię. Podał mi ją i zapytał:

– Poznaje pan to, panie Erskine?

Uważnie obejrzałem zdjęcie, intensywnie marszcząc czoło, jakbym uwieczniony na nim przedmiot widział po raz pierwszy. Oczywiście, że go rozpoznawałem. Była to diamentowa bransoleta pani Ratzenberger, ta, którą – pomimo moich protestów – podarowała mi w podziękowaniu za ostatnią przepowiednię. Diamentowa bransoletka, o którą Frank Ratzenberger wścieknie się jak pies, jeżeli tylko się dowie, że żona ją komuś dała.

– No więc, co to jest? – zapytałem, oddając fotografię.

– Zaprzecza pan, że kiedykolwiek to widział?

– Nie mówię, że widziałem, i nie mówię, że nie widziałem. O co chodzi?

– Ta diamentowa bransoleta należy do pani Rosy Ratzenberger z East Star Island

Drive. Ta kobieta jest pańską klientką, prawda?

– Czy mam dzwonić po adwokata?

– To zależy. Pani Ratzenberger twierdzi, że po pańskiej ostatniej wizycie, powiedzmy, zawodowej, stwierdziła, że ta bransoleta zniknęła z jej garderoby. Ponieważ tego dnia był pan jej jedynym gościem, nie można wykluczyć, że to właśnie pan wyniósł tę bransoletę z domu pani Ratzenberger.

Przez dłuższą chwilę siedziałem w milczeniu. Znowu popatrzyłem na policjantkę, jednak tym razem nie zaczerwieniła się. Uniosła za to starannie wypielęgnowane brwi, jakby pytała: „No i co, jesteś złodziejem?”. Nienawidzę nieprzewidywalnych kobiet. W jednej chwili gotowe są lepić się do mężczyzny jak ciepły syrop, a w następnej oskarżać go nie wiadomo o co.

Detektyw Blezard odchrząknął.

– Panie Erskine, daję panu szansę na ułatwienie sobie sytuacji. Jeśli zabrał pan bransoletę pani Ratzenberger, najlepiej będzie, jeśli się pan do tego przyzna. Jeśli pan tego nie zrobi, to chyba zdaje pan sobie sprawę, że uzyskamy nakaz przeszukania domu, a jeśli znajdziemy tam bransoletę, pańska sytuacja w sądzie będzie bardzo nieciekawa. Zgadzamy się w tej kwestii?

Wciąż milczałem. Musiałem dokładnie przemyśleć swoją sytuację. Coś podobnego kiedyś już mi się przydarzyło, jeszcze w Nowym Jorku, tyle że wtedy oskarżono mnie o kradzież bezwartościowej fałszywej chińskiej porcelany, na dodatek wyszczerbionej i wartej tyle co nic, a nie diamentowej bransolety od Van Cleef & Arpels, wartej sporo ponad sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– No? – ponaglał Blezard. Wyciągnął z kieszeni spodni pogniecioną czerwoną chusteczkę, zwinął ją w kłębek i wytarł pot z czoła. – Na co się pan decyduje, panie Erskine? Powie pan prawdę czy puszczaamy maszynę w ruch?

– Dobrze. – Ciężko westchnąłem. – Pani Ratzenberger dała mi tę bransoletę w podziękowaniu za ostatnią przepowiednię.

– Dała panu bransoletę za to, że jej pan powróżył? Mówi pan poważnie? A może zrobił pan dla niej coś jeszcze?

– Detektywie, do cholery! Co pan sugeruje? Jestem szanowanym jasnowidzem,

nie jakimś popieprzonym żigolakiem z Collins Avenue. Poza tym, czy widział pan tę kobietę? Przecież ona wygląda jak starsza siostra Mechagodzilli!

– Tę bransoletę ubezpieczono na prawie ćwierć miliona dolarów, panie Erskine. Poza tym to był prezent, który pani Ratzenberger otrzymała od męża na rocznicę ślubu. Powiedziała naszym funkcjonariuszom, że jej wartość sentymentalna znacznie przekracza wartość rubinów.

– Oczywiście, że przekracza wartość rubinów, bo to jest bransoletka z diamentów. Niech mi pan wierzy, detektywie, w ogóle nie chciałem jej wziąć. Ale stara baba nalegała. Powiedziała mi, że chce zrobić na złość panu Ratzenbergerowi, ponieważ ostatnio ją lekceważy. Według niej spędza całe dni w klubie golfowym, podrywając cyscatą hostesę, która tam pracuje, i nawet, kiedy jest w domu, nie chce z nią rozmawiać, a w sypialni w ogóle nie zwraca na nią uwagi. Żeby zacytować ją dosłownie: nie staje mu.

W tym momencie policjantka znowu się zaczerwieniła, ale chyba jeszcze jej nie wybaczyłem tego, że posądziła mnie o kradzież.

– Niech pan posłucha – kontynuowałem. – Ta kobieta cierpi na alzheimera i pogłębiającą się demencję starczą. Poza tym jest znudzona życiem i samotna. Kiedy przychodzi do niej ktoś taki jak ja, poświęca jej trochę uwagi, niby to flirtuje, ona natychmiast przesadnie reaguje i oferuje w zamian więcej, niż można by się racjonalnie spodziewać.

– Niemniej jednak nie podjął pan żadnej próby, żeby się skontaktować z jej mężem i powiedzieć mu, co się stało, nie próbował pan też zwrócić bransolety państwu Ratzenbergerom?

– Nie, nie próbowałem. Ingerowanie w małżeńskie problemy obcych ludzi nie jest moją specjalnością. Jeśli o mnie chodzi, Ratzenberger mógłby ją nawet udusić za to, że pozbyła się bransolety; nic mi do tego. Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie powiedziałby, że jestem współwinny zbrodni.

Detektyw Blezard wsunął fotografię z powrotem do teczki.

– Rozumiem, że nadal posiada pan tę bransoletę, panie Erskine?

– Nie noszę jej, jeśli to pan sugeruje. Schowałem ją w zamrażalniku, w paczce

groszku. Szczerze mówiąc, nie miałem jeszcze czasu na zastanawianie się, co z nią zrobić. Niech mi pan wierzy, zanadto się skupiłem na trochę innych sprawach, jak chociażby na księdzu, który przyszedł do mojego domu i odgryzł sobie męskość.

– Jeśli koniecznie musi pan wiedzieć, zdążyłem już pana przeświecić – powiedział Blezard. – Poza oskarżeniem o kradzież mam dość dowodów, żeby aresztować pana pod zarzutem ciężkiego naruszenia paragrafu osiem-jeden-siedem-jedenaście prawa stanowego Florydy.

– Paragraf osiem-jeden-siedem-jedenaście prawa stanowego? Czego ten paragraf dotyczy? Nie wolno mi przepowiadać przyszłości w sklepach całodobowych?

– Paragraf osiem-jeden-siedem-jedenaście naszego prawa stanowego mówi, że przestępstwem kryminalnym jest wyłudzenie od obywateli rzeczy wartościowych pod pretekstem dysponowania tajnymi, poufnymi bądź uzyskanymi podstępem informacjami o osobach, transakcjach, czynach lub przedmiotach, zarówno wtedy gdy się tymi informacjami o osobach, transakcjach, czynach lub przedmiotach nie dysponuje, jak i wtedy, kiedy się nimi dysponuje. Przychodzi mi do głowy, że przepowiadanie przyszłości doskonale podpada pod ten paragraf. A co pan o tym sądzi?

Popatrzyłem na policjantkę. Lekko zmrużyła powieki, jakby czekała na to, co powiem. Może chciała, żebym błagał o litość albo żebym za darmo jej powróżył? Ale jej oczekiwania nie były teraz ważne. Czułem, że policja chce mi zaproponować jakiś układ.

– Oczywiście natychmiast zwrócę bransoletę – powiedziałem ostrożnie.

– Tak, panie Erskine, zwróci ją pan. A kiedy pan to zrobi, ja zrezygnuję z oskarżenia pana o kradzież.

– To bardzo sympatyczny gest z pańskiej strony, detektywie. Zaraz pójdę do domu i przywiozę bransoletę.

Chciałem wstać, ale Blezard powstrzymał mnie gestem ręki.

– Muszę panu postawić jeszcze jeden warunek. W ciągu dwudziestu czterech godzin opuści pan Coral Gables i nigdy tu nie wróci. Powtarzam, nigdy. W rzeczy samej życzę sobie, żeby wyjechał pan z Florydy i żeby pańska stopa nigdy już nie

stanęła na terenie tego stanu.

Kompletnie mnie zaskoczył.

– Detektywie, prawo chyba nie pozwala panu na formułowanie takich żądań.

– Wybór należy do pana, panie Erskine. Albo wyjedzie pan z tego miasta i z tego stanu, albo zapuszczuję pana za kradzież. A nie chciałbym się tym zajmować, bo uganiając się za panem, stracę mnóstwo cennego czasu, który mógłbym wykorzystać znacznie lepiej, aresztując kogoś za poważne przestępstwo, na przykład handel narkotykami albo stręczycielstwo. Poza tym miałbym przy panu cholernie dużo papierkowej roboty, a ja nienawidzę papierkowej roboty. Jeśli jednak będę musiał, zabiorę się do niej, może pan być tego pewien.

– Detektywie, przecież ja mam poumawiane spotkania. Co pomyślą moi klienci, jeśli zniknę i nigdy już do nich nie wrócę?

– Niech pan sobie ułoży karty, to się pan dowie.

Popatrzyłem na policjantkę.

– Wiedziała pani o tym?

Znowu się zaczerwieniła i pokiwała głową.

– Cóż, wielka szkoda – powiedziałem. – Bo chciałem panią zaprosić w ten weekend na wspólne łowienie tuńczyków. Jeden z moich klientów ma fantastyczny trzydziestometrowy jacht z włókna szklanego.

Blezard wstał i oznajmił stanowczym tonem:

– Funkcjonariuszka Kelly oraz funkcjonariusz McBride pojedą z panem. Jeśli czekają tam dziennikarze, ma pan trzymać gębę na kłódkę, to kolejny warunek naszego porozumienia. Nie odezwie się pan do nich ani słowem.

– Czy chciałby pan usłyszeć ode mnie mistyczną dewizę? – zapytałem go. – Oczywiście zupełnie za darmo. Nie chciałbym zostać oskarżony o próbę naciągania pana na wydatki, bo mógłby mnie pan za to oskarżyć z paragrafu osiem-jeden-siedem-jedenaście prawa stanu Floryda.

– Mistyczną dewizę? Co to takiego?

– To taki aforyzm, który mógłby pan powtarzać, wyrabując sobie drogę w poplątanej dżungli codziennego monotonnego życia.

– Aha... Bardzo proszę, niech pan mówi – odparł Blezard podejrzliwym głosem.

– „Zawsze miej pewność, w jakiej grze uczestniczysz. Nieważne, ile razy ujrzysz szóstkę na kostce; rzucając nią, nigdy nie wygrasz partii szachów”.

– I co to niby ma znaczyć?

Poklepałem się palcami po czubku nosa.

– Przekona się pan, detektywie. Wkrótce się pan przekona.

Detektyw Blezard miał rację. Kiedy dotarliśmy do Triangle Park, przed domem parkowały wozy transmisyjne trzech stacji telewizyjnych, a pomiędzy nimi kręciło się ze trzydziestu reporterów, kamerzystów i dźwiękowców oraz kilkudziesięciu zwyczajnych gapiów i mnóstwo bezpańskich psów.

Funkcjonariusze Kelly i McBride zaprowadzili mnie do domu. Kelly była drobniutka, lecz potężnie zbudowany McBride miał wielkie bicepsy i gruby, donośny głos. Bez trudu torował nam drogę przez tłum.

– Panie Erskine! Panie Erskine! Tu WPGI News! Czy to prawda, że ojciec Zapata wykastrował się własnymi zębami?

– Czy pan to widział, panie Erskine?

– Jak duży fragment członka sobie odgryzł? Wypluł go czy połknął?

– Ojciec Zapata krzyczał? Co pan zrobił, kiedy to się stało?

– Przepowiada pan przyszłość, panie Erskine. Wiedział pan, że to się wydarzy?

Wpuściłem policjantów do środka. Nawet kiedy zamknąłem drzwi, dziennikarze nie ustąpili. Walili w nie pięściami i pukali do okien.

Poszedłem do kuchni, otworzyłem zamrażalnik i wyciągnąłem plastikowy woreczek z zamrożonym groszkiem.

– Proszę – powiedziałem, podając policjantom bransoletę. – Mam również pudełko.

– Dziękuję – odparła funkcjonariuszka Kelly. Po chwili wahania rzuciła: – Właściwie dlaczego on to zrobił?

– Co takiego? Dlaczego odgryzł sobie członek? Mnie proszę o to nie pytać.

– Powiedział, że przyjechał tutaj, żeby porozmawiać z panem o religii. Dlaczego więc był nagi?

– Nie mogę o tym mówić, ponieważ gdy o tym pomyślę, zbiera mi się na wymioty... No dobrze, może odnosi pani wrażenie, że sobie żartuję, ale to było naprawdę makabryczne przeżycie i wciąż jeszcze nie mogę dojść do siebie.

– Ojciec Zapata i pan... czy byliście...

– Czy mieliśmy romans? Nie, funkcjonariuszko Kelly, nie mieliśmy. Mam w Miami śliczną dziewczynę, która pracuje w barze, i gdybym zamierzał być wobec niej niewierny, na pewno nie zdradzałbym jej z księdzem. Zresztą nie wiem... gdybym wpadł w oko samemu papieżowi, to wtedy...

– Jest pan wulgarny, panie Erskine.

– To dlatego, że oskarżono mnie o coś, czego nie zrobiłem. Poza tym jest pani zbyt ładna jak na policjantkę, a ja się tak zachowuję, żeby pani nie pomyślała, że mam na panią ochotę.

– Ma pan śliczną dziewczynę, która pracuje w barze, a ja jestem zamężna.

Uniosła lewą rękę, żeby mi zademonstrować obrączkę ślubną.

– Cóż. – Westchnąłem i podałem jej pudełko do bransolety. – Może w następnym życiu.

– Wierzy pan w reinkarnację?

W tym momencie do salonu wszedł McBride. Miał kamienny wyraz twarzy. Chciałbym, żeby po mojej śmierci kamień nagrobny wyglądał jak twarz funkcjonariusza McBride'a. Zdażył już obejść całą chatę w poszukiwaniu czegoś interesującego – na przykład dziesięciu kilogramów kokainy peruwiańskiej albo dwóch nagich tancerek, związanych i schowanych pod łóżkiem.

– Oczywiście – odpowiedziałem jej.

Policjant popatrzył na zegarek z nierdzewnej stali.

– Ma pan dwadzieścia dwie godziny i sześć minut, panie Erskine. Za dwadzieścia dwie godziny i sześć minut wrócimy tutaj, żeby się przekonać, że w naszym stanie jest pan już historią.

Poszedłem do rezydencji, by powiedzieć Marcosowi, że muszę wyjechać, i wyjaśnić mu dlaczego. Marcos był niski i przysadzisty, miał czarne lśniące włosy zaczesane gładko do tyłu i długie wąsy. Spod rozpiętej koszuli widać było owłosioną



klatkę piersiową. Uściskał mnie mocno, po czym zaproponował butelkę Corony i Tres Sombreros na popitkę, potem jeszcze jedną butelkę Corony i Tres Sombreros na popitkę, a potem kolejną butelkę Corony i Tres Sombreros na popitkę. Późnym popołudniem zaczął grać na gitarze Esclavo y amo, a ja już niemal nie pamiętałem, po co do niego przyszedłem.

– Kiedy musisz wyjechać? – zapytał mnie w pewnej chwili.

– Słucham?

– Mówiłeś, że musisz wyjechać. Policja chce, żebyś opuścił Florydę i nigdy już tu nie wracał.

– Och, tak, tak, rzeczywiście.

– Co teraz zamierzasz? To znaczy, z czego będziesz żył? I dokąd pojedziesz?

Koszmar niezasłużonego ultimatum natychmiast do mnie powrócił. Popatrzyłem na zegarek i stwierdziłem, że pozostało mi mniej niż dziewiętnaście godzin.

– Cóż, nie wiem, Marcos. Pewnie będę zarabiał tak jak do tej pory. Przepowiadając przyszłość, grając w pokera, pracując w barach. Robiąc to, na co akurat będzie zapotrzebowanie.

– Gdzie zamieszkasz? Masz dosyć pieniędzy?

– W Nowym Jorku mam kumpla, Ricka Beamera. W przeszłości kilka razy mu pomogłem. Pewnie przez jakiś czas mnie przechowa, zanim sobie coś znajdę. Ma bardzo apetyczną dziewczynę, Nancy. Kiedyś prawie ją bzyknąłem. O mały włos, mówię ci.

– A co z Sandy?

– Zapytam ją, czy chciałaby pojechać ze mną, ale wątpię, czy się na to zdecyduje. Właściwie nigdy nie planowaliśmy wspólnej przyszłości. Poza tym, zamieniłbyś Miami Beach na Manhattan, gdybyś naprawdę nie musiał?

– Chyba nie, amigo.

Jeszcze dłuższą chwilę siedzieliśmy na werandzie. Nie chciało mi się wracać do domku gościnnego, nie miałem też ochoty się pakować. Rozmyślałem o zakonnicy w mojej sypialni i o tym, co zrobił ojciec Zapata na moim łóżku. Boże, czy i mnie mógłby opętać zły duch i sprawić, żebym sobie zrobił coś podobnego albo jeszcze

gorszego?

W końcu musiałem jednak wrócić do siebie. Otworzyłem drzwi i przystanąłem na chwilę w progu, nasłuchując; do moich uszu docierał jedynie słaby szum samochodów przejeżdżających ulicą. Kiedy zamknąłem za sobą drzwi, w domu zapanowała absolutna cisza.

Wyciągnąłem z szafy dwie podniszczone walizki. Mimo to, co się wydarzyło, naprawdę nie miałem ochoty ani się pakować, ani opuszczać Florydy. Przez większość czasu żyło mi się tutaj całkiem przyzwoicie. Panował tu doskonały klimat i mieszkało mnóstwo bogatych starych ropuch, które chciały, żebym wróżył im z kart. Przez minione lata żyłem na luzie i poczułem się zupełnie bezpieczny, jakby wszystkie dziwactwa i okropności wcześniejszego okresu pozostały już raz na zawsze za mną.

Pojawienie się zakonnicy w mojej sypialni i samookaleczenie ojca Zapaty wstrząsnęły mną, ale właściwie jaki miały związek z moim życiem? Moje własne doświadczenia z duchami podpowiadały mi, że zjawa w postaci zakonnicy była po prostu echem jakichś drastycznych wydarzeń, do których doszło w tym miejscu w odległej przeszłości, prawdopodobnie wiele lat temu, bo w przeciwnym wypadku Marcos coś by o tym wiedział. Czasami tak się dzieje, że gdy dochodzi do czegoś okropnego, na przykład do gwałtu czy zabójstwa, ściany pomieszczenia, w którym te wydarzenia się rozgrywają, potrafią wchłonąć skrajne emocje, a te po latach uwalniają się w różny sposób, niekiedy upiorny.

Przeniosłem walizki do sypialni, otworzyłem je i rzuciłem na łóżko. Włączyłem radio na nocnym stoliku; akurat leciała jakaś sentymentalna piosenka w stylu country and western o tym, że ktoś musiał kogoś opuścić wczesnym rankiem. Wyciągnąłem z szafy wszystkie spodnie i koszule, zapasowy kostium jasnowidza i dwie pogniecione płócienne marynarki, których prawie nie nosiłem.

Kiedy zacząłem składać koszule i spodnie, odniosłem wrażenie, że słyszę stukot. Zacząłem intensywnie nasłuchiwać i po chwili byłem pewien, że mi się nie wydaje; ktoś wystukiwał skomplikowany, pośpieszny rytm, jakby mnie do czegoś przynaglał. Ściszyłem radio i nadal nadstawiałem uszu, jednak teraz docierały do mnie tylko ciche słowa piosenki: „...jesteś królową go-go, w pracy się śmiejesz, a mnie do śmiechu

wcale nie jest...”.

Słuchałem jeszcze przez jakieś pół minuty, ale nadaremnie, uznałem więc, że poniosła mnie wyobraźnia. Poszedłem do łazienki, otworzyłem szafkę przy lustrze i zacząłem pakować kosmetyki. Zamknąwszy szafkę, popatrzyłem na swoje odbicie w lustrze i pomyślałem, że wyglądam na człowieka zmęczonego, udręczonego i lekko rozkojarzonego, ale przyczyną tego wizerunku są zapewne piwo i tequila, które piłem z Marcosem.

„Kochanie, wiesz, że rano już mnie nie będzie – słyszałem głos z radia – i wiesz, że pewnie już nigdy nie wrócę”.

Kiedy byłem już prawie spakowany, spróbowałem się dodzwonić do Sandy, jednak miała wyłączony telefon. Prawdopodobnie rozpoczęła już pracę. Wypiłem stanowczo zbyt dużo alkoholu, żeby siadać za kierownicą, mimo to uruchomiłem auto i pojechałem do Miami Beach, żeby pogadać z Sandy. To było tylko dwadzieścia pięć minut jazdy, a ruch na ulicach nie był zbyt intensywny. Powoli zaczynał zapadać zmrok, a niebo zmieniało kolor z pomarańczowego na purpurowy.

Sandy pracowała za barem w Stars-and-Bars Lounge przy Czternastej Ulicy; właśnie tam zobaczyłem ją po raz pierwszy. Pewnego wieczoru wpadłem na drinka po seansie przepowiedni karcianych, który zaaplikowałem jakiejś podstarzałej gwiazdce filmowej w hotelu Betsy. Musiałem się wtedy napić, ponieważ aktorka była w ostatnim stadium raka płuc i koniecznie chciała wiedzieć, czy odzyska pełnię zdrowia. Znacnie mnie – zawsze staram się wlewać w ludzi optymizm, ale wcale nie jest łatwo kłamać w żywe oczy. A w wypadku tej gwiazdki... cóż, wystarczyło tylko na nią popatrzeć, żeby pozbyć się wszelkich wątpliwości, iż śmierć unosi już nad nią swoją kosę i posyła ostatni pocałunek.

Sandy wbrew temu, co sugerowałoby jej imię, nie miała włosów koloru piasku z morskiej plaży, lecz była brunetką o okrągłych brązowych oczach i pięknej kwadratowej twarzy, która nieodparcie przywodziła mi na myśl Audrey Hepburn.

Kiedy wszedłem do środka, Stars-and-Bars był już zatłoczony. Didżej w koszuli wyszywanej cekinami odtwarzał muzykę rapera Wyclefa Jeana, a lampy stroboskopowe na suficie błyskały do rytmu. Zobaczyłem Sandy za barem.

Przepchnąłem się pomiędzy tańczącymi i usiadłem przed nią na wysokim stołku.

– Harry! – zawołała Sandy. – Miałam zamiar przyjść do ciebie po pracy i zrobić ci niespodziankę! Jutro mam wolne, kochanie... Pomyślałam, że moglibyśmy pójść na plażę. Czego się napijesz?

– Eee... Nie będę pił, dzięki. Trochę za dużo wlałem w siebie u Marcosa. Ale możesz mi podać colę.

– Mamy tu dzisiaj pełno ludzi, kochanie. Raczej sobie nie porozmawiamy.

– Hej, mała! – zawołał jakiś chłopak, ogolony na łyso, z wielkimi kolczykami, ubrany w czerwoną koszulę. – Obsłużysz mnie wreszcie?

– Widzisz, Harry? – zapytała Sandy. – Muszę iść.

– Ja też muszę się zbierać. I to ci właśnie chciałem powiedzieć.

– Co takiego? Nie rozumiem.

– Narobiłem sobie głupich kłopotów z glinami. Kazały mi natychmiast wyjechać z miasta. A nawet opuścić ten stan.

– Co? Chyba żartujesz? Dlaczego masz wyjechać? Kiedy?

– Hej, mała! – krzyknął łyso. – Bo my tu zaraz umrzemy z pragnienia!

– Jeśli odwiedzisz mnie po pracy, wszystko ci dokładnie opowiem! – zawołałem do Sandy. – Przykro mi, moja droga, ale pewien policjant nie pozostawił mi wyboru. Albo stąd wyjadę, albo on mnie zniszczy.

– Sandy! – wrzasnął jej szef z drugiego końca baru. – Klienci czekają, na miłość boską!

W dużych brązowych oczach Sandy zalśniły łzy, a jej różowe usta zaczęły drżeć.

– Harry, nie możesz wyjechać! Co ja zrobię bez ciebie?

– Posłuchaj, najdroższa, coś wymyślimy. Na razie zajmij się klientami. Chyba nie chcesz stracić pracy, prawda?

– Mam gdzieś tę pracę. Tylko ty mnie obchodzisz. – Odpięła błyszczącą tabliczkę ze swoim imieniem i powiedziała do mnie: – Patrz, właśnie rzucam tę cholerną robotę.

– Nie, nie, nie. Nie rób tego! Proszę cię. Nie wiem, dokąd pojedę, gdzie będę żył i nie mogę cię z sobą zabrać. Porozmawiamy o tym później; teraz musisz się zająć tymi wiecznie spragnionymi pijusami.

Jadąc z powrotem do domu, czułem się jeszcze bardziej pijany, niż kiedy z niego wyjeżdżałem. Musiałem sobie głośno podpowiadać, jak prowadzić samochód.

– Uważaj, Harry, przed tobą czerwone światło. Zatrzymaj się. Za chwilę będziesz musiał skręcić w prawo, a potem w lewo na ślimak. Bądź czujny, bo obok jedzie radiowóz. Cokolwiek się będzie działo, nie patrz tym miłym policjantom prosto w oczy i głupio się uśmiechaj.

Zdołałem bez problemów dojechać do mojego domku i zaparkowałem, nie niszcząc ani jednej doniczki. Wyglądało na to, że Marcos poszedł wcześniej spać albo gdzieś wyszedł, bo jego dom pogrążony był w ciemnościach. Dwa razy się potknąłem i omal nie upadłem, w końcu jednak stanąłem przed drzwiami i zdołałem otworzyć drzwi kluczem. W myślach wyzywałem się, że nie zostawiłem zapalonego światła.

Po omacku dotarłem do salonu. Po kilku sekundach znalazłem włącznik i nacisnąłem go. Nic się nie wydarzyło. Salon nadal tonął w ciemnościach. Zapewne przepaliła się cholerna żarówka.

Kiedy ruszyłem do sypialni, znowu usłyszałem pukanie.

Zamarłem. Dźwięk docierał z sypialni i przypominał stukanie dzięcioła. Stuk-puk-puk-stuk-puk!

Kiedyś już słyszałem taki stukot: stałem wtedy twarzą w twarz z odrodzonym duchem Misquamacusa, czarownika z plemienia Algonkinów – tego Misquamacusa, który zaprzysiągł białym ludziom wieczną zemstę za to, że wymordowali setki tysięcy Indian i zniszczyli ich kulturę.

Ale to nie mógł być on. Przecież przegnałem go raz na zawsze i nie mógł powrócić w żadnej postaci: mężczyzny, kobiety, wilka ani cienia.

Dlaczego więc słyszałem teraz stukot jego szamańskiej laski?

Miałem wybór. Mogłem wejść do sypialni i przekonać się, kto lub co wywołuje ten hałas. Mogłem też pójść stąd do diabła i przespać noc na kanapie u Marcosa. Jeżeli Marcos był teraz w domu. Jak przez mgłę pamiętałem jego słowa, że dzisiaj idzie na jakąś imprezę w Country Club w Hialeah. Prawdopodobnie dlatego jego dom był teraz cichy i pogrążony w ciemnościach.

To tylko zwykły stukot, pomyślałem. Czym ja się właściwie martwię? Może to

wiatr uderza o szybę luźną żaluzją? Tyle że wieczór był zupełnie bezwietrzny, a wszystkie okna w sypialni pozamykane.

Gdyby nie wypity alkohol, wątpię, czy uczyniłbym to, co zrobiłem po krótkiej chwili wahania. Podeszedłem do drzwi sypialni i otworzyłem je jednym gwałtownym ruchem. Klamka uderzyła w ścianę, drzwi zadrżały na zawiasach.

Byłem tak zaskoczony, że straciłem równowagę i boleśnie uderzyłem ramieniem o framugę. W mojej sypialni znajdowały się trzy osoby. Kiedy zobaczyłem, kim są, otworzyłem usta, jednak nie zdołałem wydusić ani słowa.

Były to trzy zakonnice w czarnych habitach, z zasłoniętymi twarzami. Stały nieruchomo, podczas gdy monotony, natarczywy stukot zaczął narastać, a jego rytm stał się szybszy i bardziej skomplikowany.

## ROZDZIAŁ 13

W odruchu obronnym uniosłem ręce i zacząłem się cofać. Kiedy wróciłem do salonu, wpadłem na stolik i niemal zrzuciłem z niego lampę. Zdołałem ją złapać, zanim spadła na podłogę.

Trzy zakonnice wciąż stały nieruchomo, za to dźwięk z każdą chwilą przybierał na sile. Podbiegłem do drzwi wejściowych, żeby uciec z domu, jednak dotknąwszy klamki, zawołałem: „Kurwa mać”, bo była rozgrzana do czerwoności. Wszystko wskazywało na to, że zakonnice zablokowały mi możliwość ucieczki przez drzwi.

– Wracaj tutaj! – usłyszałem chropowaty, władczy głos.

Nie wiedziałem, kto to mówi, ton głosu był jednak tak stanowczy, że nie miałem cienia wątpliwości, że dobrze zrobię, jeżeli go posłucham.

Ośloniłem dłoń rękawem koszuli i znowu spróbowałem otworzyć drzwi, klamka była jednak nie tylko rozżarzona, lecz także zaklinowana.

– Wracaj! – powtórzył głos. – Musisz się dowiedzieć, kim jesteśmy.

– Wiem, kim jesteście! – odkrzyknąłem. – Jesteście zakonnicami.

– Jesteśmy ostrzeżeniami.

– Ostrzeżeniami? Niby przed czym, na miłość boską? Nie potrzebuję żadnych ostrzeżeń. Życzę sobie, żebyście się wyniosły z mojego domu!

– Jak myślisz, dlaczego się zjawiłyśmy tutaj? Dlaczego spośród wszystkich ludzi postanowiłyśmy pokazać się właśnie tobie?

Polizałem oparzony palec i ostrożnie dotknąłem klamki, ale nadal była zbyt gorąca, żeby ją złapać w dłoń. Starąłem się być bezczelny wobec nieproszonych gości, jednak moje serce z każdą chwilą biło coraz szybciej. Czułem, jak wzbiera we mnie panika, a w żołądku żółć wywołana nadmiarem wypitego alkoholu. Pomyślałem, że dobrze byłoby zwiać przez okno w salonie, ale w tej samej chwili drzwi do niego zatrzęsnęły się z hukiem.

Zjawy znajdowały się nie tylko w sypialni, teraz były także w mojej głowie.

Zerknąłem ku drzwiom do łazienki i one również się zatrzasnęły.

– No więc dobrze. Dlaczego? – zawołałem, chociaż słowa z trudem przechodziły mi przez gardło. – Dlaczego to mnie wybrałyście? Przecież nawet nie wierzę w Boga. A może właśnie dlatego? Czy to przez was ojciec Zapata tak fatalnie się zranił?

– To było ostrzeżenie dla Ojca Świętego, żeby się nie mieszał.

– Ładne mi ostrzeżenie. Zapata mógł umrzeć.

– To miało ci przypomnieć, że twoi ludzie zawsze niszczyli życie, nigdy go nie szanowali.

– Jacy moi ludzie?

– Twoi ludzie zrywają owoce z drzew, zanim one dojrzeją. Ścinają drzewa, zanim te rozsieją nasiona. Ale nadszedł wreszcie czas i nie pozwolimy już, żeby cokolwiek stanęło na naszej drodze.

– Jaki czas? Jakie drzewa? O czym ty właściwie mówisz, siostrze?

– Zrozumiesz, kiedy się dowiesz, kim jesteśmy.

Kiedy wypowiadała te słowa, stukot był już tak szalony, że poza nim prawie nic nie słyszałem. W tym momencie czarne woale, które zakrywały głowy dwóch zakonnice stojących z boku, zaczęły się marszczyć i falować. Trzecia mniszka, ta w środku, stała zupełnie nieruchomo, drobna i mroczna. Nie wiem dlaczego, ale jej bezruch przeraził mnie bardziej niż falujące welony pozostałych dwóch.

Tymczasem dwie zakonnice stojące po jej bokach zaczęły się powiększać. Po chwili ich głowy sięgały już niemal sufitu. Welony przybrały kształt rogów, a czarne habity nagle przemieniły się w muskularne ciała, pokryte gęstym futrem. W tym samym momencie poczułem zapach kadzidła i zwęglonego drewna. Ten odór przypominał mi wakacyjną wizytę u kuzyna w New Hampshire, krótko po pożarze lasu. Smród spalonych sosen dosłownie przywarł wtedy do moich ubrań i czułem go jeszcze przez wiele tygodni.

– Oto, kim jesteśmy – oznajmił głos. – Powróciliśmy, żeby odebrać to, co do nas należy. Dobrze poznaliśmy wasze podłe sztuczki i tym razem nas nie pokonacie.

– Nadal nie rozumiem. Co chcecie odebrać?

– Naszą ziemię. Nasze życie.



Wciąż stałem w holu. Dwie postaci były już teraz olbrzymie i chociaż z powodu ciemności umykały mi szczegóły, widziałem ich błyszczące oczy – w bijącym od nich blasku dostrzegłem, że coś się porusza po ich ramionach, jakby zastępy chrząszczy.

– Chcemy naszego nieba – kontynuował głos. – Pragniemy odzyskać nasze chmury, nasze deszcze i nasze tornada. Chcemy odzyskać nasze wschody słońca i nasze śniegi. Wszystkie rzeki, góry, jeziora. Wszystkie zwierzęta. Wszystkie drzewa, wszystkie źdźbła trawy. Kiedyś należał tu do nas każdy powiew wiatru. Chcemy to wszystko odzyskać.

– Ale kim jesteście? – zapytałem.

Z każdą chwilą nabierałem coraz większej pewności, że wiem, kim są upiorni przybysze, a to dlatego, że pofatygowali się właśnie do mnie. Przez przypadek w przeszłości stałem się ich nemezis; nie dlatego, że chciałem, ani nie dlatego, że się poczuwałem do takiego obowiązku. Po prostu chroniłem ludzi, na których mi zależało.

– Jestem Matchitehew – powiedział głos. – Mój brat to Megedagik. Jesteśmy synami Misquamacusa, którego ducha raz na zawsze wykląłeś i na wieczność wysłałeś do świata ciemności.

– Jesteście jego synami? Dajcie spokój. Misquamacus umarł setki lat temu. Przecież nie możecie być jego synami.

– Mogłeś wykląć jego ducha i przegnać do świata ciemności, jednak wciąż miał dość mocy, żeby wezwać nasze duchy. A my, podobnie jak on, jesteśmy czarownikami. Nauczył nas magii za życia, a my jej nigdy nie zapomnieliśmy, nawet po śmierci. Teraz Misquamacus zobowiązał nas, żebyśmy się na tobie sprawiedliwie zemścili oraz odebrali to, co nam się słusznie należy. Być może udało ci się kiedyś udaremnić jego zamiary, ale nas nigdy nie powstrzymasz.

– Posłuchajcie – powiedziałem. – Wiem, że przeżywacie ogromny ból, i potrafię to zrozumieć. Gdyby ktoś się pojawił nie wiadomo skąd, zmasakrował moich ludzi i odebrał mi ziemię, pewnie też byłbym wkurzony. A Indianie z godnością przyjęli wszystkie nieszczęścia, które ich spotkały.

– Czy ty z nas drwisz? – zapytał Matchitehew chrapliwym głosem.

– Ależ skąd. Jednak od tych wydarzeń minęło bardzo dużo czasu. Nie da się już żyć tak samo jak przed przybyciem białego człowieka. To po prostu niemożliwe.

– Nadal jednak mamy prawo do zemsty. Nieważne, ile upłynęło czasu, dlaczego mielibyście nie ponieść kary za wasze bezceństwa?

– Na Boga, ludzie, którzy żyją dzisiaj, to nie są te same osoby, które zabijały waszych przodków. Nie możecie ich winić za czyny ich ojców. A nawet ojców ich ojców.

– Oni jednak nadal nie mają praw do tych terenów. Nie mają prawa tutaj żyć, jeść owoców, ryb i zwierząt i korzystać z bogactw tej ziemi. Nasz ojciec, Misquamacus, nie był złym człowiekiem, nie był też człowiekiem mściwym. Lecz nie mógł spokojnie patrzeć, jak biały człowiek zabija tysiące jego współplemieńców, jak kradnie ziemię, którą otrzymaliśmy w darze od Wielkiego Ducha. Ty zachowywałbyś się tak samo, gdyby coś takiego zdarzyło się twojemu ludowi, a przecież potępiłeś Misquamacusa i skazałeś go na los gorszy od śmierci.

– Wiem – odparłem. – Przepraszam, ale musiałem to zrobić. Boleję nad tym, ale wówczas tylko jeden z nas dwóch mógł zwyciężyć... – Starłem się mówić jak najspokojniej, jednak serce waliło mi tak mocno, że aż rozboleły mnie żebra.

Te dwa ogromne duchy mnie zabijają, pomyślałem. I to w jakiś okrutny sposób. Skoro nie wybaczyli białym ludziom tego, że odebrali im ziemię, z pewnością nie okażą cienia litości białemu człowiekowi, który wysłał ich ojca tam, skąd duchy Indian nigdy już nie mogą powrócić.

Ale...

– Pokonałeś naszego ojca – powiedział Matchitehew. – Pokazałeś, że jesteś silniejszy od niego. Zgodnie z prawem naszego ludu nie możemy uczynić ci krzywdy.

– Och, doskonale – powiedziałem i westchnąłem. – Co za ulga.

Opętańczy stukot trwał jednak przez cały czas i nie mogłem się zorientować, co jest jego źródłem. Milcząca zakonnica stała nieruchomo, a atmosfera stała się już tak napięta, jakby za chwilę miała się rozpętać burza.

– Przybyliśmy tutaj, by ci powiedzieć, że musisz ostrzec swój naród. Nie możesz nas pokonać, jak pokonałeś naszego ojca, Misquamacusa, ponieważ tym razem twoje

duchy są naszymi sprzymierzeńcami.

– Chyba nie rozumiem – powiedziałem.

– Pokonałeś naszego ojca w taki sam sposób, w jaki nas pokonali twoi przodkowie. Twoi przodkowie ściągnęli na nasz lud choroby i z ich powodu padaliśmy jak muchy. Nie znaleźliśmy tych chorób wcześniej i nie potrafiliśmy się przed nimi bronić. Pokonałeś naszego ojca, używając magii, której w ogóle nie znał i przed którą nie mógł się obronić.

– Nie, to nie była magia – odparłem. – My to nazywamy technologią.

Wciąż nie rozumiałem, czego on ode mnie chce.

– Teraz wasze duchy są po naszej stronie – kontynuował Matchitehew. – Wasze duchy znają drogi, którymi wędrujecie. Znają waszą magię. Wiedzą, co sprawia, że chorujecie. Wiedzą, co robić, żeby przejąć panowanie nad waszymi ciałami i umysłami. Teraz, gdy jesteśmy zjednoczeni, nie możecie nas już pokonać. Wypędzimy was z tej ziemi, tak jak wy kiedyś wypędziliście z niej nas. To jest właśnie ostrzeżenie, które musisz przekazać swojemu ludowi.

Stukanie nagle ustało. Ciszę zakłócał jedynie chrzęst odnóży czarnych chrząszczy.

– Mógłbym spróbować ostrzec mój „lud”, jak go określasz – powiedziałem do Matchitehewa. – Jednak szczerze wątpię, czy lud zechce mnie posłuchać. Bardziej prawdopodobne jest, że zostanę uznany za wariata.

– Musisz im powiedzieć, co się z nimi stanie i dlaczego. To bardzo ważne, żeby ci, którzy mają zostać ukarani, wiedzieli, za co ich to spotyka.

– Tak, rozumiem. Ale jeżeli pójdę do lokalnej stacji telewizyjnej i powiem, że Stany Zjednoczone wkrótce zostaną zaatakowane przez duchy dawno zmarłych czarowników z plemienia Algonkinów, wiesz, co się stanie?

– Wszyscy pobiegną do swoich domów, żeby przygotować rodziny do ucieczki.

– Nic z tego. Dziennikarze roześmieją mi się w twarz albo, co bardziej prawdopodobne, wyślą mnie do psychiatry. W każdym razie nie uwierzą ani jednemu mojemu słowu.

– Twój lud nie boi się duchów?

– Boi się. A właściwie jednocześnie boi się i nie boi. Ludzie piszczą ze strachu na

filmach o duchach albo wpadają w histerię, jeśli uznają, że ich dom jest nawiedzony. Ale na pewno nie uciekną z kraju na wieść, że mają zostać zaatakowani przez duchy.

Było jasne, że Matchitehew nie zrozumiał ani słowa. Chociaż mówił po angielsku, i to całkiem dobrze, zaczynałem podejrzewać, że w rzeczywistości przemawia w narzeczu Algonkinów i komunikuje się ze mną telepatycznie, a ja odbieram jego słowa w zrozumiałym dla mnie języku. Jego ojciec, Misquamacus, potrafił mówić do mnie po angielsku, chociaż było raczej nieprawdopodobne, żeby kiedykolwiek uczył się tego języka.

Mój nieodżałowany algonkiński przyjaciel, nieżyjący już wojownik Śpiewająca Skała, powiedział mi kiedyś, że zjawisko to nosi nazwę nondam pawe-wa – dosłownie tłumacząc, „słuchanie snu”. Pawe-wa znaczy „mieć wizję”, ale także „szaman” albo „czarownik”. To od niego pochodzi słowo pow-wow – czyli umiejętność dzielenia się z innymi tym, co dzieje się w naszej głowie.

– Ostrzeżesz swój lud – nalegał Matchitehew. – Ostrzeżesz ludzi, że zaatakuje ich zaraza, na którą nie znajda lekarstwa.

– Mogę ci tylko obiecać, że spróbuję. Nie zagwarantuję jednak, że ktokolwiek potraktuje mnie poważnie.

– Jeśli poniesiesz klęskę, będziesz cierpiał.

– Chyba przed chwilą powiedziałeś, że nie możesz uczynić mi nic złego.

– Nie tobie. Możemy jednak zadać cierpienie komuś, kto jest ci bliski. Tym, których kochasz, przyjaciołom.

– Hej... nawet o tym nie myśl.

– Zatem koniecznie musisz ostrzec swój lud. Powiedz, że w kraju rozprzestrzenia się straszna choroba i że nadchodzi dzień, w którym wszyscy albo opuszczą ten kraj, albo umrą. Taki sam wybór dał twój lud mojemu ludowi.

W tym momencie poczułem, że zaczyna mnie ogarniać panika. Obraz Ameryki widziany przez Matchitehewa pochodził sprzed trzystu lat i nie miał nic wspólnego z jej dzisiejszą rzeczywistością. Indianin nie zdawał sobie sprawy, że teraz zamieszkuje ją ponad trzysta milionów ludzi i niezależnie od tego, co będzie im zagrażać, trzysta milionów ludzi nie spakuje się po prostu i nie odejdzie tam, skąd przyszło.

– Dobrze – powiedziałem. – Zrobię, co będę mógł. Ale, jak już mówiłem, niczego nie mogę obiecać. Ten kraj jest pełen dziwaków twierdzących, że świat zmierza ku przepaści. Niełatwo mi będzie ich przekrzyczeć.

– Ostrzeżesz swój lud, że musi stąd odejść.

Właśnie miałem znowu zaprotestować, gdy rozległo się pukanie do drzwi i jakiś głos z ogrodu zaczął nawoływać:

– Harry! Harry! Mógłbyś zapalić światło? Do cholery, nic nie widzę!

To była Sandy. Zapewne wcześniej niż zwykle skończyła pracę. Popatrzyłem po kolei na Matchitehewa, Megedagika i na zakonnice, po czym powiedziałem błagalnym głosem:

– Dobrze. Czegokolwiek ode mnie chcecie, zrobię to! Zaczynam jutro rano. Obiecuję.

Cała trójka nie ruszyła się z miejsca.

Co się teraz stanie? – pomyślałem. Czy oni wszyscy znikną, tak jak wczoraj ta pierwsza zakonnica?

– Sandy! – zawołałem. – Nie dotykaj klamki!

– Co?!

– Powiedziałem, żebyś nie dotykała klamki! Poczekaj chwilę, nie ruszaj się, chyba strzeliły wszystkie korki!

Było za późno. Sandy już weszła, jak zwykle obciążona torbami z zakupami, w których coś brzęczało.

– Dlaczego tu tak ciemno? – zapytała. – Przyniosłam kilka butelek twojego ulubionego piwa i niewiele brakowało, żebym wszystkie upuściła na ziemię.

– Nie wchodź dalej! – zawołałem.

Nerwowo spojrzałem za siebie, by się przekonać, co teraz robią moi nieproszeni goście, jednak w tej samej chwili drzwi do sypialni zatrzasnęły się tak gwałtownie, że aż pękła futryna, a z zamka wypadł klucz i potoczył się na podłogę. Sandy i ja staliśmy w holu, w niemal absolutnej ciemności.

– Co... co to było? – zapytała Sandy. – Kto to zrobił? Harry, czy ktoś jest w twojej sypialni?

Po omacku trafiłem dłońmi na lampkę przymocowaną do ściany. Nacisnąłem włącznik i, ku mojej uldze, zapaliła się. Sandy stała przede mną, uczesana w koński ogon, a oczy miała jakby większe niż zwykle. Ubrana była w różową koszulkę i obcisłe dzinsy.

– Co się dzieje, Harry? – Popatrzyła na drzwi sypialni i dodała: – Tam ktoś jest, prawda?

– Ktoś jest i nikogo nie ma. Trudno mi to wyjaśnić. Chyba musimy stąd spadać.

– Co to znaczy „trudno wyjaśnić”? To dlatego mi mówiłeś, że wyjeżdżasz? Bo masz inną kobietę?

– Nie, Sandy, nic z tych rzeczy.

– A więc kto trzasnął tymi drzwiami? Tylko mi nie mów, że jakiś mężczyzna. Mój szef powiedział, że ta historia z księdzem jest mocno podejrzana.

– Posłuchaj, musisz mi zaufać... Nie mam żadnej innej kobiety i nie jestem też gejem. Musimy się stąd wynosić, i tyle.

Ale Sandy postawiła torby na podłodze i ruszyła w stronę sypialni. Chciałem ją powstrzymać, ale odepchnęła mnie i otworzyła drzwi.

Do holu wdarł się zimny podmuch powietrza. Towarzyszył mu odgłos, jaki wydaje wiatr wiejący wśród drzew. Na ścianach zatańczyło kilka cieni, a potem wszystko się uspokoiło.

– Co to było? – zapytała Sandy. Włączyła światło w sypialni, rozejrzała się szybko, a potem odwróciła się do mnie. – Poczujesz to?

W sypialni nikogo nie było. Sandy okrążyła łóżko, nawet uniosła kołdrę.

– Powiesz mi, kto trzasnął tymi drzwiami?

Wzruszyłem ramionami.

– Może to trzęsienie ziemi – odparłem. – Nie wiem. Albo to były duchy. Sama rozumiesz, w starych budynkach wszystko się może zdarzyć.

– Harry, zawsze mi mówiłeś, że ty tylko sprzedajesz te wszystkie brednie. Nie wciskaj mi więc kitu.

– To, że je sprzedaję, wcale nie oznacza, że nie mogę w nie wierzyć.

Sandy złożyła ręce na piersiach.

– Zaczynam się bać... Przez ciebie.

– Daj spokój – powiedziałem. – Naprawdę, nie ma powodu do strachu.

Podszedłem do niej, przytuliłem ją i pocałowałem w usta. Trzymając ją w ramionach, mimo wszystko rozglądałem się po sypialni, by się upewnić, że moi mroczni goście naprawdę zniknęli.

Później, w łóżku, Sandy zaczęła delikatnie głaskać moją klatkę piersiową i brzuch, z każdym ruchem dłoni posuwając się trochę niżej.

– Postanowiłam – oznajmiła.

– Co takiego postanowiłaś?

– Postanowiłam, że wyjadę z tobą. Nie obchodzi mnie, że nie masz pieniędzy ani mieszkania. Trochę zaoszczędziłam.

– Sandy, przecież ja ci nie mogę zapewnić żadnej przyszłości.

– A mnie się wydawało, że akurat w wymyślaniu przyszłości jesteś dobry.

– Tak, ale właśnie w wymyślaniu, a nie w realizowaniu. Jesteś śliczną dziewczyną i naprawdę cię lubię, ale jakie życie mogę ci zaproponować? Jesteś ode mnie młodsza o dwanaście lat, powinnaś pomyśleć o mężu, rodzinie i domu z tablicą do koszykówki przymocowaną do ściany garażu.

Sandy dotarła dłonią do mojego penisa i zaczęła go ścisnąć.

– Nie chcesz się ze mną kochać? – zapytała. – Co się stało?

Pocałowałem jej nagie ramię.

– Nic się nie stało. Po prostu jestem cholernie zestresowany.

– Coś się stało, Harry. Czuję to.

Uniosłem wzrok. W nogach łóżka stała zakonnica.

Sandy jeszcze raz pogłaskała mojego penisa, po czym powiedziała:

– W porządku. Ale rano cię zgwałcę.

Odwróciła się plecami i po kilku chwilach jej miarowy oddech podpowiedział mi, że zasnęła. A ja gapiłem się na zakonnice.

Niebo zaczęło szarzeć i w miarę jak w sypialni robiło się jaśniej, postać coraz bardziej się rozpląwała. Wkrótce pozostał po niej tylko zarys kształtu, a potem zniknął

i on.

„Teraz wasze duchy są po naszej stronie”, przypomniałem sobie. „Wasze duchy znają drogi, którymi wędrujecie. Znają waszą magię. Wiedzą, co sprawia, że chorujecie”.



## ROZDZIAŁ 14

Reklama w kształcie tarczy stojąca przy szosie oznajmiła Annie, że właśnie dotarła do Domu Pogrzebowego Grandier. U dołu tarczy namalowany był taki sam bukiet róż jak na wizytówce. Skręciła na asfaltowy podjazd i zatrzymała samochód tuż przy lśniącym czarnym lincolnie – karawanie. Wysiadając, usłyszała w oddali, nad Sunset Hills, dalekie grzmoty. Tego wieczoru, gdy umierał David, także grzmiało, a Anna odniosła wrażenie, że od tego czasu prześladuje ją zła pogoda.

Kaplica pogrzebowa z ciemnobrązowej cegły przypominała trochę wiejski kościółek, tyle że po prawej jej stronie znajdował się specjalny plac dla karawanów. Anna podeszła do szerokich szklanych drzwi, które natychmiast cicho się przed nią rozsunęły.

Znalazła się w mrocznym holu, w którym stały dwie palmy w donicach i dwie kanapy z czarnej skóry. Unosił się tu wyraźny, lekko piżmowy zapach dębu i środków chemicznych do czyszczenia podłóg. Jedynym źródłem światła było wąskie okno z witrażem, rzucające żółto-zielony blask na płytki podłogowe imitujące marmur. Słychać było bardzo słaby dźwięk muzyki organowej.

Po lewej stronie znajdowały się drzwi z tabliczką Brian U. Grandier, dyrektor. Kiedy Anna weszła do holu, właśnie one gwałtownie się otworzyły. Ku jej zdziwieniu stanął w nich siwowłosa mężczyzna z siwą brodą. Był to ten sam człowiek, którego widziała w szpitalu, kiedy przywieziono Johna Patricka Bridgesa. Miał na sobie szarą dwurzędową marynarkę i dopasowaną do niej muszkę, która wyglądała tak, jakby na szyi mężczyzny usiadła wielka szara ćma.

– Witam panią, profesor Grey. – Mężczyzna podszedł do niej z wyciągniętą ręką.

Anna zauważyła, że jest znacznie niższy, niż jej się wydawało, i trochę bardziej krępy.

– Był pan w szpitalu – powiedziała ostro Anna. – Patrzył pan na mnie na korytarzu, a potem zajrzał pan do mojego laboratorium.

Brian Grandier uśmiechnął się i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „I

co z tego?”.

– Rzeczywiście, moja droga, tak było. Szukałem wyjścia. Myślę, że od dzisiaj będzie mnie pani często widywać. W szpitalach umierają ludzie, a mój interes polega na tym, żeby w takich chwilach być w pobliżu.

Annie nie spodobał się jego ton i to, że protekcjonalnie zwrócił się do niej słowami „moja droga”. Uznała, że Brian Grandier jest irytujący i niesympatyczny. Przyszło jej do głowy, by zrezygnować z usług jego domu pogrzebowego, ale zaraz sobie przypomniała, jaką długą drogę musiała pokonać, żeby się tutaj znaleźć. Uznała, że byłoby to głupie i dziecinne, bo przecież fakt, że ten facet jej się nie podobał, nie był wystarczającym powodem do zmiany zdania.

– Zechce pani wejść do mojego biura? – zapytał ją. – Pokażę pani nasz katalog i omówimy szczegóły: liczbę gości, samochody, muzykę, kwiaty i tak dalej! Potem będę mógł przedstawić kosztorys.

Gdy mówił, Anna usłyszała w jego głosie niewyraźną nutę obcego akcentu – prawdopodobnie francuskiego, jeśli brać pod uwagę jego nazwisko. Przez chwilę się wahała, po czym weszła do gabinetu. Brian Grandier ruszył tuż za nią, stanowczo zbyt blisko, jak na jej gust, z jedną ręką tuż za jej plecami, jakby za chwilę miał zamiar położyć ją na ramieniu Anny.

Wskazał jej czerwony skórzany fotel, a sam usiadł za dużym mahoniowym biurkiem. Ściana za nim zastawiona była przeszklonymi regałami na książki, jednak większość półek była pusta. Na biurku leżał tylko otwarty segregator, lśniąca broszura z napisem Grandier Funeral Chapel na stronie tytułowej, a w rogu stał wazon z tuzinem róż. Róże były stare, płatki zdążyły już zbrązowieć, a niektóre nawet opadły na blat.

– Przekona się pani, że nasze ceny są bardzo konkurencyjne w porównaniu z innymi firmami pogrzebowymi – odezwał się Grandier. – W gruncie rzeczy, ze względu na fakt, że pracuje pani w szpitalu, z którym chcemy współpracować, proponuję pogrzeb za połowę ceny, jaką musiałaby pani zapłacić u konkurencji.

– Rozumiem – powiedziała Anna. – A w zamian za zniżkę spodziewa się pan, że będę rekomendowała pańską firmę krewnym pacjentów, którzy będą umierać w

naszym szpitalu?

Brian Grandier splótł palce i uśmiechnął się.

– Tutaj, u Grandiera, staramy się nie używać słowa „umierać”. Powiedzmy po prostu, że jeśli leczenie kogoś z pacjentów okaże się nieskuteczne, przeprowadzimy dla kogoś takiego i jego rodziny dyskretną, godną ceremonię, w zamian za stosunkowo skromny wkład finansowy.

Wkład finansowy, pomyślała Anna. Jakże trafny dobór słów u faceta, który zawodowo zajmuje się wkładaniem zwłok do trumny. Zaraz jednak skarciła siebie: chyba jestem zbyt cyniczna, ale to zapewne odruch obronny i próba oddalania od siebie bólu po stracie Davida. Zaledwie tydzień temu płynęliśmy kajakiem do Chesterfield na ulubione barbecue Davida, śmialiśmy się bez powodu jak dzieciaki z liceum, a teraz muszę przygotowywać jego pogrzeb.

Brian Grandier przesunął broszurę w jej stronę. Zaprezentował jej szeroki wybór trumien, od tradycyjnej mahoniowej ze złożonymi uchwytami po ekologiczne, utkane z wikliny, liści bananowców i hiacyntów wodnych. Wybrała jedną z najprostszych, sosnową, z okleiną z jasnego dębu.

Chociaż Anna od pierwszej chwili nie lubiła Grandiera, nie mogła mu odmówić sprawności w pracy. Szybko i ze zrozumieniem notował jej sugestie dotyczące pogrzebu Davida. Wybrała prosty psalm, który jej chłopak bardzo lubił, odpowiednie teksty i muzykę, która miała grać, kiedy David będzie na zawsze odchodził z jej życia.

Kiedy Grandier skończył dodawać poszczególne kwoty kosztorysu, bez słowa przesunął w jej kierunku kartkę z wyliczeniami.

Pokiwała głową.

– Te kwoty wydają się bardzo rozsądne, panie Grandier.

– Doskonale. W takim razie skontaktuję się ze szpitalem i podejmę niezbędne kroki. Czy potrzebuje pani jeszcze jakiejś pomocy? Mówiła pani, że rodzice zmarłego przyjadą z Boise. Mógłbym zaplanować ich podróż, jeżeli pani sobie tego życzy. A także podróż innych gości.

– Nie... nie, poradzimy sobie, dziękuję – odparła Anna.

Brian Grandier odprowadził ją do wyjścia. Niebo było już granatowe, a na

asfaltowym podejździe pojawiły się pierwsze ciężkie krople deszczu.

– Chyba zanosi się na burzę. – Mówiąc to, Grandier uśmiechał się, jakby ta myśl stanowiła dla niego ulgę.

Wiatr się wzmógł i szarpał gałęziami pobliskich drzew. Brian Grandier ujął obie dłonie Anny i powiedział:

– Jeszcze dzisiaj wyślę pani cały kosztorys e-mailem, droga pani profesor. Byłbym zobowiązany, gdyby zechciała pani go podpisać, zeskanować i odesłać do mnie. Oczywiście oryginał wyślę pocztą. Zapewniam, że poświęcę temu pogrzebowi najwyższą uwagę.

– Jest pan Francuzem?

– Tak, pochodzę z Francji – przyznał. Bezpośredniość pytania jakby go trochę zirytowała. – Ale, widzi pani, to było dawno, a bywają w życiu sprawy, o których wolimy zapomnieć. Dieu nous donne l'espoir pour l'avenir, mais le diable ne nous donne rien mais les souvenirs de nos malheurs passés.

Anna zmarszczyła czoło, próbując przetłumaczyć jego słowa.

– Bóg daje nam nadzieję, czy o to chodzi? Za to diabeł daje nam tylko pamiątki?

Na ustach Briana Grandiera pojawił się protekcyjny uśmiech.

– Bóg daje nam nadzieję na przyszłość, a diabeł daje nam wyłącznie wspomnienia minionych nieszczęść.

Anna w milczeniu odwróciła się i ruszyła do samochodu. Karawanu już nie było. Pomyślała, że pojechał po kolejnego nieszczęśnika, że znowu jakaś dusza zniknęła z tego świata, tak jak zniknęła dusza Davida. Pracując w szpitalu, spotykała ludzi, którzy, choć często byli ciężko chorzy, przybywali tam z nadzieją, że zostaną wyleczeni. Tutaj, do Domu Pogrzebowego Grandier, wszyscy przyjeżdżali tylko po to, żeby żywi mogli pozbyć się ich szczątków w jak najbardziej godny sposób. Spiesząc teraz do samochodu, Anna była tą myślą bardzo przybita.

Ledwie zdołała otworzyć drzwi i usiąść za kierownicą, oślepiająca błyskawica przecięła niebo, a strumienie deszczu zaczęły bębnić w dach samochodu. Anna postanowiła przeczekać ulewę. Przejrzała się w lusterku i poprawiła fryzurę. Niebo rozjaśnił kolejny błysk. Spojrzała przez przednią szybę i przez strumienie wody

spływające po szkle zobaczyła niewyraźną sylwetkę Briana Grandiera stojącego przed wejściem do kaplicy. W pierwszej chwili pomyślała, że czeka, aż ona odjedzie, ale zorientowała się, że mężczyzna stoi odwrócony plecami do niej.

Włączyła silnik i uruchomiła wycieraczki. W tym momencie dostrzegła, że Grandier mówi coś do stojącej przed nim grupy osób.

To musiał być przypadek, mimo to Anna poczuła, jak wilgotnieją jej dłonie, a po plecach przebiega zimny dreszcz.

To były siostry zakonne. Twarze miały ukryte pod czarnymi welonami. Wyglądały dokładnie tak samo jak zakonnica, która napadła na Annę w kostnicy.

Anna siedziała nieruchomo, wpatrując się w zakonnice, lecz w końcu Brian Grandier odwrócił się i spojrzał w jej kierunku. Bez wątpienia zdziwił się, że jeszcze nie odjechała.

W tym samym momencie zadzwoniła jej komórka – tak głośno, że Anna aż podskoczyła. Zawsze ustawiała dzwonek na maksymalną głośność, ponieważ często zdarzało jej się zapominać, gdzie odłożyła telefon.

Dzwoniła Epiphany.

– Anna? Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Nie, skądże. Właśnie skończyłam spotkanie i miałam zamiar odjechać.

– Chodzi o wirusa z Meramac.

– Rozumiem... Jak reaguje na tyranivir?

– Właśnie w tej sprawie telefonuję. Początkowo tyranivir zaczął zakłócać reprodukcję wirusów i pomyślałam, że się udało. Ale nie minęły trzy godziny i wirus zaczął się rozmnażać. Obecnie tyranivir nie robi już na nim żadnego wrażenia.

– Cholera – westchnęła Anna.

Deszcz słabł. Zobaczyła, że Grandier i zakonnice wchodzą przez przesuwane drzwi do poczekalni.

– Ale jest jeszcze coś interesującego – kontynuowała Epiphany. – Przeprowadziłam badanie porównawcze i mieszałam jeden ze zmutowanych wirusów z Meramac z kilkoma wirusami, których wcześniej nie poddałam działaniu tyraniviru. Zgadnij, co się stało...

– Epiphany, to ty masz mi to powiedzieć. Mów, szybko!

Brian Grandier zniknął z zakonnkami w poczekalni, a Anna chciała jak najszybciej znaleźć się w szpitalu.

– Zmutowany wirus zaatakował te dodane wirusy.

– To brzmi interesująco. – Anna popatrzyła na zegarek. – Posłuchaj, będę w laboratorium za dwadzieścia pięć minut. Powtórzmy doświadczenie.

Wyjechała na szosę i ruszyła w stronę miasta. Kiedy dotarła do autostrady międzystanowej nr 44 prowadzącej na północny wschód, zza chmur wyłoniło się słońce, a asfalt zaśnieżył tak mocno, że Anna musiała włożyć ciemne okulary.

W laboratorium Epiphany powtórzyła test, a Anna obserwowała jego przebieg na ekranie mikroskopu. Widziała, że zmutowany wirus z Meramac wykazuje całkowitą odporność na działanie środka przeciwwirusowego o nazwie tyranivir. Zmutowany wirus nie tylko atakował komórki człowieka, w którego ciele się znalazł; zakażał też inne komórki, zaatakowane przez niezmutowanego wirusa z Meramac.

Anna wciąż wpatrywała się w ekran mikroskopu.

– To zdumiewające. Wygląda to tak, jakby dorastało dziecko i zabijało własne rodzeństwo. Przypomina mi się, jak pracowałam w Johns nad uzyskaniem enzymu naprawczego DNA, żeby zniszczyć wirusa HIV.

Wstała i podeszła do biurka, na którym zostawiła kubek z kawą. Kawa była już zimna. Mimo to Anna, krzywiąc się, wypila zawartość kubka do dna. Bardzo potrzebowała kofeiny.

– Oczywiście różnica polega na tym, że enzym naprawczy DNA jest łagodny, a tymczasem ten zmutowany wirus... cholera jasna. Popatrz tylko na niego. Jest coraz bardziej agresywny, niezależnie od tego, z czym się zetknie. Zabija wszystkie poprzednie wersje siebie samego. Jego zmutowana wersja jest sto razy bardziej złośliwa od oryginału. Zatem szukanie środka zaradczego przeciwko niemu pozbawione jest sensu, skoro ten środek jest sto razy groźniejszy od wirusa. Dalszy kierunek prac jest właściwie oczywisty. Teraz musimy zdobyć nową zmutowaną formę wirusa, która zdoła zniszczyć jego aktualną zmutowaną formę, ale która nie będzie zarazem groźna dla ludzi.

– To chyba zbyt wygórowane marzenie – zauważyła Epiphany.

– Daj spokój, dziewczyno, chyba znasz moją dewizę: „To, co potrafisz wymarzyć, na pewno może się zdarzyć”.

– Sama nie wiem. To nie będzie łatwe.

Późnym popołudniem do laboratorium wszedł Henry Rutgers; miał ze sobą styropianową tacę na próbki i grubą plastikową teczkę.

– Wykonałem badania wszystkich trzech ciał: John Patrick Bridges, Mary Stephens i, ostatni, ale nie najmniej ważny, twój David.

– No i co, znalazłeś coś?

– Cóż, rzeczywiście coś znalazłem. Wszyscy troje zostali zakażeni retrowirusem.

– Ale... Czuję, że jest jakieś „ale”.

– Rzeczywiście. Szczerze mówiąc, z takim wirusem jeszcze nigdy się nie zetknąłem. Jeśli moje wnioski są poprawne, zachowuje się on bardzo dziwnie. Dlatego właśnie przyniosłem ze sobą próbki. Chciałbym, żebyś ty także je zbadała... Jestem ciekaw, czy wyniki się potwierdzą.

– Ale co masz na myśli, używając słowa „dziwnie”?

Anna była rozbita i wyczerpana. Przygotowania do pogrzebu Davida przeżyła mocniej, niż przypuszczała. Miała nadzieję, że praktyczne czynności związane z jego śmiercią pomogą jej uporać się ze stratą, zajmą jej myśli. Tak się jednak nie stało. Wracała myślami do Briana Grandiera, tajemniczych zakonnic i tego, co spotkało ją w kostnicy.

– Powiem ci, co uważam za najbardziej dziwaczne w tym wirusie – ciągnął Rutgers. – On jest wybredny.

– Wybredny? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Większość wirusów atakuje komórki żywiciela niezależnie od tego, kto nim jest. Mam na myśli pochodzenie etniczne. Wirusy zwykle nie interesują się, czy ktoś jest biały, czarny czy żółty. Ale ta mała świnka jest inna, niestety. Przeprowadziłem serię badań kontrolnych na komórkach żywicieli o różnym pochodzeniu etnicznym i wirus po prostu ignorował komórki, jeśli nie pochodziły od białego człowieka, chociaż, muszę przyznać, zakaził również niewielki odsetek Latynosów.

– To rzeczywiście dziwne.

– Poczekaj, jeszcze nie skończyłem. Wirus nie tylko ignoruje komórki, jeśli nie pochodzą od białego człowieka albo Latynosa; on ignoruje również duży odsetek i białych, i Latynosów, a ja nie mam bladego pojęcia dlaczego. Nie znam żadnego biologicznego wyjaśnienia powodu, dla którego ten wirus wybiera akurat takiego gospodarza. Nie znalazłem żadnego wyjaśnienia, mimo że bardzo się starałem. Tymczasem mamy do czynienia z wirusem, który jednych ludzi zabija, a innych ignoruje.

Anna odebrała od doktora Rutgersa próbki i teczkę z wynikami badań.

– Dzisiaj się już tym nie zajmę, Henry – powiedziała. – Muszę wreszcie coś zjeść i przespać się chociaż kilka godzin. Ale kiedy przyjdzie Rafik, poproszę go, żeby się zainteresował tym wirusem.

– Dzięki, będę bardzo wdzięczny. – Rutgers przystanął na chwilę przy drzwiach, po czym odezwał się: – Uznasz, że fantazjuję, ale wiesz, co mi przypomina ten wirus? Zabójstwa z Carson Coombs.

Anna popatrzyła na niego uważnie. Do zabójstw o których mówił Rutgers, doszło pod koniec poprzedniego roku, kiedy pewnego poranka pracownik Carson Coombs Insurance z St Louis – przez całe lata tyranizowany i pomiatany przez kolegów – pojawił się w biurach firmy i zastrzelił dwadzieścia trzy osoby. Jednak nie strzelał na oślep; zabijał tylko tych, którzy przez długi czas czynili jego życie nieznośnym.

– Henry – powiedziała Anna – ty, zdaje się, mówisz o zemście. A przecież wirusy nie atakują ludzi z zemsty. Mamy raczej do czynienia z jakąś aberracją.

– Wiem – przyznał Rutgers. – Nie mam pojęcia, dlaczego pomyślałem akurat o Carson Coombs, ale właśnie coś takiego przyszło mi do głowy. To pewnie dlatego, że za dużo pracuję.

Wróciwszy do domu, Anna zaniósła do kuchni zakupy i weszła do salonu. Na ścianie wciąż wisiało rozbite lustro i kiedy stanęła przed nim, miała wrażenie, że patrzy na swoją postać w kalejdoskopie. Widziała pięćdziesiąt fragmentów Anny, każdy pod innym kątem.

Obeszła cały loft, zapalając światła i zaciągając zasłony. Chociaż w kątach



mieszkania nie czaiły się żadne cienie, wciąż czuła się niepewnie. Otworzyła wszystkie lustrzane drzwi szaf, by się upewnić, że nikt się za nimi nie kryje.

– Anno, zachowujesz się śmiesznie – powiedziała do siebie. – Cierpisz z powodu stresu i przepracowania, nic więcej.

Coś jednak nie dawało jej spokoju od chwili, gdy Henry Rutgers przyniósł próbki do laboratorium. Co takiego było w tym wirusie, że Henry skojarzył go z zabójstwami w Carson Coombs? Ich motywem była klasyczna zemsta, po prostu słaba, ponieważ jednostka w końcu nie wytrzymała upokorzeń. A co powiedziała do niej zakonnica w kostnicy? „Tym razem nic nas nie powstrzyma przed zemstą”.

Przygotowała sobie bajgla z wędzonym łososiem i serem topionym, po czym zjadła go na stojąco w kuchni. Rozebrała się, poszła pod prysznic, a potem od razu do łóżka, które wydało się jej szersze i jeszcze bardziej puste niż kiedykolwiek wcześniej. Włożyła piżamę Davida w niebieskie paski, jednak była na nią za duża, zbyt ciepła i zbyt niewygodna, dlatego po półgodzinie Anna wstała i rozebrała się. Przywoływanie wspomnień po ukochanym poprzez noszenie jego rzeczy nie miało sensu. David odszedł na zawsze.

W nocy śniły się jej zakonnice. Okno sypialni było lekko uchylone i zakonnice w absolutnej ciszy przedostawały się do środka przez szczelinę – cały klucz czarnych zakonnice, mnóstwo kobiet w habitach, przypominających nietoperze.

Wkrótce zakryły cały sufit. Zwisaly z niego głową w dół, szeleszcząc, szepcząc między sobą i depcząc jedna po drugiej. Ich szepty brzmiały jak modlitwy, ale były to tylko jakieś złośliwe, niemiłe słowa.

Anna usiadła i podciągnęła kołdrę pod brodę. Wysiłała wzrok, próbując przeniknąć najciemniejsze zakamarki sypialni i dowiedzieć się, co ją obudziło. Słyszała samochody przejeżdżające ulicą, ale właściwie nie była pewna, czy naprawdę się obudziła czy dalej śni.

Popatrzyła na sufit. Nie było na nim żadnych zakonnice.

Sięgnęła do nocnego stolika po szklanekę z wodą. Kiedy ją wzięła do ręki, usłyszała dziwny, ostry dźwięk, który dochodził spod łóżka. Znieruchomiała, nasłuchując. Mijały sekundy, jednak do jej uszu docierał tylko szum przejeżdżających

na ulicy aut. Raz zawyła syrena statku przepływającego rzeką.

Anna uniosła szklankę do ust i znowu usłyszała ten dźwięk, tym razem jakby ktoś ciągnął coś po dywanie. Nagle spod łóżka wyslizgnęła się czarna postać i usiadła obok niej. Twarz miała zasłoniętą, identycznie jak zakonnica w kostnicy.

Anna nie krzyknęła, była jednak tak zszokowana i przerażona, że upuściła szklankę na podłogę. Dwoma bladymi dłońmi zakonnica uniosła welon. W półmroku ukazała się śmiertelnie blada twarz. Jej usta były wykrzywione w obrzydliwym grymasie.

Zakonnica krzyknęła. Wrzask był tak przenikliwy i rozdzierający, że Anna podskoczyła i zerwała się do ucieczki. Nogi zaplątały jej się w kołdrę i przez kilka sekund była uwięziona, jednak uwolniła się i zeskoczyła po drugiej stronie łóżka.

Zakonnica rzuciła się za nią, ale kiedy przeskoczyła łóżko, nagle zniknęła, wyparowała, jakby była tylko chmurą czarnego dymu.

Anna uklękła przy łóżku. Drżała. Zapaliła lampkę i rozejrzała się po sypialni – nigdzie nie było żadnego śladu po zakonnicach. Koszmar, pomyślała, to musiał być tylko nocny koszmar.

Wstała, okrążyła łóżko i stanęła pod drzwiami łazienki. Przez chwilę się wahała, po czym szybko je otworzyła. W łazience również nie było nikogo.

Uspokój się, Anno, wyszeptała do siebie. Nie daj się ogarnąć szaleństwu. Masz ważną pracę do wykonania, nie możesz pozwolić, żeby śmierć Davida pomieszała ci w głowie. Od ciebie zależy życie zbyt wielu ludzi.

A jednak ubrała się w dżinsy i różową koszulkę bez rękawów i resztę nocy spędziła na kanapie w salonie przy włączonych światłach. Spała z przerwami, niespokojnie. O piątej nad ranem podniosła się z kanapy, poszła do kuchni i przygotowała sobie kubek świeżej kawy.

## ROZDZIAŁ 15

Pakowanie nie zabrało mi dużo czasu, ponieważ zanim wyjechałem z Nowego Jorku do słonecznego Miami, pozbyłem się niemal wszystkiego, co wtedy posiadałem. A posiadałem obite skórą fotele, stoliki do kart i półki pełne książek, w tym rząd pięknie oprawionych roczników „Playboya”. Miałem odkurzacz elektryczny, sztucce i zestaw obiadowy Willow Pattern, w którym brakowało dosłownie kilku talerzyków. Miałem nawet obraz, przedstawiający jesienną panoramę Vermontu, z drzewami, których liście mieniły się wszystkimi kolorami. Z tym że nigdy nie byłem w Vermoncie i nawet nie chciałem tam jechać.

Teraz miałem jedynie trochę ubrań, płyty CD i trzy komplety kart do przepowiadania przyszłości, jednak talii Przepowiednia Sybilli właściwie nie uważałem już za swoją, odkąd wszystkie karty w niej poczerniały. Mojego forda mustanga zamierzałem zostawić Marcosowi; mógłby nim jeździć albo go sprzedać i wysłać mi forszę. Posiadanie samochodu na Manhattanie nie miało bowiem sensu.

Sandy również pojechała do siebie, żeby się pakować, mimo że próbowałem ją przekonać, aby pozwoliła mi najpierw znaleźć jakieś miejsce dla nas. Dopiero wtedy mogłaby do mnie przyjechać. Naprawdę ją lubiłem, jednak w tej chwili, na życiowym zakręcie, nie chciałem ponosić za nią odpowiedzialności, szczególnie że Matchitehew, Megedagik i siostry zakonne zagroziły, że skrzywdzą najbliższe mi osoby, jeżeli nie ostrzegę świata przed grożącym mu niebezpieczeństwem w postaci straszliwej zarazy.

Pakując się, byłem roztrzęsiony, właściwie bliski paniki. Za każdym razem, kiedy z ogrodu dobiegał jakiś odgłos, nie mogłem się powstrzymać i wyglądałem przez okno, żeby sprawdzić, co jest jego źródłem. Próbowałem przekonywać samego siebie, że ostatniej nocy miałem jedynie halucynacje i że pojawienie się zakonnic oraz dwóch synów Misquamacusa było efektem stresu, przemęczenia i nadmiaru alkoholu. Dobrze jednak wiedziałem, że to nieprawda. Doskonale poznałem już siłę magii Indian i wiedziałem, jak bardzo potrafi być wyniszczająca. Jej źródłem jest ziemia pod naszymi stopami, bo przecież tak naprawdę ta ziemia jest własnością Indian, a nie

naszą.

Przerażała mnie myśl, że w żaden sposób nie potrafię wykonać ich rozkazu. Kogo właściwie mam ostrzec, że Stanom Zjednoczonym zagraża jakaś choroba, na którą nie posiadamy żadnego lekarstwa? Przecież nie posłuchają mnie żadne służby. Każdy, do kogo się zwrócę, prawdopodobnie pomyśli, że za wszelką cenę szukam sposobu, żeby jednak pozostać na Florydzie. Albo zostanę uznany za wariata. Prawdopodobnie pierwsi pomyślą tak o mnie dziennikarze.

Ale, jak powiedziałem, sam doskonale już wiedziałem, jak niszczące bywają siły indiańskiego szamanizmu. Co się ze mną stanie, jeśli epidemia naprawdę wybuchnie i umrą tysiące bezbronnych ludzi? Prawdopodobnie zostanę uznany za terrorystę, który sam wywołał epidemię.

Uznałem, że najlepszym rozwiązaniem będzie bezpowrotna ucieczka z Florydy. Misquamacus był najstraszliwszą emanacją ducha, z jaką się kiedykolwiek zetknąłem, a jeśli Matchitehew i Megedagik byli chociażby w połowie tak mściwi jak on, zmierzaliśmy ku katastrofie, której skali nie byłem w stanie nawet sobie wyobrazić. A co z tą zakonnice? Jeśli jakakolwiek postać ze świata magii wywołała u mnie kiedyś gęsią skórę, to właśnie ona.

Byłem już niemal spakowany, kiedy postanowiłem zatelefonować do mojego starego przyjaciela, Ricka Beamera. Więcej niż raz ratowałem Ricka z różnych opresji – głównie chodziło o nieporozumienia towarzyskie z kobietami – i ze trzy razy pozwoliłem mu mieszkać u mnie w gościnnym pokoju; kiedyś korzystał z tego prawie przez cztery miesiące. Rick był przystojnym facetem, trochę podobnym do Clinta Eastwooda. Miał bujną siwą czuprynę, a z ust nigdy nie schodził mu uśmiešek zadowolenia z siebie. Kobiety, jak się to mówi, leciały na niego, jednak żaden z jego związków nie trwał długo, ponieważ Rick żadnej kobiecie nie potrafił dochować wierności. Przebierał wśród tancerek go-go, kelnerek i dziewczyn z nocnych klubów tak szybko, jak szybko ja tasowałem karty tarota.

Odebrała jakaś zachrypnięta kobieta.

– Tak? – rzuciła do słuchawki, po czym niespodziewanie wrzasnęła: – Billy zdejmij ze stołu te brudne buciory!

- Przepraszam, czy Rick jest w domu? – zapytałem.
- Rick? Nie. Nie ma tutaj nikogo o takim imieniu.
- Chodzi mi o Ricka Beamera. Takiego chudego faceta o siwiejących włosach. To jest ostatni jego adres, jaki znam. Brooklyn, Jedenasta Ulica 392 mieszkanie 5.
- Ach, o niego ci chodzi, już wiem. Zawsze go znałam jako Sharky’ego.
- No właśnie, Sharky. Jest w domu? Koniecznie muszę z nim porozmawiać.
- Nie, nie ma go. Billy, cholera jasna, ile razy mam ci powtarzać?
- Aha – mruknąłem. – A kiedy wróci?
- Kto?
- Sharky. Mogłaby pani go poprosić, żeby do mnie zatelefonował?
- Niestety, nie mogłabym.
- Niech mu pani tylko napisze karteczkę. Podam pani numer mojej komórki. Może do mnie zadzwonić w każdej chwili.
- Wyjechał do Los Angeles. Jakieś sześć albo siedem miesięcy temu. I myślę, że już nigdy tutaj nie wróci, rozumiesz? Nigdy.
- Aha, rozumiem. A nie zostawił pani przypadkiem jakiegoś numeru telefonu?
- Nie, nie zostawił. Billy! Ostatni raz cię ostrzegam! Jeżeli nie zdejmiesz buciorów ze stołu, połamię ci nogi w trzech miejscach! Zobaczysz, na pewno ci się to nie spodoba!
- Bardzo pani dziękuję – powiedziałem.
- Za co? – zapytała kobieta. Już miałem przerwać połączenie, kiedy dodała: – Hej, poczekaj chwilę... Sharky mówił, że ma zamiar otworzyć w Los Angeles jakiś własny interes. Może znajdziesz go w książce telefonicznej?
- A jaki to miał być interes?
- Chodziło o dezynsekcję, tępienie owadów. Chciał to nazwać Beamer’s Bug Blitzers, czy jakoś tak. Mówiłam mu, że to popieprzony pomysł.
- Tak – przyznałem. – To do niego pasuje. Już wcześniej zajmował się czymś podobnym.
- Mam nadzieję, że go znajdziesz. Jeśli ci się uda, powiedz mu, że Lauretta wciąż

o nim myśli.

– Laretta? Jasne, powiem mu.

– Powiedz mu, że jest świnią i że jeśli kiedyś go jeszcze spotkam, napluję mu w twarz. Napluję mu w oczy, w każde osobno. Powiedz mu, że opluję mu nochal.

– Tak, oczywiście. Dzięki, Laretto.

Wystarczyło mi zaledwie kilka telefonów i namierzyłem Ricka. Numer Beamer's Bug & Termite Blitzers uzyskałem w informacji telefonicznej Los Angeles, jednak kiedy tam zadzwoniłem, Ricka nie było w biurze. Jakiś beznadziejnie tępy gość potrzebował aż pięciu minut, żeby dokładnie zapisać moje nazwisko i numer telefonu, ale obiecał mi, że Rick do mnie oddzwoni. Dodał, że w tej chwili mój kumpel prawdopodobnie siedzi w tropikalnym barze Tiki-Ti przy Sunset Boulevard ze swoją dziewczyną Dazey.

– Dzięki – odparłem. – Mogłeś mi to powiedzieć na początku.

– Mogłeś mnie zapytać, gdzie jest teraz Ricky.

Zadzwoniłem do Tiki-Ti. Słuchawkę podniósł barman.

– Jest u was klient, który się nazywa Rick Beamer? Niektórzy znają go też jako Sharky'ego.

– Sharky? Jasne. Sharky! Chodź tutaj. Kto dzwoni?

– Powiedz mu, że Czarodziej.

– Sharky! Czarodziej do ciebie.

Wśród szumu rozmów klientów usłyszałem donośny głos Ricka:

– Żartujesz. Czarodziej? Ten sukinsyn od wieków się do mnie nie odzywa! Dzięki, Michael!

Oczekałem kilka sekund, wsłuchując się w śmiechy i inne odgłosy baru Tiki-Ti, aż wreszcie Rick wziął do ręki słuchawkę.

– Harry Erskine? To niewiarygodne. Jak mnie tutaj wyśledziłeś, człowieku?

– Trochę mi pomogła Laretta. Pozdrawia cię, przy okazji.

– Ach, ta głupia, nienasycona cipa.

– Rick, każda kobieta, z którą nie chcesz już być, okazuje się nienasyconą cipą, obaj dobrze o tym wiemy. A tak przy okazji, wciąż jesteś z Dazey?

– Dazey mnie uwielbia. Od zawsze. A tak przy okazji, ze wszystkich kobiet, z którymi się umawiałem, ta dziewczyna ma najwspanialsze cycki. Czego ode mnie chcesz, Czarodzieju? Chyba nie zadzwoniłeś do mnie dla zabicia czasu?

– Nie, Rick. Jestem w Coral Gables na Florydzie i pomijając wszystkie inne sprawy, wpakowałem się w drobne kłopoty z prawem. Policja nalega, żebym dzisiaj do siódmej wieczorem zniknął z terytorium stanu, w związku z czym miałem nadzieję, że mógłbyś mnie przechować przez dzień lub dwa.

– Chcą, żebyś opuścił stan? Jezu, a co ty takiego zrobiłeś, człowieku? Przecież żyjesz jak święty, przynajmniej tak mi się wydawało. Opowiadasz starszym damom optymistyczne brednie o ich przyszłości i takie tam, byleby tylko były szczęśliwe. Przecież to jest niemal służba publiczna!

– Wszystko ci opowiem, jak się spotkamy... jeśli nie masz nic przeciwko spędzeniu jakiegoś czasu w moim towarzystwie.

– Oczywiście, że nie mam. Powspominamy stare, dobre czasy, Czarodzieju. Przyjeżdżaj do mnie, naturalnie. Jeżeli nie masz nic przeciwko dzieleniu pokoju z Mazey, siostrą mojej Dazey.

– Mazey? Czy ty przypadkiem mnie w coś nie wkręcasz?

– Absolutnie nie. Dazey ma siostrę o imieniu Mazey. Wiń ich rodziców za kretyńskie imiona, a nie mnie. Mazey to prześliczna słodziutka idiotka, polubisz ją. Przecież zawsze kręciły cię głupie kobiety, Czarodzieju.

– Bo głupie kobiety nie zadają bólu.

Pomyślałem o Amelii Cruseo. W przeciwieństwie do mnie Amelia posiadała autentyczną umiejętność jasnowidzenia. Zawsze marzyłem o kimś takim jak Amelia, i to nie tylko dlatego, że naprawdę potrafiła przewidywać przyszłość, ale przede wszystkim dlatego, że była śliczna. Kiedy wchodziła do pomieszczenia, w którym przebywałem, za każdym razem zaczynała się we mnie gotować krew. Amelia była też cholernie inteligentna. Z wielu powodów mój związek z nią nie trwał długo. A jego wspomnienie wciąż mnie bolało.

Ale...

– Jest pewien problem, Rick – powiedziałem. – Moja obecna dziewczyna, Sandy,

chce jechać ze mną.

– Przykro mi, Czarodzieju, ale dla pary nie będę miał pokoju.

– Rozumiem, Rick. Chyba będę ją musiał zostawić.

– Bardzo mi przykro, stary.

– Nie, wcale nie musi ci być przykro – pocieszyłem go.

Prawdę mówiąc, odczułem ulgę. Miałem teraz obiektywny i wystarczający powód, żeby nie zabierać Sandy ze sobą.

– Dobra, Czarodzieju, więc możesz przyjechać. Mój adres to Ambrose Avenue numer 4881, Hollywood. Jeśli przyjedziesz i nikogo nie będzie w domu, znajdziesz klucz pod cementowym posągim niezbyt urodziwej kobiety, tuż obok drzwi.

– Dzięki, Sharky. Do zobaczenia.

– Hej, Czarodzieju... Zanim się rozłączysz, wykrztuś z siebie, specjalnie dla mnie, jakieś mistyczne motto z twojego repertuaru.

– Jasne, Sharky. „Nieważne, ile kawioru nałożysz na pieczonego ziemniaka, on nigdy nie zamieni się w mewę”.

Kupiłem bilet na samolot American Airlines, odlatujący z Miami do Los Angeles o godzinie 18.10. Nie zadzwoniłem do ani jednej spośród moich klientek i nie powiedziałem żadnej z nich, że prawdopodobnie nigdy mnie już nie zobaczy. Kosztowałyby mnie to zbyt wiele czasu i pieniędzy za połączenia telefoniczne, a poza tym – z tego, co o nich wiedziałem – u niejednej informacja mogłaby spowodować zatrzymanie akcji serca. Niektóre spośród nich żyły z przekonaniem, że jeśli nie będą znały swojej przyszłości z pewnym wyprzedzeniem, przyszłość po prostu nie będzie już dla nich istniała.

Po raz ostatni zamknąłem za sobą drzwi gościnnej chaty Marcosa i muszę powiedzieć, że zrobiło mi się ciężko na sercu. Aż do wczoraj cieszyłem się każdą chwilą, jaką spędzałem w Miami Beach. Jednak od tego popołudnia wciąż powracałem myślami do trzech zakonnicek, które zmaterializowały się w mojej sypialni. Przypominałem sobie, jak dwie z nich zmieniły się w Matchitehewa i Megedagika. Uwierzcie mi, nade wszystko nie chciałem po raz kolejny spotkać się z tą ohydą trójką twarzą w twarz.



Taksówka, po którą wcześniej zatelefonowałem, czekała już na mnie na ulicy. Kiedy wsiadłem do środka, poprosiłem kierowcę, żeby zawiózł mnie na Douglas Street, do Coral Gables Hospital. Do odlotu miałem sporo czasu, a przed dotarciem na lotnisko musiałem jeszcze odbyć niezwykle istotną rozmowę telefoniczną.

Przed głównym wejściem Coral Gables Hospital zawsze siedzi czarny kot, który bardzo lubi ocierać się o nogi ludzi wchodzących do budynku. Byłem tu już kilka razy – albo odwiedzając znajome, które urodziły trojaczki, albo znajomych, którym rozkwaszono nosy w ulicznych bójkach. Przy takich okazjach zawsze przechodziłem przez próg z przekonaniem, że otarcie się kota o moje spodnie jest dla mnie zapowiedzią powodzenia. Dzisiejszego popołudnia wcale nie byłem tego pewien. Zatargałem moje dwie podniszczone walizki do holu, a ładna czarnoskóra recepcjonistka z ogromnymi okrągłymi kolczykami w uszach obiecała mi je przechować za kontuarem. Nie była zwyczajnie ładna, była prześliczna, jednak nie mogłem jej zapytać, czy zechce wybrać się ze mną na połów marlinów wielkim jachtem z włókna szklanego, należącym do mojego klienta. Wczesnym wieczorem czasu pacyficznego miałem przecież lądować w Los Angeles.

Kiedy wszedłem do sali szpitalnej, ojciec Zapata spał. Był szary jak popiół i zaniepokoiłem się, że wygląda, jakby umarł. Wokół oczu miał ciemne obwódki, jego policzki były głęboko zapadnięte, a rozchylone wargi ukazywały białe zęby. Jednak z jego ust wydobywał się świszczący oddech. Usiadłem na krześle obok jego łóżka, przez jakiś czas gapiłem się w przyciszony telewizor i jadłem winogrona Zapaty. Mniej więcej po dziesięciu minutach z korytarza dobiegł głośny huk i dźwięk rozpryskującego się szkła; to któraś z pielęgniarek upuściła tacę z lekarstwami. Wtedy ojciec Zapata otworzył oczy i popatrzył na mnie.

– Harry – wycharczał.

– Cześć, ojcie. Wpadłem, żeby zobaczyć, jak się ojciec miewa.

– Umieram z pragnienia. Gardło suche jak wiór.

Podąłem mu plastikowy kubek z wodą. Ksiądz uniósł głowę z poduszki i wypił wodę kilkoma zachłannymi łykami.

– Chce ojciec jeszcze? – zapytałem.

– Nie, to wystarczy – odparł, oddając mi pusty kubek. Przyjrzał mi się i stwierdził:  
– Jesteś elegancko ubrany. Dokąd się wybierasz?

– Za dwie godziny wylatuję do Los Angeles. Na zawsze.

Opowiedziałem mu, jak to detektyw Blezard kazał mi opuścić Florydę. Nie wspomniałem jednak o trzech siostrach zakonnych, które się pojawiły w mojej sypialni, ani o tym, że dwie z nich zamieniły się w synów Misquamacusa. Uznałem, że Zapata ma już dosyć nadprzyrodzonych zjawisk na całe życie, szczególnie tych, które sprawiają, że człowiek odgryza sobie własnego fiuta.

– Co mówią lekarze? – zapytałem.

– Och... powiedzieli, że mój członek nie będzie już normalnie funkcjonował. Gdybym jednak zamierzał rozpocząć życie seksualne, mogą założyć protezę. W końcu coś takiego spotkało Johna Wayne'a Bobbitta i potem nadal był gwiazdą porno.

– Ojcze!

– Nie, nie. Oczywiście, nie zamierzam naśladować Johna Wayne'a Bobbitta! – zapewnił Zapata. Zaczął gwałtownie kaszleć i przez chwilę trudno mu było złapać oddech. W końcu się uspokoił. – Mam szczęście, że żyję. Dzięki tobie nie wykrwawiłem się na śmierć. To, co mi się przydarzyło, dowiodło ponad wszelką wątpliwość, że powinienem kontynuować posługę kapłańską i z jeszcze większym oddaniem poświęcać się walce z szatanem.

– Mówiąc szczerze, ojcze, nie rozumiem, co się z ojcem stało. Dlaczego ojciec to zrobił? Czy ojciec potrafi to wyjaśnić?

Popatrzył na mnie błyszczącymi oczami, osadzonymi niewiarygodnie blisko siebie.

– Harry, uwierzysz mi, jeśli ci powiem, że to sprawka złego ducha?

– Ojcze, wiesz, z czego się utrzymuję. Przepowiadam przyszłość, chociaż nie potrafię przewidzieć, co mnie samego spotka za pięć minut, nie mówiąc o pięciu dniach. Ale jeśli ojciec jest pewien, że to demon uczynił mu krzywdę, jestem skłonny w to uwierzyć.

– Naprawdę?

– Tak. Wiem z całą pewnością, że na tym świecie są siły inne niż te, którymi

ludzie kierują i które znają. Nie zawsze potrafimy je dostrzec, a prawdopodobnie nigdy ich nie zrozumiemy. Z doświadczenia jednak wiem, że one naprawdę istnieją.

– Mówisz poważnie? Twoje słowa przynoszą mi ulgę.

– Mówię poważnie. Spotkałem się z tymi siłami niejednemu raz i mówię ojcu, to wcale nie było zabawne. Kimkolwiek one są – duchami, widmami, zjawami – czasami, owszem, pragną nam pomagać. Jednak w większości przypadków doprowadzają nas do szaleństwa, rozrywają na strzępy albo grzebią żywcem.

– To był demon, Harry, przysięgam na Biblię. Czułem to całym sobą.

– Czy domyśla się ojciec, dlaczego ten demon zmusił ojca do samookaleczenia? Czy to była kara za egzorcyzmy nad zakonnicą? Jakiś rodzaj ostrzeżenia albo coś podobnego?

Zapata pokiwał głową.

– Powiedziałem ci, że pojawienie się siostry zakonnej jest przykładem tego, co Kościół nazywa syndromem Loudun?

– Tak. Ale wtedy ojciec nie wyjaśnił mi do końca, co to jest.

– A więc... w 1632 roku urszulanki z klasztoru w Loudun we Francji doszły do przekonania, że zostały opętane. Twierdziły, że posiadały je całe zastępy różnych demonów.

– Rozumiem – powiedziałem. – Czy one wiedziały, dlaczego szatan wybrał akurat ich klasztor?

– Nie do końca. Aresztowano księdza z pobliskiej parafii, uznano bowiem, że to właśnie on był sprawcą ich opętania. Mówiło się, że częściowo uczynił to na złość lokalnej hierarchii kościelnej, a częściowo dla własnego zaspokojenia seksualnego. Próbowano wymusić na nim zeznania, łamiąc mu nogi i stosując inne straszliwe tortury, później został spalony na stosie. A jeśli chodzi o zakonnice, dwóch sławnych wówczas egzorcystów wypędziło z nich demony. Ale nawet po tych egzorcyzmach matka Joanna od Aniołów twierdziła, że nadal jest opętana, i to nie przez jednego, ale przez siedem różnych demonów. W tej sytuacji władze kościelne wysłały do niej jezuitę Jeana-Josepha Surina, żeby przeprowadził specjalne egzorcyzmy.

– Rozumiem – powiedziałem, choć tak naprawdę wcale nie rozumiałem.

No bo jaki mógł istnieć związek pomiędzy religijnym hokus-pokus rodem z siedemnastowiecznej Francji a mną, moim życiem i z bliskimi mi ludźmi.

Ojciec Zapata zakaszłał, odchrząknął i kontynuował:

– Jeden z demonów, które posiadały matkę Joannę od Aniołów, nigdy dotąd nie pokazał się ludziom i jego miejsce w hierarchii piekielnej było nieznane. Dlatego Surin nie miał pojęcia, jak go wypędzić. Ten zły duch był silniejszy od wszystkich innych, które zagnieździły się w zakonnicy. Wiele lat później zidentyfikowano go jako Gresila, demona nieczystości i zarazy. Surin nie widział innego sposobu przepędzenia go, jak zaproszenie go do własnego ciała; tak zrobił ojciec Karras w Egzorcyście. Przypuszczam zresztą, że to właśnie postać księdza Surina zainspirowała autora. Tak więc, chociaż Surin ocalił matkę przełożoną, przez następne dwadzieścia pięć lat cierpiał z powodu opętania, i nie raz próbował się zabić.

– Ale czym tak naprawdę jest syndrom Loudun? – zapytałem.

– Bądź cierpliwy, właśnie zamierzam to wyjaśnić – odpowiedział ojciec Zapata. – Działalność demonów w Loudun w latach 1632–1637 została bardzo dobrze udokumentowana, między innymi dlatego, że egzorcyzmy przeprowadzano publicznie, nawet wobec kilku tysięcy obserwatorów. Życie, które Jean-Joseph Surin wiódł po egzorcyzmach, również jest doskonale znane ze źródeł. Jeden z jego najbliższych przyjaciół, ojciec Jacques Nau, napisał, że Surin często zachowywał się agresywnie, deptał hostie, obnażał się i bluźnił. Wreszcie, latem 1658 roku, władze kościelne nakazały mu wrócić do klasztoru w Loudun. Zaszła tam w ciążę młoda zakonnica, siostra Marie, a matka przełożona nabrała przekonania, że mógł ją zapłodnić tylko demon, ponieważ do klasztoru nie miał dostępu żaden mężczyzna. Chciała, żeby Surin przeprowadził egzorcyzmy, kiedy tylko dziecko się urodzi. Ufała, że jedynie Surin sprosta wyzwaniu i, według ksiąg kościelnych, Surin rzeczywiście mu podołał. Nie znamy losów dziecka, chociaż wiemy, że był to chłopiec. Zapisano też, że siostra Marie zmarła krótko po porodzie. Zaledwie kilka miesięcy później burmistrzowi Angers pokazała się pierwsza tajemnicza zakonnica, o czym ci już mówiłem. Później kolejne siostry zakonne ukazywały się innym mieszkańcom miasta; wkrótce potem wielu z nich zaczęło zapadać na ciężkie choroby i umierać. Plotka

głosiła, że zakonnice przybywają z klasztoru w Loudun i przenoszą jakąś zarazę, na przykład dżumę, chociaż nikt nigdy nie zdołał tego udowodnić ponad wszelką wątpliwość. Dlatego nawet w czasach współczesnych, jeśli przed wybuchem jakiejś gwałtownej epidemii albo inną katastrofą komuś ukazuje się zakonnica, Kościół nazywa to syndromem Loudun.

– Ale skąd bierze się ta choroba? – zapytałem. – Jakoś nie widzę związku pomiędzy egzorcyzmami nad dzieckiem a siostrami zakonnymi, które zwiastują chorobę.

– Do tej pory uczeni nie potrafią dowieść tego związku – odparł ksiądz. – Wiadomo jednak, że po egzorcyzmach nad dzieckiem zachowanie Jeana-Josepha Surina niemal powróciło do normy. Odzyskał kontrolę nad sobą, napisał wiele książek i inspirujących listów, chociaż nigdy już się nie modlił i nie odprawiał mszy. Jego późne pisma nawet dzisiaj są bardzo szanowane.

– Nic z tego nie rozumiem.

Ojciec Zapata popatrzył na mnie z uwagą.

– Postawiono tezę, że dziecko wcale nie było potomkiem szatana. Niektórzy doszli do wniosku, że było to dziecko jakiegoś miejscowego chłopaka, co wcale nie jest nieprawdopodobne. Jeśli Surin o tym wiedział, być może wypędził demona ze swego ciała i kazał mu przenieść się na dziecko. Niewinna, nieskalana dusza z pewnością stanowiłaby dla niego łakomy kąsek. Gresil był źródłem nieczystości i chorób, a zakonnice opiekowały się niemowlakiem od pierwszych godzin jego życia, dlatego wszelka zaraza mogła spłynąć na nie właśnie z powodu bliskiego obcowania z dzieckiem.

– To są zaledwie domysły – zauważyłem. – Nie ma na to żadnych dowodów, prawda?

Ale ja przecież widziałem zakonnice na własne oczy, pomyślałem. Widziałem nawet, jak zamieniają się w duchy Indian, którzy ostrzegli mnie, że ludzi zaatakuje straszliwa choroba, podobnie jak w siedemnastym wieku. Może cały ten syndrom Loudun wcale nie jest aż taką nedorzecznością, jak się wydaje?

Chciałem opowiedzieć ojcu Zapacie o zakonnicach i synach Misquamacusa,

jednak widziałem, że jest już bardzo zmęczony, więc zrezygnowałem. Nie miałem zamiaru przyczynić się do pogorszenia jego stanu zdrowia. Poza tym wcale nie byłem pewien, czy chcę usłyszeć, co on o tym myśli.

Wtedy powiedział coś, co przekonało mnie, że powinienem wyjść z tego szpitala i uciec z Florydy, gdzie mnie oczy poniosą.

– Młoda zakonnica, która urodziła chłopca... siostra Marie, przysięgła na łożu śmierci spowiednikowi, kapucynowi ojcu Tranquille'owi, że nigdy w życiu nie odbyła z nikim stosunku seksualnego, ani z człowiekiem, ani z demonem, ani we śnie, ani na jawie. Ojciec Tranquille zapisał to w pamiętnikach. Zapisał też, że sam poród był niezwykle.

W milczeniu czekałem na ciąg dalszy.

– Siostra Marie, inaczej niż wszystkie kobiety, nie nosiła dziecka w macicy.

Zapata oddychał ciężko i mówił z coraz większym trudem. Próbował unieść głowę z poduszki, ale nie miał siły. Skinął na mnie, żebym się nad nim pochylił.

– Według ojca Tranquille'a nosiła swoje dziecko...

Złapał kościstą dłonią za kołnierz mojej koszuli; chciał, żebym pochylił się jeszcze niżej. Gdy moja twarz znalazła się bardzo blisko jego twarzy, z lewego kącika ust Zapaty wypłynęła strużka krwi.

– Ojcze, ty krwawisz – powiedziałem. – Ojcze, ty krwawisz! Muszę zawołać pielęgniarkę.

Chciałem unieść głowę, jednak ojciec Zapata z całej siły zaciskał dłoń na kołnierzu. Poczułem się tak, jakby dopadł mnie drapieżny ptak.

– Nosiła je...

Znowu zakaszłał i tym razem z jego ust trysnęła fontanna krwi. Poczułem na swojej twarzy jej ciepłe krople, a na wargach księdza pojawiła się krwawa piana.

Zdołałem mu się wyrwać, tracąc przy tym dwa guziki. Nacisnąłem przycisk alarmowy przy łóżku i podbiegłem do drzwi. Otworzyłem je i zacząłem krzyczeć:

– Pielęgniarka! Natychmiast! Pomocy!

Wróciłem do łóżka. Ciałem księdza wstrząsały drgawki, a przód jego piżamy przesiąknięty był ciemnoczerwoną krwią.

Wpatrywał się we mnie z uniesioną ręką, jakby koniecznie chciał coś powiedzieć.

– Harry... – wyszeptał.

Zadrżał jeszcze mocniej i ponownie wymiotował krwią. Słyszałem, jak pielęgniarka biegnie korytarzem; kobiecy głos zawołał:

– Sostro!

– Leż spokojnie, ojczy – prosiłem go.

On jednak znowu spróbował unieść głowę z poduszki.

– Plecy – wyszeptał.

– Co takiego?

– Nosila dziecko na plecach, Harry. Nie w macicy. Jej dziecko rozwijało się na plecach.

## ROZDZIAŁ 16

Przez kolejne dwie i pół godziny siedziałem w szpitalu. Kwadrans po czwartej doszedłem do wniosku, że jeśli teraz stąd nie wyjadę, spóźnię się na samolot. A przecież nie mogłem stracić pieniędzy, które już zapłaciłem za lot, ani też pozwolić się aresztować za kradzież, której nie popełniłem.

Gdy tak czekałem, pod szpital podjechała lśniąca limuzyna, z której wysiadło kilku księży i szybko weszło do szpitala.

W końcu udałem się do recepcji, żeby odebrać walizki.

– Mogłaby pani zadzwonić na górę i zapytać, jak się czuje ojciec Zapata? – zapytałem recepcjonistkę. – Bardzo chciałbym zostać z nim dłużej, ale muszę zdążyć na samolot.

Wzięła do ręki słuchawkę i przez chwilę z kimś rozmawiała. Kiedy skończyła, zwróciła się do mnie:

– Przykro mi, proszę pana. Ojciec Zapata zmarł przed dziesięcioma minutami.

– To straszne. Wie pani, co było powodem śmierci?

– Czy jest pan jego krewnym? Jeśli nie, nie mogę panu udzielić żadnych informacji.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Stałem tam i czułem się tak, jakbym to ja był odpowiedzialny za śmierć tego księdza. W ogóle nie powinienem był prosić go o pomoc. Powinienem był zdać się wyłącznie na własne doświadczenia, natychmiast wyprowadzić się z gościnnego domu Marcosa i absolutnie nikomu nie wspominać o spotkaniu z duchem. Bo duchy w niczym nie przypominają tych, o których czyta się w książkach. Otacza je makabryczna aura, której człowiek nigdy nie pojmie. Nie mają dla nas cienia współczucia i nie obchodzi ich, jak wielką czynią nam krzywdę. Kiedyś były ludźmi i zazdroszczą nam, że jeszcze żyjemy. A te zjawy, które nigdy nie należały do rodzaju ludzkiego, nie żywią wobec nas żadnych uczuć. To tak jak z rekinami: przecież nie spodziewamy się, żeby któryś z nich zapłakał z żalu, rozerwawszy człowieka na strzępy. Nie oczekujemy też, że skała, która spadnie



człowiekowi na głowę z wysokiego klifu, będzie miała z tego powodu wyrzuty sumienia. Jezioro nie zapłacze, kiedy człowiek utopi się w jego odmętach.

Przywołałem taksówkę i kazałem się zawieźć na lotnisko.

Gdy jechaliśmy na wschód Dwudziestą Drugą, kierowca co chwilę zerkał na mnie we wstecznym lusterku.

– Ma pan na koszuli krew, wie pan o tym? – zapytał w pewnej chwili. – Chyba się nie mylę, co? To jest krew?

– Tak, zgadza się – odparłem.

Obejrzałem dłonie. Na nich też była krew, naprawdę i w przenośni.

– Jest pan ranny? Może wrócimy do szpitala?

– Nie, nic mi nie jest. To nie jest moja krew.

Kierowca podał mi kilka nawilżonych chusteczek papierowych.

– Tym może się pan doprowadzić do porządku.

– Dzięki – mruknąłem.

Pomyślałem jednak, że tak naprawdę już nigdy nie zmyję z siebie tych krwawych plam. Kiedy skręciliśmy na północ i jechaliśmy w kierunku portu lotniczego, zacząłem się zastanawiać nad ostatnimi słowami ojca Zapaty.

„Nosila dziecko w plecach, Harry. Nie w macicy. Jej dziecko rozwijało się w plecach”.

Słowa Zapaty zmroziły mnie do szpiku kości, ponieważ coś podobnego słyszałem już wcześniej nie raz i w każdej z tych opowieści ginęło mnóstwo ludzi albo zostawało kalekami na całe życie.

Kiedyś, w XVII wieku, czarownik Algonkinów Misquamacus popełnił samobójstwo, wypijając gorący olej. Było to częścią rytuału magicznego, który przeprowadził, by urodzić się na nowo po kilkuset latach. Wierzył, że kiedy znowu pojawi się na ziemi, będzie w stanie się zemścić na kolonizatorach, którzy zabrali ziemię jego ludu i wymordowali mnóstwo jego braci Indian. Misquamacus kilkakrotnie stawał mi na drodze i udawało mi się go pokonać – jednak wyłącznie dzięki połączeniu szczęścia i nowoczesnej technologii. Na przestrzeni wieków, które minęły, gdy Misquamacus czekał na ponowne narodziny, wiedza osiągnęła taki

poziom, że ludzie mogli się skutecznie przeciwstawiać potężnej magii Indian. Gdyby nie zdobyte nauki, nigdy nie udałoby mi się zwyciężyć Misquamacusa.

Wciąż nie wiem, dlaczego tak się stało, ale Misquamacus wybrał jako sprawczynię swojej reinkarnacji młodą kobietę z Nowego Jorku, Karen Tandy. Mógł ją wybrać przez przypadek, a może wskazała mu ją algonkińska mapa gwiazd albo jakiś magiczny obrzęd – kto wie? Jednak w miarę jak płód się rozrastał, nie karmił się wyłącznie jej krwią, ale też płynem rdzeniowym, dzięki czemu nie tylko rósł w siłę fizyczną, rozwijał się także jego intelekt. To właśnie z tego powodu umiejscowił się w jej plecach, a nie w macicy.

Oczywiście mógł być to jedynie zbieg okoliczności. Istniała jednak możliwość, że zarówno Karen, jak i siostra Marie wybrane zostały przez dusze dążące do reinkarnacji jako surogatki – jedna dla Algonkina, druga dla Europejczyka. Może niektóre obrzędy magiczne są do siebie podobne, niezależnie od kręgu kulturowego?

Karen i siostra Marie raczej nie miały ze sobą nic wspólnego. Pochodziły ze skrajnie odmiennych kultur i religii. Dzieliła je nie tylko odległość wielu tysięcy kilometrów, ale przede wszystkim czas, w którym żyły. A jednak obie nosiły pasożytnicze płody. Łączyło je coś jeszcze – życie zarówno jednej, jak i drugiej było w jakiś sposób związane ze mną.

Podróż samolotem nie była przyjemna. Przez cały czas mocno trzęsło. Siedziałem obok jakiejś nerwowej kobiety, która wciąż zaciskała dłonie na apaszcze i za każdym razem, kiedy samolot wpadał w dziurę powietrzną, czyli co dwie–trzy minuty, wykrzykiwała:

– Och! O Boże! Och!

Nigdy nie bałem się latać, jednak zrobiło mi się nieswojo, kiedy wracając z kuchni z tyłu samolotu, dokąd udałem się po dodatkowego drinka, otarłem się biodrem o zakonnice siedzącą w skrajnym fotelu. Na twarz miała głęboko nasunięty czarny welon.

Na jej widok żołądek podskoczył mi do gardła. W tym momencie samolotem nagle zarzuciło, a ja się zatoczyłem i wsparłem dłonią na jej ramieniu. Zakonnica podniosła głowę, ukazując różową, pulchną twarz, wyłupiaste oczy i rude piegi na

nosie.

– Przepraszam – powiedziałem. – Turbulencje.

– Nic się nie stało, chłopcze – odpowiedziała mi z silnym irlandzkim akcentem. – Gdyby dobry Bóg naprawdę chciał, żeby ludzie latali, wyposażyłby nas wszystkich w śmigło.

Druga zakonnica siedziała trzy rzędy przed nią, przy oknie. Szczelnie je zasłoniła, a twarz również miała zakrytą welonem. Kiedy ją mijałem, dostrzegłem, że jej dłoń, obciążnięta szarą zamszową rękawiczką, spoczywa na oparciu fotela. Nie wiedziałem, czy to coś znaczy. Może po prostu miała kłopoty z krążeniem?

Zauważyłem tę zakonnice ponownie, kiedy czekałem na odbiór bagażu. Stała pod ścianą. Jej twarzy nadal nie mogłem zobaczyć. Nie wiedziałem, czy czeka, aż na taśmie pojawią się jej walizki, czy się zgubiła; a może specjalnie tu stała, żeby mi przypomnieć, że mam ostrzec moich rodaków przed zarazą, która wkrótce uderzy w nas wszystkich, jeśli nie opuścimy kraju i nie oddamy jego pierwotnym mieszkańcom tego, co do nich należy, a co my sobie bezprawnie przywłaszczylimy.

Pojawiły się moje walizki i właśnie ścigałem je z przesuwającej się taśmy, kiedy zobaczyłem faceta z siwą brodą, w szarej marynarce z wysokim kołnierzem, przeciskającego się przez tłum niecierpliwie czekających na bagaże. Zmierzał w stronę zakonnicy. Coś do niej powiedział i uniósł rękę, jakby wskazywał jej drogę do wyjścia. W pierwszej chwili zakonnica nie poruszyła się, nawet nie skinęła mu głową na powitanie. Jednak powiedziała coś do niego, bo mężczyzna błyskawicznie się odwrócił i popatrzył w moim kierunku – albo przynajmniej tak mi się zdawało.

Wtaszczyłem walizki na wózek bagażowy i ruszyłem do wyjścia.

Wychodząc na zewnątrz odwróciłem się i zobaczyłem, że zakonnica z mężczyzną podchodzą do kontuaru informacji w kącie sali. Zgromadziło się tam już sześć czy siedem sióstr zakonnych. Kiedy tylko dołączył do nich brodaty mężczyzna z zakonnica, która wysiadła z samolotu, w jednym momencie skierowały się do wyjścia.

Przez chwilę stałem przy krawężniku, oślepiiony promieniami słońca, rozważając, czy nie powinienem zapomnieć o tym całym Los Angeles i polecieć natychmiast na wschód, do Nowego Jorku. W końcu miałem tam znacznie więcej znajomych. Może

namówiłbym Amelię, żeby mnie przechowała przez kilka dni, jeśli jej mąż nie będzie zbyt gwałtownie protestował. Facet nie dowierzał nam i szczerze mówiąc, nie dziwiłem się mu.

Jednak dopiero co przyleciałem i byłem potwornie zmęczony. Nie miałem też pewności, czy moja karta kredytowa wytrzyma zakup kolejnego biletu lotniczego. W końcu pomyślałem, że skoro zakonnice potrafiły się materializować w Coral Gables i w Los Angeles, to z pewnością pojawią się także na Manhattanie. Może po prostu nie istniała żadna droga ucieczki przed nimi.

Ambrose Avenue położona jest w odległości trzech przecznic na północ od Hollywood Boulevard. Parterowy dom Ricka Beamera znajdował się po prawej stronie North Edgemont Street, tam gdzie Ambrose Avenue zaczynała się wić ostrymi zakrętami pod górę.

Budynek był w nie najlepszym stanie, na dachu straszły luźne dachówki, a ganek lata świetności miał już dawno za sobą. Farba pokrywająca tynk była wyblakła, a drewniane ramy okienne – przegniłe. Ogródek od frontu zarastały chwasty, ale furgonetka, która stała na podjeździe, była nienagannie czysta, a aluminiowe felgi wprost lśniły. Był to jeden z najnowszych modeli forda transita w kolorze srebrny metallic. Jego karoserię po obu stronach zdobiły najróżniejsze owady – karaluchy, termyty, osy, muchy i pluskwy. Duże czarne litery głosiły, że auto należy do firmy Beamer's Bug & Termite Blitzers. Wyglądało na to, że facet, który zawodowo zajmuje się dezynsekcją, jest obecnie w domu.

Kiedy tylko pokonałem kilka trzeszczących drewnianych stopni i znalazłem się na ganku, z wnętrza domu dotarło do mnie ujadanie psów. Po chwili otworzyły się drzwi z siatką przeciwko owadom i w progu stanął Rick. Labrador i owczarek niemiecki szarpały się na smyczach. Rick był szczupły jak zawsze, chociaż wydał mi się starszy i miał więcej zmarszczek niż w dniu, w którym go widziałem ostatnio. Jak zwykle miał na sobie obcisłą czarną koszulę i obcisłe czarne dżinsy, a jego szyję zdobiły srebrne łańcuchy.

– Hej, Czarodzieju, czy to naprawdę ty, człowieku? – zawołał do mnie. Po chwili krzyknął na psy, tym razem po polsku: – To mój przyjaciel! Dość tego kretyńskiego

hałasu!

Psy natychmiast zamilkły i usiadły obok niego, z wywieszonymi językami. Postawiłem walizki na ganku.

– Masz piękne psy, Rick. Co im powiedziałeś?

– Żeby się zamknęły. Kupiłem je od pewnego Polaka. Są doskonale wyszkolone. Potrafią wywęchać dosłownie wszystko. Pierdniesz w San Francisco, a one wyczują to w San Diego. Kosztowały mnie niewiele, ale to dlatego, że facet szkolił je po polsku i musiałem się nauczyć polskich poleceń. Przestań szczekać!

– Wcale się nie zmieniłeś – powiedziałem. Pogłaskałem psy po głowach i lekko je wytargałem za uszami. – Potrafisz robić niewiarygodne interesy. Pamiętasz te tenisówki?

– Też się cholernie cieszę, że cię widzę, Czarodzieju. Bądź łaskaw mi o tym nie przypominać. To było paskudne zrządzenie losu. Nikt nie mógł tego przewidzieć, nawet te twoje karty tarota.

Rick wymyślił kiedyś sprytny przekręt. Wysłał kontener z tysiącami prawych butów sportowych z Dalekiego Wschodu do Nowego Jorku, a lewych do Nowego Orleanu. Oczywiście po przesyłki nikt się nie zgłosił i celnicy w obu miastach sprzedali je na aukcjach. Rick kupił zawartość kontenerów za psie pieniądze, rzecz jasna nie płacąc cła, bo trudno było tak wybrakowany towar zakwalifikować do jakiejś kategorii. Teraz musiał tylko zwieźć przesyłki w jedno miejsce i sprzedać. Taki właśnie miał pomysł, tyle że na Nowy Orlean spadł huragan Katrina i kontener z lewymi butami został splukany do morza. Przepadł w nim bezpowrotnie.

– Skontaktowałem się ze szpitalem dla weteranów i zaproponowałem dostawę butów na prawą nogę dla byłych żołnierzy, który stracili lewą nogę w Afganistanie. Wzięli dwie sztuki.

Rick pomógł mi wnieść walizki do domu. Salon był mały i zagracony. Stała w nim zapadnięta brązowa kanapa, wyglądająca jak zagłodzony osioł, i pięć plastikowych krzeseł z różnych kompletów, zapewne pozabieranych z barów. Oliwkowozielony dywan był mocno wytarty, jednak częściowo zakrywała go gruba indiańska mata: w czerwonym kolorze. Na ścianach wisiły dwa plakaty w ramkach – pierwszy

przedstawiał zespół Grateful Dead, a drugi Ronalda Reagana z kampanii wyborczej w 1984 roku.

Najbardziej uderzył mnie jednak w tym pomieszczeniu mocny zapach marihuany; kobieta, siedząca bez butów na kanapie, paliła skręta. Miała tlenione włosy i taki typ urody, który przywodził na myśl gwiazdki kina z lat sześćdziesiątych. Jej ogromne piersi z trudem się mieściły w obcisłej czerwonej koszulce. Na tyłku miała najbardziej kuse spodenki w czerwone i białe pasy, jakie w życiu widziałem.

Kiedy stanąłem w salonie, uśmiechnęła się, pomachała do mnie, poruszając palcami i odezwała się:

– Cześć. Ty jesteś pewnie tym słynnym Czarodziejem? Witamy w Los Angeles, Czarodzieju. Mam na imię Dazey.

Podszedłem, żeby podać jej rękę, ona jednak złapała mnie za rękaw, przyciągnęła do siebie i obdarzyła mnie trzema soczystymi całusami, najpierw w policzki, a potem w usta.

– Przepowiesz mi przyszłość? – zapytała, ziejąc mi marychą prosto w twarz. Od samej rozmowy z nią mogłem odlecieć. – Rick mówi, że potrafisz czytać przyszłość z kart tarota. Rewelacja!

– Oczywiście, że potrafię, i przepowiem ci przyszłość, Dazey. Daj mi tylko trochę czasu, żebym się mógł rozgościć.

Rick wprowadził mnie do pokoju, który miałem dzielić z siostrą Dazey – Mazey. Ledwie mieściły się w nim dwa pojedyncze łóżka, szafa i stolik pod oknem. Stolik był zawalony buteleczkami z lakierem do paznokci, kremami, pudrami i mnóstwem innych kosmetyków. Jedno z łóżek było rozgrzebane: poduszki leżały w nogach, a kołdra zwisała aż do podłogi. Drugie zarzucone było spódnicami, dzinsami, koszulami i bielizną, w większości czarną i koronkową.

– Nie przejmuj się tym bałaganem! – zawołała Dazey. – Rano Mazey bardzo się spieszyła! Kiedy wróci, pomogę jej posprzątać!

– Nie będzie niezadowolona, jeżeli się do niej wprowadzę? – wyraziłem wątpliwość.

– Nie, jeśli w nocy nie chrapiesz.

– Nie chrapię. A przynajmniej tak mi się wydaje. Jeszcze nikt na to nie narzekał.

Rick zerknął na ciężki zegarek z nierdzewnej stali, który nosił na wytatuowanym nadgarstku.

– Posłuchaj, Czarodzieju, masz szczęście, że mnie jeszcze złapałeś, bo o ósmej mam robotę. Rozgość się i czuj się jak u siebie w domu. Pogadamy, jak wrócę. Mam robotę w Elite Suites, w pobliżu Franklin Avenue. To niedaleko stąd.

Gdy wróciliśmy do salonu, psy natychmiast doskoczyły do niego. Energicznie machały ogonami, czekając na polecenia.

– No, Bobik, Kleks! Wyniuchamy te wstrętne pluskwy, prawda? – Rick zawołał do nich po angielsku.

– Myślałem, że musisz mówić do nich tylko po polsku – zdziwiłem się.

– Niby tak, ale są bardzo pojętne. Nauczyłem je słowa „pluskwa”.

Rick zdjął z oparcia krzesła szary ortalion. Na plecach miał rysunek wielkiego karalucha i białe litery BBTB. Zmierzając do drzwi, ściągnął z wieszaka szarą czapkę baseballową i naciągnął na gęste kręcone włosy. Psy posłusznie szły za nim.

Rozejrzałem się. Dazey z półprzymkniętymi powiekami po raz kolejny głęboko zaciągała się jointem.

– Rick, może pojechałbym z tobą? – zapytałem. – Chciałbym zobaczyć cię w akcji.

– Byłoby miło. Ale myślałem, że jesteś zmęczony.

Otworzył drzwi furgonetki. Kleks i Bobik wskoczyły do środka, a ja wsiałem za nimi.

– Zamierzałem przyjąć posadę nocnego portiera w hotelu Magnolia – odezwał się Rick, kiedy wyjechaliśmy z podjazdu i skręciliśmy w North Edgemont. – Przyjechałem na rozmowę kwalifikacyjną trochę za wcześnie, poszedłem więc na papierosa. I spotkałem dwóch facetów, specjalistów od dezynsekcji, stojących przy firmowej furgonetce. Zacząłem z nimi rozmawiać; w końcu zajmowałem się już w życiu robalami. Powiedzieli mi, że dostali wezwanie do Magnolii z powodu pluskiew.

– Pluskiew? Myślałem, że Magnolia to jeden z najporządniejszych hoteli?

– Bo tak jest. Pluskwy jednak nie wybierają. Jak sobie znajdą wygodny materac do zasiedlenia, gównem je obchodzi, czy ten materac znajduje się w noclegowni dla bezdomnych czy w hotelu Bel-Air. W świecie pluskiew nie ma miejsca na snobizm.

– Chyba nie. Ale nikt się nie spodziewa, że w takim hotelu jak Magnolia mogą być pluskwy.

– No widzisz. W całym kraju szerzy się plaga pluskiew. Zdomowały się już wszędzie: w hotelach, pensjonatach i prywatnych domach. Włazą gdzie się da, nie przebierają.

– Jezu... Dlaczego więc postanowiłeś wrócić do tego paskudnego zajęcia?

– To z powodu psów. Ci dwaj faceci w Magnolii pokazali mi swoje psy i opowiedzieli, jak doskonale potrafią wykrywać wszelkie robactwo. Twierdzili, że dzięki nim zarabiają fortunę, bo psy potrafią wywęszyć każde robactwo, od karaluchów po termity i korniki, a ich codzienne utrzymanie kosztuje tyle co dwie puszki psiego żarcia. No i od czasu do czasu trzeba je pogłaskać. – Rick zamilkł na chwilę. Wykręcił głowę niemal o sto osiemdziesiąt stopni, żeby odprowadzić wzrokiem dziewczynę w obcisłych białych dżinsach, wyjeżdżającą na rowerze z Sun Cleaners. Po chwili podjął wątek: – Zapomniałem o tych facetach na jakieś trzy tygodnie, aż pewnego dnia siedzę sobie w barze przy Sunset i przychodzi Polak. Pyta barmana, czy zna kogoś, kto wzięby od niego dwa psy. On sam musiał wracać do Polski do chorej mamy, a może miał inny powód, w każdym razie musiał szybko znaleźć dla psów nowy dom. Zaczęliśmy rozmawiać i okazało się, że są to psy specjalnie tresowane do szukania robactwa. Zapytałem, czy potrafią znajdować też pluskwy, a facet na to, że oczywiście. Dałem mu więc sto dolców za oba psy i w ten sposób założyłem BBTB.

– Wciąż nie potrafisz uwierzyć, że wykorzystasz psy do wykrywania pluskiew.

– Daj spokój, Czarodzieju, przecież psów używa się nawet do szukania narkotyków i materiałów wybuchowych w portach lotniczych, prawda? Psy tropiące potrafią kilometrami gonić za człowiekiem tylko dlatego, że ten porzucił gdzieś skarpetkę i pozostawił swój zapach. Można pluskwy wykrywać także innymi metodami, jednak w tej robocie najtańsze i najbardziej skuteczne zawsze będą psy.



Psy mają nieporównanie lepszy zmysł węchu niż człowiek. My posiadamy zaledwie po jakieś pięć milionów receptorów zapachu, natomiast każdy pies ma ich prawie sto pięćdziesiąt milionów. Pies potrafi wyczuć odcisk ludzkiego palca pozostawiony tydzień wcześniej.

– Jak ci idzie interes?

– Nie najgorzej. Na razie nie mam wielkich kokosów, ale z każdym tygodniem jest coraz lepiej. Mój problem polega na tym, że powinienem się rozwijać. Ludzie dzwonią do mnie ze zleceniami, które muszę odrzucać. Potrzebuję więcej pracowników, przynajmniej dwa nowe samochody, no i dużo sprzętu. Szukam inwestora.

– Nie patrz na mnie – powiedziałem. – Ledwie wystarczyło mi forsy, żeby tutaj przylecieć.

Skęciliśmy z Franklin Avenue w North Wilton Place, cichą uliczkę, przy której stały małe hotele i domy prywatne. Kiedy dojeżdżaliśmy do Elite Eco-Suites, Rick zatelefonował z komórki do recepcji i po chwili otworzyła się przed nami automatyczna brama prowadząca na podziemny parking.

– Lekcja pierwsza, bądź dyskretny – powiedział Rick, kiedy zjeżdżaliśmy blado oświetloną rampą pod ziemię. – Żaden hotel nie chce, żeby parkował przed nim samochód firmy dezynsekcyjnej. – Zatrzymał wóz, zaciągnął hamulec ręczny i dodał: – Chodź ze mną na górę. Zobaczysz, jak pracują moje psy. I może przydasz mi się do pomocy. Rozumiesz, odpracowałbyś trochę czynszu...

– A czy ja kiedyś kazałem ci płacić jakiś czynsz? – zawołałem z oburzeniem. – Kazałem ci opowiadać przyszłość starym babom w zamian za te wszystkie pizze, które u mnie pożarłeś, i te piwska, które wypiliśmy?

– Hej, Czarodzieju, przecież żartuję. Ale chodź ze mną. Przecież nie będziesz tu siedział przez pół godziny i słuchał radia, co?

Pojechaliśmy windą do recepcji. Psy stały koło nas, merdając ogonami. Przy kontuarze powitał nas menedżer hotelu, niski, krępy mężczyzna z czarnymi włosami starannie zaczesanymi do tyłu i sumiastymi wąsami. Rozejrzał się, chcąc mieć pewność, że w zasięgu wzroku nie ma gości hotelowych, po czym skinął na nas,

żebyśmy z powrotem poszli do windy.

– Dzisiaj rano jeden z naszych gości poskarżył się, że w nocy coś go pogryzło – powiedział. – Poszedł do apteki kupić jakiś środek przeciw swędzeniu, a kiedy wrócił, powiedział nam, że według farmaceuty pogryzły go pluskwy.

Kiedy dotarliśmy na drugie piętro i drzwi windy się otworzyły, menedżer wyrzucił do góry ręce i zawołał teatralnym szeptem:

– Pluskwy! Tutaj! Nie wierzę w to! Nigdy dotąd nie mieliśmy w hotelu pluskiew! Karaluchy, owszem. Karaluchy są wszędzie. Ale pluskwy? Jeśli to wyjdzie na zewnątrz, będziemy zrujnowani!

Rick spuścił psy ze smyczy i powiedział do nich po polsku:

– Naprzód, chłopcy! Znajdźcie kilka owadów dla taty!

Labrador odwrócił się i popatrzył na niego, jakby nie zrozumiał polecenia.

– Chodzi o pluskwy, tępaku! – zawołał Rick po angielsku. – Znajdź tatusiowi pluskwy!

Psy natychmiast potruchtały w kierunku otwartego pokoju.

– To wina mojej kiepskiej polszczyzny – powiedział Rick. – Może powinienem pójść na jakiś kurs, ale gdzie, do cholery, uczą w tym kraju, jak rozmawiać po polsku z psami?

Podczas gdy psy węszyły, ja się rozejrzałem. Był to typowy hollywoodzki apartament dla gości, którzy sami chcą sobie przygotowywać posiłki. Składał się z salonu, kuchni, sypialni, łazienki oraz balkonu wychodzącego na rześkie oświetlony dziedziniec. Zaprojektowany został jako przyjazny dla środowiska, zatem w łazience wisały bambusowe ręczniki, w buteleczkach stały ekologiczne olejki do kąpieli, a z głośników rozlegały się popiskiwanie wielorybów. Czuć było bambus i kadzidło i prawdę mówiąc, chociaż apartament wyglądał pretensjonalnie, panowała w nim bardzo uspokajająca atmosfera. Czułbym się tutaj idealnie, gdyby było mnie stać na wydanie stu sześćdziesięciu pięciu dolarów za każdą noc pobytu w tym hotelu.

Psy zaczęły warczeć w sypialni, natychmiast więc tam poszliśmy. Obwąchiwały właśnie róg iście królewskiego łóża.

– Wspaniale – powiedział Rick. – Dobre chłopaki! – dodał po polsku.

Popatrzyłem na zieloną bambusową narzutę na łóżku.

– Niczego nadzwyczajnego nie widzę – powiedziałem.

– Aha – mruknął Rick.

Podwinął narzutę i pociągnął za prześcieradło, odkrywając materac w kremowym kolorze. Na jego skraju zauważyłem dziesiątki drobnych brązowych punkcików.

– Proszę bardzo, oto one, zasrane pluskwy. A jeśli zaczniemy drążyć trochę bardziej...

Naciągnął kciukiem powierzchnię materaca i moim oczom ukazało się siedem lub osiem maleńkich pluskiew pełzających po nim w najlepsze.

– Raczej nie gnieźdzą się tutaj długo – powiedział Rick. – Kiedy zbliżysz do nich nos, wyraźnie je poczujesz. Pluskwy wydzielają zapach przypominający gnijące maliny, chyba że przebywają w jednym miejscu przez dłuższy czas; wtedy cuchną jak szczyzny starego człowieka.

Wyjął z kieszeni scyzoryk. Wbił jego ostrze w materac, mniej więcej w środek i rozciął materiał aż do rogu. Bobika i Kleksa wyraźnie to rozsierdziło, a Kleks zaczął nawet nerwowo podskakiwać.

– One uwielbiają wszelkie robactwo – powiedział Rick. – Mądre bydłeta. Wiedzą, że jak znajdą pluskwy, czeka je doskonała wyżerka.

Z całej siły rozciągnął nacięty materiał. Pod nim aż kotłowało się od setek, a może i od tysięcy pluskiew, które próbowały uciec od światła, zagłębiając się w puszystej pianie.

– O cholera! – zawołał Rick. – Jest ich więcej, niż przypuszczałem.

– Co teraz? – zapytałem.

Przykrył kłębiące się pluskwy.

– Cypermethrin. To standardowa neurotoksyna, zabija większość robaków, pozabija więc także te małe dranie. Ale musimy odkazić cały apartament, nie tylko sypialnię. Skądkolwiek to draństwo się tutaj wzięło, mogło poskładać jajka w dowolnym miejscu. Także na ubraniach i w bagażu gości. A później sprawdzimy pozostałe apartamenty po obu stronach korytarza.

Rick wrócił na korytarz. Menedżer krążył po nim nerwowo z niewyraźną miną.

– No i co? – zapytał. – Mamy pluskwy czy nie?

– Macie, proszę pana – odpowiedział mu Rick. – Całe mnóstwo.

– Ale ja nie rozumiem, skąd one się wzięły. Przecież nasi goście to bardzo zadbani, czyści ludzie, niezwykle szanowane osoby. Nie pozwalamy u nas nocować żadnym brudasom ani włóczęgom.

– To nie ma znaczenia – stwierdził Rick. – Pluskwa bardzo łatwo przenosi się z miejsca na miejsce. Kiedyś w eleganckim butiku znaleźliśmy tyle pluskiew, że ich usunięcie kosztowało właścicieli dwa i pół tysiąca dolarów. Niech mi pan powie, czy przed tym konkretnym gościem ktoś jeszcze narzekał na ten apartament?

– Nie, skądże. Nigdy nikt nie narzekał.

– Rozumiem jednak, że dysponuje pan spisem gości, którzy w nim mieszkali? Sęk w tym, że jeśli mamy choć cień podejrzenia, że ktoś nawet nieświadomie roznosi pluskwy, musimy o tym poinformować Wydział Zdrowia Publicznego w Los Angeles.

Menedżer zrobił jeszcze bardziej zakłopotaną minę.

– To chyba niemożliwe, żeby te osoby...

– Już panu mówiłem. – Rick był stanowczy. – Pluskwy może roznosić każdy, i to zarówno dorosłe osobniki, jak i jajeczka. Więc kto mieszkał tutaj przed tym facetem, który został pogryziony?

– Trudno o bardziej szanowane osoby. Były to dwie siostry zakonne.

## ROZDZIAŁ 17

Było gorące, parne, burzowe popołudnie, kiedy Anna razem z Jimem Waso przyjechała na pogrzeb Davida. Na wschodzie unosiły się grube, szare i postrzępione chmury, jednak Gateway Arch i drapacze chmur w centrum miasta były oświetlone promieniami słońca, przez co wyglądały jak lśniące pomniki.

Parking przed Domem Pogrzebowym Grandier pełen był ludzi i samochodów. Przyjechała rodzina Davida, jego koledzy z St Louis Design Solutions i ze trzydzieści osób, z którymi uczęszczał do college'u. Kiedy Anna podeszła do wejścia, na parkingu pojawił się karawan błyszczący od kropel deszczu, który tutaj jeszcze nie dotarł. Stanęła obok Jima, gdy tymczasem kilku mężczyzn wzięło trumnę na ramiona i przeniosło do kaplicy. Na trumnie leżały białe lilie i kartka, na której Anna odręcznie napisała: „Zbyt wcześnie, mój kochany”.

W poczekalni przed kaplicą czekał na Annę Brian Grandier, z pobożnie złożonymi dłońmi. Ubrany był w tę samą szarą marynarkę co poprzednio, jednak teraz nosił na rękawie czarną opaskę.

– To smutny dzień, pani profesor – powiedział do niej. – Proszę przyjąć ode mnie najszczęśliwsze wyrazy współczucia.

Anna w milczeniu skinęła głową. Ten człowiek wciąż ją irytował. Może niepokoiło ją spojrzenie jego oczu, które zdawały się przeczyć miłym słowom, jakie padały z jego ust? Miała już do czynienia z mężczyznami, którzy patrzyli na nią w taki sposób: zdawało im się, że mogą ją mieć, mimo że ona była gotowa utrzymywać z nimi jedynie relacje zawodowe. To ta babka jest profesorem? Ale jest przecież kobietą, a ja mężczyzną. Potrzebuje mnie, tylko sama jeszcze o tym nie wie.

Trumnę ze zwłokami Davida umieszczono na katafalku, o który ktoś oparł jego czarno-białe zdjęcie. Z głośników rozlegały się kojące dźwięki V Koncertu Es-dur Beethovena. Anna podeszła do przodu, żeby zająć miejsce w ławce obok rodziców Davida i jego dwóch młodszych sióstr. Wiele osób płakało.

Właściwie Anna nie mogła się skupić na ceremonii, a kondolencji, które składali

jej przyjaciele Davida, prawie nie słyszała. Wstała, żeby odśpiewać hymn, jednak nie była w stanie czytać jego słów; oczy miała pełne łez. Wpatrywała się w trumnę i powtarzała sobie, że w środku leży David, jej David. Był tak blisko niej, na wyciągnięcie ręki, a jednak był martwy.

Brian Grandier uprzedził ją, że gdy uroczystość dobiegnie końca, katafalk z trumną wjedzie do głębokiej niszy i opadnie za nim ciężka aksamitna zasłona niczym kurtyna w teatrze.

– Ma to być symboliczne zakończenie dramatu, jakim jest życie człowieka.

Anna poprosiła go, żeby przed tym punktem uroczystości mogła na chwilę stanąć przy trumnie i po raz ostatni pożegnać ukochanego.

W tle grała cicha muzyka. Anna wstała i podeszła do trumny. Jej obcasy głośno stuknęły o posadzkę. David uśmiechał się do niej ze zdjęcia, a Anna pamiętała poranek, kiedy mu je zrobiła.

– Będę za tobą tęsknić – powiedziała i położyła dłoń na wieku trumny, pomiędzy liliami. – Co teraz pocznę bez ciebie?

Nie mogła już dłużej powstrzymać łez, które popłynęły jej po policzkach. Gardło miała tak mocno ściśnięte, że słowa z trudem przez nie przechodziły.

– Chcieliśmy wziąć ślub i mieć dzieci. Mieliśmy tak wiele wspólnych planów. Było nam razem dobrze, wesoło, tańczyliśmy i śmialiśmy się... Te dni już nigdy nie wrócą.

Zamknęła oczy. Zabrakło jej słów, nie potrafiła powiedzieć już nic więcej poza ostatnim: „Żegnaj”.

Kiedy tak stała przy trumnie, roztrzęsiona, pełna żalu, usłyszała pukanie. Ktoś jakby dwukrotnie zastukał w drewno. Po chwili rozległo się jeszcze jedno stuknięcie, a zaraz potem kolejne trzy. Ostatnie dwa uderzenia wydawały się rozpaczliwe.

Otworzyła oczy i rozejrzała się. W pobliżu nikogo nie było. Tymczasem znowu usłyszała stukanie.

Przecież to nie może dochodzić z trumny, pomyślała w panice.

Popatrzyła ukradkiem na Grandiera. Stał obok mównicy, z której jeszcze przed chwilą krewni Davida odczytywali fragmenty Biblii. Wciąż miał taki sam wyraz

twarży. Zdaje ci się, że coś wiesz, damulko, ale bardzo się mylisz.

Otworzyła usta, aby zawołać Grandiera i zapytać go, czy on też coś słyszy, ale zaraz je zamknęła. Znów usłyszała serię uderzeń.

– Zabierzcie to ze mnie! Błagam, już nie mogę wytrzymać! Zabierzcie to ze mnie!

Przerażona Anna odwróciła się do Grandiera.

– On żyje – powiedziała.

– Anna! Zabierz to, proszę!

– On żyje! – krzyknęła Anna. – Słyszycie?!

Zrzuciła kwiaty z trumny, złapała za uchwyt, chcąc unieść wieko, jednak było zamknięte.

– David! David! – zawołała. – Już dobrze, kochanie, słyszę cię! – Następnie zwróciła się do Grandiera: – Niech pan otworzy tę trumnę! Szybko! David żyje!

Kaplica rozbrzmiała odgłosami pośpiesznych kroków. Żałobnicy szurali krzesłami i szeptali:

– Co się stało? Co się dzieje?

Grandier sztywnym krokiem ruszył w kierunku Anny. Ojciec i matka Davida również opuścili swoje miejsca i podeszli do katafalku. Jean, matka Davida, otoczyła Annę ramieniem i zapytała:

– Słyszałaś go? Nie wierzę! Naprawdę go słyszałaś?

– Pukał w trumnę! – odparła Anna, łkając. – Pukał! I to kilka razy! A potem zaczął mnie wołać! Szybko! Otwierajcie trumnę! David żyje i może się udusić!

Grandier dyskretnie odchrząknął.

– Droga pani profesor, zapewniam panią z całą mocą, że pan Russell już opuścił ten świat. Osobiście doglądałem przygotowań do jego kremacji. Nie ma cienia wątpliwości, że on nie żyje.

– Ale ja go słyszałam! – wrzasnęła na niego Anna. – Słyszałam go! On żyje! Otwieraj tę trumnę, natychmiast!

Grandier popatrzył na ojca Davida.

– Proszę pana, może pan coś poradzi? To bardzo przygnębiające, ale pański syn naprawdę nie żyje. Profesor Grey osobiście widziała jego zwłoki w kostnicy szpitalnej

i wie, że przeprowadzona została sekcja. To naprawdę absolutnie niemożliwe, żeby pan Russell żył.

– Aha, a więc pana zdaniem zwariowałam, co? – zawołała Anna. – I to wszystko mi się uroiło? Wyobraziłam sobie, że słyszę stukanie wewnątrz trumny, tak? I ubzdurałam sobie, że David mnie woła?

Mężczyzna milczał, jednak wzruszył znacząco ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Cóż, sama postawiłaś diagnozę”.

Twarz Anny była wilgotna od łez i umazana tuszem do rzęs. Kobieta drżała.

– Nalegam, musicie otworzyć trumnę. Jean, pomożesz mi? Przysięgam na Boga, słyszałam Davida. Jeżeli każecie spalić tę trumnę, nie sprawdzisz wcześniej, czy on na pewno nie żyje, będziecie mordercami.

– Pani profesor, akt zgonu został wystawiony, poza tym otwieranie trumny u progu krematorium jest nielegalne.

Anna, wciąż drżąc na całym ciele, wyciągnęła telefon komórkowy z małej torebki z krokodylej skóry, którą kupiła specjalnie na pogrzeb. Podsunęła telefon pod nos Brianowi Grandierowi i powiedziała:

– Jeżeli nie otworzysz tej trumny, zadzwonię po policję, a ona cię do tego zmusi. A przy okazji wywołam skandal, który nie przysłuży się dobrze twojemu biznesowi. Powiem ludziom, że jesteś gotów skremować ciało, nie będąc w stu procentach pewny, że człowiek zmarł. A może po prostu lubisz palić ludzi żywcem?

Po tych słowach Anny twarz Briana Grandiera zbielała. Otwierał i zamykał usta, zacisnął pięści i rozglądał się to w lewo, to w prawo. Jego pierś ciężko unosiła się i opadała, jakby miał trudności z oddychaniem.

– Otwierajcie – powiedział wreszcie, nie patrząc na nikogo w szczególności.

Do przodu postąpił jeden z jego asystentów – łysego mężczyzna w czarnym garniturze, za dużym dla niego o co najmniej dwa rozmiary.

– Co pan powiedział?

– Powiedziałem, żebyście otworzyli tę trumnę. Podnieście wieko! Pokażcie jej!

– Ale, panie Grandier, z całym szacunkiem...

– Otwieraj, Kellerman. Bez gadania!



– Tak, proszę pana.

Podczas gdy asystent poszedł po narzędzia, Grandier wrócił na mównicę i powiedział do mikrofonu:

– Panie i panowie, zakończyliśmy ceremonię pogrzebową. Obawiam się, że zaistniały pewne problemy techniczne, jednak szybko sobie z nimi poradzimy. Jeśli zechcecie państwo opuścić kaplicę, będzie nam łatwiej. Dziękuję za zrozumienie.

Goście zaczęli wychodzić. Na niebie rozległ się grzmot i w okna kaplicy uderzyły pierwsze krople deszczu. Asystent Briana Grandiera wrócił ze śrubokrętem, w towarzystwie dwóch mężczyzn spośród tych, którzy wcześniej nieśli trumnę.

– Pośpieszcie się! – zawołała Anna. – Bo on się za chwilę udusi!

Łysy asystent popatrzył na Grandiera takim wzrokiem, jakby miał wątpliwości co do poczytalności Anny, jednak posłusznie zaczął odkręcać śruby przytrzymujące wieko trumny. Kiedy dotarł do ostatniej, matka Davida, Jean, mocno złapała Annę za rękę. Po chwili mężczyźni otworzyli trumnę.

Anna podeszła bliżej. Dobiegający z trumny odór rozkładu podpowiedział jej, że David naprawdę nie żyje. Oczy miał otwarte, ale jego źrenice były mętne, a twarz wciąż wykrzywiona w wyrazie potwornego przerażenia.

– Och... och... mój Boże – jęknęła Jean i osunęła się bez przytomności na posadzkę.

– Zamknijcie trumnę! – zawołał ojciec Davida. – Zamknijcie ją, natychmiast!

Anna przyklękła przy Jean i ujęła w dłonie jej głowę, ale zaraz dołączył do niej ojciec Davida.

– Już dobrze, Anno – powiedział ostrym głosem. – Sam się nią zajmę. Jak na jeden dzień narobiłaś już dosyć zamieszania.

– Ja go naprawdę słyszałam, panie Russell – powtórzyła Anna z uporem. – Dlaczego miałabym zmyślać?

– Nie mam pojęcia. Może chciałaś być w centrum uwagi, nawet na pogrzebie naszego syna! David zawsze powtarzał, że czujesz się dobrze tylko wtedy, gdy oczy wszystkich skierowane są na ciebie!

– Panie Russell, naprawdę bardzo pana przepraszam. Tak mi przykro. Nie

chciałam, żeby z mojego powodu dodatkowo pan cierpiał. Naprawdę wydawało mi się, że David stuka w wieko trumny i coś mówi.

– Jesteś stuknięta, kobieto, taka jest moja diagnoza. A teraz nas już zostaw, dobrze? Wyobrażasz sobie, że moja żona kiedykolwiek zapomni o tym, co tu się stało? Myślisz, że ja zapomnę?

Anna wstała i cofnęła się kilka kroków.

– Zrobiłem tylko to, o co mnie pani poprosiła – odezwał się do niej Brian Grandier. – Przykro mi, że stało się to, co się stało.

– To nie pana wina. Chyba jestem przemęczona.

Podszedł do niej Jim Waso i położył dłoń na jej ramieniu.

– Anno... – westchnął. – Dobrze się czujesz?

– Jestem wstrząśnięta. Mógłbyś mnie zawieźć do domu?

– Zdaje się, że zaraz rozpocznie się stypa w Bixby's.

Anna pokręciła głową.

– Chyba nie byłabym tam mile widziana. I to z wielu powodów.

– W takim razie zawiozę cię do domu. Ale najpierw pojedziemy się czegoś napić. Odrobina alkoholu dobrze ci zrobi.

Jim wyprowadził Annę z kaplicy. Deszcz rozpadał się już na dobre. Gdy biegli przez parking, grupa krewnych i znajomych Davida z niechęcią odprowadziła Annę wzrokiem.

W gęstym deszczu pojechali do centrum miasta. Wycieraczki nie nadążały z odgarnianiem wody. Anna odezwała się dopiero po długiej chwili:

– Nie zwariowałam, Jim. Z całą pewnością. Wiem, co słyszałam.

– Hmm... może niektórzy ludzie naprawdę potrafią mówić po śmierci? Powinnaś znaleźć jakieś medium.

– Żartujesz, prawda?

– Myślisz, że jest mi do śmiechu po tej historii z otwieraniem trumny? Widziałem twarz Davida... Anno, co sprawia, że człowiek wydaje ostatnie tchnienie z tak straszliwym wyrazem twarzy?

Jim zawiózł ją do Morgan Street Brewery w Laclede's Landing. Usiedli przy

stoliku na zewnątrz, pod wielkim parasolem, a deszcz padał dookoła nich w najlepsze.

– Jak się czujesz? – zapytał Jim.

Za jego plecami Anna widziała mgiełkę unoszącą się nad rzeką. Od czasu do czasu w oddali błyskały pioruny, burza jednak stopniowo zaczynała słabnąć.

– Nic z tego nie rozumiem. Chyba jednak tracę zmysły. Słyszę, jak martwi mówią. Widuję ludzi w miejscach, w których na pewno nie mogą się znajdować.

Jim wyciągnął ręce nad stolikiem i ujął jej dłoń.

– Mów dalej – zachęcił Annę. – Opowiedz mi wszystko. Obiecuję, że nie będę się z ciebie śmiał.

Anna wypła dwa łyki wódki z tonikiem. Po chwili z wahaniem zaczęła opisywać Jimowi swoje przeżycia z kostnicy, kiedy usłyszała, jak Bridges i David mówią do niej, i kiedy zobaczyła, jak zmieniają się rysy ich twarzy. Opowiedziała mu o tym, jak poszła obejrzeć zwłoki Mary Stephens i jak pojawiła się siostra zakonna, tak po prostu, znikąd.

Początkowo niechętnie zaczęła mu powtarzać słowa i opisywać perwersyjne zachowanie zakonnicy, jednak poczuła ulgę, mogąc to z siebie wyrzucić. Opowiedziała mu więc wszystko, nie pomijając nawet najdrobniejszych szczegółów.

Kiedy skończyła, Jim przez chwilę milczał, wpatrując się w kufel z piwem. Wreszcie podniósł głowę i zapytał Annę:

– Wezwałaś ochronę?

– Jim, przecież ochroniarze nie uwierzyliby ani jednemu mojemu słowu. Sama nawet nie wiem, czy w to wszystko wierzę.

– Cóż, obecnie mamy niewiele pewnych danych w związku z tymi trzema zgonami. Rutgers mówił, że twarz wszystkich trzech ofiar zastygła w potwornym grymasie. Sam widziałem dzisiaj Davida.

– Wyraz twarzy to jedna kwestia, Jim. Być może to przypadek. Ja, niestety, słyszałam, jak te osoby mówią po śmierci.

– Zatem przyjmijmy, że ta szczególna odmiana wirusa powoduje, że funkcje mózgu ustają po kolei, jedna po drugiej, i w efekcie jego ofiary potrafią mówić i zmieniać wyraz twarzy nawet wtedy, gdy z medycznego punktu widzenia są już

martwe.

– A co myślisz o zakonnicy?

Jim wyprostował się. Deszcz prawie przestał padać i słońce nieśmiało przedzierało się zza chmur. W pewnej chwili zaświeciło tak mocno, że odbity od szyby promień oślepił Annę – prawie nie widziała Jima i pomyślała, że rozmawia z duchem, a nie z żywym człowiekiem.

– Szczerze mówiąc, nie potrafię znaleźć wyjaśnienia. Zdaje się, że chodziłaś do szkoły urszulanek, prawda? Może miałaś w przeszłości jakieś złe doświadczenia z siostrami zakonnymi?

– Nie, Jim. Najgorsze, co mnie z ich strony spotkało, to kara, która polegała na napisaniu sto razy w zeszycie, że noszę za krótkie spódnice.

– Cóż, nie wiem, co powiedzieć. Mogę tylko sobie wyobrazić, jak bardzo jesteś zestresowana. Wykonujesz niezwykle odpowiedzialną i trudną pracę, a teraz jeszcze straciłaś Davida, i to tak nagle. W normalnych okolicznościach nalegałbym na to, żebyś wzięła trochę wolnego. Jednak teraz, kiedy badania nad wirusem z Meramac wciąż jeszcze trwają, a w dodatku pojawił się ten kolejny wirus, cokolwiek to jest... mogę cię jedynie zapytać, czy jesteś pewna, że sobie ze wszystkim poradzisz? Potrzebujemy cię teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Ja czułam jej smak na ustach, Jim. Naprawdę go czułam.

– Zawsze możesz na mnie liczyć, Anno – powiedział Jim. – Dobrze o tym wiesz.

Nie musiał dodawać, że mogliby zostać parą, gdyby życie potoczyło się inaczej.

– Dzięki, Jim. Bardzo mi dzisiaj pomogłeś. Jutro od rana będę w laboratorium, obiecuję ci.

Słońce niespodziewanie schowało się za chmurami i znowu zaczął padać deszcz.

Jim powiedział jej, że jeśli zechce, może tę noc spędzić w jego mieszkaniu, bez żadnych zobowiązań. Annę kusilo, żeby skorzystać z zaproszenia, wiedziała jednak, że musi wrócić do siebie i stawić czoło demonom, zakonnicom oraz wszelkim innym dziwnym zjawiskom.

Była przekonana, że to, co słyszała podczas uroczystości pogrzebowej, nie było tylko wytworem jej wyobraźni, a jednocześnie zdawała sobie sprawę, że przecież to

niemożliwe. Przypomniała sobie swojego kuzyna – alkoholika – Vincenta. Kiedy dochodził do siebie po wielkim piciu, zwidywało mu się, że w jego sypialni strażacy grają w karty, zastanawiając się przy tym, jak najszybciej można by spalić jego dom.

Jim odprowadził ją do drzwi loftu.

– Jeżeli będziesz czegoś potrzebować, daj znać – powiedział. – Zadzwoń, nawet jeśli będziesz chciała tylko porozmawiać.

Pocałował ją w policzek i przez chwilę stali przytuleni, chociaż oboje wiedzieli, że ta chwila musi minąć.

Znalazłszy się w mieszkaniu, Anna pozapalała większość świateł w salonie, po czym poszła do kuchni i nalała sobie zimnej wody.

Stała na środku kuchni ze szklanką w dłoni, gdy usłyszała trzask i wszystkie światła w salonie zgasty. Cholera, pomyślała, jeszcze tego mi brakowało. Mieszkała tutaj już od trzech lat, mimo to nie wiedziała, gdzie znajdują się bezpieczniki.

Odstawiła szklankę i wróciła do salonu. Przez zasłony docierało tutaj słabe światło z ulicy oraz trochę jaśniejsze z kuchni, w pomieszczeniu panował więc półmrok. Pomyślała, że bezpieczniki prądu znajdzie w małej szafce przy drzwiach wejściowych, przeszła więc powoli przez salon, starając się nie zahaczyć o ławę.

Och, Davidzie, pomyślała. Gdybyś tylko wiedział, jak bardzo bym chciała, żebyś tu ze mną był.

Była w połowie drogi do drzwi, kiedy zdała sobie sprawę, że cienie za kanapą są znacznie ciemniejsze od pozostałych i że właściwie wcale nie powinno ich tam być. Zatrzymała się, ze zmarszczonym czołem popatrzyła w mroczną część salonu i w tym momencie zdała sobie sprawę, że to wcale nie są cienie. Za kanapą stały bez ruchu postaci w czarnych szatach. Wyglądały jak zakonnice.

Proszę cię, Boże, tylko nie to. Dość tych halucynacji, błagam.

Zrobiła jeszcze trzy kroki do przodu, nie odrywając wzroku od mrocznych sylwetek. A może to są cienie i za chwilę, gdy zmieni pozycję, przyjmą zupełnie inne, niegroźne kształty, a może nawet znikną? Kiedy jednak dotarła do skraju kanapy, wiedziała już, że postaci są prawdziwe. A przynajmniej przekonany był o tym jej umysł – nawet jeżeli miała do czynienia wyłącznie z obrazami wykreowanymi przez

jej wyobraźnię.

– Chcę, żebyście zniknęły – powiedziała najgłośniej, jak umiała.

– To ty musisz odejść – rozległ się szept. Głos brzmiał identycznie jak chrapliwy szept, który słyszała w kostnicy. – Czas, żebyś odeszła, Anno, zanim tobie i całemu twojemu gatunkowi przytrafi się straszliwe nieszczęście.

– Kim jesteś? – Była tak przerażona, że jej głos drżał.

– Czas, żebyś sobie stąd poszła, dziwko – wyszeptała jedna z zakonnicek. – Nie wiesz, z czym masz do czynienia.

Serce Anny waliło tak mocno, że aż sprawiało jej ból. Wydawało jej się, że podłoga osuwa jej się spod stóp. Chcąc stanąć pewniej, uchwyciła oparcie skórzanej kanapy i wzięła dwa głębokie oddechy.

– Jeśli jesteście prawdziwe – odezwała się – powiedzcie mi, kim jesteście, co tutaj robicie i jak się tu dostałyście.

– Chcesz wiedzieć, kim jesteśmy? Pokażemy ci.

Anna rozpaczliwym spojrzeniem omiotła salon. David zawsze chciał kupić broń, ale ona się temu sprzeciwiała. W tej chwili po raz pierwszy w życiu żałowała, że nie ma pistoletu. Jeszcze nigdy nie czuła się tak bezbronna. A najbardziej przerażała ją myśl, że wszystko rozgrywa się wyłącznie w jej mózgu, a ona traci panowanie nad sobą. Bała się, że popada w obłęd i że gdyby miała broń, zrobiłaby z niej użytek. A jednocześnie ta myśl była w jakiś sposób pocieszająca.

– Rozkazuję wam natychmiast stąd iść – powiedziała. – Nie obchodzi mnie, kim jesteście. Zamknę oczy i policzę do trzech, a kiedy je znowu otworzę, was ma tu nie być.

– Powinnaś się już domyślić, kim jesteśmy – wyszeptała zakonnica. – Musisz wszystkim powiedzieć, że wróciliśmy, żeby się na was zemścić. I możesz powiedzieć swoim kolegom, że nie ma żadnego lekarstwa na chorobę, którą was zarażamy. Nikt nie jest w stanie jej wyleczyć. Na początek będziecie umierać setkami, potem tysiącami, a w końcu milionami. Ziemię, które nam zabraliście, staną się waszym cmentarzem, i znów będziemy na nich organizować łowy. Będziemy polować na waszych grobach.

Chociaż szept zdawał się trwać bez końca, Anna wciąż miała oczy zamknięte. Zniknij, pomyślała; myśl pozostała w głowie, nie ośmieliła się wypowiedzieć jej głośno. Odejdź stąd, nieważne, czy jesteś prawdziwa czy nie. Opuść mój umysł, idź sobie precz z mojego domu i z mojego życia.

Usłyszała stukot, następnie trzask i odgłos lekkich uderzeń, jakby ktoś rozrzucał po podłodze ziarno. Po chwili poczuła zapach dymu, jakby ktoś palił drewno cedrowe.

Otworzyła oczy. Jęknęła z przerażenia – postaci były już tak wysokie i zwaliste, że niemal sięgały głowami sufitu i wcale nie przypominały zakonnice. Każda z nich miała na głowie dwa zaokrąglone rogi. Ramiona miały obnażone, a po nich biegały stada chrząszczy i to one, spadając na lakierowaną podłogę z dębowych desek, powodowały ten charakterystyczny dźwięk.

– O Boże – westchnęła Anna. W jednej chwili opuściły ją wszystkie siły i padła na kolana. – Boże, powiedz mi, proszę, że to tylko zły sen.

## ROZDZIAŁ 18

– Wiemy, kim jesteś i co robisz – wyszeptała zakonnica. – Tym razem dopilnujemy, żebyś nie pokrzyżowała nam szyków.

Druga zakonnica odezwała się głośniejszym, bardziej chropowatym głosem:

– Twój lud uwierzył, że wasza medycyna jest doskonalsza od naszej. Przez wiele lat my także w to wierzyliśmy i dlatego traciliśmy odwagę i nadzieję, że kiedykolwiek będziemy mogli się na was zemścić. Teraz jednak już wiemy, w jaki sposób możemy wam uczynić to samo, co wy uczyniliście nam, i tym razem wasza medycyna nie zdoła was ocalić.

– Ale kim jesteście? – zapytała Anna. – Nie rozumiem, o czym mówicie. Co wam niby zrobiliśmy? I kto jest to „my”?

– Jesteśmy ludem, do którego należy ta ziemia. Podarował go nam u zarania czasu sam Wielki Duch.

– Wielki Duch? Chcesz mi powiedzieć, że jesteście Indianami?

– Mordowaliście nas, wielu naszych współbraci zginęło. Mordowaliście nas, a potem przywłaszczaliście sobie nasze tereny łowieckie, nasze lasy, góry i rzeki.

– Ale kim jesteście? – nie ustępowała Anna.

Drżała ze strachu, ale wciąż miała umysł naukowca. Aby nauczyć się bronić przed patogenem, trzeba go przede wszystkim poznać, dowiedzieć się, jak się namnaża i w jaki sposób zakaża.

– Jestem Matchitehew – powiedziała wielka postać z rogami. – A to mój brat Megedagik. Jesteśmy synami Misquamacusa, największego czarownika, jaki kiedykolwiek chodził po tej ziemi. Powróciliśmy, żeby pomścić ojca i dokończyć to, czego nie zdołaliśmy dokończyć wcześniej, odebrać to, co zostało nam ukradzione, do ostatniego źdźbła trawy.

Chyba naprawdę popadam w szaleństwo, pomyślała Anna. Nie wierzę, że słyszę te słowa.



– Ty, Anno – kontynuował Matchitehew – posiadasz ogromną wiedzę o zarazkach i chorobach. Przekażesz innym lekarzom, że nie zdołają uratować swojego ludu od zarazy, która wkrótce na was spadnie. To choroba, którą u zarania czasu wyhodowali nasi Wielcy Przodkowie. Nie macie na nią lekarstwa, tak jak i my nie mieliśmy lekarstwa przeciwko chorobom, które na nas sprowadziliście.

Nagle zadzwonił telefon komórkowy. Anna sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła go nieporadnie, nieomal upuszczając na podłogę. Na ekranie pojawiło się zdjęcie Jima.

– Jim – odezwała się.

Kiedy to powiedziała, trzy postaci stojące naprzeciwko niej zaczęły przybierać formę czarnych spirali. Nagle wydało jej się, że były utworzone z czarnego dymu, który rozwiął się, gdy ktoś niespodziewanie otworzył okno i świeże powietrze wdarło się do salonu.

– Anna? Masz zmieniony głos. Co się stało?

Anna przysiadła na oparciu kanapy i rozejrzała się po salonie. Intruzów nie było, mimo to wciąż nie mogła się uspokoić.

– Wiesz co, Jim? Chyba znowu miałam halucynacje. Tak, z całą pewnością. Zdawało mi się, że widzę... – Umilkła na chwilę. – Ale już ich nie ma. To tylko stres, Jim, nic więcej. One nie mogły być prawdziwe.

– One? Niby kto? Jakie one?

– Już nic, Jim, wszystko w porządku. Po prostu muszę wypocząć. Przez ostatnie tygodnie miałam mnóstwo pracy, a teraz, kiedy David odszedł tak niespodziewanie, to wszystko chyba mnie przerosło.

– Posłuchaj, Anno, przyjadę po ciebie. Spędzisz noc u mnie i zapewniam cię, że tutaj nie zobaczysz żadnego ducha.

– Jim, nic mi nie jest. Naprawdę czuję się zupełnie dobrze. Muszę tylko uporządkować myśli. Wydawało mi się, że widzę jakichś ludzi, ale teraz sama nie mogę w to uwierzyć.

– Co to byli za ludzie?

– Najpierw trzy siostry zakonne.

– Na miłość boską, Anno! Znowu zakonnice? Skąd się tam wzięły?

– Nie mam pojęcia. Potem dwie z nich zaczęły się powiększać, tak że sięgały aż do sufitu. Poza tym urosły im rogi!

– Sięgały do sufitu i miały rogi? – Jim na chwilę zamilkł, ale zaraz kontynuował: – Ty mówisz serio?

– Tak, Jim. Możesz mi wierzyć albo nie, ale jestem śmiertelnie poważna. Widziałam je, a one do mnie mówiły. Oznajmiły, że są synami jakiegoś wielkiego indiańskiego czarownika, nie pamiętam jego imienia. Powiedziały też, że mają zamiar rozsiać jakąś chorobę, której nie będziemy w stanie wyleczyć, i że ta choroba zabije miliony ludzi.

– Anno, proszę cię... Przyjadę i zabiorę cię do siebie.

– Jim, dam sobie radę. Wezmę tabletkę nasenną i położę się spać.

– Anno, widzisz zakonnice i indiańskich szamanów. To byłoby nawet zabawne, gdyby nie było tak przerażające. Czy oni powiedzieli ci swoje imiona?

– Nie zapamiętałam ich. Jeden nazywał się Machy coś tam, a imię drugiego kończyło się chyba na „gik”.

– Posłuchaj mnie, Anno. Wkładam buty i jadę. Proszę cię, nie sprzeczasz się ze mną.

– Nie, Jim, nic z tego. Absolutnie nic mi nie grozi. To wszystko pewnie działo się w mojej głowie.

– Właśnie. I to mnie najbardziej martwi.

– Jim, nie przyjeżdżaj. Nalegam. Zresztą, możesz nawet na chwilę wpaść, ale nie namówisz mnie, żebym pojechała z tobą. Sama muszę sobie z tym dać radę.

W słuchawce nastąpiła długa cisza. Jim wystarczająco dobrze znał Annę, by wiedzieć, że mówi poważnie i że nic nie jest w stanie jej nakłonić, by zmieniła zdanie.

– Dobrze – powiedział w końcu i westchnął. – Pamiętaj jednak, że zawsze będę z tobą, nieważne, co postanowisz.

– Tak, Jim, wiem. I doceniam to. Dziękuję ci.

Rozłączyła się i miała właśnie kontynuować poszukiwania skrzynki z bezpiecznikami, gdy wszystkie światła w salonie znowu rozbłysły.

To dziwne, pomyślała, chociaż z ulgą przyjęła fakt, że w mieszkaniu zrobiło się

jasno. Poszła do sypialni, również tam zapaliła lampę i skierowała się do łazienki. Zaczęła napełniać wodę do wanny. Miała nadzieję, że długa, ciepła kąpiel z olejkiem jaśminowym pomoże jej się rozluźnić.

Rozebrała się i włączyła stereo w łazience, wybrawszy płytę z Romansem na fortepian i skrzypce Dworzaka. Popatrzyła na swoje odbicie. Łazienkowe lustro zawsze ją wyszczuplało, ale tego wieczoru wyglądała niemal jak szkielet. Żebra rysowały się wyraźnie pod skórą, a kości biodrowe rzucały trójkątne cienie. Od śmierci Davida prawie nic nie jadła.

Spędziła w wannie ponad dwadzieścia minut, a cicha muzyka omal jej nie uśpiła. Wyszedszy z kąpeli, wytarła się do sucha, włożyła białą koszulę nocną bez rękawów i usiadła przed toaletką, żeby wyszczotkować włosy. Co jakiś czas nieruchomiła z dłonią w powietrzu, ponieważ zdawało się jej, że słyszy jakieś hałasy dobiegające z salonu albo z kuchni.

Przecież nikogo tam nie ma, powtarzała sobie w myślach. To tylko włącza się piec do podgrzewania wody albo szumi klimatyzacja, albo trzeszczy stary budynek, jak zawsze, kiedy na zewnątrz spada temperatura.

Włączyła telewizor w sypialni, jednak nie natrafiła na żaden ciekawy program i po chwili go wyłączyła. Czowała się skrajnie zmęczona, fizycznie i psychicznie, tak jakby przebiegła maraton albo odbyła z kimś walkę na śmierć i życie. Położyła się do łóżka i po chwili zgasiła lampę na stoliku nocnym.

Boże, nie chcę już żadnych koszmarów. Marzę tylko o tym, żeby zasnąć i odpocząć.

Odwróciła się na lewy bok i starannie ułożyła poduszkę pod głową.

Nie masz się czego bać, wmawiała sobie. To tylko twoja wyobraźnia płata ci figle po śmierci Davida.

Była gotowa przyznać, że Jim miał rację i że postaci zakonnice odzwierciedlały tylko jej długo tłumione wspomnienia z lat szkolnych. Próbowała sobie przypomnieć strzępy informacji o rdzennych mieszkańcach Ameryki, historię o ospie wietrznej, która rozprzestrzeniła się w 1837 roku wśród Indian Mandan i Ankarą. Zarazili ich Europejczycy, którzy podróżowali statkiem parowym Święty Piotr. Statek służył

handlarzom futrami i co roku odbywał długi rejs po Missouri. Obie społeczności zostały zdziesiątkowane, a zaraza przeniosła się dalej, na plemiona żyjące w głębi lądu, do których koloniści nigdy nie dotarli i których języka, zwyczajów nigdy nie poznano, jakby w ogóle nie istniały.

Anna czytała także sensacyjne doniesienia, jakoby Armia Amerykańska celowo szerzyła zarazy wśród Indian, na przykład ofiarując im zakażone ospą wietrzną koce ze szpitala wojskowego w St Louis. Kilku poważnych historyków zapewniało, że nigdy tego nie udowodniono, a jednak wciąż krążyło ono w środowiskach naukowych. Czy była to prawda czy nie, tysiące rdzennych mieszkańców Ameryki zmarło na ospę wietrzną i inne przywleczone z Europy choroby, na które nie posiadali oni naturalnej odporności.

Być może to wybujała wyobraźnia podsunęła jej obrazy żądnych zemsty indiańskich czarowników, pragnących teraz ukarać kolonistów za zło, które uczynili dawno temu, czy to przypadkiem czy celowo. Anna miała taką nadzieję.

Zasypiała już, gdy coś połaskotało ją w ramię. Potarła miejsce, myśląc, że to jakiś zabłąkany włos. Łaskotanie jednak nie ustało, lecz przesunęło się wzdłuż jej ręki. Klepnęła się w ramię, bez skutku. Klepnęła jeszcze raz.

Teraz poczuła łaskotanie na całym ciele. Usiadła na łóżku, zapaliła nocną lampkę i odchyliła kołdrę. Ku swemu przerażeniu zobaczyła, że po prześcieradle biegają całe zastępy drobnych brązowych pluskiew. Było ich mnóstwo – miała je na nogach, a nawet pod koszulą.

Gdy tylko rozblęsnęło światło, pluskwy zaczęły uciekać. Pościel była nimi upstrzona.

Anna wyskoczyła z łóżka tak szybko, że uderzyła o kant nocnego stolika i zrzuciła lampkę. Żarówka zbiła się z trzaskiem i sypialnia znowu pograżyła się w ciemnościach. Anna pobiegła do łazienki, po drodze zrywając z siebie koszulę.

Włączyła światło w łazience i uważnie obejrzała swoje ciało, aby się upewnić, czy nie została pogryziona. Jeśli pluskwy były zakażone wirusem, który zaatakował Davida, Annie groziło poważne niebezpieczeństwo. Nie dostrzegła jednak na ciele żadnych śladów po ugryzieniach, nie czuła też swędzenia.

Podeszła do łóżka. Niemal wszystkie pluskwy zdążyły już się schować, jednak na pewno gdzieś tam były. Anna wyraźnie czuła ich zapach. Wiedziała, że niektórym przypomina on odór zgniłych malin, ale ona uważała, że jest bardziej ziołowy i przypomina raczej zapach kolendry.

Podeszła do szafy i wyciągnęła z niej czystą bieliznę, miękki żółty sweter i dzinsy. Ubrała się powoli, wcześniej wytrzepawszy energicznie wszystkie części garderoby, aby mieć pewność, że nie znajdzie się w nich żaden zabłąkany owad. Kiedy już była ubrana, poszła do salonu i podniosła słuchawkę telefonu.

– Jim? Mówi Anna. Przepraszam... Obudziłam cię?

– Nie, skądże. Oglądałem The Late Show. Właściwie oglądałem go z zamkniętymi oczami, ale nie spałem.

– Wiesz co? Może jednak skorzystam z twojej oferty i spędzę u ciebie noc? Coś się stało. Musisz do mnie przyjechać i to zobaczyć.

– Anna, dobrze się czujesz? Anno!

Ale ona już nic nie powiedziała, tylko stała na środku salonu, ze słuchawką przy uchu i dłonią zaciśniętą na ustach. Po jej policzkach płynęły łzy. Po kilku sekundach zaczęła głośno łkać.

## ROZDZIAŁ 19

Kiedy wróciliśmy, Mazey była już w domu. Obie siostry siedziały na kanapie przed telewizorem, zajadając pizzę pepperoni z otwartego kartonu. Mazey bardzo ostrożnie wyjmowała z niego kolejne kawałki, ponieważ właśnie pomalowała na złoto paznokcie u rąk i lakier jeszcze nie wysechł. Pomiedzy kolejnymi kęsami, które wkładała do ust, malowała sobie paznokcie u nóg.

– Cześć, skarbie – powiedziała Dazey, nie odrywając oczu od Arsenia, który właśnie przeprowadzał wywiad z członkami jakiegoś nowego boys bandu. – Jak ci poszło?

– Robaczywie – odparł Rick. – Bardzo robaczywie.

Kleks ruszył prosto do pudełka z pizzą i Mazey uniosła je wysoko, żeby nie mógł go dosięgnąć.

– Sio, Kleks! To nie jest twoja kolacja!

Mazey była bardzo podobna do siostry – miała ładną, trochę zbyt pucołowatą twarz – i była od niej jakieś pięć lub sześć lat młodsza. Bardzo jasne włosy miała splecione w wyszukany warkocz; praca nad nim zabrała jej zapewne długie godziny. Używała fioletowej kredki do oczu. Gdyby Rick nie powiedział mi wcześniej, że jest z zawodu kosmetyczką, zapewne sam bym to odgadł. Ubrana była w błyszczącą złotą bluzkę zapinaną na guziki i białą minispódnice.

– Mazey, to jest Czarodziej, znany również jako Harry Niewiarygodny Erskine – powiedział Rick i rzucił na stół kluczyki od samochodu. – Czarodzieju, poznaj Mazey. Mam nadzieję, że oboje nie macie nic przeciwko spędzeniu kilku nocy w jednym pokoju?

– Dla mnie w porzo, R.B. – odpowiedziała Mazey piskliwym dzieciennym głosem. Skupiona była właśnie na malowaniu paznokcia dużego palca u lewej nogi i nawet na moment nie uniosła wzroku, żeby zobaczyć, jak wyglądam. – Chyba że facet głośno chrapie.

– Przysięgam, że w nocy jestem bardzo cichy – zapewniłem.

Poruszyła palcem, podziwiając swoje dzieło, po czym wreszcie popatrzyła na mnie. Uśmiechnęła się, ukazując czerwone lśniące wargi.

– Hej, jesteś całkiem niezły. Wiesz, kogo mi przypominasz?

– Nie mam zielonego pojęcia. Kogo?

– Tego aktora. Jak on się nazywa... Na pewno go znasz.

– Przepraszam, ale nie wiem, o kogo chodzi. Może byś podała tytuł filmu, w którym występował?

– On nie jest aktorem filmowym. Występował w serialu Mad Men. Chyba w Mad Men. W każdym razie jest bardzo przystojny.

– Cóż, dzięki.

– Na ekranie co prawda nie wygląda tak staro jak ty, ale naprawdę bardzo go przypominasz.

Nie wiedziałem, czy odebrać te słowa jako komplement czy wręcz przeciwnie, ale nie musiałem się nad tym zastanawiać, ponieważ Rick zmienił temat.

– Harry przepowiada przyszłość. Jest zawodowym, jak to się mówi, zagładaczem...

– Jasnowidzem – poprawiłem go.

– Właśnie. Jasnowidzem. Jeśli ładnie go poprosisz, może powrózy ci z kart tarota.

– O tak, proszę! – zawołała Mazey, a jej głos zamienił się w pisk.

O rany, wygląda na to, że będę dzielił pokój z piszczącą Betty Boop.

– Uwielbiam przepowiednie – dalej piszczała Mazey.

– Cóż, może jutro – zaproponowałem. – Dzisiaj jestem zmęczony po podróży, a muszę mieć świeżą głowę, żeby dokładnie słyszeć, co karty mają mi do powiedzenia.

Inaczej mówiąc: mała, jestem zbyt zmęczony, żeby ci opowiadać brednie, jaki będzie twój kolejny chłopak albo czy w pracy awansujesz na główną makijażystkę.

Rick poszedł do kuchni, żeby nakarmić psy. Ja tymczasem usiadłem przed telewizorem obok Mazey.

– Chcesz kawałek? – zapytała, podsuwając mi karton z pizzą.

– Nie, dzięki. Widziałem dzisiaj tyle pluskiew, że na dobre straciłem apetyt.

– Och, one są wstrętne! – wtrąciła Dazey. – Kiedyś pojechałam na robotę z Rickiem, jeden jedyny raz, i muszę wam powiedzieć, że prawie się porzygałam. Nie wiem, jak on to znosi. A jeszcze gorsze od pluskiew są karaluchy! Fuj!

Mazey właśnie wzięła z kartonu kolejny kawałek pizzy. Popatrzyła na niego z bliska, a potem odłożyła na miejsce.

Dziewczyny poszły do łóżek pierwsze, a my z Rickiem zostaliśmy jeszcze w salonie i popijając piwo, wspominaliśmy stare dobre czasy.

– Wydaje się, że to było tak dawno, Czarodzieju – powiedział Rick.

– Minęło zaledwie pięć lat.

– A jednak odnoszę wrażenie, jakby to wszystko się działo w innym życiu. Pamiętasz te japońskie bliźniaczki?

– Jakże mógłbym je zapomnieć?

– Tego dnia po raz pierwszy poczułem, że się starzeję. Obie chciały spędzić noc tylko z tobą.

– Możesz mi wierzyć, Rick, nic między nami nie zaszło. Byłem tak pijany, że ledwie wszedłem po schodach do mieszkania, a gdy się już tam znalazłem, po prostu padłem bez sił.

Do salonu przybiegł Kleks. Usiadł przed Rickiem i zaczął cicho piszczeć.

– Co się stało, Kleks? Coś jest nie tak?

Pies dotknął nosem jego kolana, a potem zrobił kilka kroków w kierunku kuchni.

– O co chodzi? Chcesz jeszcze żarcia? Zjadłeś już całą puszkę, do rana nie dostaniesz nic więcej.

Kleks wrócił i znowu zaczął go szturchać nosem.

– Co jest? – Rick zaczynał się denerwować. – Przysięgam, Czarodzieju, gdybym miał jeszcze raz zdecydować, nigdy w życiu nie kupiłbym psa. Psy są jak dzieci, które nigdy nie dorastają. Patrzę na nie i powtarzam sobie, że Darwin się mylił. Nie istnieje coś takiego jak ewolucja. Gdyby istniała, psy już dawno potrafiłyby mówić, prowadzić samochody i zamawiać burgery w McDonalddie, nawet gdyby nie potrafiły się nauczyć teorii strun. Zresztą ja sam nie rozumiem, o co w niej chodzi.

Kleks pobiegł w stronę drzwi kuchennych, a kiedy zrozumiał, że Rick nie ma



najmniejszego zamiaru się ruszyć, warknął.

– Zamknij się, Kleks! Cisza! Bo pobudzisz dziewczyny!

– Chyba chce, żebyś poszedł z nim – zauważyłem.

Rick odstawił puszkę z piwem i niechętnie wstał.

– Masz rację. Na pewno chce się wyszczać. Poczekaj chwilę.

Wyszedł za psem i po chwili wrócił.

– Szybko poszło – powiedziałem.

– Wcale mu nie chodziło o sikanie. Nie wiem, czego chciał. Zaczął obwąchiwać Bobika, ale Bobik śpi spokojnie w swoim koszu. Kleks też powinien iść spać.

Wzruszyłem ramionami i popatrzyłem na zegarek.

– Ja też powinienem pójść do mojego koszyka. Dzięki za wszystko, Rick, szczególnie za gościnę. Daj mi kilka dni, a znajdę sobie jakieś miejsce i przestanę ci zawracać głowę.

– Hej, stary, nie ma pośpiechu. W końcu po co są przyjaciele?

Dokończyłem piwo i poszedłem do łazienki. Zamierzałem wziąć szybki letni prysznic i umyć zęby. Kiedy wróciłem do salonu, Kleks wciąż krążył, węszył i popiskiwał. Rick był już w swojej sypialni, za zamkniętymi drzwiami.

– Co cię gryzie, stary? – zapytałem Kleksa.

Znów pisnął i poprowadził mnie do kuchni, niepewnie stawiając łapy na podłodze z winylowych klepek. Bobik leżał w swoim koszyku na kocu w szkocką kratę i wszystko wskazywało na to, że głęboko śpi. Kleks wciągnął powietrze i szturchnął go nosem, jednak Bobik nie zareagował.

Przyklęknąłem i nachyliłem się nad koszykiem Bobika. Nie miałem żadnego doświadczenia ze zwierzętami, jednak widziałem, że pies oddycha.

– Kleks, przyjacielu, naprawdę nie wiem, co cię gryzie. Przykro mi. Według mnie Bobik ma się zupełnie dobrze. Śpi i tobie też radzę się przespać. A jeśli o mnie chodzi, właśnie zamierzam iść do sypialni.

Kleks stał niemal nieruchomo, wpatrując się we mnie. Wyglądało na to, że zrozumiał, co powiedziałem, bo przestał piszczeć. Jakby ogarnęło go zrezygnowanie: zrobił, co w jego mocy, żeby przekazać mi coś ważnego, ale wiedział, że mu się nie

udało.

Wyłączyłem światło i wyszedłem z kuchni. Kleks nadal stał przy koszyku Bobika. Cóż, to jest w końcu pies Ricka, pomyślałem. Skoro on się nim nie martwi, dlaczego ja mam? Może ten Kleks cierpi po prostu na bezsenność?

Czy zwierzęta mogą mieć kłopoty z zasypianiem? – zadałem sobie pytanie. Czy psy miewają nocne koszmary?

Trafiłem do łóżka, kierując się czerwonymi cyferkami budzika elektronicznego. Mazey zebrała swoje ubrania, wygładziła kołdrę i ładnie ułożyła poduszki. Spała już, głośno oddychając przez nos. Nie brzmiało to zbyt przyjemnie. A tak się dopytywała, czy to ja nie chrapię w nocy.

Zdjąłem z bioder ręcznik, którym się przepasałem po kąpieli, i przewiesiłem go przez oparcie krzesła. Następnie położyłem się pod kołdrą i leżałem, wpatrując się w ciemność. Rozmyślałem o wszystkim, co sprawiło, że znalazłem się w Los Angeles – o bransoletce pani Ratzenberger, wypadku ojca Zapaty, zakonnicach, które się pojawiły w mojej sypialni, ale przede wszystkim o Matchitehewie i Megedagiku.

Noc była cicha. Słyszałem jedynie odgłosy cykad, zduszony szum ruchu ulicznego i świszczący oddech Mazey. Trudno mi było uwierzyć, że to wszystko naprawdę się wydarzyło. W gruncie rzeczy próbowałem przekonać samego siebie, że spotkanie z zakonnicami i synami Misquamacusa odbyło się tylko w mojej wybujałej wyobraźni, a katalizatorem był nadmiar wypitej przeze mnie whisky.

A jednak wiedziałem, że to była prawda. Wcześniej już nie raz obserwowałem, jak działa magia Indian; potrafiła wstrząsać posadami ziemi. Należy pamiętać, że w każdym drzewie, każdej skale i każdej rzece w tym kraju tkwi duch Manitou. Tak naprawdę to są wciąż ziemie Indian, mimo że im je odebraliśmy. Żyjemy jakby w nawiedzonym domu. Możemy wszem i wobec chwalić się, że należy on do nas, ale tak naprawdę jego właścicielami są duchy.

W tym wszystkim, co się wydarzyło, najbardziej przeraził mnie fakt, że Matchitehew i Megedagik odnaleźli właśnie mnie, wśród tylu milionów Amerykanów, i to ode mnie zażądali, żebym ostrzegł o ich zamiarach cały kraj. Przecież nie mogłem tego zrobić, bo niby jak? Bałem się, że jestem w wielkim niebezpieczeństwie. Skoro

znaleźli mnie w Coral Gables, było bardziej niż prawdopodobne, że znajdą mnie znowu, nawet w Hollywood.

Zaczynałem się obawiać, że siostry zakonne, czarownicy i księża wymiotujący krwią będą zatruwać moją głowę przez całą noc i do rana nie zmrużę oka. Jednak po dziesięciu minutach zmęczenie wzięło górę i zasnąłem głęboko, jakbym wpadł do ciemnej studni.

Nie wiem, czy mi się coś śniło. Nie pamiętam żadnego snu. Lecz nagle zdałem sobie sprawę, że na prawym policzku czuję czyjś oddech. Cichy, przyspieszony, jakby zwierzęcy.

Jezu, pomyślałem. Któryś z psów wskoczył mi do łóżka!

W jednej chwili usiadłem i machnąłem rękami.

– Precz! – wrzasnąłem, głównie dlatego, że nie wiedziałem, jak powiedzieć po polsku „spieprzaj, kundlu, z mojego łóżka”.

W tej samej chwili poczułem, że otacza mnie czyjeś ramię i usłyszałem piskliwy głosik:

– Ciii... To tylko ja. Bądź cicho, bo wszystkich obudzisz.

To była Mazey. Leżała obok mnie i, o ile mogłem dostrzec w ciemności, była naga.

– Mazey! – syknąłem. – Co ty robisz?

– Przytuliłam się do ciebie, kochanie, tylko tyle.

– Co takiego? Przecież się prawie nie znamy!

– To nie ma znaczenia. Jesteś przyjacielem Ricka, prawda? I ładnie pachniesz.

Cóż, to się zgadzało, rzeczywiście ładnie pachniałem. Po prysznicu skropiłem się perfumami Ralph Lauren Polo.

– Wiesz co? Najlepiej będzie, jeśli wrócisz do swojego łóżka – powiedziałem. – Jestem tutaj dopiero od wczoraj i nie chcę wywoływać żadnych awantur. Co by na to powiedziała twoja siostra?

– Nie miałyby nic przeciwko temu. A poza tym to nie jej sprawa. Nie musimy jej nic mówić. To, co się dzieje w gościnnej sypialni, pozostaje tajemnicą gościnnej sypialni.

– Na razie, Mazey, w tej gościnnej sypialni nic się nie wydarzyło, poza tym, że goła niespodziewanie wskoczyłaś do mojego łóżka.

– To chyba dobry początek, nie sądzisz? – pisnęła.

Wzięła do ręki mój penis, który już się lekko uniósł, i zdecydowanymi ruchami zaczęła go masować.

– Mazey... – zacząłem, ale nie zrobiłem nic, żeby odsunąć jej dłoń.

Pokusa jest w końcu pokusą i mężczyzna potrafi dać jej odpór tylko do pewnego momentu, a wprawna dłoń Mazey i jej duże piersi, które napierały na mnie, błyskawicznie oddaliły ode mnie chęć wszelkiego oporu.

Leżałem więc na plecach, a Mazey zabawiała się moim członkiem. Muszę przyznać – miała do tego wielki talent.

Przesunęła głową i polizała go, tylko jeden raz, ale ten jeden raz wystarczył, żebym nagle poczuł paniczny strach. Irracjonalny, wiem. Ale nie potrafiłem przegonić z wyobraźni widoku ojca Zapaty, zwiniętego w kłębek na moim łóżku, z własnym penisem w ustach. Wzdrygnąłem się i położyłem dłoń na głowie Mazey.

– Co się stało? – zapytała. – Chyba cię nie zabolowało?

– Nie, nie, nie o to chodzi... – Nie wiedziałem, jak jej wyjaśnić mój problem.

A ja po prostu nie mogłem zapomnieć widoku ojca Zapaty, który wpatrywał się we mnie błagalnie, jakby chciał powiedzieć: „Powstrzymaj mnie, bo ja nie panuję nad sobą!”.

– Chyba nie jesteś wstydlivy, co? – zapytała niewinnym głosem.

– Wstydlivy? Ja? Oczywiście, że nie.

Oparła się na łokciu tak gwałtownie, że jej piersi się zakołysały.

– Chyba nie jesteś gejem, co? Bo jeśli jesteś, to... bardzo cię przepraszam.

– Mazey... – zacząłem, lecz przerwał mi skowyt, który rozległ się za drzwiami: głośny, żalony, głęboki.

Taki dźwięk słyszy się w filmach, kiedy człowiek przemienia się w wilkołaka. Kiedy ucichł, usłyszałem z kolei, jak coś uderza z impetem w drzwi, dwa lub trzy razy, a potem jakieś zwierzę zaczęło drapać w drzwi do sypialni.

– Boże! – zawołała Mazey i zeskoczyła z mojego łóżka. – Co to jest, do diabła?

Ja również zerwałem się na nogi, otworzyłem szafę i spróbowałem znaleźć w niej moje spodnie. Druciane wieszaki poplątały się i część ubrań spadła na podłogę.

– Światło, Mazey! Zapal cholerne światło!

Włączyła małą lampkę nad łóżkiem. W tym samym momencie znów rozległ się skowyt, jeszcze bardziej przeraźliwy, i znów usłyszałem drapanie w drzwi. Za chwilę zaczął warczeć Kleks. Nie przerwał, dopóki nie otworzyły się drzwi sypialni Ricka. Usłyszałem, jak krzyczy:

– Do ciężkiej cholery! – Po chwili zawołał bardziej trzeźwo: – Dazey, podnieś dupę z wyra i chodź tutaj! – Z kolei zapukał do naszej sypialni. – Czarodzieju! Mazey! Śpicie?

Mazey włożyła szybko białą koszulkę z jakimś jaskraworóżowym napisem, a ja właśnie zdołałem zapiąć pasek przy spodniach. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem, że w salonie wszędzie jest pełno krwi, jakby ktoś rozlał ją z wielkiego wiadra. Plamy krwi były na ścianach, na podłodze i prowadziły do kuchni.

Pośrodku tej czerwonej makabry, też cały we krwi, z wytrzeszczonymi ślepiami i groźnie obnażonymi kłami, leżał Bobik. Kleks stał nad nim i warczał.

– Mój Boże, co się stało z Bobikiem? – zawołała Dazey, stanąwszy w drzwiach sypialni. – To chyba nie jest sprawka Kleksa, co?

Pochyliłem się nad ciałem psa i uważnie się mu przyjrzałem. Nie chciałem klękać, ze względu na krew na podłodze. Machnąłem mu ręką przed oczami, ale nawet nie mrugnął. Nie słyszałem jego oddechu, a jego klatka piersiowa nie poruszała się i chociaż język zwisał mu z pyska, nie dyszał. Moim zdaniem wszystko wskazywało na to, że życie w nim wygasło.

– Czy on nie żyje? – zapytał Rick.

Pokiwałem głową.

– Chyba tak. Nie wiem, ile krwi może mieć w żyłach pies, ale wygląda na to, że Bobik wykrwawił się na śmierć.

Rick miał na sobie jedynie stare, znoszone spodnie dresowe i podkoszulek. Pochylił się nad psem i dotknął dłonią jego boku.

– Chyba masz rację, stary. Nie oddycha. – Przesunął dłonią po zakrwawionym

ciele psa, a potem przewrócił go na plecy. – Nie widzę nigdzie żadnych ran. Śladów po kłach, ani tym podobnych. Nie rozumiem. Skąd się wzięła ta cała krew? – Wyprostował się i pokręcił głową. Kleks wciąż warczał, Rick popatrzył więc na niego groźnie i krzyknął: – Zamknij się, Kleks, do ciężkiej cholery! Bądź cicho, dobrze?

Pies jednak nie przestał, Rick złapał go więc za obrozę i zaciągnął do kuchni.

– Mój Boże! – usłyszałem po chwili jego głos. – Tutaj też jest pełno krwi. Jak po jakiejś pieprzonej masakrze!

Poszedłem do kuchni, żeby się temu przyjrzeć. Rick otworzył tylne drzwi na podwórze i wypchnął Kleksa na zewnątrz. Kiedy je zamknął, pies niespodziewanie przestał warczeć, chociaż drapał pazurami drzwi i popiskiwał, chcąc wrócić do domu.

Przyjrzałem się plamom krwi na podłodze i wywnioskowałem, że jeszcze leżąc, nieszczęsny pies gwałtownie zwymiotował krwią. Nierówne ślady łap sugerowały, że potem wstał i niepewnie szedł ku drzwiom prowadzącym do salonu, kilkakrotnie wymiotując po drodze. Później we krwi pojawiło się więcej śladów; zostawił je prawdopodobnie Kleks, chodząc za zdychającym kompanem po salonie. Wyglądało na to, że Bobik szukał ludzkiej pomocy, jednak kiedy dotarł do drzwi sypialni, już nie można było mu pomóc – bo niby jak? Co prawda z własnego doświadczenia wiedziałem, że niektóre kliniki weterynaryjne dysponują – uwierzylibyście? – bankami krwi dla psów i kotów, bo kiedyś próbowałem ratować kota, którego potrącił humvee na Trzynastej Ulicy. Jednak w tym przypadku, nawet gdybyśmy znaleźli w środku nocy dyżurującą klinikę weterynaryjną, na ratowanie Bobika transfuzją z pewnością było za późno.

Dazey wróciła do sypialni i po chwili usłyszeliśmy, że wymiotuje. Mazey miała wyraźnie mocniejszy żołądek, bo poszła do kuchni i po dwóch minutach wróciła, niosąc żółte plastikowe wiadro z gorącą wodą, do której dołała mydło w płynie, i z mopem.

– Dzięki, Maze, jesteś nadzwyczajna – powiedział Rick. – Czarodzieju, poszukam jakiegoś starego koca. Pomożesz mi wynieść Bobika do ogrodu?

– Co chcesz z nim zrobić, Rick? Nie sądzisz, że należałoby zawieźć jego zwłoki do weterynarza, żeby się dowiedzieć, co go zabiło? Może Kleks zachoruje na to samo?

A może ta choroba przenosi się na ludzi? W Coral Gables widziałem księdza umierającego z powodu silnego krwotoku i uwierz mi, nie był to przyjemny widok.

– Kleks wygląda mi na zdrowego. Gdyby złapał to samo co Bobik, miałby jakieś objawy, nie uważasz?

– A skąd mam wiedzieć? Może jego choroba nie była zaraźliwa? Może Bobik miał tętniaka albo coś takiego, no ale nie jestem przecież ekspertem.

Rick popatrzył na mnie pytająco.

– Chodzi o defekt którejś tętnicy – wyjaśniłem. – Mój wujek miał tętniaka mózgu. Umarł w pół słowa.

Rick popatrzył na zakrwawione ciało Bobika, a potem na własne zakrwawione ręce.

– Problem w tym, Czarodzieju, że nie mam papierów na prowadzenie mojego interesu. Jeśli zawiozę Bobika do kliniki weterynaryjnej, od razu mnie zapytają, czy sam go nie naraziłem na jakieś choroby. A przecież mógł zachorować, nawdychawszy się jakichś chemikaliów. Albo pogryzły go pluskwy i przy okazji wstrzyknęły mu jakiś nieznany jad. Jeśli ktoś powiąże śmierć psa z tym, że pracował dla mnie, węsząc za pluskwami, sprawa trafi do Wydziału Zdrowia Publicznego i będę skończony. Wiesz, ile mnie kosztowała ta cholerna furgonetka razem z koniecznymi przeróbkami?

– Rozumiem – powiedziałem. – Co więc zamierzasz zrobić?

– A co mi pozostało? Zakopię go i tyle.

Popatrzyłem na zakrwawione ciało Bobika, a potem na Mazey, która właśnie wyciskała z mopa różową wodę. Dziewczyna wzruszyła ramionami. Gdyby Rick musiał zamknąć firmę dezynsekcyjną, kto zapłaci czynsz za dom i kto będzie kupował pizzę? Przeczytałem napis na jej koszulce: „Ta koszula była testowana na zwierzętach, jednak na żadne nie pasowała”. Zabawne. Ale w tej chwili nie byłem w nastroju do żartów.

– Dobrze – powiedziałem. – Jeszcze nigdy nie uczestniczyłem w pogrzebie zwierzęcia, ale kiedyś musi być ten pierwszy raz.

## ROZDZIAŁ 20

Wynieśliśmy Bobika na podwórze, a Rick zapalił zewnętrzne światło, żebyśmy mogli wykopać grób dla psa. Kiedy tylko wyszliśmy z domu, Kleks przestał piszczeć, za to gdy położyliśmy owinięte w zakrwawiony koc ciało na ganku, usiadł blisko nieżyjącego przyjaciela, a potem wbił w nas psie spojrzenie, jakby chciał zyskać pewność, że potraktujemy jego martwego kompana z właściwym respektem.

Po prawej stronie podwórza znajdował się wąski klomb, na którym rosły tylko chwasty. W komórce na narzędzia, dobudowanej do budynku mieszkalnego, Rick znalazł łopatę i zaczął kopać. Nie podlał klombu, odkąd się tutaj wprowadził, ziemia była więc popękana i sucha. Za każdym razem, kiedy wbijał łopatę, głośno przeklinał.

– Niech to szlag, Czarodzieju! Może mnie zmienisz chociaż na chwilę. Opuszczę ci czynsz.

– To był twój pies, stary. Poza tym karty powiedziały mi, że powinienem unikać ciężkiej pracy fizycznej.

– Naprawdę? To musisz uważać na Mazey, żeby cię nie zamęczyła w łóżku.

Mimo wszystko pomogłem Rickowi kopać i po godzinie mieliśmy gotowy jako taki dół, głęboki mniej więcej na siedemdziesiąt centymetrów. Zawinęliśmy Bobika w prowizoryczny całun i ułożyliśmy jego ciało w dole. Kleks stanął nad grobem obok nas i chociaż nie wierzę, że psy mogą okazywać emocje, przynajmniej nie w taki sam sposób jak ludzie, przysięgam, że sprawiał wrażenie mocno przybitego. Uszy miał opuszczone, podkulił ogon, a kiedy popatrzył na mnie, jego ślepia lśniły, jakby miał się za chwilę rozplakać.

– No cóż – westchnął Rick. – Jeśli istnieją jakieś psie niebiosa, miejmy nadzieję, że się w nich znalazłeś, Bobik. Przynieś patyk.

– Co to znaczy? – zapytałem.

– Przynieś kawałek kija – odparł. – Nie znam zbyt wielu słów po polsku.

Zasypał Bobika suchą ziemią i ubił ją, uderzając płasko łopatą. Kleks patrzył na tę scenę jakby lekko oszołomiony, lecz po chwili posłusznie poszedł za nami do kuchni,



gdzie Mazey kończyła czyszczenie podłogi. Wszedł do swojego koszyka i zwinął się w kłębek.

Rick wyłączył oświetlenie przed domem.

– Sprawdzę, czy z Dazey wszystko w porządku – powiedział. – Mazey, dziękuję ci, że posprzątałaś. Jesteś aniołem. Gdybym nie spotkał twojej siostry wcześniej niż ciebie...

Mazey pokazała mu środkowy palec.

– Nawet o tym nie myśl, Ricardo.

Wróciliśmy do naszej sypialni, a Mazey położyła się we własnym łóżku. Nie ściągnęła koszulki i nie próbowała kontynuować zabawy ze mną. A ja byłem zbyt zmęczony, żeby poczuć rozczarowanie. Czułem się prawie tak, jakbym przed chwilą wykopał własny grób, a nie Bobika.

– Jak myślisz, co mu się stało? – zapytała mnie Mazey w ciemności.

– Nie mam pojęcia. Chcę tylko wierzyć, że to nie było nic zaraźliwego. Ani w ogóle groźnego dla ludzi.

– Tak... – westchnęła. Po chwili dorzuciła: – Myślę, że będziemy przyjaciółmi, ty i ja.

– To wszystko?

– Przecież niczego więcej nie chcesz, prawda? Wciąż myślisz o kimś innym.

– Jak to się dzieje, że kobiety zawsze potrafią mnie przejrzeć? Czasami czuję się, jakbym był całkowicie przejrzysty.

– Jesteś zmęczony, Harry. Musisz się przespać.

– Nie potrafię przestać myśleć o tym księdzu, który umarł w Coral Gables. Wymiotował krwią, tak samo jak Bobik.

– Och, daj spokój. Nie porównuj księdza z psem. No i byli przecież tak bardzo dalecy. To znaczy, geograficznie.

Przyszło mi do głowy, że jeszcze nigdy w życiu nie leżałem w łóżku po zakopaniu psa i nie słyszałem, jak cycata kosmetyczka używa słowa „geograficznie”.

– Tak, masz rację – powiedziałem. – I rzeczywiście muszę się wyspać. Dobranoc.

Odwróciłem się do ściany i próbowałem wyrzucić z głowy wszelkie myśli. A

jednak mózg wciąż intensywnie pracował. Widziałem w wyobraźni zakonnice w sypialni i tę, która siedziała w samolocie. Wciąż słyszałem chrypiący głos Matchitehewa: „Wasze duchy znają drogi, którymi wędrujecie. Znają waszą magię. Wiedzą, co sprawia, że chorujecie”.

Następnego ranka miałem zakwasy w mięśniach rąk od kopania dołu, a z kolei Rick i Dazey sprawiali wrażenie rozkojarzonych i zniechęconych. Mieli wory pod oczami, ich włosy sterczały i zachowywali się tak, jakby przez całą noc nie zmrużyli oka. Usiedliśmy w kuchni jak troje wycieńczonych zombi i tylko pełna energii Mazey robiła, co mogła, żeby tchnąć w nas życie. Przygotowała dla wszystkich omlety, aromatyczną kawę i głośno śpiewała Mexican Wine.

Usiadłem na jednym z kuchennych stołków i obserwowałem ją, jak miesza jajka w misce. Jej piersi podskakiwały pod koszulką, a ja pomyślałem: ta dziewczyna ma wspaniały charakter. Z całą pewnością większość facetów, z którymi się dotąd zadawała, nie dostrzegła, jaka to silna, zabawna i inteligentna kobieta. Prawdopodobnie wielu mężczyzn przeżyło przy niej krępujące chwile, mnie jednak spodobał się sposób, w jaki się do mnie zabrała, a później jej zachowanie, kiedy zrozumiała, że nie tędy droga.

– Hej, Czarodzieju, o jedenastej trzydzieści mam robotę w Van Nuys – powiedział Rick. Kawaleczek omleta przywarł do jego nieogolonego policzka. – Co ty na to? Pojedziesz ze mną? Byłbym wdzięczny za pomoc.

– Dobra. Ale po południu rozejrzę się za jakimś miejscem do życia. No i zacznę się reklamować jako jasnowidz. Muszę poszukać, i to szybko, bogatych, starych wdów.

– ...a słońce latem ciągle świeci – śpiewała Mazey głosem tak wysokim i piskliwym, że tylko czekałem, aż pęknie moja szklanka z sokiem pomarańczowym. – Będę twoja, a ty będziesz mój...

Kleks podniósł łeb znad koszyka. Rick nadział na widelec ostatni kęs omleta, odsunął pusty talerz, po czym wstał i podszedł do psa. Pogłaskał go czule po głowie.

– Jak się dzisiaj czujesz, chłopaku? Już wszystko dobrze? Dzięki Bogu, chociaż ty nie wyglądasz na chorego. Pójdiesz ze mną zapolować na robale? Wytępimy te

cholerne pluskwy!

Rick poszedł do łazienki, żeby się przygotować do pracy, a ja pomogłem Mazey w zmywaniu naczyń.

– Dlaczego jesteś taki spięty, Czarodzieju? – zapytała. – Martwisz się czymś, prawda?

Uśmiechnąłem się do niej i pokręciłem głową.

– Znowu chcesz mnie przejrzeć na wylot? Przecież to ja jestem podobno jasnowidzem.

– Och, nie potrafię czytać w myślach – odparła Mazey. – Ale znam mężczyzn wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, kiedy coś ich gryzie.

– Cóż, masz rację – przyznałem. – Jestem trochę zdenerwowany.

– Powiesz mi, dlaczego? Wciąż chodzi o tego księdza, o którym mówiłeś w nocy?

– Częściowo. Ujmijmy to następująco: w nieodległej przeszłości przytrafiło mi się kilka dziwnych historii i obawiam się, że to jeszcze nie koniec.

– Dziwnych historii? Na przykład jakich?

Wrzuciłem ostatnie noże i widelce do zmywarki, popatrzyłem uważnie na Mazey i zapytałem ją:

– Wierzysz, że ludzie po śmierci mogą żyć jeszcze raz?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Ja też w to nie wierzę. Tacy ludzie jednak istnieją.

Popatrzyła na mnie ostro, jakby się chciała upewnić, że się z niej nie nabijam.

– Żartujesz. Martwi ludzie ożywają? I to tym się tak martwisz?

Pokiwałem głową.

Mazey podeszła i objęła mnie.

– Pamiętaj, co powiedziałam o przyjaźni? Mówiłam serio, Harry. Możesz na mnie polegać, naprawdę. Zatem jeśli znowu spotka cię coś dziwnego, śmiało przyjdź z tym do mnie. Obiecuję, że ci uwierzę, nawet jeśli nikt inny nie uwierzy.

– Chyba nie rozumiesz – powiedziałem. – Jeżeli zaczną się dziać takie dziwne rzeczy jak wcześniej, nie będę ci musiał o nich mówić. Sama zauważysz. Uważasz, że

wydarzenia z jedenastego września były katastrofą? No to teraz wyobraź sobie tysiąc takich dni. Albo dziesięć tysięcy.

– Harry, przerażasz mnie.

– Sam jestem przerażony.

– Nie myślę o tym, że jedenastego września może się powtórzyć. To o ciebie się boję.

– O mnie? Dlaczego?

– Bo naprawdę bardzo cię lubię, Harry. Chyba to widzisz? Ale uważaj na siebie, bo zwariujesz.

– Znowu pluskwy – powiedział Rick.

Prawą ręką podniósł do oczu tablet, a lewą ręką prowadził furgonetkę.

– Chyba pluskwy przejmują władzę na ziemi – zauważyłem. – Uważaj, autobus.

Royaltie Inn mieścił się trzy przecznice na wschód od autostrady do San Diego, na skrzyżowaniu Sepulveda Boulevard i Valerio Street. Budynek wyglądał tak, jakby komuś zależało, żeby przypominał rezydencję z okresu Tudorów, pochodzącą z radosnej starej Anglii, ale prawdopodobnie zaprojektował go architekt, który nigdy nie widział na własne oczy takiej rezydencji, tylko opisano mu ją przez telefon.

Rick zaparkował za rogiem, żeby zaoszczędzić właścicielom zajazdu kłopotliwych pytań. Weszliśmy do recepcji, której ściany wyłożone były dębowymi panelami. Kleks grzecznie podązał za nami. W kącie stała podróbka zbroi rycerskiej, a na ścianie za kontuarem recepcji wisiały dwa skrzyżowane pałasze.

Z bocznych drzwi wyszła chuda kobieta w zielonym żakiecie. Sprawiała wrażenie nerwowej i niedożywionej, jakby nigdy nie miała czasu, żeby spokojnie zjeść porządny posiłek. Jej wyblakłe jasne włosy były spiętrzone nad czołem i mocno spryskane lakierem do włosów.

– Rick Beamer – przedstawił się Rick i podał jej wizytówkę. – Wie pani, w jakiej sprawie przyjechaliśmy?

– Och, tak, aha... – odparła, nerwowo zacierając dłonie. Uczyniła to tak energicznie, że aż zadźwięczały bransolety, które zdobiły jej chude ręce. – Chodźcie, panowie, za mną.

Poprowadziła nas długim korytarzem, wyłożonym boazerią, do apartamentu na tyłach hotelu. Sypialnia także była wyłożona boazerią, na środku stało łóżko z baldachimem w stylu tudorowskim, pod ścianą wielka sofa, obita tkaniną, a po jej bokach dwa wielkie fotele. Za oprawionymi w ołów oknami, widoczny był zalany słońcem balkon i błękitny basen hotelowy. Na ścianie wisiały portrety Henryka VIII i jakiejś kobiety, która była zapewne jedną spośród jego sześciu żon, zanim losy jej głowy i reszty ciała potoczyły się, że tak powiem, w odrębnych kierunkach. Poczulem zapach pasty do podłogi oraz kwiatów, ale też coś jeszcze – wyraźny zapach gnijących malin.

– Wczoraj po południu przyszła do mnie administratorka – powiedziała kobieta. – W tym apartamencie nikt nie mieszkał przez ostatnie trzy dni, ale zarezerwowano go na dzisiaj, chciała się więc upewnić, że wszystko jest w porządku. – Uchyliła lekko narzutę na łóżku. – No i... zresztą sami niech panowie zobaczą.

Kleks pisnął i zaczął nerwowo uderzać ogonem o podłogę. Gdyby Rick nie trzymał mocno jego smyczy, prawdopodobnie rzuciłby się na łóżko i rozerwałby pościel na strzępy.

Rick skinął na mnie, a ja ostrożnie uniosłem ciężką brokatową narzutę. Biała pościel była upstrzona drobnymi brązowymi kropkami. Odniosłem wrażenie, że spoglądam na miasto pluskiew w godzinach szczytu.

– Administratorka kazała jednej z pokojówek ściągnąć to odkurzaczem elektrycznym – kontynuowała kobieta. – Myślałam, że dzięki temu pozbędziemy się tego ścierwa, ale nic z tego. Po trzech czy czterech godzinach pluskwy wróciły i było ich jeszcze więcej. Bałam się cokolwiek ruszać, żeby to paskudztwo nie przeniosło się do innych pokoi.

– I słusznie – powiedział Rick. – Przeprowadzimy dezynsekcję w tym apartamencie, a potem sprawdzimy resztę hotelu, od piwnic po dach. Jeśli jest tutaj więcej owadów, Kleks je wywęszy. Prawda, stary?

Pies cicho pisnął i uderzył ogonem w podłogę.

– Mieliście już kiedyś podobne problemy?

– Nie, nigdy. A przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Kupiłam ten obiekt

zaledwie trzy miesiące temu. Administratorka będzie wiedziała coś więcej, ale nic mi nie wspominała o pluskwach.

– Czy ona jest gdzieś w pobliżu?

Chuda kobieta pokręciła głową.

– Nie zjawiała się dzisiaj w pracy. Nie wiem dlaczego, bo nawet do mnie nie zatelefonowała. Sama próbowałam do niej zadzwonić, ale nie odbiera.

– Kto mieszkał w tym apartamencie jako ostatni? – wtrąciłem się.

– Powiedziałabym, że ostatnie osoby na świecie, które można by posądzić o przenoszenie pluskw. To były siostry zakonne.

– Siostry zakonne? Może wie pani, skąd przyjechały?

– Nie mam pojęcia. Przywiózł je jakiś mężczyzna. Zaraz potem odjechał, a następnego dnia po nie wrócił i uregulował rachunek. Nie zamieniłam z nimi ani słowa. Poza tym przez cały czas miały zakryte twarze. Nawet nie wiem, jak wyglądały.

– A nie powinna pani przypadkiem sprawdzić tożsamości osób, które nocują w hotelu?

– To były zakonnice, proszę pana.

– Ten mężczyzna, który je przywiózł... Jak on wyglądał?

– Zupełnie normalnie. Był dość elegancki, miał siwe włosy i szary garnitur.

– Miał brodę?

– Tak, rzeczywiście. Teraz, kiedy mnie pan o to zapytał, przypomniałam sobie, że był brodaty.

Rick odchrząknął.

– Do czego zmierzasz, stary? Myślisz, że facet miał pluskwy w brodzie? – zapytał. Zignorowałem go.

– Mogłaby mi pani powiedzieć, jak ten mężczyzna się nazywał? – zapytałem kobietę. – Może ma pani jakiś namiar na niego?

– Przepraszam, ale nie mogę udzielać żadnych informacji na temat naszych gości.

– A mogłaby nam pani chociaż powiedzieć, gdzie mieszka ta administratorka?

– Dlaczego? Po co to panu?

– Obawiam się, że może być bardzo chora. Myślę, że te pluskwy przenoszą jakąś chorobę i pani pracownica się nią zaraziła. Nie powinna pani przebywać dłużej w tym pokoju. Proszę przestrzec cały personel, żeby nikt tutaj nie wchodził.

– Czy ty przypadkiem nie przesadzasz, stary? Na razie wszystko wskazuje na to, że kobieta zrobiła sobie dzień wolny bez uzgodnienia z pracodawcą.

– Jeżeli się mylę, Rick, pierwszy to przyznam. Tymczasem proponuję, żebyś się wziął do roboty, a ja pojedę i sprawdzę, czy z tą kobietą jest wszystko w porządku. Co ty na to?

Właścicielka zajazdu sprawiała wrażenie raczej zaskoczonej niż zaniepokojonej, w każdym razie powiedziała:

– Dobrze. Niech pan pójdzie ze mną. Dam panu jej adres.

Poszliśmy najpierw do furgonetki, żeby Rick mógł zabrać sprzęt. Następnie dał mi kluczyki i smycz przypiętą do obroży Kleksa. Na drogę powiedział mi, że jeśli uszkodzę mu samochód albo zgubię psa, nie będzie lamentował. Zabije mnie bez słowa.

Administratorka nazywała się Maria Escamilla i mieszkała całkiem niedaleko Royaltie Inn, przy ślepej ulicy, która nosiła nazwę Enadia Way. Jadąc do niej, kilkakrotnie pomyliłem drogę, głównie dlatego, że dyszący mi za uchem Kleks bezustannie mnie dekoncentrował. W końcu jednak dotarłem na miejsce.

Wysiadłem z furgonetki. Na ulicy było gorąco i cicho. Maria Escamilla mieszkała w małym parterowym domu pomalowanym na cytrynowy kolor. Na podjeździe parkował szarozielony equinox. Wchodząc po schodach na werandę, zauważyłem, że kwieciste zasłony są zaciągnięte. Jeżeli kobieta była w domu, prawdopodobnie jeszcze spała albo miała migrenę i nie chciała wpuszczać do środka światła. Nacisnąłem dzwonek przy drzwiach i usłyszałem, jak jego dźwięk rozlega się w głębi domu.

Żadnej odpowiedzi. Jeszcze raz nacisnąłem na dzwonek i czekałem. Kleks siedział w furgonetce na fotelu kierowcy i wpatrywał się we mnie z wywieszonym językiem. Machnąłem do niego ręką, a on zaszczekał. Powoli zaczynałem lubić tego psa.

Zadzwoiłem po raz trzeci, a potem mocno zapukałem do drzwi. Minęła kolejna

minuta i nic nie wskazywało na to, żeby ktokolwiek zauważył moją obecność. A może kobieta nie zamierzała otworzyć. Pomyślałem, że chyba się poddam i wrócę do pojazdu. Niepokoiły mnie jednak zasłony na oknach. A także fakt, że na podjeździe stał samochód.

Popatrzyłem wzdłuż ulicy, w obu kierunkach. W zasięgu mojego wzroku nie było ani jednego człowieka, jeśli nie liczyć chłopaczka jeżdżącego na trójkołowym rowerku. Postanowiłem obejść budynek. Wąska betonowa ścieżka prowadziła na wybrukowane podwórze. Stało tu mnóstwo beczek i donic z kwiatami, sześć plastikowych krzeseł ogrodowych i suszarka, na której wisiały trzy niebieskie fartuchy z emblematami Royaltie Inn, oraz lniana kremowa sukienka i dwa biustonosze.

Trzy betonowe stopnie prowadziły do drzwi kuchennych. Były uchylone, doszedłem więc do wniosku, że Maria Escamilla jednak przebywa w domu. Stałem na progu, zastukałem i krzyknąłem:

– Pani Escamilla! Jest tu kto?

Mocniej pchnąłem drzwi i teraz usłyszałem głos z telewizora. Z głośników co chwilę dobiegał śmiech.

– Pani Escamilla! Czy jest pani w domu? Przyjechałem z Royaltie Inn, żeby sprawdzić, czy wszystko u pani w porządku!

W tym momencie przez salwę śmiechu z telewizyjnego sitcomu przebił się inny dźwięk: szczęk metalu, jakby któryś z sąsiadów obcinał sekatorem żywopłot. Otworzyłem drzwi najszerzej, jak się dało, dzięki czemu zobaczyłem korytarz prowadzący do drzwi frontowych. W powietrzu latało pełno much. Było ich naprawdę mnóstwo.

Stałem w otwartych drzwiach i nie wiedziałem, co robić. Zdawałem sobie sprawę z tego, jaki obraz ukaże się moim oczom, kiedy wejdę do salonu, i możecie mi wierzyć – nie miałem na to najmniejszej ochoty. Wiedziałem jednak, że tego nie uniknę. Przecież synowie Misquamacusa kazali mi ostrzec naród amerykański, że wkrótce spadnie na niego nieuleczalna choroba. A ja nawet nie podjąłem próby, żeby wykonać to polecenie, i ludzie zaczęli umierać. Czułem się winny i zarazem bezradny. No bo niby w jaki sposób miałbym przekonać ludzi, że nadchodzi koniec świata,



nawet gdybym był pewny, że to prawda?

Wahałem się jeszcze przez kilka chwil, ale wreszcie powiedziałem sobie: raz kozie śmierć. Wszedłem do kuchni i kilkoma krokami dotarłem do drzwi prowadzących na korytarz. W tym momencie po raz kolejny usłyszałem wybuch śmiechu z telewizora. Zewsząd dochodziło brzęczenie much. Idąc do salonu, oganiałem się od nich, ale one nic sobie z tego nie robiły.

Zasłony na oknach były zaciągnięte i w salonie panował półmrok. W dusznym, nieruchomym powietrzu unosił się słodki odór rozkładu, który sprawił, że mój żołądek natychmiast zareagował.

Przez dłuższą chwilę stałem w progu, starając się nie zwymiotować całego śniadania. Pod ścianą salonu zobaczyłem telewizor odtwarzający powtórkę któregoś odcinka Dwóch mężczyzn i pół. Wbiłem wzrok w ekran i gapiłem się na Charliego Sheena dopóty, dopóki mój żołądek się nie uspokoił. Wreszcie zebrałem się na odwagę i oderwawszy wzrok od telewizora, postanowiłem się przekonać, co przyciągnęło do tego domu takie ilości much.

Na kanapie pod oknem dostrzegłem kobietę, która zdawała się składać wyłącznie z błyszczących zielonych i niebieskich much będących w bezustannym ruchu, przez co kobieta jakby poruszała się w piekielnym śnie, z którego już nigdy nie miała się zbudzić.

Podszedłem do kanapy i stanąłem nad zwłokami. Raczej nie wątpiłem, że to Maria Escamilla, administratorka z Royaltie Inn. Odgoniłem muchy, które obsiadły jej twarz. Miałem przed sobą pulchną buzię mniej więcej czterdziestoletniej Latynoski. Zdawała się patrzeć prosto na mnie.

Gdy cofnąłem się o krok, muchy natychmiast wróciły. Mój żołądek znowu się skręcił i obróciłem się, żeby wybiec z pokoju. Wtedy zobaczyłem małą nóżkę wystającą zza kanapy. Była to dziecięca nóżka, w niebieskim sportowym buciku.

Pochyliłem się, żeby zajrzeć w szczelinę za kanapą. Leżał tam mały chłopiec... a przynajmniej założyłem, że to chłopiec, bo miał na nodze chłopięcy bucik.

Wszystko wskazywało na to, że Maria Escamilla przyniosła pluskwy z hotelu do domu albo że choroba, którą zaraziła się w hotelu, była zakaźna.

Wybiegłem z domu. Kleks czekał w samochodzie i kiedy mnie zobaczył, zaczął niecierpliwie szczekać. Odniosłem wrażenie, że gdybym zostawił kluczyki w stacyjce, już dawno odjechałby beze mnie.

Wyciągnąłem telefon komórkowy i wystukałem numer alarmowy.

– Dziewięć-jeden-jeden. W czym mogę pomóc? – usłyszałem telefonistkę.

Gdybym tylko mógł jej powiedzieć... Duchy dwóch indiańskich czarowników roznoszą po Ameryce chorobę, która pozbawi życia tysiące, a może miliony ludzi, a ona chce mi pomóc.

Odchrząknąłem i odezwałem się spokojnie:

– Znalazłem dwoje martwych ludzi. Kobieta i dziecko. Podaję adres: Enadia Way numer piętnaście pięćdziesiąt pięć.

– Jest pan pewien, że oboje nie żyją?

– Tak. Z całą pewnością są martwi.

Popatrzyłem na psa, a on popatrzył na mnie.

– Kiedy to się skończy, Kleks? – zapytałem go, ale mi nie odpowiedział.

Nawet nie pisnął. Wtedy przypomniałem sobie, że Kleks nie rozumie przecież języka angielskiego.

## ROZDZIAŁ 21

Anna była zła, ponieważ Jim pozwolił jej spać prawie do dziesiątej.

– Mówiłam ci, że chcę wcześniej wstać – złościła się na niego, kiedy w kuchni nalewał jej kawę. – Zanim pojedę do pracy, muszę znaleźć jakąś firmę dezynsekcyjną i pozbyć się tych cholernych pluskiew.

Jim właśnie wziął prysznic i był ubrany w czarny jedwabny japoński szlafrok z rysunkiem smoka na plecach.

– Miałaś wczoraj straszny dzień, Anno, i jeszcze gorszą noc. Dłuższy wypoczynek dobrze ci zrobił.

– Jim, te pluskwy są nie tylko ohydne. Przenoszą ten sam patogen, który zakaził Davida. Mogą być naprawdę niebezpieczne.

– Jasne. Wiem. Zatelefonuję do Sandry, mojej asystentki. Wezwie firmę, która zajmuje się tępieniem owadów. W zeszłym roku mieliśmy w szpitalnej kuchni karaluchy i Sandra znalazła firmę, która bardzo skutecznie je wypleniła.

– Dzięki. Ale chodzi nie tylko o to. Muszę jak najszybciej wrócić do laboratorium. Badania nad wirusem z Meramac są co prawda bardzo zaawansowane, ale teraz musimy się jeszcze zająć tym drugim wirusem, przenoszonym przez pluskwy, zanim dojdzie do tragedii na masową skalę. – Umilkła, nalewając mleko do kawy. Kiedy ją pomieszała, odezwała się znowu: – Wiem, że twoim zdaniem zanadto puszczam wodze fantazji, jednak uważam, że to coś więcej niż kilka przypadkowych zakażeń.

Jim usiadł obok niej.

– Anno, już ci mówiłem, że nie zamierzam nalegać, żebyś wzięła urlop. Potrzebuję cię teraz, i to bardzo. Nie chcę jednak, żebyś się kompletnie załamała. Zakonnice, indiańscy szamani... według mnie, moja droga, jesteś już u kresu sił.

– Być może. Ale to nie jest kwestia przemęczenia. To raczej intuicja wskazuje mi coś, na co ślepy jest na razie mój racjonalny umysł.

Jim wzruszył ramionami.

– Cóż, może i masz rację. Kiedy rozpocząłem pracę w St Louis, rozpoznałem u pacjenta zaawansowaną miażdżycę. Byłem przekonany, że moja diagnoza jest słuszna. Ale następnej nocy miałem koszmarny sen, że idę przez pustynię z tym pacjentem i obaj umieramy z pragnienia.

– Naprawdę? I co ci powiedział pacjent we śnie?

– Nic, ale z powodu snu postanowiłem, że jeszcze raz zbadam tego pacjenta. I wkrótce się zorientowałem, że człowiek wcale nie ma miażdżycy, ale cierpi na zespół Sjögrena, która między innymi powoduje suchość w ustach i w gardle. Być może z tobą jest podobnie. Może przyszła taka chwila, w której twoja podświadomość jest w stanie postawić trafniejszą diagnozę niż umysł.

Anna upiła łyk kawy.

– Wezmę prysznic i się ubiorę.

– W porządku. – Jim pokiwał głową. – Tymczasem ja zadzwonię do Sandry. Jesteś całkowicie pewna, że chcesz jechać do pracy?

Anna pochyliła się i pocałowała go w policzek. W innym życiu, pomyślała, gdyby sprawy potoczyły się inaczej, mogłabym być dziewczyną Jima, a może nawet jego żoną.

Wychodząc spod prysznic, usłyszała dzwonek telefonu. Jim odebrał, a kiedy Anna wyszła z sypialni, już ubrana, on kończył rozmowę.

– Cóż, dobrze, powiem jej. Tak. Absolutnie. Później do ciebie zadzwonię.

Rozłączył się. Kiedy się odwrócił, na jego twarzy malowała się powaga.

– Czy to była twoja asystentka? – zapytała. – Co z tą firmą?

– Nie... telefonował doktor Mulvaney z Centrum Kontroli Chorób w Atlancie. Z Sandrą rozmawiałem wcześniej, już namierza dla ciebie najlepszą firmę.

– Masz na myśli Raya Mulvaneya? Czego chciał?

– Chodzi o wirusa przenoszonego przez pluskwy. Powiedział mi, że do Centrum napływa coraz więcej informacji o podobnych przypadkach w całym kraju, jest wśród nich także nasz raport od Henry'ego Rutgersa. Niemal w każdym przypadku mamy do czynienia z ofiarami pogryzionymi przez pluskwy. Wirus otrzymał robocze oznaczenie BV-1.

– Widzisz? A nie mówiłam? Może te moje przywidzenia jednak coś znaczą?

– Zdecydowanie najwięcej przypadków odnotowano w Los Angeles – powiedział Jim. – Wczoraj po południu bardzo wiele osób trafiło do szpitali z niepokojącymi objawami. Zaczęło się od kilku osób, ale o północy liczba chorych doszła do dziewięćdziesięciu i wciąż wzrasta. Izby przyjęć z trudem nadążają z udzielaniem pierwszej pomocy. Jednostkowe przypadki BV-1 odnotowano w Chicago, Indianapolis i Kansas City, jednak w porównaniu z Los Angeles to drobiazgi. Pojawił się problem z dziennikarzami; już coś zwietrzyli i teraz drążą temat jak opętani. Doktor Mulvaney obawia się, że wywołają panikę i sytuacja jeszcze się pogorszy.

– No dobrze, a co ja mam z tym wspólnego?

– Mulvaney zbiera zespół specjalistów, których zadaniem będzie wyodrębnienie i zneutralizowanie BV-1, zanim wymknie się spod kontroli. Chce, żebyś jak najszybciej dołączyła do tej grupy.

– Ja?

– Anno, przecież jesteś jednym z najlepszych epidemiologów w tym kraju. To oczywiste, że powinnaś teraz współpracować z Mulvaneyem.

– A co z wirusem z Meramac?

– Peter, Rafik i Epiphany przejmą twoje obowiązki.

– Wolalabym zabrać Epiphany ze sobą, jeśli to możliwe. Przecież będę potrzebowała asystentki, a Epiphany zna mój tryb pracy.

– Nie mam nic przeciwko temu. Będiesz w stałym kontakcie z Peterem i Rafikiem. Co mam odpowiedzieć Rayowi Mulvaneyowi? Polecisz do Los Angeles?

Anna przez chwilę się zastanawiała, a potem pokiwała głową.

– Tak, polecę. Myślę, że to mi dobrze zrobi, zajmę się pracą i trochę się otrząsnę po ostatnich wydarzeniach.

Gdy Anna przygotowywała się do wyjścia, Jim zatelefonował do Centrum Kontroli Chorób i poinformował Raya Mulvaneya, że Anna jeszcze tego dnia przyleci do niego. Potem włączył telewizor w kuchni i wybrał kanał NBC News.

Dziennikarka Kim Baldonado stała właśnie przed St Vincent Medical Center w Los Angeles. W tle widać było tłumy ludzi i kilka ambulansów z błyskającymi

kogutami.

– Jest dopiero piętnaście po siódmej, a w tutejszej izbie przyjęć zjawilo się już pięćdziesięciu siedmiu pacjentów. Wszyscy wymiotują krwią i mają drgawki. Izby przyjęć wszystkich szpitali w Los Angeles są już dzisiaj pełne ludzi z identycznymi objawami. Do tej pory żaden ze szpitali nie przekazał nam jednak informacji o możliwej przyczynie wybuchu tej epidemii, jedynie Departament Zdrowia wydał oświadczenie, w którym stwierdza się, że zanotowano około stu ofiar śmiertelnych. Z wypowiedzi pielęgniarek, które chcą pozostać anonimowe, wynika, że możemy mieć do czynienia z chorobą wirusową, podobną do ptasiej albo świńskiej grypy. Jednak do tej pory rzeczywista natura wirusa pozostaje zagadką. Niezależnie od tego, co to jest i skąd pochodzi, bez wątpienia mamy do czynienia z bardzo niebezpiecznym zjawiskiem, które szybko się rozprzestrzenia. Rzecznik Centrum Zapobiegania i Kontroli Chorób wydał oświadczenie, w którym zwraca się do wszystkich obywateli o niewychodzenie z domów, jeżeli nie jest to absolutnie konieczne.

Anna weszła do kuchni.

– Słyszałam – powiedziała. – Nikt nie wspomina o pluskwach, prawda? A więc na razie przynajmniej to nie dotarło do dziennikarzy. Zobaczymy, na jak długo. Wszystko wskazuje na to, że im szybciej polecę do Los Angeles, tym lepiej.

Jim wyrwał kartkę z notatnika i zapisał na niej adres laboratorium Departamentu Zdrowia Publicznego w Downey, mniej więcej trzydzieści kilometrów na południe od centrum Los Angeles. Tam właśnie w pośpiechu zbierano zespół, który miał walczyć z wirusem BV-1. Podał kartkę Annie.

– Proszę cię – powiedział – bądź bardzo ostrożna. Nie chcę, żebyś zachorowała.

– Nie martw się – odparła Anna. – Do tej pory nie znalazł się jeszcze wirus, który by ze mną wygrał.

Wczesnym popołudniem pojechała do mieszkania, żeby przyjąć ekipę z firmy A-Z Pest Control i spakować walizkę. Wiedziała, że ludziom, którzy będą przeprowadzać dezynsekcję, musi zostawić klucze, aby mogli pracować w czasie jej nieobecności.

Kiedy przyjechała, czekali już na nią dwaj mężczyźni w jaskrawych kombinezonach. Jeden był chudy, lekko przygarbiony i miał sumiaste wąsy, a drugi

niski i śniady, z wielkim brzuchem, na którym z trudem dopinał mu się kombinezon.

Kiedy Anna prowadziła ich do sypialni, ten niski powiedział do kolegi:

– Za cholere nie mogę zrozumieć, dlaczego Bóg stworzył pluskwy.

– Ani termity – dodał jego kompan. – Ani osy.

Anna wskazała na łóżko.

– Roilo się tam od nich. Naprawdę. A teraz jest pewnie trzy razy tyle.

– Rozumiemy, proszę pani. Damy sobie z nimi radę, może pani być spokojna – powiedział niski. – Wykonujemy naszą pracę ze stuprocentową skutecznością. Gwarantujemy też pełne bezpieczeństwo. Pozostawimy pani informację o tym, co zrobiliśmy i jakie środki ostrożności powinna pani stosować po powrocie.

Anna zostawiła ich w sypialni, a sama poszła po walizkę. Kiedy z nią wracała, zorientowała się, że mężczyźni przeszli do salonu i zamknęli za sobą drzwi sypialni. Byli teraz bladzi i wstrząśnięci, jakby zobaczyli coś potwornego.

– O co chodzi? – zapytała.

– Mówiła pani o pluskwach. O tym, że jest ich dużo.

– Zgadza się. O co chodzi? Czy coś się stało?

– Droga pani, w tej sypialni nie ma pluskiew. Nie w liczbie mnogiej. Tam jest pluskwa, jedna sztuka.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem – dodał jego kolega, kręcąc głową. – Naprawdę, nigdy.

– A ja nic z tego nie rozumiem – powiedziała Anna. – Twierdzicie, że w sypialni jest tylko jedna pluskwa? Jak to możliwe?

Jeden z mężczyzn położył rękę na klamce, uchylił lekko drzwi do sypialni i zerknął do środka.

– Wygląda, że droga wolna. Może więc sprawdzi pani sama? Przysięgam, nie mam zielonego pojęcia, jak mielibyśmy unicestwić to stworzenie.

Anna poczuła niepokój. To, co przeżyła w nocy, naprawdę nią wstrząsnęło. Nie potrafiła zrozumieć, co ma na myśli ten człowiek, mówiąc o jednej pluskwie, ale jego zachowanie nie wróżyło nic dobrego.

Niski mężczyzna skinął na Annę, żeby weszła za nim do sypialni. Sam szedł na

palcach, jakby nie chciał zakłócić komuś spokoju. Anna była zdziwiona, że z łóżka nie zdjęto jeszcze pościeli.

Zobaczyła, że kołdra i poduszki są upstrzone rdzawymi punkcikami odchodów pozostawionych przez pluskwy, nie zauważyła jednak ani jednego żywego owada.

Jeden z mężczyzn podszedł do łóżka i ujął skraj białej kołdry pomiędzy kciuk i palec wskazujący.

– Jest pani gotowa? Nie chcę, żeby mi tu pani wpadła w histerię.

– Jestem gotowa.

Mężczyzna zaczął ostrożnie podnosić kołdrę. W pierwszej chwili Anna odniosła wrażenie, że nie ma pod nią zupełnie nic, jednak po chwili zaczynała dostrzegać... Najpierw jej oczom ukazały się dwa drżące odnóża. Były to bez wątpienia odnóża owada, wyraźnie widoczne na białym tle prześcieradła; były wielkie jak szczypce kraba.

– Mój Boże – jęknęła i mimowolnie zadrżała.

Gdy mężczyzna uniósł kołdrę jeszcze wyżej, Anna zdała sobie sprawę, co mężczyzna miał na myśli, mówiąc „pluskwa, jedna sztuka”. W łóżku znajdował się ogromny owad, który teraz starał się ukryć w fałdach prześcieradła. Miał czerwonobrazowy kolor, twardy pancerz i głowę w kształcie tarczy z wystającymi czułkami. Im wyżej podnosiła się kołdra, tym gwałtowniej pluskwa starała się ukryć.

Mężczyzna opuścił kołdrę.

– Teraz pani rozumie, o co mi chodziło? Moglibyśmy użyć fluorku siarki, ale wcale nie jestem pewien, czy to wystarczy, żeby zabić tego osobnika. Początkowo chcieliśmy zabrać materac i przeprowadzić dezynsekcję w odpowiednich warunkach, co zmniejszyłoby pani koszty, ale teraz się tego nie podejmiemy.

Anna widziała, że wielki owad porusza się; wybrzuszenie, jakie tworzył na kołdrze, co chwilę zmieniało położenie.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedziała. – To tak, jakby wszystkie te małe pluskwy połączyły się i powstała jedna wielka.

– Nigdy niczego takiego nie widziałem – powtórzył mężczyzna z wąsami. – A pracuję w tym zawodzie od bardzo wielu lat.



– Problem polega na tym, proszę pani, że nie możemy zagwarantować, że damy sobie radę z tym paskudztwem – powiedział drugi mężczyzna. – Mówi się, że karaluchy są w stanie przetrwać nawet wybuch bomby wodorowej. Naprawdę nie wiem, czego potrzeba, żeby ukatrupić to świństwo. – Skinął głową w kierunku łóżka.

– Panowie, chociaż spróbujcie, proszę – nalegała Anna. – Jeszcze dziś muszę lecieć do Los Angeles. Jeśli środki chemiczne nie będą skuteczne, to może trzeba próbować wpędzić ją w pułapkę? Tak się robi ze szczurami, prawda? To może być skuteczne działanie także w tym przypadku.

Niższy mężczyzna pokręcił głową z powątpiewaniem.

– Nie jestem pewien, proszę pani. Najpierw musiałbym zadzwonić do moich szefów i uzyskać ich zgodę na zastosowanie niestandardowych metod działania. Istnieją procedury bezpieczeństwa i musimy ich przestrzegać, a nie wiem, do diabła, jak zakwalifikować walkę z tak wielką pluskwą. Wszystko wskazuje na to, że może być niebezpieczna. Zwykła pluskwa gryzie i jej ukąszenia są nieprzyjemne. Proszę tylko pomyśleć, co może zrobić ten stwór, który jest w pani łóżku.

Anna nie mogła oderwać wzroku od wybruszenia na łóżku. Po raz kolejny pożałowała, że nie ma w domu broni palnej. Najprostszym sposobem na pozbycie się tego gigantycznego owada byłoby zastrzelenie go, chociaż... Coś jej mówiło, że ta ogromna pluskwa zmieniałaby się w małe i rozpierzchnęła po całym mieszkaniu i już nigdy nie zdołałaby się ich pozbyć.

– Dobrze – powiedziała. – Dzwońcie do szefów. Przekażcie im, że ja się zgadzam na wszystko, co zaproponujecie, byleby tylko było to skuteczne. Teraz muszę się pakować, bo w przeciwnym razie nie zdążę na samolot.

Anna pośpiesznie zebrała ubrania i przybory toaletowe niezbędne w podróży, po czym wyszła z sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Niższy z mężczyzn zadzwonił do szefa i rozmawiał z nim dłuższą chwilę, chodząc w tę i z powrotem po salonie.

Gdy skończył rozmowę, zwrócił się do Anny:

– Szef mówi, że możemy zacząć dezynsekcję. Jeśli to nie pomoże, mamy się skontaktować z odpowiednim departamentem w Urzędzie Miasta i przedstawić całą

sprawę, żeby firma nie wpadła w kłopoty.

Anna spojrzała na drzwi sypialni i zadrżała na wspomnienie obrzydliwego owada pełzającego po jej łóżku.

– Panowie, tutaj jest numer mojej komórki – powiedziała, podając im kartkę. – Dajcie mi znać natychmiast, kiedy zabijecie to ohydztwo.

Kiedy o dwudziestej pierwszej wylądowały na lotnisku międzynarodowym w Los Angeles, w komórce Anny nie było żadnej wiadomości, która mogłaby świadczyć o tym, że firma A-Z Pest Control próbowała się z nią skontaktować, kiedy samolot był w powietrzu. W hali przylotów powitał je Michael Newton, młody czarnoskóry epidemiolog, którego Anna poznała już przed dwoma laty na konferencji naukowej w Denver. Był szczupły i przystojny, miał lśniąco ogoloną głowę i nosił bardzo elegancki kremowy garnitur, szyty na miarę, z krzykliwym zielono-pomarańczowym krawatem.

– Profesor Grey – uśmiechnął się, odbierając od kobiet walizki. – Spotkanie z panią to dla mnie prawdziwy zaszczyt.

– Mnie również jest bardzo miło, doktorze Newton. A byłoby jeszcze milej, gdyby nie te przykre okoliczności. To jest moja współpracowniczka, doktor Bechet. Epiphany, to jest Michael. Michael, poznaj Epiphany. Pracujemy razem nad wirusem z Meramac.

– Ach, tak, czytałem o tym. Macie już jakieś wyniki?

– To bardzo krnąbrny wirus, możesz mi wierzyć. Trudno go rozpracować, ale robimy, co w naszej mocy. Jest bardzo zjadliwy, błyskawicznie mutuje, a środki przeciwwirusowe, które wypróbowaliśmy, sprawiają, że staje się jeszcze bardziej agresywny.

– Cóż, z ludźmi też tak bywa. Znacie to powiedzenie: „Co cię nie zabije, to cię wzmocni”.

Wyszli z terminalu na ciepłe letnie powietrze.

– Gdyby wirus z Meramac był istotą ludzką – powiedziała Anna – byłby z pewnością okrutnym psychopatą. On niszczy każde życie, które różni się czymś od niego.

Gdy podeszli do skraju chodnika, Newton podniósł rękę i natychmiast z miejsca parkingowego wyjechał lśniący czarny esalade. Po chwili zatrzymał się przy nim. Newton otworzył drzwi i zaprosił Annę i Epiphany, żeby wsiadły do samochodu.

– Zarezerwowaliśmy wam miejsca w Embassy Suites – powiedział. – To spokojne miejsce, niedaleko laboratoriów. Hotel ma własną restaurację, Fireside Grill, nie będziecie więc miały problemów z posiłkami.

– Uwielbiam gotować – odezwała się Epiphany. – Musiałbyś kiedyś spróbować mojej zupy z ketmii.

Coś takiego, pomyślała Anna. Ona już z nim flirtuje.

Zanim opuścili teren portu lotniczego, zadzwoniła komórka Anny. Szybko wyciągnęła ją z torebki.

– Pani Grey? Mówi Bill Grearson z A-Z Pest Control. Przepraszam, że panią niepokoję, ale chciałbym się dowiedzieć, czy moi dwaj pracownicy nadal są u pani?

– Nie ma mnie w domu – odparła Anna. – Musiałam polecieć do Los Angeles, kiedy tylko ich wpuściłam do mieszkania.

– Dzwonili do pani?

– Nie.

– Cóż, to bardzo dziwne. My też nie mamy z nimi kontaktu. Chyba pošlemy kogoś do pani mieszkania, żeby się upewnić, czy wszystko jest w porządku. Moi ludzie mówili, że ma pani tam jakąś niezwykłą pluskwę. Nie byli pewni, jak z nią postępować.

– Rzeczywiście, była ogromna. Obiecali, że do mnie zadzwonią, kiedy tylko skończą. Zakładam więc, że jeszcze im się to nie udało. Dziwię się jednak, że nie kontaktują się z panem.

„Wszystko wskazuje na to, że może być niebezpieczna. Zwykła pluskwa gryzie i jej ukąszenia są nieprzyjemne. Proszę tylko pomyśleć, co może zrobić ten stwór, który jest w pani łóżku” – Anna przypomniała sobie słowa jednego z pracowników A-Z Pest Control.

– Ja też jestem zaskoczony – powiedział Bill Grearson. – Dezynsekcja jednego mieszkania nie powinna trwać dłużej niż dwie godziny, a oni są u pani już od sześciu

godzin i nie dają znaku życia. Nie odbierają też telefonu.

– Teraz mnie pan naprawdę zmartwił – stwierdziła Anna. – Koniecznie proszę do mnie zadzwonić, kiedy sprawa się wyjaśni.

– Zrobi się, pani Grey.

– O co chodziło? – zapytała Epiphany, kiedy Anna wrzuciła telefon z powrotem do torebki.

– O tę pluskwę, o której ci mówiłam. Dwaj faceci, którzy przyszli do mnie, żeby przeprowadzić dezynsekcję, mieli mnie poinformować, kiedy z nią skończą. Ale nie telefonowali, nie kontaktują się również ze swoim szefem.

– Niedobrze.

– Wiem. Mam nadzieję, że nic im się nie stało.

– Prawdopodobnie nie udało im się jej zabić i poszli do domu.

– Tak, ale to by oznaczało, że ten olbrzymi owad wciąż jest w moim mieszkaniu. Już na samą myśl o tym chce mi się wyć.

– Wszystko w porządku, Anno? – zapytał Michael Newton z przedniego fotela, odwróciwszy się do kobiet.

– Mam drobne problemy w mieszkaniu – odparła Anna. – A przynajmniej wydaje mi się, że są drobne.

– Jutro wcześniej zaczynamy – mówił Newton. – O szóstej trzydzieści będzie czekał na was samochód, na siódmą zaplanowaliśmy wstępną naradę. Mam dla was teczki z podstawowymi dokumentami. Znajdziecie tu informacje o dotychczasowym przebiegu prac, liczbie zachorowań, które odnotowaliśmy do godziny siedemnastej. Chorzy jednak stale zgłaszają się do szpitali, więc te dane błyskawicznie się przedawniają. Zapewne już teraz są nieaktualne.

– A jaka jest najnowsza liczba zakażonych? – zapytała Anna.

Michael Newton włączył iPhone'a.

– Do siedemnastej trzy tysiące siedemset dwadzieścia osób. Z tego dziewięćset osiemdziesiąt trzy osoby zmarły. Do tej pory stan żadnego z pacjentów się nie poprawił. W ani jednym przypadku. Jeśli ktoś złapie wirusa BV-1, umiera. Nieodwołalnie.

Jechali teraz przedmieściami West Athens. Anna spoglądała przez okno na rzędy parterowych domów po obu stronach szosy. Każdy budynek sprawiał wrażenie bezpiecznego i przytulnego. Paliły się światła na werandach, na podjazdach stały eleganckie auta. Anna wiedziała jednak, że w ciemności nocy czai się śmiertelnie niebezpieczny wirus, przed którym nie ma ucieczki.

Kiedy przyjechali do Embassy Suites, Anna od razu poszła do swojego apartamentu na pierwszym piętrze. Weszła do obszernego salonu ze skórzanymi kanapami i fotelami oraz puszystym czerwonym dywanem. Minęła go jednak, weszła do sypialni, rzuciła walizkę na łóżko i otworzyła ją. Czuła się wyczerpana i zubożniona, jakby to wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku dni, wcale jej nie dotyczyło.

Gdy wieszła ubrania w szafie, zadzwonił jej telefon. Znowu telefonował Bill Grearson.

– Pani Grey? Czy policja już się z panią kontaktowała?

– Policja? Nie. Niby po co?

– Obawiam się, że mam złe wiadomości, pani Grey. Posłałem jednego z moich ludzi, żeby sprawdził, co się dzieje w pani mieszkaniu. Furgonetka wciąż stała na parking, zatem założył, że obaj nasi pracownicy są w mieszkaniu. Pukał do drzwi, ale nikt mu nie odpowiadał, poprosił więc o pomoc portiera.

Bill Grearson na chwilę umilkł. Anna zrozumiała, że trudno mu jest mówić.

– No i co się stało? – zapytała spokojnie.

Grearson odezwał się dopiero po długiej chwili:

– Znaleźli ich w sypialni. Sprzęt był gotowy do użycia, drzwi i okna zabezpieczone, jednym słowem, przeprowadzili wszystkie niezbędne przygotowania, lecz nie rozpoczęli pracy.

Grearson znowu umilkł, tym razem na jeszcze dłuższą chwilę. Anna nie ponaglała go. Czekwała cierpliwie, aż sam zdecyduje się mówić dalej.

– Obaj nie żyją – powiedział wreszcie. – I nie chodzi tylko o to, że są martwi. Zostali po prostu rozszarpani. Człowiek, którego posłałem do mieszkania, do tej pory nie może dojść do siebie. – Znowu długa chwila ciszy. – Zostali rozszarpani prawie na

strzępy. Uduszeni własnymi wnętrznościami.

– O Boże – jęknęła Anna.

– Przyjechali policjanci. Jeden z nich zwymiotował, kiedy to zobaczył, a oni są przecież przyzwyczajeni do widoku zwłok. Wciąż nie mogę w to wszystko uwierzyć.

Kto jest zdolny do czegoś takiego?

– Nie mam pojęcia. A co z tą pluskwą?

– A co ma być?

– Skoro pańscy ludzie nie zdążyli przeprowadzić dezynsekcji, ona wciąż musi gdzieś tam być.

– Nikt mi nic nie wspominał o pluskwie. Może się gdzieś schowała?

– Policja musi się o niej dowiedzieć. Sama do nich zadzwonię.

– Dobrze, pani Grey, niech pani robi, co uważa za stosowne. Ja muszę dbać o własny interes. Ta historia mnie zrujnuje, rozumie pani? Jeśli o mnie chodzi, to jest koniec świata. Koniec świata.

## ROZDZIAŁ 22

Anna nie musiała dzwonić na policję, bo policja zadzwoniła do niej pierwsza. Szukała numeru w laptopie, kiedy usłyszała dzwonek komórki.

– Czy to profesor Anna Grey? Mówi detektyw Raymond Keiller z policji w St Louis.

– Och, dobrze, że pan dzwoni. Właśnie miałam się do was odezwać. Przed chwilą otrzymałam informację o śmierci dwóch pracowników A-Z Pest Control, którzy przeprowadzali dezynsekcję w moim mieszkaniu.

– Właśnie. O tym chciałbym z panią porozmawiać. O ile nam wiadomo, była pani ostatnią osobą, która widziała ich żywych.

– Pan Grearson z A-Z opowiedział mi, co się z nimi stało. Do tej pory nie mogę w to uwierzyć.

– Powinna pani wiedzieć, że robimy wszystko, aby dziennikarze się o tym nie dowiedzieli – powiedział detektyw Keiller. – Sposób, w jaki zostali pozbawieni życia, jest niespotykany i nie chcemy, żeby psychopatyczny naśladowca tego mordercy utrudnił nam pracę.

– Mój Boże. Kto chciałby naśladować coś takiego?

– Bywają tacy, niech mi pani wierzy. Zawsze znajdzie się jakiś wariat, który zechce zwrócić na siebie powszechną uwagę, a nie potrafiąc wymyślić nic oryginalnego, podszyje się pod innego wariata. Proszę mnie posłuchać... jestem w kontakcie z pani przełożonym w szpitalu. Rozumiem, że w Los Angeles wykonuje pani w tej chwili pracę o zasadniczym znaczeniu dla kraju, nie będę więc prosił, by wróciła pani do St Louis na przesłuchanie. Na razie zresztą nie ma takiej potrzeby. Jeden z naszych detektywów przyleci jutro do pani i porozmawia z panią.

– Bardzo proszę. Jestem do panów dyspozycji.

– Dziękuję. Ale i tak muszę panią prosić, by nie opuszczała pani Downey, a gdyby musiała pani zmienić miejsce pobytu, proszę nas o tym poinformować.

– Przez cały czas będę tkwić nad mikroskopem w laboratorium albo odpoczywać

w hotelu. Na nic innego nie mam szansy.

– Jasne, rozumiem. Chciałbym panią zapytać, czy od chwili, gdy wpuściła pani do mieszkania pracowników firmy dezynsekcyjnej, zauważyła pani coś niezwykłego? Czy ktoś kręcił się po budynku albo po parkingu? Ktoś, kogo pani nie zna albo kto zachowywał się w podejrzany sposób?

– Nie. Nikogo takiego nie widziałam – odparła Anna. – Ale chciałam zatelefonować na policję ze względu na pluskwę, z którą zamierzali się rozprawić ci dwaj nieszczęśnicy.

– Tak, w A-Z Pest Control powiedziano mi, że wezwała ich pani, aby wytepli pluskwy w pani mieszkaniu.

– Tak, ale okazało się, że był tam tylko jeden gigantyczny osobnik – miał ze trzydzieści centymetrów długości i dwadzieścia szerokości.

– Słucham?

– Kiedy ostatniej nocy kładłam się spać, zauważyłam, że w moim łóżku zagnieździły się pluskwy.

– Rozumiem... – powiedział detektyw Keiller, który nagle zrobił się bardzo czujny.

– Nie mogłam tam spać, więc mój szef pozwolił mi spędzić noc w swoim mieszkaniu. Kiedy po południu spotkałam się z ludźmi z A-Z Pest Control, żeby im pokazać pluskwy, okazało się, że wszystkie zniknęły. Została tylko jedna, za to ogromna.

Keiller westchnął.

– Zaraz, zaraz, pani profesor, chyba nie wszystko rozumiem. Najpierw miała pani w sypialni setki pluskiew, a kiedy wróciła pani do domu, była tam tylko jedna pluskwa, ale za to ogromna?

– Tak.

– No, załóżmy, że tak było. Ale co się stało z tą wielką pluskwą?

– Nie wiem. Między innymi dlatego chciałam się skontaktować z policją. Chyba przeszukaliście mój loft, prawda?

– Tak, oczywiście. Pięciosobowy zespół techników przetrząsnął go cal po calu.



– No i niczego nie znaleźliście?

– Natrafiliśmy tylko na odchody pluskiew na pościeli. Ale na pewno nie było tam owada o rozmiarach, jakie pani podała.

– Z tonu pańskiego głosu wnioskuję, że mi pan nie wierzy.

– Wierzę, że zobaczyła pani coś, co uznała za wielką pluskwę. Kwestia, co to tak naprawdę było, pozostaje nadal otwarta.

Rozmawiając, Anna wyszła z sypialni i przemierzywszy salon, stanęła przy drzwiach prowadzących na balkon. Po chwili wyszła na zewnątrz. Fontanna pluskała wesoło, a ciepły wiatr poruszał liśćmi palm. Za drzewami rosnącymi wzdłuż ogrodzenia przejeżdżały samochody; noc wydawała się całkowicie zwyczajna. Z oddali docierały jednak słabe, lecz natarczywe odgłosy syren, które w panice przemierzały nocne ulice Los Angeles.

W pewnej chwili Anna zauważyła, że przed hotel zajechał czarny buick verano. Samochód zatrzymał się niemal dokładnie pod jej balkonem. Długo stał z włączonym silnikiem, jednak nikt nie wysiadł.

– Wiem, że to wydaje się szalone. W literaturze nie ma wzmianek o występowaniu pluskiew o tych rozmiarach – mówiła Anna do detektywa. – Ale proszę mi wierzyć, jestem lekarzem, badam patogeny przenoszone przez owady i nie mam wątpliwości, co widziałam. Gdyby pan ujrzał homara wielkości ciężarówki, też wiedziałby pan, że to jest homar.

Zastanawiała się, czy powiedzieć policjantowi o BV-1, uznała jednak, że nie ma jeszcze na jego temat dosyć informacji. Na razie nie udowodniono związków pomiędzy BV-1 a pluskwami.

– Cóż, dziękuję pani, doceniam pani gotowość do współpracy – powiedział Keiller. – Jak wspomniałem, jutro skontaktuje się z panią któryś z naszych detektywów.

Anna miała już wrócić do salonu, gdy otworzyły się drzwi buicka i wysiedli z niego dwaj mężczyźni. Pierwszy mimo późnego wieczoru miał na nosie ciemne okulary. Miał zaczesane do tyłu siwe włosy i starannie przystrzyżoną siwą brodę. Anna rozpoznała go od razu. Ale zaraz pomyślała, że tylko jej się wydawało, że go

rozpoznaje, bo przecież co Grandier miałby do roboty tutaj, w Downey, i to akurat przed hotelem, w którym mieszkała?

Drugi mężczyzna odwrócony był do niej tyłem i dlatego nie widziała go dokładnie. Było w nim jednak także coś dziwnie znajomego. Ubrany był w ciemny garnitur i nieskazitelnie białą koszulę, włosy miał uczesane zgodnie z najnowszymi trendami mody.

Anna odniosła wrażenie, że znajduje się w windzie, która nagle opadła dziesięć pięter w dół.

Kiedy ten drugi mężczyzna odwrócił się i ruszył w kierunku wejścia do hotelu, zobaczyła jego twarz. To był David. Jej martwy David.

David zniknął jej z pola widzenia, ale Anna wciąż stała na balkonie, zszokowana, niezdolna do wykonania żadnego ruchu. To nie mogła być prawda. To było niemożliwe. Przecież na własne oczy widziała, jak trumna ze zwłokami Davida znika w piecu kremacyjnym. Matka Davida zadzwoniła nawet do niej z informacją, że dostarczono już urnę z prochami syna. Skąd więc wziąłby się tutaj, i to w towarzystwie Briana Grandiera?

Jednak w następnej chwili, jakby pod wpływem impulsu, rzuciła telefon na kanapę i wybiegła z apartamentu. Co sił w nogach popędziła do windy, gdzie raz za razem przyciskała guzik przywołania, chcąc sprowadzić kabinę na swoje piętro. Winda zjeżdżała z góry; zatrzymała się piętro wyżej. Anna usłyszała rozbawione głosy kilku osób. Dźwig długo nie ruszał, tak jakby ktoś wnosił do niego bagaże lub je wystawiał.

Znowu nacisnęła na przycisk, jednak winda nie reagowała. Anna pobiegła więc korytarzem do schodów i zaczęła zbiegać w dół. Na ostatnim odcinku, prawie na parterze, niemal skręciła kostkę, zeskakując po trzy schody na raz.

Wbiegła do holu i zaczęła przeszukiwać pomieszczenie wzrokiem. Hol był wielki, miał wysoki sufit, na wysokości pierwszego piętra biegła antresola. Pośrodku szumiała fontanna, tu i ówdzie ustawiono wygodne fotele. Ale oprócz pary starszych ludzi, którzy siedzieli w milczeniu obok siebie, w holu nie było nikogo.

Anna podbiegła do recepcji. Rudowłosa recepcjonistka rozmawiała akurat przez telefon. Odczekała ze zniecierpliwieniem, aż kobieta skończy rozmowę i odłoży

słuchawkę, po czym zapytała:

– Przed chwilą weszli tutaj dwaj mężczyźni. Może mi pani powiedzieć, dokąd się udali?

Recepcjonistka zmarszczyła czoło, jakby Anna odezwała się do niej w obcym języku.

– Dwaj mężczyźni – powtórzyła Anna. – Jeden w ciemnym garniturze, a drugi z siwą brodą, w ciemnych okularach.

Recepcjonistka pokręciła głową.

– Bardzo panią przepraszam, ale przez ostatnie pół godziny nikt tutaj nie wchodził. A dżentelmenów, których pani opisała, na pewno nie widziałam.

– Musiała ich pani widzieć. Ich samochód zatrzymał się przed samymi drzwiami. To był czarny buick sedan.

Recepcjonistka nadal kręciła głową.

– Bardzo mi przykro, proszę pani.

Anna wycofała się i przez obrotowe drzwi wyszła na zewnątrz. Ulicą przejechała karetka, z wielką prędkością zmierzając w kierunku północno-zachodnim. Syrena nie była włączona, jednak migwały białe i czerwone światła na dachu. Przed hotelem parkowało mniej więcej trzydzieści pojazdów, jednak nie było wśród nich czarnego buicka verano.

A może w ogóle nie przyjechali? Może to było tylko przywidzenie?

Wróciła do holu. Staruszkowie wciąż siedzieli w tym samym miejscu, wpatrując się bezmyślnie w przestrzeń. Recepcjonistka popatrzyła na Annę i wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Przykro mi, ale nie mogę pani pomóc”.

Anna wróciła windą na trzecie piętro. Czuła się kompletnie rozbita. I bała się. Przyszło jej do głowy, że w takim stanie raczej nie powinna prowadzić skomplikowanych badań nad niebezpiecznym wirusem. Jeżeli widzi coś, co nie istnieje, i spotyka ludzi, których żadną miarą nie powinna spotkać, to może także pod mikroskopem zobaczy coś, czego tam nie ma? Anna po drugiej stronie lustra.

Wiedziała, że jej doświadczenie w pracach nad epidemiami chorób wirusowych jest teraz bardzo potrzebne, bała się jednak, że w obecnym stanie umysłu może

sprowadzić katastrofę na cały projekt.

Wyszła z windy. Miała szczęście, bo przed drzwiami apartamentu natknęła się na pokojówkę. Wybiegając, zatrzasnęła w nim swoją kartę do drzwi.

Kiedy pokojówka pomogła jej się dostać do środka, w salonie natychmiast sięgnęła po swój telefon. Miała trzy nowe wiadomości tekstowe: od Epiphany, od Jima Waso i od American Express. Zarówno Epiphany, jak i Jim życzyli jej dobrej nocy; trzeci esemes informował, że przekroczyła miesięczny limit wydatków na karcie kredytowej.

Usiadła na kanapie i zamknęła oczy. Drzwi balkonowe wciąż były otwarte i ciepłe nocne powietrze wpadające do pokoju zaczęło ją uspokajać. W oddali wciąż słychać było wycie syren ambulansów. Ten dźwięk znowu jej przypomniał, że jej rodakom grozi śmiertelne niebezpieczeństwo i że ona, Anna Grey, może pomóc je zażegnać. Jej chaotyczne myśli zaczęły się skupiać w jedną całość, tak jakby rozbite lustro składało się z powrotem jak na puszczonej od końca filmie.

Anna pogrzyżała się w rozważaniach. Nagle poczuła, że ktoś siada obok niej. Natychmiast otworzyła oczy i aż podskoczyła z przerażenia. To był David – bardzo blady, z dziwnym, niemal triumfującym wyrazem twarzy, jakby chciał jej powiedzieć: „Zobacz, co zrobiłem! Wróciłem!”.

Anna pisnęła i odsunęła się od niego, jednak David wyciągnął rękę i położył dłoń na jej ramieniu.

– Anno. – Uśmiechnął się do niej. Jego głos brzmiał tak samo jak dawniej. Może był trochę bardziej gardłowy, ale rozpoznałaby go zawsze i wszędzie. – Anno, nie bój się. To ja.

– David – wyszeptała. – To mi się śni, prawda? To jest sen. Ty nie żyjesz.

– Ludzie nie muszą umierać, Anno. Nie muszą umierać, jeśli nie chcą. Teraz już to wiem. Śmierć jest kwestią wyboru.

– David, przecież ty umarłeś w moich ramionach, wystawiono akt zgonu i zostałeś skremowany. To nie możesz być ty. Prawdziwy David jest już tylko kupką popiołu. Odejdź ode mnie.

– Posłuchaj mnie, Anno. Zapytano mnie, czego chcę. Czy chcę umrzeć, czy żyć.

Zwykle osoby w moim wieku nie stają wobec takiego wyboru. Co ty wybrałabyś na moim miejscu?

David zdjął dłoń z ramienia Anny, a ona natychmiast z tego skorzystała i zerwała się na równe nogi. Wpatrując się w niego, cofnęła się do drzwi.

– O co chodzi, kochanie? – zapytał David. – Chyba nie chcesz mnie teraz opuścić?

– Ty nie żyjesz, Davidzie. I nie mów mi, że cię opuszczam, bo to przecież ty opuściłeś mnie. I nie możesz już wrócić. To niemożliwe. To tylko senny koszmar. Odejdź. Odejdź, proszę, i pozwól mi się obudzić.

David również wstał, jednak nie próbował się do niej zbliżyć.

– To jest możliwe, Anno. Popatrz na mnie. Jestem tego żyjącym dowodem. Nie miałem o tym wcześniej pojęcia, ale na tym świecie są duchy, które potrafią przywracać zmarłych do życia i dawać im życie wieczne. To dlatego muszę z tobą porozmawiać.

– To się nie dzieje naprawdę, Davidzie. Ani jedna chwila nie jest prawdziwa. Ja na pewno mam halucynacje. Ty nie żyjesz. Trzymałam cię w ramionach, kiedy umierałeś.

– Owszem, byłem chory, bardzo chory, a ty w pewnej chwili uznałaś, że umarłem. Ja sam tak myślałem. Bo w jakimś sensie rzeczywiście umarłem. Ale Brian Grandier zaproponował mi powrót do życia.

– Brian Grandier miał spalić twoje ciało.

– Brian Grandier jest zbawcą, Anno, zbawcą dusz. To wielki, wspaniały człowiek. Połączył się z ludźmi takimi jak on i wspólnie chcą oddać temu krajowi wszystko, co mu do tej pory zabrano.

David obszedł kanapę i ruszył w stronę Anny z wyciągniętymi rękami. Opuścił je dopiero wtedy, gdy był tak blisko, że mógł jej dotknąć. Anna odczuwała strach graniczący z histerią i zarazem z fascynacją, bo to był jednak jej David, widziała go na własne oczy. Był blady, ale jego niebieskoszare oczy patrzyły na nią szczerze, jego uśmiech zapraszał; mówił też tak samo jak dawniej: łagodnie, rozsądnie i optymistycznie. David zawsze wierzył, że wszystkie sprawy w życiu zmierzają w dobrym kierunku, że jutro będzie lepsze od dnia dzisiejszego. Nawet kiedy Anna

rozpaczała, że nie potrafi wynaleźć lekarstwa na jakąś chorobę, David spokojnie zapewniał ją, że w końcu je znajdzie, jeżeli tylko będzie się bardzo starała i nie straci wiary w siebie.

– David – powiedziała. – Jeżeli to naprawdę jesteś ty, powiedz mi, jak się tutaj znalazłeś. Jak to możliwe?

– Odpowiedź na to pytanie jest najłatwiejsza. Drzwi były uchylone. Nie przeszedłem przez ścianę, jeżeli to masz na myśli. Nie jestem duchem.

– Ale przecież widziałam twoje zwłoki w kostnicy.

– Rozmawiałem z tobą, Anno, pamiętasz.

– Tak, ale wołałeś: „Zabierz to ode mnie!”. Nie wiem, co się z tobą działo, ale wydawało mi się, że jesteś przerażony i że cierpisz. Mówiłeś, że nie możesz tego znieść. Co to było?

– Ja wtedy sam tego nie rozumiałem. Ale teraz już wiem. I cieszę się, że znów żyję, Anno, że wróciłem do ciebie i znowu możemy żyć razem, tak jak żyliśmy, zanim zachorowałem.

Wyciągnął rękę, ale ona się cofnęła.

– David... Ja nie wiem, nie rozumiem. Chyba nie jestem na to gotowa. Ja nawet nie wierzę, że to wszystko dzieje się naprawdę.

– Przysięgam ci, Anno, to jest rzeczywistość. Jestem tu, obok ciebie, we własnej osobie, dotknij mnie. Poczuj mnie. Jestem twoim Davidem, wróciłem do ciebie.

– Ale jak to się mogło stać? I o co chodziło, gdy krzyczałeś, żebym to od ciebie zabrała? Czym jest „to”?

## ROZDZIAŁ 23

David zmarszczył czoło, jakby usilnie próbował sobie coś przypomnieć.

– Nigdy nie byłaś religijna, prawda? – zapytał.

– A co religia ma z tym wszystkim wspólnego?

– Posłuchaj, nigdy nie wierzyłaś, że istnieje życie po życiu, prawda? Nigdy nie wierzyłaś w istnienie nieba ani piekła. Nigdy nie wierzyłaś w anioły ani w szatana, ani w demony...

– Kiedy się walczy z wirusami, Davidzie, nie można wierzyć w demony. Wirus nie ma duszy ani sumienia. Wirus nie rozpacza nad złem, które czyni. Wirus jest tysiąc razy bardziej śmiertelny niż jakikolwiek demon.

– Ale czy ty nie rozumiesz, że wirusy są demonami? Demonami ludzie w średniowieczu nazywali zjawiska, których nie rozumieli.

Anna przez chwilę milczała.

– David... Twój powrót do życia jest wystarczająco dziwnym wydarzeniem, lecz to, o czym teraz opowiadasz, jest jeszcze dziwniejsze. Przerażasz mnie. Skąd o tym wszystkim wiesz? Grandier ci opowiedział?

David pokiwał głową.

– Brian Grandier osobiście przywiózł wirusa do Ameryki.

– Przywiózł go? Ale dlaczego? Jest jakimś terrorystą? Przecież ten wirus zabił już mnóstwo ludzi i prawdopodobnie zabije ich o wiele więcej, jeśli go nie powstrzymamy!

– W tym cała rzecz, Anno. Ludzie, o których mówisz, tak naprawdę żyją, podobnie jak ja.

– Co? W takim razie jaki sens ma zabijanie ludzi, żeby ich później wskrzeszać?

– Chodzi o to, żeby ich zmieniać. Żeby ich czynić lepszymi. Żeby przestali rujnować własny kraj.

Anna przez długą chwilę patrzyła na Davida w milczeniu. Na jego twarzy znowu

zagościł uśmiech. Bez wątpienia bardzo się starał, żeby zyskać jej zaufanie.

– Wirus, o którym rozmawiamy, może sprawiać wrażenie śmiertelnego, Anno, ale jest wręcz przeciwnie. Kiedy już rozprzestrzeni się po całym kraju, zobaczysz, jaka wspaniała stanie się Ameryka. To będzie idylla – powiedział.

Zignorowała jego słowa.

– Skąd się dowiedziałeś, że tutaj jestem? – zapytała.

– Przez cały czas trzymamy rękę na pulsie, to wszystko.

– Wy?

– Jestem jednym z nich, Anno. Zresztą, prawdę mówiąc, nie miałem i nie mam żadnego wyboru. Jak już powiedziałem, ten naród wkrótce będzie mieszkał w raju. Tak powinno być od samego początku.

– Nie mogę tego słuchać – powiedziała Anna. – Musisz już iść.

David znów wyciągnął rękę i chwycił lewą dłoń Anny. Chciała ją wyrwać, ale trzymał mocno. Najgorsze było to, że jego ręka była ciepła i silna, tak jak kiedyś.

– Myślałem, że się kochamy.

– Tak, kochaliśmy się. Jednak ty umarłeś.

– Ale wróciłem. Uważasz, że coś się zmieniło?

– Ty się zmieniłeś. Sam zresztą to powiedziałeś. Jesteś zamieszany w niecne sprawy Briana Grandiera i tę historię z wirusem. Doświadczyłeś straszego bólu, David. Naprawdę chcesz, żeby miliony ludzi przeszły przez to samo co ty? W imię czego? W imię jakichś niedorzecznych opowieści o raju na ziemi?

– Wiele krzywd na świecie zadano w imię Boga.

– Puść moją rękę. I idź już. Natychmiast. Proszę cię.

– Pamiętasz tego wirusa skalpującego, którego pokonałaś? Zyskałaś wtedy sławę, prawda?

– No i co z tego?

– Wirus został nazwany skalpującym, ponieważ powodował wypadanie włosów i powstawanie ran. Chorzy wyglądali tak, jakby ktoś ich oskalpował.

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz.



– Powiedz mi, kto skalpował swoje ofiary?

– A co to ma do rzeczy? Zawsze uważałam, że Indianie.

– Tak uważa większość ludzi, ale to nieprawda. To wynalazek Europejczyków, którzy wybijali w pień plemiona indiańskie, żeby ci, którzy władali tą ziemią od wieków, nie mogli walczyć o jej odzyskanie.

– David, to boli.

– Polowanie z nagrodami, tak to nazywali. W osiemnastym wieku gubernatorzy Pensylwanii i Massachusetts płacili za indiańskie skalpy całkiem spore pieniądze. Każdy skalp był niejako zaświadczeniem, że zginął kolejny Indianin: mężczyzna, kobieta albo chłopiec powyżej dwunastego roku życia, bo za młodszych nie płacono. Dlatego bezustannie polowano na Apaczów, Huronów i innych, by ich skalpować. Przybysze z Europy mieli dzięki temu forszę na whiskey. Niektórzy spośród nich żyli wyłącznie ze skalpowania. Wystarczało być Indianinem, żeby zginąć dla skalpu. A przecież oni nie stanowili dla Europejczyków żadnego fizycznego zagrożenia.

Anna zdołała wreszcie wyrwać dłoń z uścisku Davida. Stali teraz naprzeciwko siebie, patrzyli sobie w oczy i ciężko oddychali.

– Nie miałam halucynacji, prawda? – zapytała Anna. – Ci indiańscy czarownicy... rzeczywiście ich widziałam.

– Tak – przyznał David. – Zakonnice też widziałaś naprawdę.

– Jestem zdezorientowana. Nic z tego nie rozumiem. Gdzie jest w tym wszystkim miejsce dla sióstr zakonnych?

– To proste. Ludzie nie przypuszczają, że duchy z różnych religii mogą się spotykać, ale oczywiście tak się dzieje. Ci dwaj czarownicy, Matchitehew i Megedagik, są w stanie przywołać każdego indiańskiego ducha. A Brian Grandier może przywołać każdego ducha chrześcijańskiego. Wezwał ducha Gresila, czyli ducha zarazy, który w siedemnastym wieku opętał urszulanki z Loudun. Matchitehew i Megedagik przywołali z kolei Awonawilona, ducha indiańskiego, który umożliwia przebywanie w kilku miejscach w tym samym czasie. Działając wspólnie, oba duchy zakażają ludzi w całym kraju tym samym wirusem, którym ja zostałem zakażony.

– Ale dlaczego, David? Do czego oni zmierzają?

– A jak myślisz? Matchitehew i Megedagik chcą odzyskać swoje ziemie i zemścić się za krwawą masakrę, którą zgotowano ich ludowi, kiedy mu te ziemie odbierano. Brian Grandier chce, żeby kara spadła na bigotów religijnych za cierpienia, których byli sprawcami w ciągu wieków. Połączyła ich wspólna sprawa, Anno. Chcą, żeby miliony niewinnych ludzi, których torturowano i zabijano w imię Boga, wreszcie doczekały sprawiedliwości.

Anna usiadła na kanapie.

– I ty to mówisz? Przecież Kościół ani Indianie nigdy cię nie obchodzili! Co się zmieniło, do cholery?

– To jestem ja, Anno, przysięgam. Aby przeżyć, musiałem dokonać wyboru. I zrobiłem to. Dołączyłem do Matchitehewa, Megedagika i Grandiera. Teraz im pomagam.

– Davidzie, jestem zbyt zmęczona, żeby się z tobą sprzeczać. Potrzebuję czasu, żeby to wszystko przemyśleć.

David podszedł do kanapy i ukląkł przed Anną z poważną miną.

– Muszę cię o coś poprosić, Anno. Przyjechałem tu właśnie po to, oczywiście oprócz tego, że chciałem cię znowu zobaczyć. Muszę cię poprosić, żebyś nie uczestniczyła w pracach, które mają na celu zniszczenie wirusa. Powiedz w laboratorium, że się wycofujesz. Powiedz, że źle się czujesz albo coś podobnego. Wymyśl coś.

– David, ja nie mogę tego zrobić! Coraz więcej ludzi umiera, nawet teraz, kiedy rozmawiamy! Słyszysz te syreny? Nie pamiętasz już, jak bardzo cierpiełeś? Nie pamiętasz, jaki byłeś przerażony? Muszę się włączyć w pracę tego zespołu! Poza tym te badania to całe moje życie!

– Anno, jesteś zmęczona i zestresowana. Musisz się wyspać. Może rano inaczej na to spojrzysz.

– Na pewno nie zmienię zdania. Nie mogę. Nadal jestem w szoku, że z tobą rozmawiam, mimo że umarłeś. Niezależnie od tego, co naopowiadał ci Grandier, jedno jest pewne: czasu nie da się cofnąć. Ten kraj nigdy nie będzie już taki, jaki był, zanim tu przyjechali Europejczycy. Taka wizja jest szalona i nigdy się nie spełni. A ja

nie mogę pozwolić, żeby ludzie cierpieli, choćby i dla najszczytniejszego celu.

David milczał przez kilkanaście sekund, ale w końcu się odezwał:

– Rozumiem. Szanuję twoją decyzję. Szkoda, że jest właśnie taka, ale jeśli nie mogę nic zrobić, żebyś ją zmieniła...

– Nie, David. Nie możesz.

– Cóż, poproszę cię jeszcze tylko o jedną przysługę. Czy mógłbym spędzić noc w twoim apartamencie? Prześpię się na kanapie i pójdę sobie, kiedy zacznie świtać.

– Boję się ciebie – odpowiedziała Anna. – Myślałam, że nie żyjesz. Byłam przy twojej śmierci. A teraz jesteś tutaj. I nie jesteś taki sam jak przedtem. Mówisz takie dziwne rzeczy. Wiesz, co mi zrobiła jedna z tych zakonnicek, jakie okropności wygadywała? Kiedy o tym myślę, wciąż zbiera mi się na wymioty.

David pokiwał głową, jakby doskonale wiedział, o czym ona mówi.

– Rozumiem, co czujesz, Anno. Jestem pewien, że gdybyś ty umarła i powróciła do świata żywych, czułbym dokładnie to samo. Ale obiecuję ci, że nie ruszę się z kanapy i że o nic cię już nie poproszę.

Popatrzyła na niego. Tak bardzo go kochała, tyle razem przeżyli – rozmawiali, śmiali się, sprzeczali, kochali... Nagle przypomniała sobie, jak jesienią spacerowali po parku, trzymając się za ręce, a złote liście szeleściły pod stopami. Anna pomyślała, że ze względu na to, co ich łączyło, nie może go tak po prostu wyrzucić.

– Dobrze – powiedziała. – Ale dokąd pójdziesz jutro? Czy zobaczę cię jeszcze kiedyś? Czy Brian Grandier też gdzieś tu jest? Spotkasz się z nim?

Jednocześnie intensywnie myślała: jeśli Grandier jest w Los Angeles i naprawdę ponosi odpowiedzialność za rozprzestrzenianie wirusa BV-1, powinna zgłosić ten fakt policji albo FBI.

– Połóż się, Anno, i o nic się nie martw – odparł David. – Będę z tobą w kontakcie.

Anna rozebrała się i weszła do łóżka. Była zbyt zmęczona, żeby brać prysznic; postanowiła, że wykąpie się rano, przed wyjazdem do laboratorium.

Wcześniej dała Davidowi koc i powiedziała „dobranoc”, ale nawet nie pocałowała go w policzek. Jego twarz w świetle nocnej lampki wyglądała jak z wosku, a on sam

sprawiał wrażenie, jakby był obecny tylko ciałem. Zanim zamknęła za sobą drzwi sypialni, patrzyła, jak David zdejmuje marynarkę, buty i układa się na kanapie. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła takiego mętliku w głowie. Znów miała przy sobie Davida, pragnęła go, chciała, żeby był szczęśliwy, chciała się nim opiekować, lecz równocześnie jego obecność ją przerażała. Kochała Davida, ale też bała się jego nieprzewidywalności, a jego widok przyprawiał ją o dreszcz przerażenia.

Zamknęła drzwi sypialni na klucz, ale po namyśle jednak je otworzyła. W końcu David obiecał, że nie wejdzie do niej. A jeśli rano będzie chciał się pożegnać i zobaczy, że zamknęła się przed nim na klucz? Cóż, mogłaby po prostu mu powiedzieć, że już mu nie ufa i że ich związek nieodwołalnie przeszedł do historii.

Chciała się dowiedzieć, w jaki sposób David odzyskał życie i o co chodzi z Brianem Grandierem, zakonnicami i tymi tajemniczymi czarownikami. Gdyby się tego dowiedziała, może łatwiej byłoby jej rozpracować wirusa. Tymczasem jednego była pewna: nic jej nie powstrzyma od wzięcia udziału w pracach zespołu badawczego poszukującego środka, który pozwoli zatrzymać epidemię tajemniczej choroby.

Anna się bała, że mimo zmęczenia nie będzie mogła zasnąć. A jednak nie minęło dziesięć minut i zapadła w sen.

Śniło się jej, że David leży obok niej, tak blisko, iż czuje jego oddech na swoim policzku. Śniła, że całuje jej włosy, później powieki, nos i usta. Jego ręka powędrowała pod kołdrę i zaczęła głaskać uda, a później wsunęła się pod koszulę i pieściła brzuch.

– David – jęknęła Anna. – Proszę, nie, jestem zbyt zmęczona.

Znowu ją pocałował, a ręka powędrowała wyżej i zaczęła się bawić brodawką lewej piersi.

– Przestań – powtórzyła Anna. Wiedziała jednak, że to tylko sen, i nie uczyniła nic, żeby go powstrzymać.

Jego ciało było ciepłe, a pieszczoty przyprawiały ją o drżenie.

Wsunął w nią palec i pieścił ją lekko i delikatnie. Wygięła się w łuk i przysunęła się do niego, szukając bardziej intensywnej pieszczoty. Rozsunęła zapraszająco uda, on jednak dotykał jej lekko i kusząco, nie zważając na to, że Anna robi się coraz

bardziej wilgotna i podniecona.

Wreszcie, kiedy poczuła nadchodzący orgazm, David odrzucił kołdrę i położył się na Annie. Rozwarła szeroko uda i przyciągnęła go mocno.

– Pieprz mnie – ponagliła go niskim, ochrypłym głosem.

On jednak czekał, złapała go więc za pośladki i wbiła długie, ostre paznokcie w jego skórę. Wreszcie znalazł się w niej tak głęboko jak nigdy dotąd.

W tym momencie Anna zdała sobie sprawę, że nie śpi i że to wcale nie jest sen, że David naprawdę leży na niej, jest w niej i że kocha się z mężczyzną, który nie żyje.

– Boże! – wrzasnęła. – David, zostaw mnie! Przestań, natychmiast! David! David, przestań!

Ale on wbijał się w nią coraz mocniej, jednocześnie przyciskając jej ręce do łóżka. Walczyła, kopała, uciekała biodrami, chcąc go zrzucić, jednak był zbyt ciężki i stanowczo zbyt silny, żeby mogło jej się to udać.

– David! Puść! David, posłuchaj mnie! David!

Nie reagował. Słyszała tylko jego ciężki, chrapliwy oddech. Mięśnie miał napięte i leżał bez ruchu, co przeraziło ją jeszcze bardziej.

– David! Co ty robisz? David, puść mnie, słyszysz?!

Wciąż milczał, ale teraz ujął obiema rękami jej szyję i kciukami przycisnął krtań. Zaczął ją dusić.

Anna chwyciła go za nadgarstki i spróbowała oderwać jego ręce. Ani drgnęły. Ściągnięte były twarde jak stalowe druty. Trwało to dłuższą chwilę, aż wreszcie zobaczyła przed oczyma jaskrawe punkciki. Chciała krzyczeć, błagać go, żeby przestał, nie była jednak w stanie nabrać powietrza w płuca.

Podjęła ostatni desperacki wysiłek, żeby wyrwać się Davidowi, jednak nie udało jej się to. Bez wątplenia zamierzał ją zabić.

Chociaż w sypialni było ciemno, Annie się wydawało, że zapadają jeszcze większe ciemności. Stopniowo traciła wzrok, wiedziała, że za chwilę straci przytomność.

Puściła nadgarstki Davida; jej ręce opadły bezwładnie na łóżko. Chociaż instynkt podpowiadał jej, że musi walczyć o życie, ostatnim wysiłkiem woli nakazała sobie spokój. Czowała, że jeśli chce zachować życie, musi udawać martwą.

Leżała bez ruchu, a David zaciskał kciuki na jej szyi, jakby chciał ją zmiażdżyć. W płucach ją paliło, jakby płonęły żywym ogniem. Wkrótce już nie tylko nie widziała, ale i nie słyszała.

Nagle David rozluźnił uchwyt i cofnął ręce. Anna musiała skorzystać z resztek siły woli, żeby natychmiast nie wziąć głębokiego oddechu. Zapanowała nad sobą i najwolniej jak potrafiła wciągnęła powietrze przez nos. David wyprostował się na niej i przez chwilę pozostał w takiej pozycji. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała gwałtownie. Zaczął coś mówić, ale jego głos docierał do niej jakby przez mgłę; nie była w stanie go zrozumieć. David powoli wycofał się z niej i wstał. Wciąż miała oczy zamknięte, jednak wyczuła, że mężczyzna patrzy na nią.

– Nie chciałaś mnie słuchać – powiedział głośno i wyraźnie, jakby się spodziewał, że Anna żyje. – Grzecznie cię prosiłem, ale, kurwa, nie posłuchałaś. Ale czego właściwie mogłem się spodziewać? Zawsze byłaś upartą suką.

Nadal leżała bez ruchu, starając się nie oddychać. Szyja ją potwornie bolała i Anna obawiała się, że uszkodził jej krtań.

Po czasie, który dłużył jej się w nieskończoność, a w rzeczywistości nie przekroczył pewnie minuty, usłyszała, że David wychodzi z sypialni. Wtedy kilkakrotnie głęboko odetchnęła. Gardło ją bolało, nie mogła ruszać głową, ale tętno zaczęło się uspokajać i powoli odzyskiwała jasność myśli. Odgłosy, które docierały z salonu, podpowiadały jej, że David się ubiera. Usłyszała, jak usiadł na kanapie, zapewne wiążąc sznurowadła. Później w salonie nastąpiła cisza i Anna poczuła nadzieję, że David wyszedł, chociaż nie usłyszała, by zatrzaśkiwały się drzwi.

„Nie chciałaś mnie słuchać”, przypomniała sobie jego słowa. „Grzecznie cię prosiłem, ale, kurwa, nie posłuchałaś”. Wyglądało na to, że David przyszedł do niej tylko po to, żeby odwieść ją od pracy nad wirusem BV-1. Czy on jednak naprawdę był martwy? Przecież to szaleństwo. Nie wiedziała, co o tym myśleć.

Ostrożnie wstała i na palcach podeszła do drzwi. Davida nie było w salonie. Wiedziała, że musi znaleźć jakiegoś lekarza. Jeżeli David naruszył jej struny głosowe, to miała poważny problem. Podeszła do stolika, na którym wieczorem zostawiła torebkę.

Spojrzała na balkon i znieruchomiła. Drzwi były otwarte i do pokoju wpadało rześkie powietrze. A na balkonie stał David. Wpatrywał się w niebo, które z każdą chwilą stawało się jaśniejsze, gdyż zbliżał się wschód słońca. Odwrócony był tyłem, więc nie mógł jej widzieć. Mimo wczesnej pory szum przejeżdżających samochodów był tak głośny, że nie mógł jej również słyszeć.

Bardzo ostrożnie, starając się nie wywoływać najmniejszego hałasu, wzięła torebkę i zaczęła na palcach cofać się w kierunku sypialni. Jednak zanim zrobiła trzy kroki, David odezwał się:

– Anna?

Znieruchomiła. Czekwała. Może wypowiedział jej imię tylko dlatego, że o niej myślał? Jednak kiedy zrobiła kolejny krok, David odwrócił się i powiedział:

– Anna? Nie wierzę. Przecież powinnaś być martwa.

Tak jak ty, pomyślała, bo nie była w stanie nic powiedzieć. Rozkaszała się tylko, a to sprawiło jej taki ból, że do oczu napłynęły łzy.

– Nie mogę pozwolić, żebyś wszystko popsuła, Anno. Stawka jest zbyt wysoka. Przykro mi.

Zerknęła przez lewe ramię, w kierunku sypialni. Zaczęła się zastanawiać, czy uda jej się tam pobiec i zatrzasnąć za sobą drzwi, zanim David ją dopadnie. Uznała, że nie. Na jej drodze stał wielki fotel i zanim go obiegnie, David z pewnością zdąży jej odciąć drogę ucieczki.

Szybko odwróciła się i popatrzyła na drzwi wyjściowe. Do nich także raczej nie dobiegnie. Były zamknięte na łańcuch; zanim je otworzy, minie kilka cennych sekund, które wystarczą Davidowi, żeby ją złapać.

David stał w nonszalanckiej pozie i uśmiechał się do niej.

– Daję ci wybór, Anno, taki wybór, jaki miałem ja. Życie albo śmierć. Ja wybrałem życie. Możesz podjąć taką samą decyzję.

Anna otwierała i zamykała usta, jednak nie była w stanie wydobyć słowa. Zresztą, co mogła mu teraz powiedzieć? Myślałam, że mnie kochasz, a ty próbowałeś mnie udusić... Popatrz na siebie, jesteś taki spokojny i pewny swego. Wiesz, że nie mogę przed tobą uciec. Nie jesteś Davidem. Może wyglądasz tak jak on, ale na pewno nim

nie jesteś.

„Zabierz to ode mnie”, błagałaś w kostnicy. Nawet z trumny krzyczałaś, żebym cię od czegoś uwolniła. Ja jednak nie byłam w stanie tego uczynić i teraz to coś przejęło nad tobą władzę. Kimkolwiek lub czymkolwiek jesteś, na pewno nie jesteś Davidem, którego kochałam.

– Jaka jest twoja decyzja, kochanie?

Anna zrobiła krok w jego kierunku, potem następny. Wyciągnęła przed siebie obie ręce, jakby go chciała objąć. David uśmiechnął się szerzej i także wyciągnął ku niej ręce.

– No, chodź – powiedział. – Byłem pewien, że zmądrzejesz.

Na parkingu rozległ się sygnał klaksonu i David odwrócił się, żeby zobaczyć, kto przyjechał. Możliwe, że czekał na Grandiera.

Nie było ważne, co rozproszyło jego uwagę. Anna wykorzystała ten moment i ruszyła w stronę Davida. Gdy on się odwrócił i pojawił, co zamierza, było już za późno. Podbiegła i z całą siłą, na jaką było ją stać, zepchnęła jego ciało z balkonu.

Machnął rękami, jednak nie udało mu się chwycić metalowej barierki. Poleciał trzy piętra w dół, na marmurowe schody przed hotelem. Gdy spadł, rozległ się dziwny huk. Kiedy Anna spojrzała w dół, ze zdumieniem stwierdziła, że ciało zniknęło. Jego ciemny garnitur leżał na schodach, ale wydawał się bardzo płaski. Z kołnierzyka białej koszuli wysypał się jakby drobny szary proszek i ułożył się w kształcie gwiazdy.

Anna zobaczyła, że na schody wybiegło dwóch pracowników recepcji. Z przerażeniem patrzyli na leżący na schodach garnitur. Następnie podnieśli głowy i skierowali spojrzenia na jej balkon. Szybko cofnęła się do salonu. Jej serce biło jak oszalałe, bezwiednie masowała bolące gardło.

Miała rację. To może był David, ale nie z krwi i kości. Jego prochy przywrócono życiu dzięki jakiejś niewiarygodnej sztuczce. Osobnik, który jeszcze przed chwilą stał przed nią na balkonie, z pewnością nie miał duszy.

Usłyszała, że ktoś gwałtownie dobija się do drzwi.

– Profesor Grey! Profesor Grey! Jest tam pani? Proszę natychmiast otworzyć!

Anna odwróciła się i ruszyła ku drzwiom. Po drodze zdołała wycharczeć:



– Już otwieram.

Wątpiła, by ktoś mógł usłyszeć jej słabiutki głos. Zdjęła łańcuch z drzwi i niechętnie je otworzyła.

## ROZDZIAŁ 24

Na Sunset Boulevard był korek i wróciliśmy do domu Ricka dopiero wczesnym wieczorem, gdy niebo zmieniało już kolor na pomarańczowopurpurowy. Obaj byliśmy zmęczeni, spoceni i źli na cały świat. Kiedy znaleźliśmy się w środku, Rick od razu podszedł do lodówki i wyjął dwie puszki piwa.

Przez chwilę staliśmy w kuchni i w milczeniu piliśmy piwo. Z łazienki wyszła Dazey. Popatrzyła na nas i zapytała:

– Co jest grane?

– Lepiej, żebyś nie wiedziała – odparł Rick.

– A jednak powiedz mi. Co się stało? Wyglądacie, jakbyście właśnie wrócili z pogrzebu.

– Bo rzeczywiście ktoś umarł – powiedziałem. – A właściwie dwie osoby. Administratorka z Royaltie Hotel i jej pięcioletni syn. Całe popołudnie czekaliśmy, aż przesłuchają nas gliniarze. Potem pojechaliśmy do szpitala na badania; chcieliśmy wiedzieć, czy jesteśmy zdrowi.

– I jesteście?

– Gdzie jesteśmy? – Rick beknął i uderzył się pięścią w splot słoneczny.

– Pytałam, czy jesteście zdrowi! To wszystko jest straszne! Oglądaliście wiadomości? Podali, że już siedem tysięcy osób wyzionęło ducha. Siedem tysięcy! Ludzie padają jak... jak to się mówi?

– Padają jak muchy, Daze – powiedział Rick. Po chwili dodał zmęczonym głosem: – Byliśmy z Czarodziejem w Valley Presbyterian Hospital. Przywieziono tam tylu chorych, że ludzie leżą na podłodze. Pielęgniarka, która pobierała nam krew, powiedziała, że właściwie nie wie, po co to robi, bo i tak miną tygodnie, zanim ktoś zdoła zbadać próbki, a jeśli jesteśmy chorzy, to i tak dowiemy się o tym na chwilę przed śmiercią.

– Może powinniśmy wyjechać na jakiś czas z miasta? – zasugerowała Dazey. – Dopóki to wszystko się nie skończy?

– To się dzieje wszędzie, Daze, przynajmniej tak twierdzą policjanci. Ludzie chorują już w Portland, w Denver, Nowym Orleanie i St Louis. Zaraza roznosi się po całym tym cholernym kraju. Według mnie uciekanie z tego miasta nie ma najmniejszego sensu.

– A w takim razie, co mamy robić, żeby się ustrzec przed zachorowaniem? Tego policja nie mówi?

– Moim zdaniem najwięcej szans będą mieli ludzie, którzy w najbliższym czasie pozostaną w domu i będą sypiać we własnym łóżku – powiedziałem. – Jestem w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach pewny, że tę chorobę przenoszą pluskwy.

– Ja też tak myślę – dodał Rick. – Już ci chyba mówiłem, Czarodzieju, że kilka lat temu pluskwy w tym kraju zostały niemal całkowicie wytępione, a teraz są ich miliardy. Dawniej ugryzienie pluskwy mogło się skończyć najwyżej swędzeniem, a obecnie wszystko wskazuje na to, że przenoszą śmiertelną chorobę.

Nie mówiłem nic o siostrach zakonnych i duchach szamanów, bo pewnie Dazey nic by z tego nie zrozumiała. Ja sam niewiele rozumiałem, wiedziałem tylko, że ta choroba to zemsta synów Misquamacusa.

– Może Bobik też na to zachorował? – zapytała Dazey. – W hotelu, w którym pracowaliście wczoraj, pewnie roiło się od pluskiew, prawda? Bobik rzygał krwią. Może pogryzły go pluskwy?

– Nie wiem, Daze – powiedział Rick i westchnął. – Ale mogło tak być. Mamy coś do jedzenia? Jestem głodny jak wilk.

– W domu nic nie ma. Będzie trzeba coś zamówić. Co powiesz na tajską kuchnię?

– Zjem wszystko, co zorganizujesz.

Padliśmy z Rickiem na kanapę przed telewizorem. Kleks położył się między nami i ciężko dyszał. Przez jakiś czas oglądaliśmy wiadomości, ale stacje telewizyjne wciąż nadawały te same informacje o chorobie, której jak dotąd nikt nie potrafił leczyć. Rzecznik prasowy Centrum Kontroli Chorób, starszy mężczyzna o ponurej twarzy, powiedział, że zanotowano już 250 tysięcy zachorowań i że należy się spodziewać wzrostu ich liczby.

– Dysponujemy zespołem wysoko wykwalifikowanych epidemiologów – mówił

rzecznik. – Ten zespół podjął już pracę w naszych laboratoriach badawczych w Downey, w Kalifornii. Mogę też powiedzieć, że część niezależnych ekspertów osiągnęła znaczący postęp w badaniach, które mają na celu zidentyfikowanie wirusa i opracowanie metod jego zwalczania. Jesteśmy pewni, że ten zespół wkrótce znajdzie środek zapobiegawczy.

W tym momencie weszła Mazey.

– Cześć wszystkim! Wróciłam!

Ubrana była w obcisłą żółtą koszulkę bez rękawów, z wizerunkiem tygrysa na brzuchu, oraz w krótką spódniczkę z białego dżinsu. Pachniała perfumami i marihuaną. Sandały na wysokich obcasach trzymała w ręku.

Usiadła na kanapie obok mnie, objęła mnie za szyję i chuchnęła mi w usta alkoholem. Musiała wypić mnóstwo mojito.

– Ach, Czarodzieju, jesteś bardzo czarodziejski, wiesz o tym?

– Gdzie ty byłaś, Maze? – zapytał Rick, chociaż nie wydawał się tym zbytnio zainteresowany.

– W Sancho's, w Santa Monica. Ale tam teraz jest jak w cholernej kostnicy. Przez cały czas knajpę odwiedziło może sześciu klientów, a i tak wszyscy wlepiali nos w telewizor. Co się dzieje w tym mieście? Karetki jeżdżą w tę i z powrotem. Umówiłam się z Olym i Sylwią, ale nie przyszli. Jakiś ponurak śpiewał smutne meksykańskie piosenki, więc postanowiłam wyjść.

– Masz ochotę na tajskie żarcie? – zapytała Dazey. – Zaraz będę zamawiać.

– Eee... nie, dziękuję. Na razie mam wszystkiego po dziurki w nosie. – Przycisnęła swoje obfite piersi do mojego ramienia i złożyła mi na policzku lepki purpurowy pocałunek. – Do zobaczenia, Czarodzieju – powiedziała, zsunęła się z kanapy i poszła do naszej sypialni, z trudem zachowując równowagę.

Trzasnęła drzwiami.

– Jeszcze po piwku? – zapytał mnie Rick.

– Nie, dzięki – odparłem i skinąłem w kierunku sypialni. – Dzisiaj wolę być trzeźwy.

– Hej, Daze! Dodzwoniłaś się wreszcie? – zawołał Rick. – Właściwie gdzie ty

zamawiasz to jedzenie?

Dazey ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w słuchawkę.

– W Pink Pepper. Próbowałam już dwa razy, ale nikt nie odbiera.

– Niemożliwe – stwierdził Rick. – Jesteś pewna, że masz dobry numer? Ci z Pink Pepper są zwykle tak szybcy, że jeszcze dobrze się nie zdecydujesz, na co masz ochotę, a dostawca już stoi pod drzwiami.

– Ale teraz nikt nie odbiera – powtórzyła Dazey. – W tej sytuacji będziemy musieli zadowolić się chińszczyzną.

Zatelefonowała do Kung Pao, a potem do Asukama Rice i jeszcze do Sushiya. Nikt nie odbierał telefonu. Zrezygnowana spróbowała się połączyć z California Wings, z takim samym skutkiem. Wyglądało na to, że wszystkie restauracje w Hollywood sprzedające jedzenie na wynos nagle przestały pracować.

– To jest jak w thrillerze – powiedział Rick. – Za chwilę się dowiemy, że zombi łążą po ulicach.

Na dworze było już ciemno, a wrażenie nadchodzącej apokalipsy potęgowało niekończące się wycie syren karetek, radiowozów policyjnych, a wkrótce również samochodów straży pożarnej. Jakby całe miasto wpadło w panikę.

– Mam w zamrażarce pizzę pepperoni. Nawet kilka sztuk – przypomniało się w końcu Dazey.

– No to jesteście uratowani – stwierdził z ulgą Rick.

Dazey poszła do kuchni. Nie spojrzała na Ricka, lecz ja widziałem, że jest bardzo zaniepokojony. Chyba nigdy dotąd nie widziałem go tak zmartwionego, nawet wtedy, gdy pewien ogolony na łyso egzekutor długów, dwa razy większy od niego, zagroził, że wbije mu zęby do gardła. Rick zepchnął Kleksa z kanapy i pochylił się w moją stronę. Nie chciał, żeby Dazey go usłyszała.

– Stary, co się dzieje, do ciężkiej cholery? To zaczyna mnie przerażać. Kiedy znalazłeś tę kobietę i jej dzieciaka, pomyślałem, o kurwa, jeżeli załatwiły ich pluskwy, to ja niedługo zacznę kręcić wielki biznes. Przecież każdy będzie mnie potrzebował, prawda? Ale kiedy pojechaliśmy do szpitala i zobaczyłem te tłumy ludzi wymiotujących krwią i gdy zdałem sobie sprawę, że nie ma tam, kurwa, nikogo, kto

potrafiłby im pomóc, pomyślałem sobie, że to już przestaje być zabawne. Skoro takie rzeczy dzieją się z ludźmi, których pogryzły pluskwy, najlepiej będzie, jeśli zacznę po prostu unikać miejsc, które one nawiedziły. – Umilkł na chwilę, potrząsnął głową i kontynuował: – Dazey może mieć rację, że to pluskwy spowodowały śmierć Bobika. Sprawdzę dokładnie Kleksa. Wyczeszę go grzebieniem przeciwko pchłom. Muszę się upewnić, czy i on mi wkrótce nie zdechnie.

– Może poczekaj z tym, aż zjemy pizzę – zasugerowałem.

Tej nocy Mazey nieznośnie chrapała. Ponadto rzucała się na łóżku i mruczała coś do siebie. Ale ja i tak nie zamierzałem spać. Byłem zbyt przejęty. Wciąż miałem przed oczami zwłoki tej kobiety i niebieski but jej syna wystający zza kanapy. Jak się okazało, chłopak miał na imię Feliciano, co znaczy „szczęściarz”.

Przez godzinę siedziałem na łóżku z laptopem Ricka na kolanach, szukając informacji o Matchitehewie i Megedagiku oraz o opętaniach w Loudun.

Według legend Matchitehew był młodym myśliwym, który podzielił się mięsem jelenia z nieznanym spotkanym w lesie. Nieznajomy nazywał się Wisakachek i był duchem, który potrafił zmieniać się w wilka. Wdzięczny za szczodrość Matchitehewa, Wisakachek obdarzył go umiejętnością, którą sam posiadał. Od tej pory Matchitehew mógł przyjmować postać wilka i w jego skórze łowić więcej jeleni, niż upolowałby, posługując się łukiem i strzałami. Wisakachek postawił mu tylko jeden warunek: nie wolno mu było krzywdzić ludzi.

Ale, jak to bywa w takich legendach, pewnego dnia Matchitehew zdenerwował się na przyjaciela, zamienił się w wilka i rozerwał tego przyjaciela na strzępy. Wisakachek wpadł w gniew i nie tylko zabronił Matchitehewowi wchodzić do lasu, ale zabrał mu też zdolność zmieniania postaci w dowolnym momencie; teraz Matchitehew każdego dnia był zwykłym człowiekiem, a każdej nocy wilkiem. Niektóre plemiona indiańskie nazywają Matchitehewa Ojcem Wilków; w rzeczy samej był pierwszym w historii wilkołakiem.

Dowiedziałem się, że imię Matchitehew znaczy „o złym sercu”, co mnie wcale nie zaskoczyło.

O jego bracie, Megedagiku, dowiedziałem się tylko tyle, że nigdy nie okazywał

wrogom litości i skazywał ich na najgorsze cierpienia. W języku Algonkinów jego imię znaczy po prostu „zabójca wielu”. Jedną z jego specjalności było dławienie ofiar ich własnymi genitaliami, które wpychał im do gardeł. Zacząłem rozumieć zachowanie ojca Zapaty...

Legendy potwierdziły też, że zarówno Matchitehew, jak i Megedagik są synami Misquamacusa, i to po nim odziedziczyli szamańskie moce. Misquamacus kontaktował się bezpośrednio z Wielkimi Starcami, którzy władali światem od zarania dziejów, i to ci starzy bogowie uczynili go najstraszliwszym czarownikiem, jaki kiedykolwiek żył na ziemi.

Dowiedziałem się też, że imiona Matchitehewa i Megedagika zostały, o ironio, nadane bohaterom gier miecza i magii. Gdyby tylko komputerowi maniacy, którzy wymyślali te gry, wiedzieli, jak okrutni byli ci dwaj bracia i jak wielu ludzi naprawdę zabili...

Potem poszukałem informacji o zakonnicach z Loudun i wtedy wszystkie fakty zaczęły mi się układać w logiczną całość. Ojciec Zapata powiedział mi, że pewnego księdza z pobliskiej parafii oskarżono o to, iż demony opętały urszulanki z klasztoru w Loudun. Wkrótce się dowiedziałem, że wcale nie chodziło o zwykłego, przeciętnego księdza. Był on bogaty, dobrze wykształcony i bardzo przystojny. Po tym, jak osiadł w parafii St-Pierre-du-Marche, romansował z kilkoma dziewczętami z okolicy, a jedna z nich zaszła nawet w ciążę.

Tymczasem w sierpniu 1632 roku zakonnice z Loudun zaczęły zdradzać objawy opętania przez szatana – bluźniły, przeklinały Boga i obnażały się.

Żeby nie przedłużać tej historii, powiem tylko, że ksiądz został oskarżony przez władze kościelne o czary i zesłanie demonów na zakonnice, które później wykorzystywał do własnych przyjemności seksualnych. Zamknięto go w więzieniu i dokładnie ogolono całe jego ciało, żeby ustalić, czy diabeł nie pozostawił na nim jakichś znaków. Później był torturowany; mimo to nie przyznał się do winy.

W końcu został skazany na śmierć. Zawleczono go na plac Saint Croix, ustawiono na stosie i spalono żywcem. Jednak płonąc, wciąż się modlił z uśmiechem na ustach, „jakby w nieznanym sposobie wystrychnął swoich prześladowców na dudka”.

Pod artykułem o zakonnicach z Loudun umieszczony był rysunek, który przedstawiał księdza. Gdy go zobaczyłem, po krzyżu przebiegły mi ciarki. Ksiądz na ilustracji wyglądał tak samo jak mężczyzna w szarym garniturze, którego widziałem w towarzystwie sióstr zakonnych, kiedy wylądowałem w Los Angeles. Nie miałem cienia wątpliwości: to był on.

W tym momencie wszystkie elementy łamigłówek zaczęły się układać, a przynajmniej tak mi się zdawało. Misquamacus celowo się spalił, żeby urodzić się na nowo w przyszłości. Ksiądz wikary także spłonął żywcem, a płonąc, wiedział, że powróci na ten świat.

Przez długi czas wpatrywałem się w podobiznę księdza, słuchając jednocześnie majaków i chrapania Mazey. Znam cię, pomyślałem. Podpis pod wizerunkiem mówił, że jest to ojciec Urbain Grandier.

Zamknąłem laptop i położyłem go ostrożnie na podłodze koło łóżka. Siedziałem w ciemności, wsłuchując się w wycie syren i rozmyślając nad tym, czego się dowiedziałem. Co powiedział Matchitehew? „Teraz wasze duchy są po naszej stronie”. W Los Angeles przebywał ojciec Grandier, a przynajmniej jego bezpośredni potomek. A skoro ojciec Grandier był synem siostry Marie opętanym przez Gresila, demona zarazy, to wszystkie ostrzeżenia Matchitehewa miały sens.

Zapewne niewiarygodny sens. Szalony sens. Ale jednak sens. Jeżeli czegoś się nauczyłem w czasie potyczek z Misquamacusem, to przede wszystkim tego, że zło nigdy nie dzieje się bez powodu.

Było już dla mnie zrozumiałe, że Matchitehew i Megedagik zaangażowali ojca Grandiera, żeby pomógł im się zemścić na kolonialistach, którzy odebrali im ziemię i wymordowali ich lud. Od Ojców Pielgrzymów, niemal po współczesne czasy, inwazji Ameryki towarzyszyły motywy religijne i ojciec Grandier chciał się zemścić na wyznawcach tej religii. I on, i Indianie mieli do wyrównania rachunki z chrześcijaństwem.

Byłem już tak skołowany, że trudno mi było racjonalnie myśleć. Położyłem się, naciągnąłem kołdrę na ramiona i zamknąłem oczy. Chociaż byłem bardzo zmęczony, długo nie mogłem zasnąć. Oczyma wyobraźni widziałem zakonnice, którym wyrastały



rogi i które patrzyły na mnie uwodzicielsko czerwonymi oczami. Słyszałem szepty i modlitwy, i szuranie trzewików po posadzce klasztoru. Czułem zapach dymu i kadzidła.

Spałem niecałe dwadzieścia minut, kiedy nagle obudził mnie jakiś głuchy odgłos i zaraz potem gwałtowne skrobanie do drzwi. Po chwili łoskot powtórzył się dwa razy i znów usłyszałem skrobanie. A potem powietrze przeszył dziwaczny skowyt.

Usiadłem i zapaliłem lampkę. Mazey leżała w pogniecionej pościeli i nie ruszała się. Wskoczyłem z łóżka i podszedłem do drzwi. Kiedy je otworzyłem, zobaczyłem, że Rick także wychodzi z sypialni, ubrany jedynie w obszerne szare bokserki. Włączył światło w salonie.

Wycie trwało, a towarzyszyły mu powtarzające się co kilka sekund łoskot i skrobanie.

Rick spojrzał na mnie zaspany.

– Do cholery, co to jest? Jakby dookoła domu kręcił się jakiś kojot!

Stwierdziliśmy, że hałas dociera zza tylnych drzwi. Rick wrócił do sypialni i usłyszałem, jak mówi coś do Dazey. Kilka sekund później wrócił do salonu z rewolwerem Smith & Wesson Governor.

– Co ty na to, Czarodzieju? Za chwilę zobaczysz martwego kojota.

– Tylko uważaj, dobrze? – ostrzegłem go. – Kiedy ostatnio widziałem cię z bronią, w moim własnym mieszkaniu, rozpieprzyłeś w drobny mak ekspres do kawy.

– Wtedy byłem pijany. A teraz jestem trzeźwy. W każdym razie prawie trzeźwy.

Poszedłem za nim do kuchni. Usłyszeliśmy kolejne uderzenie i skrobanie. Tym odgłosom towarzyszyło wycie, które sprawiło, że ciarki przebiegły mi po plecach. Obaj stanęliśmy w miejscu. Może i miał rewolwer, ale bał się tak samo jak ja.

Nagle pomyślałem: Matchitehew, Ojciec Wilków, za dnia człowiek, a w nocy wilk. A jeśli to on po mnie przyszedł, bo nie wykonałem jego rozkazu i nikogo nie ostrzegłem, że nadchodzi zaraza?

Znowu rozległ się łomot, i jeszcze jeden, kolejne skrobanie do drzwi i skowyt, wysoki, upiorny, pełen grozy.

– Zapal światło – powiedział Rick. – Jeżeli to coś nas zobaczy, prawdopodobnie

się przestraszy i ucieknie.

– O ile wiem, kojoty nie boją się ludzi.

– A skąd ja mam to wiedzieć? Jeszcze nigdy w życiu żaden kojot nie dobijał się do moich drzwi. Wychowałem się w mieście, tak jak ty.

Łup-łup-łup! Teraz nie miałem już żadnych wątpliwości, że jakieś zwierzę rzuca się całym ciałem na drzwi. Miałem nadzieję, że są na tyle mocne, żeby zatrzymać intruza na zewnątrz, ale nic z tego, tynk dookoła framugi zaczął pękać, a jedna z desek w drzwiach była już prawie wyłamana.

Rick podniósł broń i odbezpieczył ją. Podszedł do drzwi na lekko ugiętych nogach. Lewą rękę wyciągnął przed siebie, jakby chciał nią powstrzymać zwierzę, gdyby wpadło do środka. Był już prawie przy drzwiach, kiedy zupełnie niespodziewanie zwierzę stanęło na tylnych łapach i zajrzało do kuchni przez okienko w drzwiach.

O rany, pomyślałem. To wilk. Matchitehew przyszedł mnie ukarać.

– Kurwa mać, Czarodzieju! To przecież Bobik! – zawołał Rick.

Próbowałem to sprawdzić przez okno w drzwiach, jednak zwierzę zniknęło z pola widzenia. Rick popatrzył na mnie i powiedział drżącym głosem:

– Nie mogę uwierzyć! To jest Bobik!

– Jaki Bobik? Przecież Bobik zdechł! Sami go pochowaliśmy!

– Może jeszcze żył i jakoś zdołał się odkopać?

– On był martwy, Rick, na miłość boską! Przecież stracił mnóstwo krwi!

Rick stał przez chwilę bez ruchu, zastanawiając się. Łomot, skrobanie i wycie ustały jak ręką odjął i zapanował spokój.

– Jestem pewien, że to Bobik. Może wcale nie stracił tak dużo krwi, jak nam się wydawało?

Czekaliśmy. Może za drzwiami był i Bobik, w każdym razie zwierzę przestało się rzucać na drzwi i wyc.

– Jeżeli to jest Bobik – odezwał się Rick – to nie możemy go tak po prostu zostawić za drzwiami. Może jest głodny i spragniony, a może potrzebuje weterynarza?

– Rick, jeśli on przetrwał pogrzebanie żywcem, jestem pewien, że przeżyje do

rana.

– Zapalę światło na podwórzu. Może go zobaczymy?

– Rick...

Uważałem, że zapalenie zewnętrznego światła nie jest dobrym pomysłem, szczególnie jeśli na podwórzu nie było Bobika, a krył się tam Matchitehew w skórze wilka albo nawet parszywego starego kojota. Niestety, nie potrafiłem nic wymyślić, żeby powstrzymać Ricka. Bo jeżeli mieliśmy naprawdę do czynienia z Bobikiem, pozostawienie go własnemu losowi byłoby okrutne.

Rick zapalił światło i wyjrzał na podwórze przez okno, osłaniając oczy przed blaskiem reflektora.

– No i co? – zapytałem go.

– Hmm... Na razie nic nie widzę. Może postanowił się gdzieś ukryć?

Przekręcił klucz w zamku i odciągnął zasuwę.

– Rick... bądź ostrożny.

Rick uniósł wyżej broń.

– To dzieciątko potrafi powstrzymać każde zagrożenie, Czarodzieju.

Otworzył drzwi i wyjrzał na podwórze. Trzymałem się w bezpiecznej odległości za jego plecami. Poza tym, że wcale nie byłem pewien, czy to był Bobik, nie chciałem przypadkowo znaleźć się na linii strzału. Zwłaszcza że mój przyjaciel nie był strzelcem wyborowym. W Nowym Jorku nie tylko rozwalił mój ekspres do kawy. Zrobił też trzy wielkie dziury w suficie i omal nie zabił pani Greenbaum, mojej sąsiadki.

Poza zwykłymi odgłosami nocy nie słyszeliśmy nic. Panowała cisza. Rick obszedł całe podwórze. Co kilka kroków kuczał, żeby zajrzeć głębiej pod krzaki.

– Nic – oznajmił w końcu. – Jestem pewien, że się stąd wyniósł.

Wciąż kuczał, próbując zaglądać od dołu pomiędzy krzewy bukszpanu, gdy w powietrzu rozległ się rozdzierający skowyt; każdy, kto oglądał kiedyś film o wilkołakach, na pewno będzie wiedział, o czym mówię. W tym samym momencie z krzaków wyskoczyło jakieś zwierzę i pognało przez podwórze prosto w kierunku otwartych drzwi do kuchni.

Skoczyło na schody i dało susa w moim kierunku, zanim zdołałem się odsunąć. To był Bobik, bez dwóch zdań. Jego sierść była posklejana, brudna, pełna błota i zakrzepłej krwi, ale to był on. Jednak obecnie miał niewiele wspólnego ze spokojnym, posłusznym Bobikiem, jakim był, zanim zdechł, albo przynajmniej teoretycznie zdechł. Jego żółte oczy skrzyły się, zęby miał obnażone, a ciężki był niczym worek cementu. Padłem do tyłu jak kłoda. Upadając, boleśnie uderzyłem ramieniem w stół i przewróciłem jedno z krzeseł.

Bobik natychmiast skoczył mi łapami na pierś, a jego ośliniony pysk znalazł się tuż nad moją twarzą. Był zimny, cuchnący i nieprawdopodobnie ciężki. Kiedy spróbowałem się podnieść, warknął i zatopił kły w mojej ręce, sprawiając mi nieprawdopodobny ból. Zacisnąłem zęby i zdołałem uwolnić pokrwawione ramię.

Pies skoczył mi do szyi. Próbowałem go odepchnąć, walczyłem z nim, biłem po łbie, ciągnąłem za uszy, lecz on nic sobie z tego nie robił. Poczulem na policzku jego twarde, zimny nos, a w chwilę potem z rozerwanej małżowiny usznej trysnęła krew. Pies nadal trzymał łapy na mojej klatce piersiowej i udach.

Czułem, że dłużej nie wytrzymam. Wciąż skakał mi do szyi i już dwukrotnie jego kły drasnęły skórę. Boże, on mnie zagryzie, myślałem w panice. Czytałem, że są różne sposoby na powstrzymanie atakującego psa, byłem jednak zanadto skupiony na niedopuszczeniu kłów Bobika do mojej szyi, żeby próbować jakichś innych metod walki. Poza tym i tak nie miałem szans – był zbyt agresywny i za ciężki. Jakby go opętał diabeł.

Nagle poczułem, że Rick klęka obok mnie.

– Nie ruszaj się! – zawołał.

Bobik warczał tak głośno, że prawie nie usłyszałem Ricka.

Złapał Bobika za ucho i przycisnął lufę do jego głowy. Bobik szarpnął nią i spróbował ugryźć go w rękę. Rick jednak nacisnął spust i rewolwer wypalił z ogłuszającym hukiem. Psi łeb eksplodował, a fragmenty jego czaszki, mózgu i sierści rozprysnęły się jak ciepły szary sos – w większości na moją twarz.

Niewiarygodne, ale pozbawiony połowy łba, Bobik wciąż mnie atakował. Stracił ślepie, nos i część górnej szczęki, zuchwa zwisała bezwładnie, wciąż jednak

doskakiwał do mojej szyi, chcąc wbić się w nią pozostałymi mu jeszcze kłami.

– Ściągnij go ze mnie! – wyjęczałem. Ucisk ciężkiego ciała Bobika sprawiał, że nie mogłem nabrać powietrza do płuc i z wielkim wysiłkiem wypowiadałem każde słowo. – Sharky, na miłość boską, ściągnij go ze mnie!

Rick strzelił jeszcze raz, teraz celując w korpus Bobika. Poczułem, że psem rzuciło, gdy kula rozerwała mu wnętrzności. Nadal jednak nie odpuszczał. Rick strzelił po raz trzeci, tego strzału jednak nie usłyszałem, ponieważ ogłuchłem po poprzednich dwóch. Kula tym razem rozerwała Bobikowi miednicę i zwierzę w końcu stoczyło się na podłogę.

Rick podał mi rękę i pomógł wstać na nogi. Kleiłem się od krwi i mózgu. W tej szaroczerwonej mazi tkwiły fragmenty psich kości.

– Co to było? – powiedział Rick, patrząc na ciało Bobika. – Przecież już pierwszy strzał powinien był go wykończyć.

– Zacznijmy od tego, że on w ogóle nie powinien żyć – odparłem z wysiłkiem.

Dazey wyszła z sypialni i przez chwilę stała w salonie, ubrana w koszulkę z wizerunkiem Myszkki Minnie. Następnie przystanęła na progu kuchni. Włosy miała potargane.

– Rick, co się stało? Czy to Bobik? – zdziwiła się, spoglądając na psie zwłoki.

– To, co z niego zostało – odpowiedział Rick. Otworzył bębenek rewolweru i wytrząsnął z niego puste łuski. – Na miłość boską, nie wiem, jak on to zrobił, ale wy dostał się z grobu i zaatakował Czarodzieja.

Dazey z niedowierzaniem rozglądała się po kuchni.

– A gdzie jest Kleks? Nigdzie go nie widzę.

– Nie wiem – mruknąłem. – Nie widziałem go, odkąd się obudziłem.

W tym momencie Kleks wyszedł z za kanapy w sypialni. Stał w progu kuchni, popatrzył na zwłoki przyjaciela i zaskowyczał żałośnie. Pewnie się przestraszył, kiedy usłyszał Bobika, i schował się w najciemniejszym kącie. Nie powiedziałem tego Rickowi, zachowanie psa utwierdziło mnie jednak w przekonaniu, że Bobika opętał jakiś duch, może duch Matchitehewa, Ojca Wilków. No bo nie mogłem uznać za przypadek tego, że oszalały Bobik ruszył prosto na mnie, ignorując Ricka.

Podejrzewałem, że synowie Misquamacusa postanowili ukarać mnie za to, że nie wykonałem ich poleceń. Powiedzieli mi, że zasady honorowe ich plemienia nie pozwalają im osobiście atakować kogoś, kto pokonał ich ojca. Z pewnością jednak nie powstrzymywały od posłużenia się psem.

– Strasznie wyglądasz – powiedziała Dazey. – Idź do łazienki i ogarnij się trochę. Rick, pomogę ci posprzątać kuchnię.

Myślę, że wszyscy byliśmy w szoku. Bez słowa poszedłem do łazienki, żeby wziąć prysznic, a Rick wyciągnął plastikowy worek na śmieci i zaczął wkładać do niego szczątki Bobika. Dazey nalała do zlewu kuchennego gorącą wodę i dołała do niej płynu do mycia podłóg.

Kleks siedział przy drzwiach z lekko przekrzywioną głową i sprawiał wrażenie, jakby wciąż nie rozumiał, co się dzieje. I, mówię wam, nie był w tym osamotniony.

## ROZDZIAŁ 25

Nikt z nas nie miał ochoty spać, jednak byliśmy skrajnie zmęczeni i postanowiliśmy mimo wszystko się położyć. Była dopiero 3.35, a nie mieliśmy pojęcia, z czym przyjdzie się nam zmierzyć następnego dnia. Nawet Kleks wgramolił się na swoje legowisko.

Obawialiśmy się, że z powodu strzałów zapukają do nas gliniarze, jednak nocna strzelanina albo nie wywołała wrażenia na żadnym z sąsiadów, albo policja miała nadmiar roboty z przewożeniem chorych do szpitali.

Mimo hałasu i zamieszania Mazey się nie obudziła. Zanim zgasilem światło, pochyliłem się nad nią, żeby sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku. Była spocona i oddech miała przyśpieszony, jakby przed chwilą ukończyła wyczerpujący bieg. Noc była jednak gorąca, a poza tym nie miałem pojęcia, ile alkoholu wypła wieczorem.

Położyłem się. Przez chwilę słyszałem zza ściany szmer rozmowy, ale wkrótce Rick i Dazey umilkli. Upłynęło kilka minut, zanim zdałem sobie sprawę, że wokół panuje głucha cisza. Nie było już słycać cykad, zamarły syreny ambulansów i ruch samochodów na ulicach. Dziwne.

W pierwszej chwili pomyślałem, że ogłuchłem z powodu strzałów, bo Rick trzymał rewolwer blisko mojego ucha, ale zaraz uzmysłowiłem sobie, że przecież słyszę oddech Mazey i szelest pościeli.

– Mishkway – mruknęła.

A przynajmniej tak zrozumiałem.

Leżałem, nasłuchując. Oddech dziewczyny był trochę nieregularny, ale nie widziałem w tym nic niepokojącego.

– Mishkway – powtórzyła. A potem dodała: – Mokra masa.

Cóż, pomyślałem, ja pewnie mówię przez sen jeszcze głupsze rzeczy. Właściwie byłem tego pewien. Sandy powiedziała mi kiedyś, że śpiąc, recytowałem w nocy wiersz Walta Whitmana o gwiazdach, ale pomyliłem tekst: „Patrzyłem na gwiazdy... w sapiącej ciszy...”.

Zamknąłem oczy i już miałem wpaść do zbawiennej czarnej dziury, kiedy usłyszałem, jak Mazey rzuca się w pościeli, a potem dotarło do mnie, że tupnęła nogami w podłogę. Znowu otworzyłem oczy. Przez długą chwilę leżałem w ciszy, a ona siedziała na skraju łóżka, ciężko oddychając przez nos.

Wreszcie zapytałem:

– Mazey, nic ci nie jest?

Nie odpowiadała.

– Mazey?

Wciąż milczała, wstała, podeszła do mojego łóżka i spróbowała na mnie usiąść. Silnie czuć było od niej alkohol i jakieś pizmowe orientalne perfumy – do których po dwóch dniach już przywykłem – i chociaż cała błyszczała od potu, była zimna jak lód. Jej koszula była mokra i odsłaniała piersi.

– Mazey – powiedziałem, ale ona położyła się na mnie i czołem uderzyła mnie prosto w nos.

Przez moment widziałem gwiazdy, jak Walt Whitman, ale po chwili zebrałem się w sobie i zdołałem ułożyć Mazey na łóżku.

Właśnie sięgałem do włącznika lampki nocnej, kiedy dziewczyna zatrzęsła się, jej ciało wygięło się w łuk, napięte mięśnie zaczęły drżeć, a palce rąk kurczyć się i prostować.

– Zabierz to... zabierz... – powiedziała przez zaciśnięte zęby i nagle wymiotowała.

Z jej ust trysnął na mnie ciepły potok.

Zapaliłem światło i zobaczyłem, że cały jestem we krwi, podobnie jak moja pościel. Mazey wpatrywała się we mnie z przerażeniem. Miała bladą twarz, ale usta czerwone jak wampir.

– Zabierz to ze mnie, Czarodzieju – jęknęła, a z ust popłynęła kolejna fala pianistej krwi. – Proszę cię, zabierz to.

– Mazey – powiedziałem. – Muszę cię zawieźć do szpitala!

A przecież wiedziałem, że wszystkie szpitale w mieście są zapełnione pacjentami i że prawdopodobnie w żadnym nie uzyska pomocy, jeśli w ogóle gdzieś ją przyjmą.



Ale co mogłem zrobić? Stać nad nią i obserwować, jak miotają nią drgawki, i czekać, aż umrze tak jak ojciec Zapata?

Otworzyły się drzwi do sypialni. Stał w nich Rick.

– Kurwa mać, Czarodzieju!

Być może w pierwszej chwili przyszło mu do głowy, że morduje Mazey, ale zaraz porzucił tę myśl, gdy zobaczył, jak dziewczyna rzuca się na łóżku i po raz kolejny wymiotuje krwią.

– Kurwa mać, co się z nią dzieje?

– Myślę, że zachorowała na to samo, co zabiło Bobika i wszystkich tych ludzi.

– Harry, zabierz to ode mnie! Zabierz to! – wrzasnęła Mazey.

– Co to znaczy? – zdziwił się Rick. – Co niby masz zabrać?

W tym momencie weszła Dazey.

– Mazey! O Boże! Harry, co się z nią dzieje?

– To jest ta epidemia – odparłem. – Nie wiem, gdzie się zaraziła, musimy jednak zorganizować jej jakąś pomoc, i to szybko. Gdzie jest najbliższy szpital z oddziałem ratunkowym?

– Trzeba po prostu zadzwonić na dziewięć-jeden-jeden – powiedziała Dazey przytomnie. – Musimy wezwać karetkę! – Uklękła na podłodze obok siostry i ujęła jej rękę, mimo że całe były we krwi. – Trzymaj się, Mazey! Trzymaj się, kochana! Zaraz cię zawieziemy do szpitala!

Wziąłem do ręki zakrwawiony telefon komórkowy i wystukałem numer 911, chociaż, prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, że ktoś odbierze. Po jakichś trzydziestu sekundach wsłuchiwania się w przerywany sygnał popatrzyłem na Ricka i potrząsnąłem głową.

– Żaden ambulans nie przyjedzie po Maze. Wszystkie są zajęte – stwierdził Rick ze smutkiem. – Wszyscy widzieliśmy wiadomości. Chorują tysiące ludzi. Nawet nie wiem, czy sami zdołamy dowieźć ją do szpitala.

– Przecież nie możemy pozwolić jej umrzeć! – zawołała Dazey. – To jest moja ukochana młodsza siostra! Obiecałam mamie, że zawsze będę się nią opiekowała.

Mazey znowu się zatrzęsła i zwymiotowała krwią.

– Proszę – powiedziała tak słabym głosem, że ledwie ją usłyszeliśmy. – Proszę, zabierzcie to ode mnie.

Tymczasem włączyłem Internet w telefonie i szukałem najbliższego szpitala. Prawdopodobnie był to Valley Presbyterian Hospital, gdzie spędziliśmy z Rickiem popołudnie, ale przecież już wtedy był przepełniony. Uznałem, że bardziej realne możliwości pomocy dla Mazey uzyskamy w Cedars-Sinai przy Beverly Boulevard, ponieważ był on dużo większy.

– Włóż coś na siebie, Sharky – powiedziałem do Ricka. – Sami zawieziemy ją do szpitala.

Poszedłem do łazienki, napełniłem umywalkę zimną wodą i zamoczyłem ręcznik. Chciałem zetrzeć nim krew z Mazey. Potem szybko doprowadziłem się do porządku i poszedłem do sypialni, gdzie włożyłem dzinsy i niebieską koszulę w kratę. Dazey przytulała Mazey, która na razie nie wymiotowała. Po kilku sekundach wrócił Rick, ubrany na czarno, jak zawsze.

– Pojadę z wami – powiedziała Dazey. – Zabierzcie ją do furgonetki. Potrzebuję tylko kilku sekund.

Ściągnąłem koc z łóżka Mazey i otuliłem nim dziewczynę. Z trudem uniosła rękę i odezwała się:

– Czarodzieju, proszę...

– Wszystko w porządku, Mazey – wyszeptałem prosto do jej ucha. – Wyjdiesz z tego. Tylko się nie poddawaj. Nie poddawaj się, proszę.

Przewróciła oczami tak, że przez chwilę widać było tylko ich białka, i wydała z siebie okropny, skrzekliwy wrzask.

– Proszę cię, Czarodzieju... zabierz to ode mnie. Proszę cię. To mnie zabija.

Nie wiedziałem, co mógłbym jeszcze powiedzieć. Razem z Rickiem przenieśliśmy ją do furgonetki; ja trzymałem ją pod pachami, a Rick złapał za nogi. Ułożyliśmy ją z tyłu, pomiędzy sprzętem do dezynsekcji, i przymocowaliśmy do podłogi pasami, które zwykle służą do przytrzymywania przewożonego ładunku.

Po kilku sekundach z domu wyszła Dazey. W ręce trzymała ręcznik kąpielowy. Wskoczyła do samochodu i usiadła obok siostry.

– Mazey? – odezwała się. – Jestem już przy tobie, kochanie. Zawieziemy cię do szpitala i wszystko będzie dobrze. – Popatrzyła na Ricka. – Ruszaj, do cholery. Nie chcę jej stracić!

Rick z piskiem opon wycofał furgonetkę z podjazdu i popędził nią najpierw na południowy zachód, a później na południe.

Nic dziwnego, że w nocy nie słyszałem już syren ambulansów. Ulice były niemal kompletnie opustoszałe. Zobaczyliśmy zaledwie kilka zabłąkanych pojazdów; zdawało się, że ich kierowcy jeżdżą po mieście zupełnie bez celu. Kiedy skręciliśmy w Santa Monica Boulevard, w kierunku zachodnim, zobaczyłem trzy osoby leżące na chodniku przed Michelle's Donut House, mężczyznę i dwie kobiety. Na trotuarze obok nich lśniła kałuża świeżej krwi, a mężczyzna wyginał się w konwulsjach.

Rick zwolnił na ich widok, a ja w tej samej chwili usłyszałem, jak Mazey wymiotuje.

– Nie możemy, Rick – powstrzymałem go. – Wątpię, czy zdołamy uratować Mazey, nie możemy tracić czasu na obcych ludzi.

Jedna z kobiet, które leżały na chodniku, musiała nas zauważyć, bo uniosła rękę, chcąc na nas pomachać. Rick popatrzył na mnie. Wytrzymałem jego spojrzenie, a wtedy on mocniej nacisnął na pedał gazu i pognaliśmy Santa Monica z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę. Nie widzieliśmy żadnego innego samochodu, przejeżdżaliśmy więc na czerwonych światłach jedno skrzyżowanie po drugim.

Do Cedars-Sinai dotarliśmy w niecałe dziesięć minut. W każdy inny dzień droga zabrałaby nam przynajmniej dwa razy więcej czasu. Ale kiedy hamowaliśmy przy szpitalu, widzieliśmy parking zapchany mnóstwem byle jak pozostawionych samochodów, tak jakby ich właściciele opuszczali pojazdy w ogromnym pośpiechu. Przed drzwiami do izby przyjęć stało ze trzydzieści ambulansów. Wszystkie błyskały kogutami.

– Popatrz na te wszystkie karetki – powiedział Rick, zatrzymując furgonetkę w kawałku wolnego miejsca przy krawężniku za jakimś usmarowanym krwią autem, stojącym dwoma przednimi kołami na chodniku. – Dlaczego nie jeżdżą po następnych chorych?

– Może w szpitalu nie ma już miejsca?

– Być może. Zobaczymy.

Rick otworzył tył furgonetki i wspólnymi siłami wyciągnęliśmy z niej Mazey. Ręcznik kąpielowy, który Dazey zabrała z domu, był niemal przesiąknięty krwią. Dazey miała też pełno plam na koszulce.

– Boże, ona chyba umiera – powiedziała Dazey, niezgrabnie wyskoczywszy z samochodu. – Ciągłe powtarza „zabierzcie to”, „zabierzcie to”, a ja nie mam pojęcia, o co jej chodzi.

– Zaraz zaniesiemy ją do szpitala – uspokajał ją Rick. – Trzeba jej przetoczyć krew, i to szybko.

Kiedy nieśliśmy ją przez parking, Mazey dostała drgawek. Wiła się, podrygiwała i kopała, a my z Rickiem musieliśmy użyć siły, żeby ją utrzymać. Gdy dotarliśmy do drzwi, zobaczyliśmy, że chodnik przed szpitalem jest szkarłatny. Lepił się do stóp i widać było na nim odciski setek butów.

Dwóch ochroniarzy, robiących wrażenie bardzo zmęczonych, pełniło służbę przed drzwiami. Jeden z nich podniósł rękę, zatrzymując nas.

– Izba przyjęć jest już zapełniona do ostatniego miejsca. Przykro mi.

– Naprawdę? – zapytałem ze złością. – To co mamy robić? Ta kobieta umiera.

– Setki ludzi umierają, proszę pana. Nasi lekarze pracują bez wytchnienia, lecz nie są w stanie obsłużyć więcej pacjentów.

– Więc co pan nam radzi? Mamy ją zawieźć do najbliższej kostnicy?

– Przykro mi, proszę pana. Bardzo bym chciał panu pomóc, ale nie mam możliwości. Możecie z nią pojechać do Olympia Medical Center na West Olympic. Albo do St Vincent przy Zachodniej Trzeciej Ulicy.

– Widziałem zdjęcia z tych szpitali w telewizji – powiedziałem. – Już od wczorajszego wieczoru odsyłają ludzi z kwitkiem.

– Obawiam się, że my musimy postąpić tak samo – stwierdził ochroniarz.

Był bardzo młodym Latynosem, miał drobny czarny wąsik i poza tym, że był zmęczony, był też z pewnością szczerze przybity faktem, że nie może nam w żaden sposób pomóc. Przypominał mi trochę Felipe, syna Marcosa Hernandeza. Byłem

skłonny współczuć jego ciężkiej doli.

Rick jednak nie był pokojowo nastawiony. Szybkim ruchem odsłonił lewą połą czarnej dżinsowej kurtki i warknął:

– Widzisz to, przyjacielu? To jest specjalna przepustka, która upoważnia nas do wejścia wszędzie tam, dokąd zechcemy. A w tej chwili chcemy przenieść siostrę mojej dziewczyny do izby przyjęć i zrobimy wszystko, żeby tej młodej osobie ocalić życie. Ta specjalna przepustka podpowiada mi, że damy sobie radę. Jasne?

Ochroniarz popatrzył na czarną wzorzystą rękojeść rewolweru Smith & Wesson Governor wystającą zza czarnego paska Ricka. Następnie spojrzał pytająco na partnera, szpakowatego mężczyznę w średnim wieku. Ten wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „A co mi do tego?”. Wokół nie było widać policjantów i w sumie istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że któryś się tutaj znajdzie akurat w tej chwili. Szanse uratowania Mazey i tak równały się praktycznie zeru, zatem groźna scysja z uzbrojonym natrętem toczyłaby się praktycznie o nic. Po co się więc narażać?

Młody ochroniarz otworzył nam jedne z przesuwanych drzwi i wnieśliśmy Mazey do szpitala. Kiedy ruszyliśmy do recepcji, nasze buty rozbryzgiwały krew na posadzce. Za kontuarem nie było nikogo, skierowaliśmy się więc korytarzem prosto do izby przyjęć.

Idąc tym korytarzem, odniosłem wrażenie, że bniemy pomiędzy ofiarami jakiejś krwawej bitwy; ludzie leżeli po obu stronach na przesiąkniętych krwią kocach. Niektórzy bez wątpienia byli już martwi, ponieważ ich oczy patrzyły ślepo w sufit. Przerazające były twarze tych zmarłych. Wszyscy mieli otwarte usta, jakby śmierć dopadła ich w pół krzyku. Można by pomyśleć, że przyczyną ich zgonów było przerażenie, a nie zakaźna choroba.

Przenieśliśmy Mazey na środek izby przyjęć, uważając, żeby po drodze nikogo nie nadepnąć. Zewsząd rozlegały się wrzaski chorych i odgłosy towarzyszące wymiotom. Musiało tu przebywać co najmniej ze trzystu pacjentów. Smród krwi i wymiocin był wprost nie do zniesienia.

Podeszła do nas pielęgniarka o azjatyckich rysach twarzy i energicznie pokręciła głową.

– Nic nie mogę dla niej zrobić, bardzo mi przykro. Widzicie przecież, jaka jest sytuacja.

– A są tu jacyś lekarze? – zapytał Rick.

– Każdy lekarz zajmuje się większą liczbą pacjentów, niż powinien. Przyjeliśmy zasadę, że próbujemy leczyć w kolejności zgłoszeń do szpitala. Nie czynimy żadnych wyjątków. Najlepsze, co możecie zrobić dla tej dziewczyny, to zabrać ją z powrotem do domu.

– Ona umiera – powiedziała Dazey. – Naprawdę nic nie może pani zrobić?

Pielęgniarka znowu pokręciła głową.

– Będę z panią szczerą. Nie mamy pojęcia, co to za choroba, i nie potrafimy jej leczyć.

– Muszę ją na chwilę położyć, Shark – powiedziałem do Ricka. – Bo zaraz pęknie mi kręgosłup.

Ułożyliśmy Mazey na podłodze. Uspokoila się na moment i zamknęła oczy. Jednak kiedy rozejrzałem się po izbie przyjęć, zobaczyłem mnóstwo ludzi w takim stanie. Nie dowodziło to bynajmniej, że z Mazey jest chociaż odrobinę lepiej.

Zobaczyłem jednak coś jeszcze. Po drugiej stronie pomieszczenia, za kotarą oddzielającą miejsce z łóżkiem, dostrzegłem zakonnice.

– Co się stało, Czarodzieju? – zapytał mnie Rick. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Tam jest zakonnica – powiedziałem.

– Zakonnica? No i co z tego? Ludzie tutaj umierają. Pewnie udziela im ostatniego namaszczenia, słucha spowiedzi albo coś w tym stylu.

Zrobiłem kilka kroków w lewo, omijając zalegających pokotem ludzi. Za ledwie dwa metry ode mnie jakaś kobieta zwymiotowała dosłownie fontanną krwi, która zbryzgała przynajmniej kilka osób, jednak żadna z nich nie zareagowała. A ja zobaczyłem w tej samej chwili, że są tam dwie zakonnice. Obie miały czarne habity i twarze zasłonięte welonami.

Podszedłem z powrotem do Ricka i powiedziałem do niego:

– Są nawet dwie.

– No proszę, zobaczyłeś nawet dwie zakonnice.

– Ale to właśnie one roznoszą tę chorobę. Kto był ostatnim gościem w Elite Suites, zanim rozpanoszyły się tam pluskwy? Zakonnice. Kto był ostatnim gościem Royaltie Inn, zanim zachorowała administratorka? Zakonnice. Co się stało z Bobikiem? A teraz zaraziła się Mazey. To wszystko się łączy, Rick.

Znowu nabrałem ochoty, żeby mu opowiedzieć o zakonnicach, które pojawiły się w mojej chacie w Coral Gables, o Matchitehewie i Megedagiku, ale Rick nie wierzył w żadne moce nadprzyrodzone. Poza tym powiedziałem mu dość, żeby go przekonać.

– Chyba musimy zabrać Mazey do domu – stwierdziła Dazey. Jej policzki były mokre od łez. – Jeśli i tak musi umrzeć, nie chcę, żeby wyzionęła ducha w takim parszywym miejscu.

– Dobrze – przytaknął jej Rick. – Wygląda na to, że i tak nie mamy żadnego wyboru.

Mieliśmy właśnie podnieść Mazey, kiedy zobaczyłem, że przez podwójne drzwi wchodzi do pomieszczenia wysoka blondynka w białym fartuchu laboratoryjnym. Na nosie miała okulary, a w rękach trzymała tekturową podkładkę z przypiętym do niej plikiem kartek. Roztaczała wokół siebie taką aurę, jakby dowodziła całą tą umieralnią.

– Poczekaj chwilę – powiedziałem do Ricka. – Ta ślicznotka wygląda mi na lekarkę.

Przeskakując nad leżącymi pacjentami, po chwili do niej dotarłem. Rozmawiała właśnie z dwiema pielęgniarkami o pobieraniu od chorych krwi do badań. Odczekałem cierpliwie, dopóki nie skończyła.

Już miała odejść, kiedy zwróciłem się do niej:

– Pani doktor?

Zdjęła okulary i popatrzyła na mnie ze zmarszczonym czołem.

– Jestem epidemiologiem. Prowadzę badania... Poszukujemy leku przeciwko tej chorobie.

– Och, przepraszam. Widzi pani, zaraziła się nią także siostra dziewczyny mojego przyjaciela. Bardzo cierpi.

– Bardzo mi przykro. Mogę pana zapewnić, że pracujemy intensywnie, ale niestety

nie dysponujemy żadnym środkiem, który mógłby przywracać zdrowie tym nieszczęśnikom. Nie wiemy, w jaki sposób choroba się rozprzestrzenia, chociaż mamy już kilka teorii.

– Pluskwy – powiedziałem.

Popatrzyła na mnie spod przymrużonych powiek.

– Pluskwy? Dlaczego pluskwy?

– Wątpię, czy mi pani uwierzy, kiedy powiem.

– Nie, proszę mówić. Myśli pan, że tę chorobę przenoszą pluskwy? Dlaczego?

– Ponieważ mój przyjaciel zajmuje się zawodowo tępieniem owadów i już dwukrotnie wezwano nas, żeby przeprowadzić dezynsekcje w hotelach, które zaatakowały pluskwy. Widzieliśmy łóżka, na których roiło się od tysięcy tych owadów. Za drugim razem, kiedy wróciliśmy do domu, zachorował pies mojego przyjaciela i zdechł w taki sam sposób, w jaki umierają teraz ludzie – wymiotował krwią, miał drgawki i tak dalej. A był to pies szkolony do wyczuwania pluskiew. Widziałem zwłoki administratorki jednego z hoteli. Zmarł także jej syn. Teraz zachorowała ta dziewczyna i nie wiemy, co robić, do cholery, żeby ją ocalić.

– Chwileczkę – powiedziała kobieta. – Dlaczego właściwie jest pan pewien, że śmierć i choroby, z którymi się pan zetknął, spowodowały pluskwy? Bo ten związek dla mnie raczej nie jest oczywisty.

– Z powodu zakonnic.

– Co?! – zawołała kobieta.

Nigdy dotąd nie widziałem, żeby ktoś w jednej chwili tak zbladł.

– Za każdym razem, zanim w hotelu pojawiły się pluskwy, mieszkały w nich siostry zakonne.

Kobieta złapała mnie za ramię tak mocno, że aż mnie zabolalo.

– Znajdźmy jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli porozmawiać – powiedziała.

Popatrzyłem na Ricka i Dazey. Pokazałem im rozczapierzoną dłoń, co miało oznaczać, że wrócę za pięć minut. Rick odpowiedział uniesionym kciukiem, a kobieta wyprowadziła mnie przez podwójne drzwi na korytarz. Wciąż ścisnęła moje ramię.

Otwierała po kolei różne drzwi. Dopiero za trzecim razem znalazła puste biuro z



dwoma krzesłami i stertami papierów na biurku. Zapaliła światło i powiedziała:

– Zakonnice.

– Owszem – przyznałem ostrożnie. – Zakonnice.

– Ale nie ma pan żadnych twardych dowodów, że to one roznoszą chorobę?

Przez chwilę się wahałem, wreszcie zacząłem:

– Proszę mnie posłuchać, pani doktor...

– Jestem profesorem epidemiologii. Nazywam się Anna Grey i należę do zespołu, który stara się wyizolować wirusa i znaleźć sposób leczenia wywołanej przez niego choroby. Przyjechałam do Cedars-Sinai po świeże próbki krwi.

Popatrzyłem na ścienny zegar. Było dwanaście po piątej. Anna Grey zauważyła to i powiedziała:

– Nie mogłam spać. Poza tym to naprawdę pilne. Zresztą, chyba nie muszę panu tego mówić?

– Mam pani bardzo wiele do powiedzenia, ale wątpię, że uwierzy pani w chociaż jedno słowo. Jestem jednak przekonany, że znam przyczynę tej choroby. Przy okazji, nazywam się Erskine, Harry Erskine. W pewnym sensie jestem terapeutą.

– A w jakiej dziedzinie?

– Można powiedzieć, że w dziedzinie rozwoju osobistego. Ale to teraz nieważne. Najważniejsze jest to, żeby wysłuchała pani, co mam do powiedzenia.

Opowiedziałem jej wszystko. O zakonnicach, o różach, które wrzucono przez moje okno, o ojcu Zapacie, no i o syndromie Loudun. Opowiedziałem jej o moich dawnych potyczkach z Misquamacusem. Opowiedziałem jej o Matchitehewie i Megedagiku.

Ku mojemu rosnącemu zaskoczeniu, kobieta siedziała i słuchała mnie cierpliwie, nie przerywając mi ani słowem. A nawet co jakiś czas kiwała głową, jakby doskonale rozumiała, o czym mówię. Miałem przed sobą eksperta, który usiłuje walczyć z jedną z najgorszych epidemii w Ameryce od czasów „hiszpanki”, a on poświęcał swój cenny czas na wysłuchiwanie opowieści tak dziwacznych, że mało kto potrafiłby je wymyślić.

– Wie pani, co mnie ostatecznie upewniło, że mam rację? – mówiłem. –

Misquamacus i ten wikary odrodzili się niemal w identyczny sposób. Obaj spłonęli żywcem i w fazie płodowej byli noszeni przez jakąś niewinną kobietę w plecach, właściwie w garbie.

– Jak się nazywał ten ksiądz? – zapytała kobieta.

– A czy to ma znaczenie? Zapomniałem.

– Bardzo proszę, niech pan sobie przypomni.

Popatrzyłem na nią badawczo.

– Pani naprawdę wierzy, że sobie tego wszystkiego nie zmyśliłem?

– Niech pan spróbuje przypomnieć sobie to nazwisko. A jeśli nie... zawsze możemy skorzystać z Google.

Na chwilę zamknąłem oczy, ale zaraz je otworzyłem i powiedziałem:

– Gander. Tak. Jakoś tak.

– A może Grandier?

– Rzeczywiście, Grandier. Skąd pani wie?

– Ponieważ on tutaj jest. Ma pan absolutną rację. Powrócił, podobnie jak ten indiański czarownik. A jeśli chodzi o rzecz zasadniczą... Tak, wierzę panu, panie Erskine. Wierzę w każde pańskie słowo. Zakonnice i synowie Misquamacusa ukazali się również mnie.

– Widziała ich pani? – Muszę przyznać, że mnie zatkało. – Chce mi pani powiedzieć, że naprawdę ich pani widziała?

Znowu pokiwała głową.

– Ostrzegli mnie, podobnie jak ostrzegli pana. Tylko mnie nie kazali ostrzegać innych. Mnie kazali zaprzestać pracy nad wirusem.

Teraz nastąpiła moja kolej na uważne słuchanie. Anna wyjaśniła mi, w jaki sposób zmarł jej partner, David, i opowiedziała o tym, co się działo po jego śmierci. Ze szczegółami przedstawiła mi spotkanie z zakonnice w prosektorium. Opowiedziała o pluskwach w swoim łóżku, o tym, jak zamieniły się w jedną wielką pluskwę, która prawdopodobnie zabiła dwóch pracowników firmy dezynsekcyjnej. Opowiedziała o niespodziewanym spotkaniu z Davidem i o tym, jak go zepchnęła z balkonu. Miała jeszcze przed sobą rozmowę z policją, chociaż okazało się, że w garniturze, który

spadł z balkonu, nie było żadnego ciała, a tylko popiół, i policjanci powiedzieli jej, że mają na głowie ważniejsze sprawy niż zajmowanie się jakimś popiołem.

Kiedy skończyła opowieść, po prostu siedzieliśmy przez długą chwilę i przyglądaliśmy się sobie.

– Dlaczego my? – zapytała w końcu Anna. – Dlaczego ukazali się tylko nam i nikomu innemu? A przynajmniej nikomu, o kim byłoby nam wiadomo.

– Cóż, ja wiem, dlaczego przyszli do mnie. Powiedzieli mi. Chcą nas wyrzucić z terenów, które kiedyś do nich należały. Chcą usunąć z Ameryki wszystkie blade twarze, tak jak my kiedyś usunęliśmy ich, zakażając ich chorobami, wobec których byli bezbronni. Chcą jednak, żebyśmy wiedzieli, dlaczego to wszystko się dzieje. Bo jaki sens ma zemsta, jeśli jej ofiara nie wie, kto się mści ani za co?

– Ale powiedział pan, że chcieli pana zabić, wykorzystując tego psa.

– Może chcieli mnie po prostu przestraszyć i skłonić, żebym robił to, co mi każą? Może to był taki kopniak w dupę?

– Nawet pan nie wie, panie Erskine, jaką ulgę sprawia mi rozmowa z panem – powiedziała Anna. – Bo byłam już prawie pewna, że oszalałam.

– Proszę mówić mi po imieniu, dobrze? Skoro oboje jesteśmy prześladowani przez zakonnice i duchy szamanów, chyba oboje możemy tak się do siebie zwracać, co? Ale... co z tym Grandierem?

– Bardzo mi miło. Jestem Anna. – Wyciągnęła rękę. – Myślę, że to, co mówił ten biedny ksiądz Zapata, odpowiadało prawdzie. Surin przeniósł demona Gresila na niego, po jego ponownych narodzinach. Gresil jest duchem zarazy. Synowie Misquamacusa w jakiś sposób porozumieli się z Grandierem i teraz wspólnie dążą do zemsty.

– Cóż, ja... Kiedyś już miałem do czynienia z podobnym zjawiskiem nadprzyrodzonym – powiedziałem. – Ale ty? Przecież jesteś naukowcem, a nauka opiera się na doświadczeniu i logice, prawda? Tymczasem nasze ostatnie przeżycia nie mają wiele wspólnego z logiką, choć przecież mają sens.

– Pozornie wirusy też mają z logiką niewiele wspólnego, Harry.

– Ale dlaczego te zakonnice akurat ciebie wybrały, dlaczego ukazały się właśnie

tobie? Przed czym cię ostrzegają? Przecież mogłyby się przyczepić do jakiegokolwiek innego epi...demiologa.

– Nie wiem tego na pewno, jednak kiedy mówiłeś mi o dwóch synach Misquamacusa, przyszedł mi na myśl wirus skalpujący.

– Słyszałem o tym. To była jakaś choroba, z powodu której ludzie na Środkowym Zachodzie łysieli i wyglądali jak oskalpowani. Zgadza się?

– Tak. I to ja się przyczyniłam do powstania skutecznego środka antywirusowego, który nie pozwolił chorobie się rozprzestrzeniać.

– I myślisz, że dlatego ostrzegają akurat ciebie, żebyś nie próbowała szukać kolejnego lekarstwa?

– Być może. Wirus skalpujący nie był specjalnie trudny do powstrzymania. To był wirus bardzo „staroświecki”, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Nie mutował i był stosunkowo łatwy do rozpracowania.

– Wiem, do czego zmierzasz – powiedziałem. – Ten wirus mógł być pierwszą próbą, którą podjęli bracia, żeby wywołać epidemię w całym kraju. Nie udało się, ponieważ zdusiłaś tę próbę w zarodku. I to zapewne z tego powodu poszli do Grandiera, żeby znalazł im chorobę trudną do powstrzymania, i dlatego cię ostrzegli, żebyś nie próbowała się w to mieszać.

– To dlaczego po prostu mnie nie zabili? Dlaczego nie potraktowali mnie wirusem tak jak Davida?

– Jeśli pokonałaś ich w uczciwej walce, Anno, nie zabiją cię, podobnie jak mnie nie zabili. To część ich plemiennej tradycji. A pokonałaś ich, unieszkodliwiając wirusa skalpującego, jesteś więc nietykalna. Przynajmniej dla nich. To Davida posłali do brudnej roboty. Miał ją wykonać za nich.

– Co za koszmar – westchnęła Anna. – To szalone, ale wygląda na to, że to prawda. A ci wszyscy ludzie, którzy umierają? To już na pewno nie jest koszmar, lecz straszliwa rzeczywistość.

– Widziałem tutaj dwie zakonnice. Powinnaś wysłać do nich ochronę.

– Jesteś pewien, że to nie są prawdziwe zakonnice?

– Jeśli tego nie sprawdzę, nie mogę mieć pewności.

– W porządku – powiedziała Anna. – Porozmawiam z ochroną.

Wstałem.

– Ja tymczasem sprawdzę, jak się czuje Mazey.

– Przykro mi, ale prawdopodobnie umrze.

– Tak. – Pokiwałem głową. – Wiem.

– Mógłbyś jeszcze dzisiaj przyjechać do Public Health Laboratory w Downey?

Wiem, że w tych warunkach trudno ci będzie spełnić moją prośbę, uważam jednak, że powinniśmy jeszcze porozmawiać.

Podaliśmy sobie ręce. Muszę powiedzieć, że spotkanie z Anną, choć całkiem przypadkowe, było jednym z najważniejszych w moim życiu. A może nie był to jednak przypadek? Sterowały nami siły znacznie potężniejsze od ludzkich. Gdyby moje karty nie poczerniały, pewnie nadal przepowiadałbym ludziom przyszłość, klepiąc wierutne bzdury. Tymczasem czarne karty pokazały się tylko mnie, odmawiając mi wglądu we własną przyszłość, bo zapewne nie powinienem był jej znać.

## ROZDZIAŁ 26

Wynieśliśmy Mazey ze szpitala i zawieźliśmy ją do domu. Co jeszcze mogliśmy dla niej zrobić? Umierała, a my uczyniliśmy wszystko, by umożliwić jej dokonanie żywota w gronie bliskich jej osób i w warunkach tak godnych, jak to tylko było możliwe.

Kiedy położyliśmy ją na łóżku, była tak słaba, że nie mogła poruszać głową, chociaż od czasu do czasu napinała się i wymiotowała krwią. Dazey usiadła przy łóżku i co chwila ocierała jej czoło i usta wilgotnym ręcznikiem.

Do sypialni wszedł również Kleks. Usiadł w nogach łóżka i spoglądał na dziewczynę takim żalonym wzrokiem, jaki miewają tylko psy.

Poszedłem do salonu i zapytałem Ricka:

– Mógłbym pożyczyć twoją furgonetkę?

– W jakim celu?

– Ta lekarka, z którą rozmawiałem, chce, żebym pojechał do laboratorium badawczego w Downey. Uważa, że mógłbym jej w czymś pomóc.

– Co, dzisiaj?

– Tak, dzisiaj. To pilne, Rick. Im szybciej ona znajdzie sposób na zlikwidowanie wirusa, tym więcej istnień ludzkich zostanie ocalonych.

– Zawiozę cię – postanowił. Zajrzał przez szparę w drzwiach do sypialni. – Nie chcę tu siedzieć i patrzeć, jak Mazey umiera.

– A co z Dazey?

– Da sobie radę. Jest silna. Poza tym, jeśli zajdzie potrzeba, zawsze może zawołać swoją przyjaciółkę Veronicę. Mieszka w sąsiednim domu.

Rick poszedł do sypialni i powiedział coś do Dazey. Nie słyszałem słów, jednak zobaczyłem, że Dazey kiwa głową i kładzie rękę na ramieniu Ricka, upewniając go, że może sama zostać z siostrą. Rick był jej przyjacielem i kochankiem, ale ona i Mazey wychowały się razem i w tych trudnych chwilach tak naprawdę potrzebowały tylko

siebie.

Wsiadliśmy do furgonetki i ruszyliśmy z piskiem opon.

Był gorący, słoneczny i bardzo cichy dzień. Właściwie to ta wielka cisza była jedyną wskazówką, że w mieście dzieje się coś nienormalnego, że opanował je śmiertelny wirus. Ruch zamarł. Kilka zabłąkanych pojazdów robiło wrażenie, że ich kierowcy nie bardzo wiedzą, dokąd zmierzają. Od czasu do czasu mijaly nas ambulanse lub samochody policyjne robiące mnóstwo hałasu. Ciągi komunikacyjne były niemal kompletnie opustoszałe. Nawet w Hollywood trudno było wypatrzeć jakiegoś przechodnia. Chodniki pokrywała zaschnięta krew, jakby ktoś je pomalował bordową farbą.

– Ta choroba mnie przeraża – stwierdził Rick. – Co ja zrobię, jeśli Dazey także się zarazi?

– Nie kracz – odparłem. – Jeśli los rzuci w ciebie nożem, będziesz miał wybór: albo złapiesz go za ostrze, albo za rękojeść.

Rick pokiwał głową i przez kilka minut jechaliśmy w milczeniu. Nagle zapytał:

– A co to, kurwa, właściwie znaczy?

– Nie wiem. Ale kiedy mówię to staruszkom, którym przepowiadam przyszłość, zawsze są szczęśliwe.

Po półgodzinnej jeździe dotarliśmy do Downey. Public Health Laboratory znajdowało się przy Erickson Avenue, w niepozornym piętrowym budynku z czerwonej cegły, z szarym dachem. Kiedy Rick parkował furgonetkę przed wejściem, przez okna budynku przyglądali się nam ludzie w fartuchach.

Ledwie stanęliśmy na schodach, prowadzących do drzwi wejściowych, z budynku wyszedł umundurowany ochroniarz.

– W czym mogę panom pomóc?

– Zaprosiła nas tutaj pani profesor Grey. Właściwie to mnie zaprosiła. Nazywam się Harry Erskine, a to jest mój przyjaciel, Rick Beamer.

Ochroniarz nacisnął jakiś przełącznik w krótkofalówce i powiedział do mikrofonu:

– Tu ochrona. Mam tutaj dwóch facetów, mówią, że przyjechali na zaproszenie profesor Grey. Jeden nazywa się...

– Erskine – powtórzyłem. – Harry Erskine.

Ochroniarz przez chwilę słuchał trzeszczącej krótkofalówki, wreszcie pokiwał głową i powiedział do nas:

– Chodźcie za mną, panowie. Otrzymacie identyfikatory.

Wydawał się autentycznie zdziwiony, że nie otrzymał rozkazu, aby natychmiast odesłać nas tam, skąd przyjechaliśmy.

Kiedy tylko przypięliśmy identyfikatory, poprowadził nas długim korytarzem. Przez przeszklone drzwi widzieliśmy ludzi w fartuchach i okularach ochronnych. Większość wpatrywała się w monitory mikroskopów albo pochylała się nad stołami laboratoryjnymi zastawionymi próbkami.

Gdy dotarliśmy do ostatnich drzwi, ochroniarz zapukał i otworzył je.

– Profesor Grey? Pani goście.

W laboratorium panował półmrok, ponieważ zasłony na oknach zaciągnięto i jedynym źródłem światła były ekrany monitorów. Anna siedziała pod jedną ze ścian, ze zmarszczonym czołem, pochylona nad czymś, co uznałem za mikroskop, chociaż urządzenie to było zupełnie niepodobne do mikroskopów, jakie pamiętałem z mojej szkoły średniej. Oprócz Anny w laboratorium była jeszcze wysoka czarnoskóra kobieta, która wyciągała właśnie próbki z chłodziarki.

– Harry – powiedziała Anna. Wstała i podeszła do nas. – Cieszę się, że przyjechałeś.

– To jest Rick – przedstawiłem go. – To z siostrą jego partnerki byliśmy dzisiaj w szpitalu, więc Rick zna sprawę.

– Bardzo ci współczuję. Co z nią?

– Bardzo źle – odparł Rick. – Myślę, że to już długo nie potrwa.

Anna skinęła na swoją asystentkę.

– Harry, to jest Epiphany. Pracuje ze mną nad wirusem z Meramac, a także nad BV-1. Chciałabym, żebyś powtórzył jej to wszystko, co mi powiedziałaś.

– Anna przekazała mi już większość informacji – odezwała się Epiphany. – Ale chciałabym to wszystko usłyszeć od ciebie.

Epiphany była wyższa ode mnie, za to bardzo ładna. Miała kocie oczy i lśniące



czerwone usta. Jej włosy były ozdobione różnokolorowymi paciorkami. W tych okolicznościach nie powinienem się zajmować jej atutami, ale miała naprawdę kształtne piersi, które z trudem utrzymywał w ryzach starannie zapięty fartuch. Anna wróciła do mikroskopu, a tymczasem Epiphany zajęła się probówkami, które wyciągnęła z chłodziarki. Stałem przy niej i opowiedziałem jej całą historię.

– To niesłychane – podsumowała Epiphany, kiedy skończyłem. – Gdyby Anna nie miała identycznych doświadczeń, nigdy bym ci nie uwierzyła.

Gdy jakaś dziewczyna przyniosła tacę z kawą i ciasteczkami, Anna odsłoniła okna i usiedliśmy, żeby porozmawiać.

– Dużo rozmyślałem od naszej ostatniej rozmowy – powiedziałem. – Zastanawiałem się, co łączy sposób, w jaki pokonałem Misquamacusa, ze sposobem, w jaki ty uwolniłaś ludzi od wirusa skalpującego.

– Nie bardzo rozumiem.

– Cóż, Misquamacus wezwał duchy indiańskie, żeby się zemściły na białym człowieku. Mój przyjaciel, szaman Śpiewająca Skała, wyjaśnił mi, że każda skała, drzewo, zwierzę, a nawet kropelka wody ma własnego ducha, którego Indianie nazywają Manitou. Misquamacus skoncentrował energię tych duchów przeciwko nam, białym ludziom. Ale my wezwaliśmy duchy obecne w komputerach, maszynach i innych zdobyczach nowoczesnej technologii – i te nasze duchy Manitou okazały się silniejsze niż duchy żyjące w skałach, drzewach i zwierzętach. W rzeczy samej jeden mały telefon komórkowy ma więcej wewnętrznej energii niż piżmoszczur. Za każdym razem, kiedy coś tworzymy, wkładamy w to część naszej duszy i naszego umysłu, dzięki czemu każde nowe dzieło człowieka zawiera swojego Manitou. Misquamacus próbował pokonać nas bogami, którzy zaczęli tracić siły już czterysta lat temu. Przecież nie da się zwyciężyć rakiety za pomocą łuku i strzały.

– Wciąż nie wiem, do czego zmierzasz – powiedziała Anna.

– Matchitehew i Megedagik chcieli nas zetrzeć z powierzchni ziemi, nasyłając na nas wirusa skalpującego. A sama mówiłaś, że ten wirus to pod względem biologicznym przeżytek, bardzo łatwy do rozpracowania.

– Nie, to wcale nie było takie łatwe – powiedziała Anna. – On po prostu był

zupełnie inny niż wirusy, z którymi mamy do czynienia we współczesnych czasach. Walka z nim przypominała zmagania z czarną śmiercią. Kiedy jednak zdałam sobie sprawę, jak bardzo jest archaiczny, stosunkowo szybko udało mi się wynaleźć środek, który go zwalcza.

– No właśnie. Uważam, że właśnie dlatego Matchitehew i Megedagik poprosili o pomoc Grandiera. Grandier został opętany przez Gresila, a Gresil jest demonem zarazy, więc był w stanie dać im superwirusa, którego nie może pokonać żaden lek. Być może to sam Gresil jest wirusem.

– Tylko czy ta wiedza nam pomoże? Zaczęliśmy już wyodrębniać wirusa, który przenoszą pluskwy, ale jego budowa i sposób replikacji są absolutnie niepojęte. Jeszcze nigdy się z czymś takim nie zetknęłam.

– Może trudno znaleźć odpowiednio skomplikowany środek – powiedziałem. – A gdyby tak ukryć odpowiednio skomplikowanego wirusa?

– Mówisz o wirusie z Meramac? – podchwyciła Epiphany.

– Hmm... może to ma sens – stwierdziła Anna. – Wirus z Meramac wywołuje ostre objawy, ale wirus BV-1 doprowadza do śmierci stu procent zarażonych osób. Widzieliśmy już, jak ten wirus z Meramac niszczył inne wirusy, z którymi wchodził w kontakt, w tym wirusy grypy typu A, ptasiej grypy, a nawet własne wcześniejsze mutacje. Jeśli doprowadzimy do tego, że zacznie niszczyć wirusa roznoszonego przez pluskwy, będziemy musieli już tylko opracować taki środek przeciwwirusowy, który zmusi go do samozniszczenia, mówiąc obrazowo, do popełnienia samobójstwa, i chyba jesteśmy tego dość bliscy.

– Wykorzystamy więc wirusa do zabijania wirusów – powiedziała Epiphany. – Pies będzie jadł psy. A przynajmniej nowy pies będzie jadł stare psy.

– To bardzo ryzykowne – zauważyła Anna. – Nie ma wątpliwości, że jeśli wstrzykniemy BV-1 osobom zarażonym wirusem z Meramac, duża część z nich i tak umrze, a my będziemy częściowo mieli ich na sumieniu.

Rick wciągnął powietrze nosem i powiedział głośno:

– Jeśli chodzi o mnie, gdybym stanął przed wyborem, czy ocalić kilka istnień, czy nie ocalić żadnego, nie miałbym najmniejszych wątpliwości, co wybrać.

Długo siedzieliśmy i rozmawialiśmy, popijając kawę. W pewnej chwili dotarł do nas huk grzmotu. Epiphany popatrzyła przez okno i powiedziała:

– Zdaje się, że nadchodzi burza.

Zadzwonił telefon komórkowy Ricka.

– Dazey? – zawołał Rick do słuchawki. – Cześć, kochanie. Co z nią? Rozumiem... Tak, oczywiście. Wrócę za pół godziny, obiecuję ci.

Schowwał telefon do kieszeni i powiedział:

– Chodzi o Mazey. Jej stan się pogorszył i Dazey chce, żebym wrócił do domu.

– Jadę z tobą – postanowiłem. – Tutaj już prochu nie wymyślimy.

– Cóż, naprawdę jestem ci wdzięczna, że przyjechałeś, Harry – powiedziała Anna.

– Dopóki cię nie spotkałam, bałam się, że popadam w obłąd. Jesteś cudowny.

W tym momencie to jej komórka zadzwoniła. Wzięła ją do ręki i odezwała się:

– Profesor Grey. – Przez chwilę słuchała, po czym rzuciła pytanie: – Co? – Wyraz jej twarzy nie pozostawiał wątpliwości, że jest w szoku. – Nie wpuszczajcie go – powiedziała. – Niech ochrona się go pozbędzie. Tak. Nie musicie w ogóle mu się z niczego tłumaczyć. – Skończyła rozmowę.

– Kto to był? – zapytałem.

– Brian Grandier. Jest przy recepcji i chce się ze mną widzieć.

– Grandier? Żartujesz! Jak się dowiedział, że tu jesteś?

– Nie mam pojęcia. Ale słyszałeś, co powiedziałam.

– Moim zdaniem powinniśmy się z nim spotkać. A przynajmniej ja powinienem z nim porozmawiać. Posłuchaj, Anno, ten facet stanowi klucz do całej sprawy. Nie możemy go tak po prostu spławić – przekonywałem.

– Boję się – westchnęła Anna. – Jak myślisz, dlaczego tutaj przyszedł?

Wstałem.

– Razem z Rickiem się tego dowiemy. A wy tutaj poczekajcie.

Podszedłem do drzwi, a Rick ruszył za mną. Jednak gdy sięgnąłem do klamki, zobaczyłem twarz Briana Grandiera w okienku w drzwiach. Stał po drugiej stronie i gapił się na mnie. Włosy miał zaczesane do tyłu, siwą brodę starannie przystrzyżoną, a jego oczy były zimne i szare jak dwa kamienie.

Otworzyłem drzwi i Grandier postawił stopę na progu, żebym nie mógł już ich zamknąć.

– No i proszę – powiedział. – Pan Erskine i profesor Grey, oboje w jednym miejscu. W blasku jasnego dnia, jak powiedziałby Szekspir.

– Brian Grandier – odezwałem się. – A może powinienem mówić Urbain Grandier? Bo przecież to jesteś ty, prawda? Spalony za życia i urodzony ponownie?

Twarz Grandiera ściągnęła się w grymasie złości, którą udało mu się powstrzymać.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Spalony za życia? Urodzony ponownie? Czy ty oszalałeś?

– Urodziłeś się ponownie w taki sam sposób, w jaki odrodził się Misquamacus – kontynuowałem z naciskiem, starając się zachować spokój. – Zabiłeś ojca Zapatę, żeby nie mógł mi powiedzieć, kim jesteś, a raczej czym jesteś. Ale przed śmiercią zdołał mi przekazać najważniejsze informacje na twój temat.

– Co pan tutaj robi, panie Grandier? – Teraz Anna zażądała wyjaśnień. – Czego pan chce? Zaraz zawołam ochronę!

– Ochronę? Na twoim miejscu bym się tym nie trudził – powiedział Brian Grandier. – A jeśli już pytasz, czego chcę... to jest naprawdę bardzo proste. Chcę, żebyś przerwała badania nad tym wirusem. A jeśli chodzi o ciebie, Erskine, myślałem, że jednak doradzisz swoim rodakom, żeby opuścili ten kontynent, bo inaczej wszyscy umrą. No i teraz umierają, a ty jesteś za to osobiście odpowiedzialny. Jesteś winien śmierci każdego z tych ludzi.

Znowu uderzył piorun, tym razem znacznie bliżej, aż zadrżały szyby w oknach.

– Ty chyba nic nie rozumiesz, Grandier! – zawołałem. – Jesteś reliktem przeszłości. W ciągu czterystu lat ten kraj zmienił się nie do poznania i głupotą byłoby oczekiwać, że te zmiany można odwrócić. W tej chwili już nie ma znaczenia, kto kogo mordował i kto co ukradł. Nie możesz cofnąć czasu. Przecież nie mogłeś nie widzieć tych wszystkich miast, autostrad, samolotów, tuneli i mostów? A jeśli chodzi o twoje urazy, przecież ci, którzy cię oskarżali, torturowali i spalili na stosie, od stuleci są martwi i zakopani w ziemi, razem ze swoimi przekonaniem i całą tą czarną magią,

którą uprawiali.

– Nam chodzi o zemstę – powiedział Brian Grandier. – Chcę zemsty i moi indiańscy przyjaciele też jej pragną. Wasi przodkowie nie tylko ukradli ziemię, oni zniszczyli całe narody, ich kulturę i język; zmiotli je na zawsze z powierzchni ziemi, tak jakby nigdy nie istniały. I Europa uczyniła to samo, a wszystko w imię Chrystusa. Zresztą jeśli chodzi o zemstę... Przecież zostaliście ostrzeżeni, żeby nie wchodzić nam w drogę. Teraz daję wam ostatnią szansę.

– Nie możesz nas tknąć. Ani Anny, ani mnie. Dobrze o tym wiesz.

Na moich oczach twarz Grandiera zaczęła się zmieniać. Nagle jego oczy upodobniły się do ślepiów wilka, nos wydłużył się i wyostrzył. Skóra pociemniała i w końcu przybrała niemal bordowy kolor, a jego wargi zrobiły się czarne. Otworzył usta, obnażając dwa rzędy ostrych zębów w kolorze bursztynu.

Ogarnęło mnie zimne przerażenie. Wiedziałem, co się dzieje. Grandier prezentował nam demona, który posiadał go, kiedy ojciec Surin dokonał egzorcyzmów nad jego matką, siostrą Marie. To był Gresil. Był prawdziwy. Wyglądał tak jak diabły, które widuje się na średniowiecznych obrazach i płaskorzeźbach, a to dlatego, że w średniowieczu demony zupełnie otwarcie wykraczały poza swoje terytoria i ukazywały się artystom, którzy mogli uwiecznić je w swoich dziełach.

– Oczywiście, że nie możemy was skrzywdzić – powiedział Grandier-Gresil zgrzytliwym głosem. – Mamy własny kodeks honorowy, podobnie jak wy. Ale to nie znaczy, że nie możemy ukarać waszych bliskich i przyjaciół. Będziemy rozrywać ich na strzępy i dusić ich własnymi wnętrznościami. Oślepiac i przywodzić do szaleństwa. Jeszcze zanim skończymy, będziecie nas błagać o łaskę w ich imieniu.

Kolejny grzmot zabrzmiał tak, jakby burza znajdowała się w tej chwili dokładnie nad naszymi głowami. Cały budynek zadrżał w posadach. Z uchwytów wypadły trzy szklane retorty i rozbiły się na posadzce.

Usłyszeliśmy krzyk mężczyzny i rozpaczliwy jęk kobiety. Wokół słyhać było brzęk rozbijanego szkła i trzaski pękających przedmiotów. Do pomieszczenia ze świstem wdarł się silny wiatr i rozrzucił leżące na stołach papiery. Rozdzwonił się alarm przeciwpożarowy i rozpętała się istna kakofonia ludzkich wrzasków.

Deszcz zaczął intensywnie bębnić w okno; odwróciłem głowę w jego kierunku. Na dworze było ciemno, widziałem jednak drzewa po drugiej stronie parkingu wściekle miotające gałęziami. Ale zobaczyłem coś jeszcze. Postaci. Mnóstwo przygarbionych mrocznych postaci – całe zastępy zmierzające w kierunku laboratorium. Od stóp do głów ubrane były na czarno. Zakonnice.

Epiphany wystąpiła krok do przodu i stanęła przed Grandierem-Gresilem.

– Jesteś zwykłym duchem – powiedziała odważnie, chociaż jej głos drżał. – Ani się waż nas tknąć. Teraz sobie stąd pójdziemy, a ty nie zrobisz nic, żeby nas zatrzymać, rozumiesz?

– Zrobię to, na co będę miał ochotę – odparł Grandier suchym głosem. – Cokolwiek planujesz, suko, przeszkodzę ci w tym.

Wysunął z ust długi język, w obleśny sposób demonstrując Epiphany, jak będzie ją lizał.

Rick wystąpił do przodu. Złapał Epiphany za rękę i odciągnął ją na bok. Wyciągnął zza paska rewolwer i wycelował go prosto w twarz demona.

– Myślę, że zabrnąłeś za daleko, gnido. Jeśli spróbujesz nas zatrzymać, przysięgam na Boga, że zrobię ci krzywdę. Na przykład odstrzelę ci pieprzony łeb.

Grandier-Gresil wpatrywał się w lufę rewolweru, jakby sytuacja go rozbawiła. Mógłbym przysiąc, że się nawet uśmiechnął. Minęły trzy albo cztery sekundy i wykonał niespodziewany ruch, próbując złapać Ricka za rękę.

Ale Rick był szybszy. Strzelił, a kula z bliska trafiła Grandiera prosto w twarz. Spodziewałem się, że natychmiast padnie martwy, dlatego to, co się potem wydarzyło, było dla mnie absolutnym zaskoczeniem. Jego głowa tylko lekko zadrżała, jednak nadal stał w miejscu.

Rick nie dostał drugiej szansy. Grandier-Gresil wyrwał mu rewolwer i cisnął nim przez całe laboratorium. Następnie złapał Ricka za kurtkę i pchnął go na przeszkłone szafy laboratoryjne. Pod jego ciężarem szyby rozprysły się na kawałki, raniąc Ricka, który padł na podłogę, brocząc krwią.

Spróbowałem złapać Grandiera-Gresila za rękaw, wyrwał się jednak i uderzył mnie w żebra. Poczułem, jakbym otrzymał cios żelaznym prętem. Oszołomiony,

zatoczyłem się na ścianę i zanim odzyskałem równowagę, demon złapał Epiphany i zaczął ją dusić. Niezdarnie zaatakowała go pięściami, chcąc się uwolnić, ale nie miała z nim żadnych szans. Był zbyt silny.

Usłyszałem jakieś wrzaski z korytarza, a potem męski głos:

– Nie! Pomocy! Nie!

A potem rozległ się taki odgłos, jakby ktoś wyrywał drzwi z zawiasów.

– Teraz wyjdziemy na zewnątrz – powiedział Grandier-Gresil. – Staniecie przed obliczem ludzi, którym uczyniliście zło. Będziecie błagać o przebaczenie.

Wzmocnił uścisk na gardle Epiphany, która nadal desperacko próbowała się uwolnić, choć miała coraz mniej siły. Oczy zaczęły jej wychodzić na wierzch i z trudem walczyła o każdy oddech.

Popatrzyłem na Annę, ona jednak tylko pokręciła głową. Nie mieliśmy żadnego wyboru. Było jasne, że jeśli nie będziemy teraz robić tego, co każe Grandier-Gresil, on złamie Epiphany kark. Na naszych oczach.

## ROZDZIAŁ 27

Na korytarzu panował kompletny chaos, wszędzie walały się ludzkie zwłoki. Wiatr nadal szalał w budynku, unosząc śmieci i kartki papieru. Drzwi laboratoriów były szeroko otwarte. Wszyscy laboranci zostali zabici. Ich ciała rzucono niedbale na stos. Plamy szkarłatnej krwi odcinały się od nieskazitelnie białych fartuchów. Mieliśmy wrażenie, że nagle znaleźliśmy się w rzeźni. Krew była dosłownie wszędzie: na podłodze, na ścianach, a nawet na suficie.

Wszyscy – mężczyźni i kobiety – zginęli tak samo: zostali uduszeni własnymi jelitami. Zebrało mi się na wymioty. Sytuację pogarszał straszliwy odór kału, żółci i niestrawionego jedzenia, który unosił się w powietrzu.

Grandier-Gresil pociągnął Epiphany do głównych drzwi. Anna i ja niechętnie szliśmy za nim. Oszołomiony Rick został w laboratorium. Miał brzydką ranę na policzku i nie mógł otworzyć jednego oka, uznałem jednak, że te obrażenia nie są groźne.

W holu było pełno krwi; meble były połamane, a palmy powyrywane z donic i zniszczone. Brązową skórzaną kanapę ktoś pociął i powyrywał gąbkę, która sterczała na wszystkie strony.

Burza szalała jeszcze gwałtowniej. Czarne niebo co chwilę przecinały oślepiające błyskawice, a pioruny waliły gdzieś bardzo blisko. Krople deszczu siekły parking, zalewały rynsztoki i studzienki odpływowe. Wiatr był tak silny, że z trudem się poruszaliśmy.

A one na nas czekały. Było ich bardzo dużo: może pięćdziesiąt, a może sto. Stały w półkolu w przemoczonych habitach łopoczących na wietrze. Pośrodku tego półkola stali Matchitehew i Megedagik. Błyskawice co chwila oświetlały to zgromadzenie, widziałem ich więc wyraźnie – synów Misquamacusa, największego czarownika, jaki kiedykolwiek żył na ziemi.

Byli ogromni. Ich głowy zdobiły rogi bizonów, a na ramiona mieli narzucone wzorzyste koce. Obaj nosili naszyjniki z zębów, paciorków i kości oraz grzechotki



przymocowane do nadgarstków. Całość uzupełniały orle pióra i długie pasma ludzkich włosów.

Podobnie jak wcześniej, ich ciała były pokryte chrząszczami o twardych lśniących pancerzykach. Raz po raz któryś z nich spadał ziemię, jednak natychmiast wspinał się z powrotem.

Spojrzałem na ich twarze. Nie wiedziałem, który z nich to Matchitehew, a który Megedagik – obaj mieli głęboko osadzone oczy, wysokie kości policzkowe i zakrzywione, orle nosy. Ich policzki były pomalowane w białe pasy.

Grandier-Gresil sprowadził Epiphany ze schodów i pociągnął przez parking, aż wreszcie stanął przed nimi. Wolną ręką wskazał na nas.

– Przyszli, żeby błagać was o wybaczenie! – zawołał. – I obiecać, że uczynią wszystko, co w ich mocy, żeby pomóc wam w odzyskaniu waszej ziemi!

Czarownik w czerwonym kocu zapytał:

– Czy to prawda?

Anna uczyniła ruch, jakby chciała do nich podejść. Spróbowałem pociągnąć ją do tyłu, ona jednak uwolniła się i zrobiła kilka kroków do przodu.

Znowu rozległ się grzmot, ale teraz gdzieś dalej. Wiatr i ulewa zaczęły słabnąć. Burza jakby się oddalała, chociaż niebo nadal było zaciągnięte czarnymi chmurami.

Było tak cicho, że wyraźnie słyszałem oddech Anny.

– Nie mogę uczynić tego, czego żądacie – powiedziała. – Wy macie swoje przekonania, a ja mam swoje. Kiedy rozpoczynałam pracę, złożyłam przysięgę, że będę za wszelką cenę ratować ludzkie życie, i muszę tej przysięgi dotrzymać. Smutno mi, że zginęło tylu waszych współplemieńców, że odebrano im ziemię, ale mordowanie niewinnych ludzi nie przywróci stanu sprzed lat, nie odzyskacie ani zmarłych przodków, ani ziemi.

– Nie należycie do tego kraju – powiedział czarownik w czerwonym kocu. Założyłem, że jest to Matchitehew, ponieważ jego brat, Megedagik, już wcześniej rzadko się odzywał. – A my chcemy tylko odzyskać kraj i ziemię, które w myśl wszelkich praw należą do nas. Musicie stąd odejść, a jeśli nie zrobicie tego dobrowolnie, my was do tego zmusimy.

– Czy wiesz, ile tysięcy ludzi już zmarło na chorobę, którą rozprzestrzeniacie po tym kraju? – zapytała Anna. – Wiesz, ile milionów jeszcze umrze, jeśli nie znajdę sposobu, żeby powstrzymać epidemię? Znacznie więcej, niż my zabiliśmy Indian w całej historii!

Zaciskała pięści w bezsilnej złości. Muszę powiedzieć, że jej odwaga wywarła na mnie wielkie wrażenie. Stała teraz osamotniona naprzeciwko tych wszystkich zjaw, próbując opanować strach i przeciwstawić się im.

– Oko za oko! – rozległ się ostry kobiecy głos.

Z tłumu zakonnicy wystąpiła najwyższa z nich. Jej twarzy nie zasłaniał już welon – była pociągła i tak blada, że można ją było uznać za wyrzeźbioną z kości słoniowej. Jednak jej głęboko zapadnięte, czarne jak węgiel oczy lśniły nienaturalnym blaskiem.

– Twój naród stał się bardzo liczny od czasu, kiedy zajął nasze miejsca – powiedziała. – Pieprzyliście się tak jak ty, wstrętne dziwko! Teraz są was miliony, prawda? Ale prawowitych właścicieli tych ziemi też byłoby tylu, gdyby tylko otrzymali szansę na spokojne życie we własnym kraju. Odmawiając im powrotu, popełniasz taki sam grzech, jaki popełniano wtedy, gdy ich mordowano i odmawiano im szansy na rozwój, na płodzenie własnych dzieci.

– To ciebie widziałam w kostnicy, prawda? – Anna zaatakowała zakonnice. – To ty mnie napadłaś. Nie uległam ci wówczas i nie ulegnę ci teraz, możesz być tego pewna.

– Wiesz, kim jestem? – zapytała zakonnica. Podeszła bliżej i spojrzała Annie prosto w oczy, nieruchomym wzrokiem. – Jestem matka Joanna od Aniołów, przełożona urszulanek z Loudun. Wiesz, kto dał mi nowe życie i sprowadził mnie tutaj? Gresil, pod postacią ojca Grandiera, wzmocniony siłą Matchitehewa i Megedagika. To my jesteśmy narzędziem sprawiedliwości. Jesteśmy zemstą i zamierzamy rozliczyć hipokrytów, złodziei i morderców; nieważne, jak dawno temu popełniali swoje grzechy!

Postać Joanny od Aniołów budziła taką grozę, że Anna cofnęła się o dwa kroki. Grandier-Gresil przez cały czas obserwował tę konfrontację z sardonycznym uśmiechem, wciąż jednak zaciskał rękę na gardle Epiphany.

Matchitehew i Megedagik też patrzyli. Teraz, gdy osłabł wiatr, ich pióra zwisały żałośnie, jednak po ich ramionach wciąż chodziły lśniące chrząszcze. Chmury na niebie powoli się rozstępowały, tu i ówdzie odsłaniając błękitne, jasne niebo.

– To my przenosimy tę chorobę, ja i moje siostry – oznajmiła zakonnica triumfalnym głosem.

Uniosła skraj habitu i podnosiła go coraz wyżej. Moim oczom ukazał się brązowy trójkąt pomiędzy jej nogami, jednak nie były to włosy, lecz setki brązowych pluskiew.

Przez chwilę trzymała habit w górze, po czym pozwoliła mu opaść.

– Nic nas nie powstrzyma – powiedziała. – A ty zrozum wreszcie, że musisz zaprzestać swoich badań.

Jakby dla podkreślenia wagi swoich słów, odwróciła się do Grandiera-Gresila, a on zacisnął rękę na szyi Epiphany, która wydała stłumiony jęk bólu.

Wystąpiłem do przodu i stanąłem obok Anny. Moje serce biło jak oszalałe, jednak matka Joanna od Aniołów nawet na mnie nie spojrzała. Wciąż wpatrywała się w Annę, jakby chciała ją zahipnotyzować.

– Anno – powiedziałem, starając się nie poruszać ustami. – Anno, na miłość boską, przytakuj im, zgadzaj się na wszystko, czego zechcą. Powiedz im, że przerwiesz badania, a ja zgodzę się przekazać wszystkim Amerykanom ich żądania. Może w ten sposób ocalimy życie chociaż kilku osób.

– Myślę, że nie musimy się na nic zgadzać – odparła Anna spokojnie.

– Co?

– Jest inny sposób. A przynajmniej mam taką nadzieję. Nie jestem pewna, ale jeśli miałeś rację w kwestii duchów Manitou...

– One istnieją. Wiem o tym. Widziałem dowody.

– Chodzi mi o nowoczesne duchy, potężniejsze od tych starych.

Rozmowę przerwała zakonnica.

– A więc się zgadzasz? – zapytała Annę ostrym, skrzekliwym głosem.

Zza chmur wyszło blade słońce, które przypominało raczej księżyc. W jego srebrzystym blasku zakonnice nabrały jeszcze bardziej złowrogiego wyglądu.

Anna wzięła głęboki oddech, jednak nie zdołała powiedzieć ani słowa, ponieważ

w tym momencie ciszę rozdarł głośny huk wystrzału. Na jednej z zakonnicy, stojącej blisko Grandiera-Gresila, zatrzepotał habit i kawałeczki materiału poszybowwały w powietrze. Zakonnica zachwiała się, jednak nie padła na ziemię.

Po betonowych schodach schodził Rick. Na twarzy miał krew. Rewolwer trzymał w dwóch rękach i mierzył do Grandiera-Gresila.

Anna zacisnęła dłoń na moim ramieniu i zawołała:

– Boże, Harry! Nie pozwól mu na to! On wszystko zepsuje!

– Rick! – krzyknąłem. – Rick, rzuć broń!

Ale on mnie zignorował. Podszedł do demona, wbił mu lufę w bok i powiedział:

– Puść ją, ty popaprańcu, albo cię rozwalę.

Ku mojemu zaskoczeniu Grandier-Gresil wykonał polecenie. Uwolnił Epiphany i cofnął się, unosząc obie ręce do góry. Jego dłonie bardziej przypominały szpony niż ręce człowieka. Skóra na nich była szara, cętkowana, a paznokcie długie i zakrzywione. Rick wyciągnął rękę do Epiphany i powiedział:

– Uciekaj. Wsiądź do mojej furgonetki. Ty także, Czarodzieju! Anna! Uznaliśmy, że dość już tej kretyńskiej zabawy. Odjeżdżamy!

Jednak nawet nie zdążyliśmy się odwrócić, gdy w powietrzu rozległo się rozdzierające, nieziemskie wycie, jakby w jednej chwili zaczęły wyć wszystkie kojoty tego świata. Po sekundzie usłyszałem jakby głośne stukanie. Zmroziło mnie, gdyż dokładnie wiedziałem, co ono oznacza. Był to stukot szamańskich lasek, niepozostawiający wątpliwości, że Matchitehew i Megedagik wzywają jakieś indiańskie moce, które mają nas powstrzymać.

Również zakonnice zaczęły się przesuwać w taki sposób, że odcięły nam drogę do furgonetki. Wcześniej poruszały się bardzo powoli, a teraz były szybkie i jakby zaczęło ich przybywać. Zrozumieliśmy, że nie mamy żadnych szans na ucieczkę.

Wszyscy czworo zatrzymaliśmy się. Grandier-Gresil i matka Joanna od Aniołów stali ramię w ramię z drwiącymi uśmiechami na twarzach, a za nimi Matchitehew i Megedagik. Megedagik wył, z zamkniętymi oczami i głową odrzuconą do tyłu, a Matchitehew wybijał laską szamańską skomplikowany rytm.

Czułem się zmęczony, pokonany, a przede wszystkim przerażony do granicy

wytrzymałości. Myślałem, że już nigdy nie usłyszę tego szamańskiego rytmu, nigdy nie zobaczę duchów, pojawiających się znikąd, i nie będę musiał walczyć z frustratami z przeszłości, którzy chodzą po amerykańskiej ziemi i twierdzą, że należy ona wyłącznie do nich.

Tymczasem Rick nie zamierzał łatwo się poddać. Był taki, odkąd go poznałem, zawsze walczył do końca. Znowu podszedł do Grandiera-Gresila i kilkakrotnie do niego strzelił. Kule rozerwały marynarkę i kamizelkę, jednak nie wywołały na nim większego wrażenia niż zwyczajne uderzenie pięścią w twarz.

Skowyt Megedagika osiągnął szczyt, a Matchitehew stukał laską szamańską o asfalt w takim tempie, że nie można już było odróżnić pojedynczych uderzeń.

Rick chciał podejść jeszcze bliżej, jednak drogę zagroziły mu zakonnice. Uczyniły to tak szybko, że nie wierzyłem własnym oczom, iż coś takiego w ogóle jest możliwe.

– Och, proszę cię, Boże – westchnęła Anna. – Tylko nie to.

Megedagik teraz wrzeszczał, a zakonnice uniosły habity, podobnie jak wcześniej uczyniła to matka Joanna od Aniołów. Jednak ku mojemu przerażeniu zobaczyłem, że nie trzymają ich ludzkimi rękami, ale ostrymi odnóżami. W tym momencie z ich twarzy zniknęły welony i wtedy zobaczyłem, czym one naprawdę są. To nie były zakonnice, to nie były nawet kobiety, ale wielkie bursztynowe pluskwy o twardych pancerzach i ruchomych czułkach.

Nawet Rick zamarł w bezruchu. Popatrzył na mnie, a w jego oczach malowało się skrajne przerażenie.

– Czarodzieju! – krzyknął.

Odwrócił się do pluskiew, ale zanim zdołał unieść rewolwer, trzy spośród nich ruszyły ku niemu, każda na sześciu nogach, i przydusiły go do asfaltu. Były mniejsze od niego, jednak bardzo ciężkie i silne.

– Czarodzieju! – znowu krzyknął. – Czarodzieju!

Podszedłem do niego. Patrzył na mnie dzikim wzrokiem.

Zacisnąłem pięść i kopnąłem jedną z pluskiew w łeb, trzy razy, z całej siły, jednak nie dało to żadnego efektu. Spróbowałem więc podnieść jedną z nich, była jednak zbyt

ciężka, żebym w ogóle mógł ją ruszyć.

Rick zacharczał. Cofnąłem się, ponieważ zdałem sobie sprawę, że już nic nie mogę dla niego zrobić. Jeden z owadów rozdarł czarną dżinsową kurtkę, a potem zagłębił odnóża w jego brzuchu. Już wcześniej widziałem ludzkie jelita i nie miałem zamiaru oglądać ich jeszcze raz.

Popatrzyłem na Grandiera-Gresila i na jego demoniczne czerwone oczy; płonęły czystą rozkoszą. Stojąca obok niego matka Joanna od Aniołów przyciskała dłoń do habitu na wysokości krocza, a jej usta były rozchylone w ekstazie.

Matchitehew i Megedagik kołysali się i przytupywali. Odgłos lasek szamańskich uderzających o asfalt był głośny i natarczywy jak odgłos strzałów z karabinu maszynowego.

Poczułem czyjaś dłoń na ramieniu i aż podskoczyłem.

– Musimy to zrobić teraz – powiedziała Anna.

Jej tusz do rzęs spływał po twarzy. Wyglądała, jakby płakała czarnymi łzami.

– Ale co zrobić?

– Zamierzałam to zrobić, zanim wyszedł Rick... podejść do Grandiera i udać, że zgadzam się na przerwanie badań nad BV-1.

– A potem?

Sięgnęła do kieszeni fartucha i wyciągnęła z niej strzykawkę z żółtą plastikową osłoną na igle. Wcisnęła mi ją do ręki tak, żeby Grandier-Gresil tego nie zobaczył.

– Zrobię to teraz. Inaczej on za chwilę każe tym stworom zamordować Epiphany. Powoli chodź ze mną. Zatrzymasz się za nim, a kiedy ja ściągnę na siebie jego uwagę, z całej siły wbij mu igłę w szyję. I naciśnij tłoczek strzykawki do samego końca.

– Co to jest?

Trząsałem się cały, bo za plecami wciąż słyszałem okropny charkot. Wiedziałem, że Rick umiera.

Podeszliśmy do Grandiera-Gresila.

– Daliście się przekonać? – zapytał.

Zakonnica stała bardzo blisko niego, z oczami zamkniętymi tak, jakby była myślami gdzie indziej, choć wiedziałem, że uważnie się wsłuchuje w każde słowo.

– Nie mogę dopuścić do kolejnych morderstw. – Anna wskazała na zniszczone wejście do budynku laboratorium. – Ci wszyscy ludzie... przecież oni nie zasługiwali na taką okrutną śmierć. Ani ten mężczyzna. On tylko chciał nas bronić, pomóc nam w ucieczce.

– Gdybyś się tak głupio nie upierała... – powiedział Grandier-Gresil drwiąco i uśmiechnął się. Wskazał głową na Epiphany, która stała teraz samotnie, odwrócona do niego plecami. Nie chciała patrzeć na Ricka i na pluskwy kotłujące się na jego zwłokach. – Rozumiem, że się zgadzasz? Bo nie chcesz, żeby ta śliczna Nubijka umarła w taki sam sposób?

– Chyba nie mam innego wyjścia, prawda? – Anna ciężko westchnęła.

Jej spokój mnie zadziwił. Nawet w tej chwili próbowała się opierać. Ja już dawno obiecałbym temu demonowi wszystko.

– Musisz mi złożyć uroczystą przysięgę – mówił Grandier-Gresil. – I nie próbuj jej złamać. Jeśli to zrobisz, jeśli naruszysz obietnicę, moje ukochane czarne siostry zaczną polowanie na twoich najbliższych i najukochańszych ludzi. Na twoją matkę, ojca i brata. Na Cardine, Daniela i Luke'a.

– Znasz moją rodzinę? – zawołała Anna. – Znasz imiona ich wszystkich?

W tym momencie dała mi kuksańca w bok. Zrozumiałem, że nadeszła chwila, żeby uderzyć.

Podczas gdy Grandier-Gresil chwalił się Annie, że o swoich wrogach wie dosłownie wszystko, obszedłem go z lewej strony i przystanąłem za jego prawym ramieniem.

Tymczasem Anna mówiła:

– ...pewnie wiesz, w jakim stopniu ta obietnica kłóci się z moimi zasadami i przekonaniem...

Nie patrzyła na mnie, wiedziałem jednak, że przez cały czas stara się skupiać na sobie uwagę Grandiera-Gresila.

Przez chwilę patrzyłem na wielką pluskwę, która pełzała jeszcze po zwłokach Ricka. Bałem się, że te krwiożercze stwory zaatakują teraz Epiphany.

To był ten moment. Trzymałem strzykawkę w lewej kieszeni marynarki i teraz

kciukiem ściągnąłem z niej plastikową nakładkę, a potem błyskawicznym ruchem wydobyłem strzykawkę z kieszeni i wbiłem igłę w szyję Grandiera-Gresila. Poszło mi nadspodziewanie łatwo. Rozległ się dźwięk podobny do tego, jaki towarzyszy darciu cienkiego papieru.

Grandier-Gresil zadrżał, całkowicie zaskoczony. Uniósł rękę, żeby sprawdzić, co go ukąsiło, i natychmiast odwrócił głowę i z całej siły uderzył mnie łokciem w żebra, by mnie odepchnąć, ja jednak nacisnąłem do końca tłoczek strzykawki i dopiero wtedy ją puściłem, pustą, zwisającą bezwładnie z jego szyi.

– Qu'est-ce que tu as fait, salaud[2]?! – wrzasnął.

Ruszył na mnie, z czerwonymi oczami i z wściekle obnażonymi żółtymi zębami. Matka Joanna od Aniołów stała jak wryta, z rękami opuszczonymi wzdłuż tułowia. Jej biała twarz wyglądała jeszcze bardziej niesamowicie.

– Żałosne gównojady! Coście zrobili?!

Cofnąłem się, ale nie miałem miejsca na ucieczkę. Ze wszystkich stron otaczały mnie zakonnice. Czułem ich twarde pancerze ukryte pod habitami. Popychały mnie i potraçały, a po chwili Grandier-Gresil złapał mnie za rękaw.

Jednak zamiast mnie uderzyć, stał spokojnie, mimo że mocno zaciskał dłoń na moim rękawie. Gapił się na mnie dziwnym spojrzeniem i zorientowałem się, że jest mu coraz trudniej oddychać.

– Tu es fou – powiedział. – Vous n'avez pas compris, quest-ce que vous avez fait? Vous m'avez parlé de l'histoire. Quest-ce que vous connaissez de l'histoire, vous diseur de bonne aventure![3]

Patrzyłem na niego. Na to. Cokolwiek to było.

– Wiesz co? – zapytałem go. – Nie rozumiem żadnego pieprzonego słowa.

Prawie się uśmiechnął. Jego górna warga uniosła się i pokiwał głową.

– Tak się musiało stać – powiedział. – Tak się musiało stać. To dlatego, że nie możemy was zabić. Byliście naszą nemezis.

Wypowiedziawszy te słowa, puścił mój rękaw i padł na ziemię u moich stóp. Matka Joanna od Aniołów postąpiła dwa lub trzy kroki w naszym kierunku, ale zaraz się zatrzymała. Wyglądała na skrajnie przerażoną.



Grandier-Gresil usychał. Naprawdę usychał. Jego głowa się kurczyła, rękawy spłaszczyły się, marynarka się podwinęła. W ciągu kilkunastu sekund pozostał z niego jedynie popiół, a lekki wiatr zaczął go szybko rozwiewać.

Także siostry zakonne jedna po drugiej rozpływały się w powietrzu. Jeszcze przez kilka sekund widoczne były ich półprzezryste sylwetki, a za chwilę już ich nie było, jakby nigdy nie istniały.

Matka Joanna od Aniołów zniknęła ostatnia. Przez chwilę wykrzykiwała jeszcze jakieś bluźnierstwa, które echem unosiły się nad ziemią, ale wkrótce odeszła także ona.

Pozostali tylko Matchitehew i Megedagik. Po niedługim czasie także ich sylwetki zaczęły tracić na ostrości.

Sprawiali wrażenie równie zmęczonych jak ja, do końca jednak stali dumni i wyprostowani. Mimo że nie mogłem wybaczyć im tego, co zrobili, rozumiałem, co nimi kierowało.

– Zapewne mój ojciec wiedział, że historia naszego ludu musi się tak skończyć – powiedział Matchitehew. – Nigdy nie zapomnimy, że zamordowaliście nasze kobiety i nasze dzieci, że niszczyliście nasze uprawy, paliliście nasze domy i poniewieraliście naszą pamięć, chcąc nas wymazać z kart historii. I nie przeszkadzało wam to chodzić do kościołów i dziękować waszemu Bogu za wszystkie dary, jakie wam zesłał. – Umilkł i po chwili dorzucił: – Gardzimy wami. Plujemy na was.

Zamierzałem coś odpowiedzieć, ale nagle rozległy się dwa stłumione wybuchy i ku niebu uniosły się dwie chmury czarnego dymu. Szybko rozwiął je wiatr. Wtedy na niebie, wysoko ponad drzewami, zobaczyłem dwa czarne kruki; one także wkrótce odleciały.

Schyliłem się i podniosłem strzykawkę. Anna podeszła do Epiphany i mocno ją przytuliła. Były zbyt przerażone i zbyt wstrząśnięte, żeby płakać.

Uniosłem strzykawkę i odezwałem się do Anny:

– To był wirus z Meramac, prawda?

Skinęła głową.

– Powiedziałeś przecież, że wszystko ma swojego boga Manitou, pamiętasz?

Miałeś rację.

Spojrzałem na zniszczony budynek laboratorium, na zbezczeszczone zwłoki Ricka, na pusty szary garnitur Grandiera-Gresila i pomyślałem o Misquamacusie. A potem o Śpiewającej Skale. Odniosłem wrażenie, że słyszę jego słowa:

– Nawet wiatr ma swojego Manitou, Harry. A wiatr wieje każdego dnia i nigdy nie zapomina, gdzie wiał dnia poprzedniego.

[2] Co mi zrobiłeś, łajdaku?!

[3] Jesteś głupcem. Nie rozumiesz, co zrobiłeś? Ty śmiesz ze mną rozmawiać o historii? Co ty o niej wiesz, ty żałosny przepowiadaczu przyszłości!

## ROZDZIAŁ 28

Chyba nie muszę wam mówić, że retrowirus BV-1 zniknął w ciągu jednej nocy, a wszyscy ludzie, którzy byli chorzy, stopniowo wyzdrowieli. Władze sanitarne nie mają pojęcia, jak to się stało, postanowiłem więc, że wszystko wyjaśnię, nawet jeśli mi nie uwierzycie. Nie wiem, ilu ludzi zmarło, i nie przypuszczam, byśmy się tego kiedykolwiek dowiedzieli, chociaż mówiono o kilkunastu tysiącach ofiar śmiertelnych. Wielu ocalałych z zarazy do dnia dzisiejszego miewa koszmary, w których pojawiają się pluskwy.

Mazey przeżyła, chociaż jej stan był bardzo ciężki i jeszcze długo dochodziła do siebie. Uczestniczyła jednak z Dazey i ze mną w pogrzebie Ricka. Pamiętam, był wtedy upalny dzień, zbyt gorący, żeby się ubrać na czarno. Stałem daleko od grobu, żeby nie słyszeć pożegnalnych słów księdza. Dazey przez cały czas płakała, a jej ciche i żalosne łkanie przypominało mi wycie Megedagika.

Po dwóch tygodniach wróciłem do Nowego Jorku. Miałem wielką ochotę ponownie osiąść na Florydzie, gdzie roi się od bogatych starszych pań, ale obawiałem się, że detektyw Blezard znów każe mi opuścić stan. Jeśli chodzi o moje karty – pozostały czarne, rysunki już nie wróciły na nie, musiałem więc kupić nową talię. Wliczyłem to w koszty działalności.

W drodze do Nowego Jorku zatrzymałem się w St Louis i odwiedziłem Annę w jej szpitalu. Epiphany była tam również. Razem poszliśmy na lunch do włoskiej restauracji U Josepha, przy Północnej Szóstej Ulicy. Nie czuliśmy głodu, gdyż rozmowa zeszła na temat naszych dziwnych i wywracających trzewia przeżyć, jednak restauracja tętniła życiem i było w niej bardzo wesoło, a tego właśnie potrzebowaliśmy.

Cieszyłem się, że znowu widzę Epiphany. Sami rozumiecie, czasami spotyka się na swojej drodze człowieka, który od razu ujmuje za serce, i ma się wrażenie, że zna się go od lat. Tak było też z nami. Kiedy kończyliśmy lunch, miałem ochotę pozostać w St Louis i poznać Epiphany jeszcze lepiej. W końcu, rozmyślałem, w każdym

miejscu na ziemi mogę rozkręcić biznes, który polega na opowiadaniu starszym paniom, że jeszcze na pewno znajdą w życiu jakiegoś żigolaka. Do otwarcia takiego interesu potrzebna jest przecież tylko jedna talia kart.

– Jeśli chodzi o wirusa z Meramac, prawie już nie ma przed nami tajemnic – mówiła Anna. – Będzie mi nawet przykro, kiedy znajdziemy sposób, żeby go zniszczyć. Jeden Bóg wie, co by było, gdyby nie zadziałał na BV-1.

– A dowiedziałaś się czegoś więcej na temat tamtego wirusa? – zapytałem.

Anna pokiwała głową.

– Na próbkach, które pobraliśmy w Cedars-Sinai, przeprowadziliśmy setki testów. Mamy już pewne hipotezy, chociaż podkreślam, że wciąż są to tylko hipotezy. BV-1 to wirus bardzo starego typu, nawet w porównaniu z tym, który w 1918 roku wywołał epidemię hiszpańskiej grypy. Jesteśmy przekonani, że był tak śmiertelny ze względu na wpływ Grandiera albo Gresila. Albo szatana. Sama nie wiem.

– To sam Gresil był wirusem – dodała Epiphany. – Uważamy, że uodpornił na niego matkę Joannę od Aniołów za pośrednictwem zakażonych pluskiew.

– Miałaś rację na temat Urbaina Grandiera i tych dwóch czarowników spoza wymiernego czasu – powiedziała Anna. – Nie wszyscy ludzie zarażali się wirusem BV-1 i początkowo nie rozumieliśmy dlaczego. Przeprowadziłam jednak pewne badania genealogiczne. Wciąż nie mamy stuprocentowej pewności, ale wiele wskazuje na to, że zachorowali tylko potomkowie w prostej linii kolonialistów, którzy wylądowali w Ameryce w siedemnastym wieku.

– Ale sam wirus... Jak to się działo, że dawał takie objawy? Że z jego powodu wymiotowali taką ilością krwi?

– W tej kwestii też nie mamy całkowitej pewności. Ale to prawdopodobnie Gresil przenikał do ludzkich ciał i sprawiał, że zakażeni wymiotowali krwią zawierającą antyciała, które mogłyby walczyć z wirusem. Przenikał też do mózgu i to było przyczyną drgawek. Pewnie dlatego ofiary błagały: „Zabierzcie to ode mnie!”.

Przez chwilę mieszała widelcem w risotto z leśnymi grzybami, po czym go odłożyła.

– Przepraszam, ale nie mogę jeść. Wciąż myślę o Davidzie i wyobrażam sobie, jak

cierpiał. O twoim przyjacielu Ricku. O tych nieszczęśnikach, którzy poumierali w straszliwych męczarniach. – W oczach Anny pojawiły się łzy. Pośpiesznie wytarła je serwetką. Epiphany uścisnęła jej dłoń.

– Cóż, minie mnóstwo czasu, zanim wszyscy troje o tym zapomnimy – powiedziałem. – Poza tym nikt się nigdy nie dowie, co zrobiliśmy, chociaż prawdopodobnie tak będzie najlepiej dla wszystkich. Wiedza o tym, czego trzeba się bać, jest tak straszna, że poznawszy ją, większość ludzi oszalałaby.

Kiedy zegnałem się z Anną i Epiphany przed wejściem do szpitala, znowu zaczął padać deszcz. Nadjechał jakiś ambulans na sygnale i nie usłyszałem ostatnich słów, które powiedziała do mnie Epiphany. Ucałowałem obie kobiety, a potem przywołałem taksówkę. Poprosiłem kierowcę, żeby mnie zawiózł do Lambert. Wciąż czułem na wargach zapach perfum Epiphany.

Kiedy byłem w połowie drogi na lotnisko, zabrzączał mój telefon komórkowy. Otrzymałem wiadomość tekstową:

MOŻE PEWNEGO DNIA PRZEPOWIESZ MI PRZYSZŁOŚĆ? E.